

HANNA GREŃ

ZŁY WYBÓR



ZŁY WYBÓR

HANNA
GREŃ

ZŁY WYBÓR

Copyright © Hanna Greń, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Marta Akuszevska, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Palej

Fotografia na okładce: © Westend61 | Getty Images

Fotografia autorki: Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67727-88-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

Przybysz na warunku

18 grudnia 1992, Wisła

– Wracaj tam, skąd przyjechałeś, i nie zawracaj mi dupy. Mamy dość swoich bandziorów, nie potrzeba nam przyjezdnych.

Nieprzyjemny ton dyżurnego nie zachęcał do dalszej dyskusji, a jednak stojący przed okienkiem chłopak nie zamierzał się poddać.

– Proszę pana, dyżurny Piontek z komendy w Żywcu kazał mi zaraz się u was zameldować, więc to zrobiłem.

– Tu rządzą ja, a nie żaden dyżurny z Żywca, piątek czy nawet niedziela. – Sierżant Szalbót zarechotał z własnego dowcipu. – Zjeżdżaj, szmaciarzu, albo wsadzę cię na czterdzieści osiem za zakłócanie porządku.

Młody człowiek ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy. Jeżeli pan nie chce, żebym przychodził, to nie ma sprawy, tylko proszę dać mi to na piśmie, bo...

– Ożeż ty, kurwa, gnoju, ja ci zaraz dam „na piśmie”!

Paweł Szalbót poderwał się do pionu tak gwałtownie, że pchnięte do tyłu krzesło z hukiem rąbnęło o podłogę, tarasując przejście. Sierżant odtrącił je nogą i ruszył w stronę drzwi, głośno wybijając rytm kroków, ani na chwilę nie przestawał przy tym wyklinać upartego interesanta. Ten zaś stał, zdawać by się mogło, całkiem spokojnie w oczekiwaniu na rozwój wypadków i tylko wnikliwy obserwator zdołałby zauważyć ledwie dostrzegalny tik lewej brwi i mimowolne napięcie mięśni.

Przyglądającemu się tej scenie Milewskiemu przyszedł na myśl szykujący się do skoku drapieźnik, Rajner przewidywał więc, że gdyby doszło do konfrontacji siłowej, policjant nie miałby z nim łatwej przeprawy, choć stały za nim lata milicyjnej służby, a tym samym spore umiejętności w dziedzinie poskramiania niepokornych obywateli.

Ciężkie kroki zbliżały się coraz bardziej, toteż Milewski, nie chcąc, by sierżant go zauważył, wsunął się głębiej we wnękę między ścianą a szafą. Wreszcie miał okazję zweryfikować wiarygodność pogłosek krążących na terytorium podległym wiślańskiemu komisariatowi, mówiących o Szalbócie i stosowanych przez niego metodach, rzekomo rodem z głębokiego PRL-u, kiedy słowo milicjanta było prawem.

Stukot butów na moment ucichł, po chwili natomiast ciszę rozdarł zgrzytliwy jazgot brzęczyka. Pchnięte ze zbyt wielką siłą drzwi uderzyły w ogranicznik, odbiły się i gdyby nie szybki refleks sierżanta, wracając, trafiłyby go w głowę, wysuniętą do przodu i lekko pochyloną niczym u atakującego byka.

Szalbót zastawił je nogą i ruszył prosto na chłopaka, który ani drgnął, nie odwrócił też wzroku i spoglądał śmiało na policjanta. Sierżant zatrzymał się przed nim i zaczął rytmicznie uderzać pałką w otwartą dłoń. Naraz zastygł z prawą ręką w górze, lewą natomiast zwinął w pięść. Ten gest również nie wywołał żadnego efektu.

– Wypierdalaj stąd, zasrańcu, ale już! Liczę do pięciu. Jak nie zdążysz, to ona ci pomoże. Raz, dwa, trzy, cztery...

Jednocześnie z wypowiedzeniem słowa „pięć” Szalbót wziął zamach, lecz zaraz wolno opuścił rękę, gdy od drzwi dobiegło cicho wypowiedziane jedno słowo:

– Dosyc.

Sierżant zerknął w tamtym kierunku i zamarł, ujrzawszy postawnego mężczyznę o zimnych szarych oczach.

– Panie komendancie, ja właśnie...

– Później – przerwał mu Rajner. – Niech pan wraca na dyżurkę i odbierze ten cholerny telefon, bo za chwilę linia się przegrzeje.

Mówił spokojnie, bez podnoszenia głosu, ale sierżantowi wystarczył jeden rzut oka na twarz jakby wykutą w kamieniu, by przeszła mu ochota do dyskusji. Jak niepyszny zawrócił w stronę szeroko otwartych

drzwi prowadzących z poczekalni do pomieszczeń niedostępnych dla zwykłych obywateli.

Milewski śledził go wzrokiem aż do chwili, gdy tamten podniósł krzesło i sięgnął po telefon. Dopiero wtedy spojrzął na stojącego bez ruchu chłopaka.

– Chodź ze mną.

Przepuścił go przodem przez drzwi z brzęczykiem, później zamknął je za sobą i otworzył następne, za którymi znajdował się nieduży pokój. Oprócz biurka, dosuniętego do niego stołu i kilku krzeseł znajdowała się w nim jedynie wysoka metalowa szafa. Na nic więcej nie było miejsca, nawet wieszak został przytwierdzony do skrzydła drzwiowego, w innym bowiem razie musiałby chyba wisieć u sufitu.

W pomieszczeniu panował iście tropikalny upał, dlatego Rajner pierwsze kroki skierował do okna i dopiero po otwarzeniu go na całą szerokość odwiesił kurtkę, po czym zachęcił chłopaka, by zrobił to samo. Młody człowiek lekko się zawahał.

– Jak chcesz. Tylko uprzedzam, że za chwilę tak się spocisz, że nawet majtki będziesz mieć mokre. – Napotkał zacięte spojrzenie niebieskozielonych oczu i niespodziewanie się uśmiechnął. – Nie zamierzam cię bić ani nic z tych rzeczy. Chodzi mi tylko o to, że sprzątaczką znowu odkręciła kaloryfer na full, choć tyle razy mówiłem, żeby go nie ruszała.

Przez kilka sekund chłopak przyglądał mu się uważnie, wreszcie zdjął dzinsową katanę i wzorem gospodarza skorzystał z haczyka na drzwiach. Bystre oko Milewskiego natychmiast zauważyło, że okrycie było mocno podniszczone, w dodatku cienkie, bez ocieplenia, stanowczo nie na tę porę roku. Fason koszuli wyraźnie odstawał od aktualnych modowych trendów, podobnie jak szary pulower w pomarańczowe i rude romby, a niegdyś białe adidas nosiły ślady długotrwałego użytkowania.

Milewski wskazał chłopakowi krzesło i sam także usiadł przy stole, by zajęciem miejsca za biurkiem nie stwarzać zbędnego dystansu.

– Z jaką sprawą do nas przyszedłeś?

Młody człowiek sięgnął pod pulower i wydobył z kieszeni na piersiach złożoną na czworo kartkę.

– Tu jest napisane, panie...

Zająknął się i popatrzył bezradnie na naramienniki; najwyraźniej gwiazdka tkwiąca nad belką nic mu nie powiedziała.

- Podkomisarz Milewski – przedstawił się Rajner.
- Hmm... A ten facet na dyżurce? Jaki to stopień?
- Sierżant.

Chłopak sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Pokręcił głową, wreszcie powiedział cicho, jakby do siebie:

- Dziwne... Sierżant to przecież winkiel w obwódce... a takiego stopnia jak podkomisarz w ogóle w milicji nie było.

Milewski od dłuższego czasu domyślał się powodów wizyty młodego człowieka w komisariacie, a teraz zyskał pewność. Wyciągnął rękę po rozprostowaną z niejakim trudem kartkę, lecz nawet na nią nie spojrział.

- Widzę, że ostatnie trzy lata zdecydowanie ci uciekły. Od kwietnia dziewięćdziesiątego roku mamy w Polsce policję – wyjaśnił. - Zmieniły się dystynkcje i stopnie, zamiast chorążych są aspiranci, zamiast poruczników komisarze, kapitan to nadkomisarz... - Niespodziewanie zmienił temat: - Jak długo siedziałeś?

- Trzy lata, trzy miesiące i siedemnaście dni – odpowiedział chłopak automatycznie. - Skąd pan wie?

Rajner posłał mu nieodgadnione spojrzenie.

- Za co?

W wielobarwnych oczach na moment pojawił się błysk wściekłości, zaraz jednak zgasł, przysłonięty powiekami, a gdy po kilkadziesiąt sekundach chłopak ponownie spojrział na policjanta, w jego wzroku była już tylko obojętność.

- Zgwałcenie.

Związła odpowiedź, a jeszcze bardziej jej treść do tego stopnia zaskoczyły Milewskiego, że aż pochylił się do przodu, by móc lepiej przyjrzeć się rozmówcy. Młody człowiek absolutnie nie sprawiał wrażenia dewianta znajdującego zaspokojenie w stosowaniu przemocy, ale z drugiej strony wygląd o niczym nie przesądzał. Miła dla oka aparycja i sympatyczne obejście przestępców nieraz wprowadziło ich ofiary w błąd.

- I co, warto było?

Nie zdołał się powstrzymać od ironicznej uwagi, nie zauważył jednak, by na chłopaku zrobiła większe wrażenie. Jediną reakcją, jaką odnotował, było lekkie skrzywienie warg. Widząc to, Rajner zrezygnował na razie z dalszej indagacji, spojrzął na kartkę, leżącą dotychczas odłogiem, i półgłosem odczytał zawarte tam dane:

– Ditmar Fajlhauer, lat dwadzieścia trzy, syn Rudolfa i Marii z domu Sienickiej, zamieszkały w Żywcu przy ulicy... – Urwał i popatrzył uważnie na siedzącego przed nim chłopaka. – Słuchaj, Ditmar, powinienesz być odmeldować się w komendzie policji w Żywcu. Skąd pomysłał, żeby przyjść tutaj?

Fajlhauer znów nie odpowiedział, sięgnął za to do kieszeni, wyjął ciemnozieloną książeczkę i podał mu bez słowa wyjaśnienia. W pierwszej chwili Rajner się zirytował, ale poczucie humoru zaraz wzięło górę. *Chyba mamy ze sobą dużo wspólnego* – pomysłał z rozbawieniem. *Nie dość, że obdarzono nas germańskimi imionami, to jeszcze jesteśmy tak samo rozmowni.* Wtem przypomniał sobie, za co temu młodzianowi zasądzono pięcioletni wyrok, i dobry nastrój minął. Milewski wspomniał gehennę Joli i z trudem się powstrzymał, żeby nie przefasonować Ditmarowi tej przystojnej bużki.

W obawie, by nie ulec pokusie, czym prędzej przejrzał pobieżnie strony dowodu osobistego i zatrzymał się na tej z meldunkami. Widniały tam tylko trzy wpisy. Pierwszy datował się na uzyskanie przez Fajlhauera pełnoletności, drugi, z wczorajszą datą, informował o wymeldowaniu chłopaka spod żywieckiego adresu, trzeci natomiast, z osiemnastego grudnia, oznajmiał o nowym miejscu zamieszkania.

– Osada Barański Most – przeczytał głośno i zamilkł. Nigdy dotąd nie słyssał o tym miejscu, ale też mieszkał w Wiśle zaledwie od sześciu lat.

– Czyj to dom? To jakaś rodzina?

– Ciotka – padła kolejna zwięzła odpowiedź. – Siostra mojej prababki ze strony ojca.

– Rozumiem. A dziadkowie? Nie lepiej było zamieszkać u nich? Bo jak rozumiem, do rodziców nie możesz wrócić...?

– Nie mam dziadków – odpowiedział Fajlhauer twardo. – Ci od strony matki nigdy nie utrzymywali z nami kontaktu, a od strony ojca już nie żyją. Tak jak on. – Wziął głęboki wdech i uprzedzając pytanie, wyjaśnił:

– Tata robił w futrach. W Żywieckich Zakładach Futrzarskich – poprawił się natychmiast. – Zmarł na raka cztery lata temu, a mama...

Urwał i zacisnął zęby. Po chwili podjął z wyraźnym wysiłkiem:

– Wyszła drugi raz za męża, a jej facet ma dwoje dzieci, takich porządnych aż do obrzydliwości. Dla kryminalisty zabrakło tam miejsca.

Rajnerowi zrobiło się dziwnie szkoda tego chłopaka i żeby nie dać się ponieść współczuciu, stwierdził surowo:

– Zrobimy tak. Na początku będziesz się meldować co tydzień, a jeżeli wszystko będzie okej, po pewnym czasie przedłużę to do dwóch tygodni. Ale musisz podjąć pracę zamiast siedzieć ciotce na karku. Zresztą jest to jeden z warunków przedterminowego zwolnienia, więc nie radzę go lekceważyć. Masz jakiś zawód?

Ditmar wzruszył ramionami, nim niechętnie odpowiedział:

– Technik mechanik. Ukończyłem samochodówkę i po maturze pracowałem w warsztacie, dopóki mnie nie zamknęli.

– W takim razie nie widzę problemu. Masz papiery i trochę stażu, a po zmianie ustroju nawet tutaj przybyło samochodów, które trzeba gdzieś naprawiać. Z tego, co wiem, okoliczne warsztaty cierpią na niedobór pracowników...

– Taa. Na pewno przyjmą z pocałowaniem ręki kogoś po wyroku – dopowiedział Fajlhauer z ironią.

– Masz rację, o tym nie pomyślałem – mruknął Rajner. – Faktycznie może być pewien problem. Zastanowię się, jak go rozwiązać, a na razie trzeba spróbować gdzie indziej. Rozglądałeś się już za jakąś robotą?

Był pewien negatywnej odpowiedzi, tymczasem Ditmar mile go zaskoczył, skinął bowiem głową, po czym wyjaśnił:

– Będę pracować w lesie. Poznałem gościa, który otworzył swoją firmę i robi dla nadleśnictwa. Mam zacząć od nowego roku.

Milewski znów zlustrował go wzrokiem. Fajlhauer miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, ale posturą nie powalał, dlatego policjant miał sporo wątpliwości co do powodzenia jego planu. Poczul się w obowiązku ostrzec chłopaka.

– To ciężka robota, nie każdy daje radę, poza tym drwale lubią wypić, a ty musisz się na każdym kroku pilnować, żeby nie podpaść, bo wtedy

cofną ci warunek. Weź jeszcze pod uwagę, że właściciel może cię oszukać. Powstało wiele nowych przedsiębiorstw, niestety część z nich jest nastawiona na szybki zysk przy minimalnych kosztach, a wiadomo, że najłatwiej jest nie wypłacić pracownikom należnych im pensji.

– Czemu najłatwiej?

– Bo mało kto zna swoje prawa i nie bardzo się orientuje, co powinien w takiej sytuacji robić. Większość uważa, że bez prawnika sobie nie poradzi, a adwokat kosztuje. Dlatego bądź uważny, a w razie problemów zaraz zgłoś się do mnie. Postaram się pomóc.

Rajner wyczuł, że chłopaka najbardziej zaskoczyły ostatnie słowa, co zresztą zaraz potwierdziło pytanie:

– Dlaczego? Czemu chce mi pan pomagać?

Gdybym to ja wiedział? – pomyślał Rajner. – *Może dlatego, że pamiętam, jak się czułem po opuszczeniu domu dziecka? Jakbym był sam na całym świecie, w dodatku bezradny niczym mały chłopiec porzucony przez rodziców.*

On co prawda był wtedy młodszy od Ditmara, ale nie miał przypiętej etykiety kryminalisty, no i zawsze mógł się zwrócić o poradę do dyrektorki domu, w którym spędził całe dzieciństwo i nastoletnie lata. Ten chłopak natomiast naprawdę był sam, w dodatku dawał się lubić. Jego zachowanie wskazywało, że więzienie nie zdążyło go zniszczyć, co często się zdarzało w przypadku młodych ludzi.

– Powiedzmy, że wierzę w resocjalizację i chcę przyłożyć do niej rękę. – Rajner uśmiechnął się krzywo. – I przy okazji zaliczę dobry uczynek.

Zadzwonił stojący na biurku telefon, przypominając mu o upływie czasu. Odebrał, słuchał przez chwilę, po czym poinformował, że za pięć minut będzie wolny. Odłożywszy słuchawkę, spojrzął na Fajlhauera.

– Zgłoś się dwudziestego ósmego grudnia o jedenastej. Na dzisiaj to wszystko.

Podał chłopakowi dokumenty. Ditmar schował je do kieszonki koszuli i sięgnął po kurtkę, co uzmysłowiło podkomisarzowi, że zapomniał o ważnej sprawie.

– W takim ubraniu długo nie wytrzymasz, zwłaszcza przy robocie w lesie. Kup sobie porządne wysokie buty i grubą kurtkę. Tu nie

miasto, jak dosypie śniegu, to będzie trzymał aż do wiosny. Masz pieniądze?

– Dostałem wypiskę. W pierdlu... to znaczy w więzieniu pracowałem, a nie miałem na co wydawać. Do wypłaty powinno mi wystarczyć, jak nie będę szastać forszą, no i facet, u którego mam robić, obiecał dać mi zaliczkę.

Rajner zerknął na zegarek i wstał. Miał jeszcze kilka pytań, ale brak czasu nie pozwolił na dalszą rozmowę.

– W takim razie widzimy się po świętach. Niech będą spokojne i bez zmartwień.

– Dziękuję, panie komisarzu, i wzajemnie. Do widzenia. – Już w progu odwrócił się i zapytał: – Do kogo mam się zgłosić? Do dyżurnego?

– Bezpośrednio do mnie.

Fajlhauer skinął głową i wyszedł. Milewski stał bez ruchu, wpatrując się z natężeniem w drzwi, jakby mogły mu wyjaśnić, jak to możliwe, że sympatyczny, poukładany i niewątpliwie inteligentny chłopak posunął się do tak obrzydliwego i podłego czynu. Z takim wyglądem i obejściem powinien mieć ogromne powodzenie u dziewczyn, z rozmowy zaś i zachowania nie wynikało, że jest seksualnym maniakiem, zresztą wtedy nie wyszedłby na warunek. Dlaczego więc to zrobił? Może uznał, że to jedyny sposób, by zdobyć dziewczynę, której pragnął, a która mu odmówiła? Tylko że musiał wiedzieć, jak to się skończy...

Pukanie do drzwi oderwało Rajnera od rozważań, a późniejszy nawał pracy sprawił, że całkiem o nich zapomniał.

Ditmar wyszedł z komisariatu nieco podbudowany psychicznie. Bał się tej wizyty jak ognia i gdyby mógł, dobrowolnie nigdy nie przekroczyłby progu budynku. Niestety nie miał innego wyjścia. Wrogie nastawienie dyżurnego bynajmniej go nie zaskoczyło, za to zachowanie komendanta jak najbardziej. Od czasu, gdy bladym świtem milicjanci wyciągnęli go z łóżka i powlekli do radiowozu, nie pozwoliwszy nawet się ubrać,

dopiero pierwszy raz potraktowano go jak człowieka. Szkoda, że wtedy nie natrafił na kogoś takiego.

Kierując się wskazówkami przechodniów, znalazł się w pawilonie handlowym „Świerk”, gdzie, idąc za radą podkomisarza Milewskiego, kupił wysoko sznurowane, ocieplane buty, kurtkę z grubą podpinką, bluzy podbite puchatym meszkiem i jeszcze inne niezbędne części garderoby. Nie miał innego wyjścia – matka pozbyła się wszystkich jego rzeczy, przez co został praktycznie z tym, co nosił na sobie.

Potem udał się do działu spożywczego, by zrobić solidne zapasy, a kiedy zapłacił za z trudem mieszczące się w wózku zakupy, w portfelu zostało mu jeszcze całkiem sporo. Po opuszczeniu sklepu sprawdził godzinę i z pękającym w szwach plecakiem i dwoma wyładowanymi torbami poszedł na dworzec autobusowy.

Po przyjeździe do Wisły Czarnej omiótł wzrokiem restaurację „Fojtula”. Był głodny. Przez chwilę walczył ze sobą, lecz rozsądek zwyciężył nad pragnieniem napełnienia pustego żołądka, bo chociaż lokal nie zaliczał się do drogich, za kwotę zapłaconą za jeden obiad mógł spokojnie przeżyć dwa, a nawet trzy dni. Wspomniął z nostalgią swoje dawne życie, kiedy ojciec jeszcze żył, a on sam nawet w najgorszych koszmarach nie śnił o więzieniu. Wtedy nie brakowało mu niczego, a już zwłaszcza pieniędzy.

Te ostatnie wprawdzie jeszcze miał, wyrwał je matce z gardła, wykorzystując świeżo nabyty status kryminalisty, mimo to musiał oszczędzać. Stara drewniana chatka wymagała sporych nakładów sił i środków, by nadawać się do zamieszkania w niej na stałe, a Ditmar taki właśnie miał plan. Mógłby oczywiście ją sprzedać, podejrzewał jednak, że uzyskana kwota nie wystarczyłaby nawet na malutką kawalerkę, a po pobycie w ciasnej celi rozwinął się w nim uraz do małych pomieszczeń. Jak to dobrze, że zanim wylądował w więzieniu, zdążył załatwić wszelkie formalności związane z nabyciem spadku w tajemnicy przed matką. Chciał zrobić jej niespodziankę, tymczasem wyszło, jak wyszło...

Ditmar zacisnął zęby i ruszył przed siebie. Nie pora na rozpatrywanie tego, co było i już nie wróci, teraz trzeba jakoś poskładać z kawałków swoje połamane życie. Przystanął na chwilę, by poprawić wrzynające się

w ramiona paski plecaka i dać odpocząć rękom dźwigającym ciężkie siatki. Zauważył, że mimo wczesnej jeszcze pory zrobiło się dziwnie ciemno, i z obawą spojrzął w górę na skłębione czarne chmury, niemal całkiem przesłaniające światło słoneczne. Niesione powiewem wiatru ostre drobinki padały na twarz, osiadały na dżinsowej katanie i spodniach. Chłopak się wzdrygnął i ponownie ujął w dłonie ucha siatek. Powinien się pośpieszyć, jeśli chciał zdążyć przed śnieżycą.

– Kaj idziecie w takó szudere, panoczku? Moge vos przybrać.

Sanie nadjechały tak cicho, że dojrzał je dopiero wtedy, gdy się odwrócił na dźwięk głosu woźnicy. Tuż nad głową zabrzmiało głośne parsknięcie, a koński pysk z wyszczerzonymi zębami zbliżył się niebezpiecznie do twarzy Ditmara. Chłopak uskoczył w popłochu i wpadł po kolana w kopny śnieg.

– Prr!

Zakutany w wielgachną kurtkę mężczyzna zeskoczył z sań i pomógł Fajlhauerowi wydostać się z zasy, informując przy tym, że jedzie na Równe, jeśli więc miastowy chłopak zmierza do studenckiej chatki, może zabrać się z nim aż do Białki. Ucieszony Ditmar błyskawicznie umieścił plecak i siatki na saniach.

– Dziękuję bardzo. – Z westchnieniem ulgi usiadł obok woźnicy, dając odpoczynek plecom nienawykłym do dźwigania. – Ciężkie te zakupy jak pieron.

– Trza było mniej piwska włożyć do rugzaka, to byłoby lekcyj – roześmiał się mężczyzna. – Ale studenciokóm wypić mus.

– Nic z tego. – Ditmar odwzajemnił uśmiech. – To tylko ubranie, jedzenie i nafta. Nie jestem studentem.

– Ale?! – zdziwił się woźnica. – To kaj idziesz? Mosz tu kany rodzinie?

– Miałem ciotkę, ale ponad trzy lata temu umarła. Nazywała się Ewa Cieślar, mieszkała koło Barańskiego Mostu.

– Staro Jewka to twoja ciotka? Podziwejcie się, ludkowie! Przeca jo cie u niyj widzioł pore razy. Nazywała cie Dito, ja?

– Ja – przytaknął chłopak, zadowolony, że nadal pamięta wiślańską gwarę i że ten ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna wreszcie przestał się do niego zwracać przez „wy”. – Przyjeżdżałem do niej na wakacje i na

ferie. Zapisała mi swój dom i właśnie tam idę – wyjaśnił, zauważywszy w oczach woźnicy błysk ciekawości.

– Naprowde chcesz tam mieszkać?! Przeca w tej chałpie niy ma próndu ani wody, ani nawet porzónndnej cesty, coby dojechać. Nie łobroź się, chłapiec, ale to ni ma życiy dlo ciebie. Sóm to uwidzisz, jak napadze tyle śniega, że ani do ustępu nie dóńdziesz.

Ditmar wiedział doskonale o wszystkich niedogodnościach i trochę go przerażała wizja życia w prymitywnych warunkach, teraz jednak poczuł złość, że został oceniony jako miastowy lalusz, który z niczym nie umie sobie poradzić.

– Nie mam innego wyjścia – odpowiedział twardo. – Już się zameldowałem, a od stycznia zacznę robotę u Tadeusza Grucy.

Zaskoczony mężczyzna aż się zacukał i dość długo trwało, nim odzyskał zdolność mówienia. Mruknął coś niezrozumiałego i szarpnął lejcamy, by zmusić powolnie stąpającego konia do przyśpieszenia kroku.

– Zawieze cie do Barańskiego Mostu – powiedział wreszcie, a w jego głosie pojawiła się nutka współczucia. – A jakbyś nie doł rady, przyjdź do nas, jakisi kónt do spanio zawsze sie nóńdzie. Łatwo do nas trefić, bo to piyrso chałpa łod drogi.

Jakiś czas później Ditmar wyskoczył z sań i objuczony zakupami, podziękował za pomoc i zaproszenie. Przez chwilę obserwował oddalający się zaprzęg, nim ruszył między drzewa po ledwie widocznej ścieżce. Jego wczorajsze ślady zniknęły, przysypał je coraz gęściej padający śnieg. Na szczęście od domu nie dzieliło go więcej jak dwieście metrów, zdążył więc dojść, zanim rozpętało się białe piekło.

Drewno na opał przynosił już po omacku i chociaż szopka, zwana przez miejscowych drzewnią, znajdowała się tuż za rogiem budynku, kilka razy omal się nie zgubił, doszczętnie oślepiiony białym puchem oblepiającym twarz i sklejącym powieki. Mimo to nie przerywał pracy, dopóki nie przeszkodził mu mrok tak gęsty, że Ditmar przestał widzieć cokolwiek. W sieni odwiesił na haczyk dzinsową katanę, białą od śniegu i sztywną od mrozu. Nie było sensu suszyć jej nad piecem; zbyt cienkie na taką pogodę okrycie musiało ustąpić pola grubej kurtce i poczekać do wiosny, gdy znów nadejdzie jego kolej.

Rozpalił w piecu, następnie przy nikłym światełku wydobywającym się przez dziurki w drzwiczkach i spomiędzy żeliwnych blach rozpakował zakupy. Delikatnie odrywał metki od grubych kalesonów, slipek, bluz i spodni, w niemal nabożnym skupieniu układał to wszystko w dużej skrzyni z rzeźbionym wiekiem, skąd wcześniej wyjął ubrania ciotki. Potem przebrał się w suchą odzież, świeżą i pachnącą nowością, i wreszcie poczuł się jak człowiek. Nie myślał dotąd, jak wielką przyjemność może sprawić świadomość, że ma na sobie ubranie będące jego wyłączną własnością, nie zaś wydawane przez funkcyjnego, co prawda czyste, prosto z pralni, lecz przedtem z pewnością noszone przez innego więźnia.

W brzuchu zaburczało głośno. Ditmar dołożył do pieca, zapalił naftową lampę i zajął się przyrządzaniem posiłku. Był zbyt głodny, by tracić czas na gotowanie czegokolwiek, ukroił więc tylko kilka kromek chleba i zjadł łapczywie, odgryzając kielbasę wprost ze sporego pęta. Po posiłku spojrzął na przystawioną do pieca niską półkę, służącą jako podręczny blat, podczas gdy niżej, za zasłoną z wyblakłego materiału, stały garnki, rondle i patelnie.

Półka krótkim bokiem blokowała dostęp do drzwi, za którymi znajdowało się... Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przebywał w tamtym pokoju, przesunął więc mebel i nacisnął klamkę. W nozdrza buchnął mu stęchły zapach dawno nieużywanego pomieszczenia, wymieszany z ostrym odorem, którego nie umiał zidentyfikować. Było zbyt ciemno, by mógł coś dojrzeć, zabrał więc lampę ze stołu i uniósł wysoko, by oświetliła jak największy obszar.

Pierwsze, co zobaczył, to przytwierdzony w rogu do ściany łańcuch, potem wzrok zarejestrował inne szczegóły. Ditmar zawrócił do kuchni i starannie zamknął za sobą drzwi. Wiedział już, do czego służyło tamto pomieszczenie, nie miał natomiast pomysłu, jak mógłby je wykorzystać. Może zrobić tam dodatkowe pokoje?

– Taa, jasne – mruknął, rozśmieszony nagłym pragnieniem powiększenia powierzchni mieszkalnej. – Potrzebne mi te pokoje jak zęby w dupie.

Miał już do dyspozycji dwa, a mimo to sypiał na ustawionym w rogu kuchni tapczanie, by nie musieć rozpalać ognia także w drugim piecu.

Zresztą i tak nie miałyby czym umeblować większej liczby pomieszczeń.

Rozważania przerwał mu donośny gwizd. Ditmar zdjął czajnik z rozgrzanej do czerwoności blachy i napełnił wrzątkiem duży fajansowy kubek, pamiętający chyba jeszcze czasy Gomułki. Znowu wrzucił kilka szczap do pieca, odstawił czajnik na jego skraj i wciągnąwszy w nozdrza aromat świeżo zaparzonej kawy, usiadł na powrót. Upił łyk gorącego płynu, rozmyślając przy tym o własnych kolejach losu.

Myśl się urwała, rozproszona głośnym trzaskiem spalanego drewna. Chłopak zmierzył wzrokiem stertę zgromadzonych przy piecu szczap i skrzywił się, stwierdziwszy, że jutro znowu będzie musiał uzupełnić zapas. Dobrze, że przynajmniej na dziś powinno wystarczyć. Szkoda, że drewnutnia znajduje się na zewnątrz domu, wygodniej byłoby...

– Oczywiście! – wykrzyknął nagle.

Aż się zdziwił, że od razu nie wpadł na ten pomysł. Dodatkowe pokoje na nic by mu się nie przydały, co innego składzik na opał. Będzie musiał tylko sprawdzić, czy w pomieszczeniu będącym nieużywaną od lat oborą nie pozostały jakieś nieprzyjemne dowody obecności zwierząt, a potem zajmie się przenoszeniem zapasów drewna.

Zwizualizował w głowie wygląd budynku. Obok drewnutni przytulonej do bocznej ściany znajdowały się drzwi, których przeznaczenia dotąd nie zgłębił, choć mijał je za każdym razem, gdy szedł po drewno. Chciał jak najszybciej znaleźć się w ciepłym domu i odkładał zwiedzanie na później. Teraz domyślił się, że było to zewnętrzne wejście do obory, trudno bowiem było przypuszczać, że cioteczna babka przeprowadzała zwierzęta przez kuchnię.

– Los wcale nie jest taki niełaskawy – mruknął i wziął kolejny łyk, uśmiechając się z zadowoleniem.

Odczuwany jeszcze niedawno gniew minął, teraz chłopak czuł się prawie szczęśliwy. Prawie, bo jedna sprawa ciągle pozostawała niezafatwiona. Gdzieś tam znajdował się człowiek, który był mu winny ponad trzy lata życia, i Ditmar przysiągł, że nie spocznie, dopóki nie pozna jego nazwiska. A wtedy zmusi go, żeby zapłacił.

Rozdział 2

Kochający krewni

8 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Nic nie zwiastowało nieszczęścia. Tego dnia był co prawda piątek, ale ani trzynastego, ani grudnia, zatem nie powinien nieść ze sobą pecha, w dodatku podwójnego. Stało się jednak inaczej. Po lekcjach, gdy Apolonia Swift zmierzała na przystanek autobusowy, zniecka usłyszała za sobą skrzeczący, zapijaczony głos:

– No nareszcie! Ile, kurwa, można czekać?

Nawet się nie obejrzała, pewna, że słowa skierowane są do kogoś innego. Myślami bujała w obłokach i chwilami miała wrażenie, że podobnie jak one unosi się w powietrzu, tak wielkie rozpierało ją szczęście. Przyśpieszyła kroku w obawie, że autobus jej ucieknie, a do tego nie mogła dopuścić. Szła przecież na pierwszą poważną randkę!

Ktoś przytrzymał ją za rękę tak niespodziewanie, że omal się nie przewróciła, pociągnięta do przodu siłą impetu. Szarpnęła się gniewnie, lecz koścista, potwornie brudna dłoń z czarnymi obwódkami wokół połamanych paznokci nie puszczała, mocno wczepiona w rękaw kurtki, a tamten głos znów się odezwał:

– Cześć, Pola. Nie przywitasz się z babcią?

Apolonia odwróciła się gwałtownie i oto stanęła oko w oko z kobietą będącą jej najgorszym koszmarem.

Przez sześć lat mieszkania z dala od babki zdołała niemal całkiem o niej zapomnieć. Niemal, bo jeszcze do niedawna się zdarzało, że śniła, iż znowu jest tamtym bezradnym dzieckiem, wyzywanym, bitym

i głodzonym, nierozumiejącym przyczyn nienawiści. Krzyczała wówczas przez sen i miotała się w pościeli, chcąc uciec od przerażających wizji, lecz one trwały, gdyż nie umiała sama się z nich wyzwolić.

Na szczęście zawsze pojawiało się któreś z przybranych rodziców i przytulało ją mocno, mówiąc te wszystkie czułe, pełne miłości słowa, którymi jak świat światem rodzice uspokajają swoje dzieci. W dniu trzynastych urodzin poznała prawdę o swoim poczęciu i powodach nienawiści babki i od tamtego czasu koszmar już nie powrócił. Do teraz, z tą tylko różnicą, że tym razem nie pojawił się we śnie, lecz na jawie.

Przerażona i pełna obrzydzenia, zdołała jakoś wyszarpnąć się z uścisku szponiastej dłoni i co sił w nogach pognąła na przystanek, a za nią biegły najgorsze, dobrze znane z dawnych lat wyzwiska. Autobus właśnie przyjechał i Apolonia wsiadła, odgradzając się w ten sposób od wrzasków potwornej staruchy. Tak ją nazwała, bo choć Graczykowa nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat, sprawiała wrażenie starszej o co najmniej trzy dekady, w dodatku jej wygląd sugerował, że spędziła je w mogile. Gdyby nie brak ubytków na ciele, można by podejrzewać, iż jest zombie z horroru oglądanego ostatnio przez dziewczynę z kasety wymienionej na giełdzie przy ulicy Warszawskiej.

Wymarzona randka trwała zaledwie piętnaście minut. Apolonia nie zdążyła nawet się dobrać do galaretki pokrytej czapą bitej śmietany, gdy w „Delicjach” pojawiły się dwie dziewczyny i już od drzwi pomachały radośnie w ich stronę.

– Cześć, Krzysiek. Te krzesła są wolne? Możemy się przysiąść?

– Zajęte – odpowiedział jakimś takim nieprzyjemnie zimnym, pogardliwym tonem. – Idźcie sobie gdzie indziej.

Odeszły bez słowa i rozejrzały się wokół, nigdzie jednak nie było wolnego miejsca, ruszyły więc do wyjścia. Apolonia śledziła je wzrokiem, zaskoczona zachowaniem chłopaka. Wyglądały na sympatyczne, cóż więc by szkodziło, gdyby się dosiadły?

– Czemu powiedziałaś, że krzesła są zajęte? Ktoś ma tu przyjsść?

Wzruszył ramionami.

– Nikt. Po prostu nie chciałem, żeby z nami siedziały.

W duszy Apolonii rozśpiewały się słowiki. Lub skowronki, czy jak tam nazywają się te ptaki, o których nieraz wspominają poeci w wierszach o miłości.

– Dlaczego nie? – spytała miękko.

Chciała to usłyszeć z jego ust, bo co innego się domyślać, że jest się dla kogoś najważniejszym w świecie, a co innego, gdy ów ktoś powie to wprost.

– Nie chciałem, żeby znajomi zobaczyli, że siedzę z nimi przy stoliku. Wiesz, kim są ich starzy? Matka Kamili jest krawcową, matka Izki sprzątaczką, a ojcowie nigdzie nie pracują, tylko cały dzień chleją piwsko. Normalnie margines. Co tak patrzysz? Przecież to przypała kolegować się z dziewczynami z takich rodzin. One niczego w życiu nie osiągną, pójdą w ślady swoich starych. Na genetykę nic nie poradzisz.

Przemawiał nawiedzonym tonem niczym inkwizytor na procesie czarownic i chyba nawet nie zauważył, że Apolonia wstała i wyszła z „Delicji”. *Nieszczęścia naprawdę chadzają parami* – stwierdziła z rozpaczą w drodze na autobus. *Jak ja teraz mam żyć? Czemu Krzysiek musiał okazać się takim bucem? A może naprawdę jestem gorsza przez to, kim byli moi rodzice i dziadkowie? Mam w sobie geny pijaków, gwałciciela i dziewczyny opóźnionej w rozwoju. Czy z tego powodu jestem skazana na taki sam los?*

W domu poszła wprost do swojego pokoju, gdzie mogła sobie popłakać bez narażania się na idiotyczne uwagi w stylu: „Ty płaczesz?”, „Też mi powód do biadolenia”, jakich rodzice nie szczędzili jej koleżankom. Jakby sami nigdy nie mieli czternastu lat! Na szczęście Inga i Norbert byli inni. Nie zadawali zbędnych pytań, ograniczali się do stwierdzenia, że jeśli chciałyby się zwierzyć lub prosić o pomoc, oni zawsze chętnie jej wysłuchają i doradzą. Tak też postąpili i tym razem, za co była im głęboko wdzięczna. Nie miała ochoty opowiadać o nieudanej randce ani tym bardziej o spotkaniu z babką.

10 stycznia 1993, gdzieś w Polsce

– Gdzie znowu leziesz?! Niedziela jest!

– I co z tego? Dzień jak każdy inny.

– Jak śmiesz bluźnić w moim domu! – ryknął starszy z mężczyzn. – Na kolana, smarku, i módl się o wybaczenie!

– W twoim domu – powtórzył Teodor z gryzącą ironią. – Nie wiedziałem, że już przepisała na ciebie to mieszkanie. Że też się nie bała tak bez ślubu.

– Nie twoja sprawa, gówniarzu!

– Chyba jednak moja – odpowiedział, dziwiąc się swojej odwadze. Dotąd zawsze unikał konfrontacji. – Bo to nieładnie kogoś pouczać, a samemu żyć w grzechu. Kto jak kto, ale ty nie masz prawa rzucać kamieniem.

Spodziewał się uderzenia i przygotował się na nie, pewien, że będzie to policzek wymierzony otwartą dłonią, typowy plaskacz, jak mawiali w szkole. Twardy, żyłasty kułak trafił go w podbródek tak mocno, że chłopak zatoczył się na ścianę i wolno osunął na podłogę. Świat wokół zawirował, lecz zanim oczy zasnuła mgła, zdążył zobaczyć kobietę stojącą w drzwiach pokoju. Jej wargi wykrzywiały zły, pełny satysfakcji uśmiech. Z czego ona tak się cieszy, ta ciotka, o której istnieniu tak długo nie miał pojęcia?

Nastała ciemność, pochłaniając wszystkie myśli, i Teodor nie zdążył znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Gdy odzyskał przytomność, przekonał się, że został przetransportowany do dużego pokoju i umieszczony na kolanach przed komodą ze stojącym na niej obrazem Matki Boskiej. Poruszył nogami związanymi w kostkach i pokiwał z politowaniem głową nad tym bezprzykładnym objawem religijnego fanatyzmu. Przez lewy policzek przebiegł mu prąd bólu i dopiero wtedy chłopak przypomniał sobie kłótnię w przedpokoju i jej zaskakujący finał. Chciał obmacać podbródek, lecz przekonał się, że nie może tego zrobić – złączone w nadgarstkach dłonie omotano mu apaszką, a tę przywiązano do uchwyty szuflady.

– No tak, przecież jakoś trzeba było mnie utrzymać w pozycji grzesznika błagającego o odpuszczenie win.

Powiedział to dość głośno, nikt jednakże nie zareagował. W mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza, domyślił się więc, że

wszyscy są w kościele.

– Bogobojna rodzinka, żeby ich prąd popieścił – mruknął cicho.

Nie miał nawet siły się złościć. Byli niereformowalni, nic nie mogło ich przekonać, że postępują źle, narzucając innym swoje przekonania. Wcześniej myślał, że to tylko takie gadanie, ale właśnie miał okazję się dowiedzieć, że gotowi są użyć siły, byle tylko przeforsować własną wolę. Widział teraz wyraźnie, iż Faustyna miała rację, kiedy twierdziła, że gdyby dać im władzę, nie tylko najbliższa okolica, ale i cała Polska wnet rozjarzyłaby się płomieniami stosów.

Odsunął od siebie myśli o siostrze i zaczął analizować możliwości uwolnienia się z tej upokarzającej pozycji. I nie tylko. Po tym, co dzisiaj zaszło, nie mógł pozostać w tym domu ani chwili dłużej. Bo jeśli uwięzili go z powodu głupiej kłótni, do czego by się posunęli, gdyby poznali prawdę? A prędzej czy później wszystko się wyda.

Znowu poruszył nogami, usiłując przesunąć się do przodu. Zyskał niewiele, dwa, góra trzy centymetry, ale też nie potrzebował dużo, tyle, by po pochyleniu głowy dosięgnąć zębami końca apaszki. Brakowało jeszcze trochę, więc znów mozolnie przesunął najpierw jedno, potem drugie kolano. Potem jeszcze dwa razy i wreszcie końce zawiązanej na kokardkę apaszki znalazły się w zasięgu zębów.

Najpierw wyczuł lekki opór, później zaś śliska tkanina gładko wysunęła się z węzła i zwisała teraz luźno z uchwytu. Wystarczyło złapać ją końcami palców, by za pomocą zębów uwolnić rękę, a wówczas rozwiązanie więzów krępujących nogi było kwestią niespełna minuty.

Nie zwlekając, pobiegł do swojego pokoju, a podczas pakowania do torby najpotrzebniejszych rzeczy po raz pierwszy pomyślał z sympatią o jego poprzednim lokatorze. Przedtem uważał za naturalne, że zamieszkał w tym pokoju, teraz jednak poczuł wyrzuty sumienia. To, co mówili o tamtym, niekoniecznie musiało być prawdą.

– Wybacz, kolego – szepnął, spoglądając na jaśniejszy prostokąt, gdzie przedtem wisiał plakat przedstawiający zespół Slayer. – Pewnie jesteś tak samo winny, jak i ja. Żałuję, że wywaliłem do zsypu twoje rzeczy.

Jego poprzednik oczywiście nie odpowiedział, ale Teodor i tak poczuł się lepiej. Doszedł do wniosku, że jakoś lżej mu teraz na duszy,

i dorzucił jeszcze ciche „przepraszam”. Potem zaniósł torbę do przedpokoju i szybko się ubrał. Przez moment rozważał, co zrobić z kluczami, zanim zdecydował, że po prostu zostawi je na haczyku, dokładnie tak samo, jak postąpiła Faustyna, kiedy bez pożegnania opuszczała tę parodię rodzinnego domu. Czy rozumieją przesłanie? Bardzo w to wątpił, we własnym mniemaniu byli wszak bardziej nieomylni od samego Boga.

Bez przeszkód opuścił dom, lecz szczęście opuściło go tuż za progiem. Niemal się z nimi zderzył, gdy zbiegał po schodach prowadzących do bloku. Zamarł, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, i tylko przypatrywał się tym trojgu, na próżno szukając w ich twarzach bodaj odrobiny zawstydzenia. Niczego takiego tam nie było, znalazł tylko zawziętość i gniew. I zdziwienie, że zdołał się uwolnić.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała jedna z kobiet, ta, którą kazano mu nazywać mamą. Poczuł dojmujący wstyd, że to robił.

– Zerwałem więzy – oznajmił twardo jak nie on. I nie miał na myśli pęt zrobionych z jedwabnej apaszki, tylko inne, dużo trwalsze. – Nie mówię „do widzenia”, bo więcej mnie tu nie zobaczycie. Tak jak Faustyny.

– Nigdzie nie pójdziesz! – ryknął mężczyzna i złapał go za ramię.

Teodor nigdy więcej, nawet w myślach, nie zamierzał nazwać go ojcem, a już tym bardziej tatą. Być mu posłusznym także nie. Wyszarpnął ramię z uścisku i pędem rzucił się w stronę przystanku, nie zważając na histeryczne wrzaski kobiet: „Bartłomieju, nic ci nie jest?”, „Bartłomieju, on chyba zwariował!”.

Teodor miał to wszystko w głębokim poważaniu.

13 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Następne dni minęły spokojnie. We wtorek Apolonia uświadomiła sobie, że uczucie do Krzyśka jednak nie było prawdziwą miłością. Nie mogło nią być, skoro na wspomnienie chłopaka czuła jedynie pogardę i w myślach nie określała go teraz inaczej jak „zarozumiały dupek”. Z kwestią dziedziczenia i jego wpływu na przyszłe losy także się już uporała, choć tu nie obyło się bez interwencji przybranych rodziców.

Nie mogąc sobie poradzić z zawilnością problemu, w trakcie niedzielnego obiadu zapytała ich o to wprost, a oni jak zwykle nie uchyliłi się od odpowiedzi.

– Ten chłopak jest idiotą – stwierdził krótko Norbert. – Dziedziczy się wygląd i inteligencję, ale charakter człowieka kształtują bodźce zewnętrzne. Gdyby było inaczej, ja musiałbym być oszalałym na punkcie pieniędzy chciwusem, skłonnym do największej podłości dla pomnożenia majątku. A mama...

Urwał i zerknął z czułością na Inge, która odwzajemniła spojrzenie.

– Tata ma rację. W przeciwnym razie ja powinnam być chwiejna, niezdecydowana i unikająca odpowiedzialności jak mój ojciec. Posłuchaj, Lońka. Na pewno nie jesteś opóźniona w rozwoju, zresztą defekt twojej mamy wziął się z komplikacji podczas porodu, a tego się nie dziedziczy. Na zostanie gwałcicielem nie masz szans, a co do alkoholizmu, to owszem, uzależnienie może być wrodzone, ale tylko w przypadku, gdy matka pije, będąc w ciąży.

– To, jaka będziesz w przyszłości, zależy wyłącznie od ciebie – zakończył Norbert, a uspokojona Lońka przestała zaprzętać sobie tym głowę i porzuciła wspomnienie o feralnym piątku. Dużo gorsze było spotkanie z babką.

Graczykowa prawdopodobnie musiała ją śledzić, w środę bowiem pojawiła się pod szkołą i na nic się zdało odwracanie głowy w drugą stronę i udawanie, że niczego się nie zauważyło. Podobnie jak w piątek, Graczykowa pobiegła za Apolonią, dogoniła tuż za zakrętem i znowu koścista, brudna dłoń wpiła się w rękaw kremowej kurtki. Tym razem trzymała mocniej i próba wyszarpięcia się ze szponiastego uścisku nie przyniosła żadnego efektu.

– Nic z tego, gówniaro – zaskrzeczała kobieta. – Muszę pogadać z tym cholernym gliniarzem, który mi ciebie odebrał. Niech sobie nie myśli, że ze mną wygrał. Albo mi da forszę, albo opowiem wszystkim w Bielsku, jak to było z Elką i jego zasranym braciszkiem.

Lońka za wszelką cenę starała się nie okazać, jak bardzo jest przerażona. Była pewna, że już dawno pokonała dawne lęki, wystarczyło jednak, by popatrzyła w wodniste, pełne nienawiści oczy, a trauma powróciła. W uszach zadźwięczały słyszane od

najwcześniejszego dzieciństwa słowa: „Przez ciebie moja córka umarła”, „Zabiłaś ją”, „Czemu nie zdechłaś przy porodzie”, zahuczały wyzwiska. „Kurwa”, „szmata”, „zdzira”, „pierdolony bachor” – i jeszcze wiele innych – to były nazwy nadawane jej przez babcię, a towarzyszyły temu ciągły głód i łachmany, które musiała nosić aż do całkowitego zniszczenia.

Dziewczyna z trudem oderwała się od wspomnień i włożyła wszystkie siły w to, by głos jej nie zadrżał, gdy odpowiadała Graczykowej. Nie mogła pozwolić, żeby to potworne babsko znowu wygrało.

– Nie odebrał, tylko odkupił. Zapłacił ci, a ty w zamian zrzekłaś się opieki nade mną. – Zauważyła zaskoczenie na twarzy babki i uśmiechnęła się z satysfakcją. – Myślałaś, że o niczym nie wiem i że Norbert da ci pieniądze, żebyś tylko nic mi nie powiedziała? No to muszę cię zmartwić. Wiem wszystko, a ty nie dostaniesz już nawet złotówki.

Usiłowała uwolnić rękaw, lecz Graczykowa nie zrezygnowała. Wyraz szoku na poranej zmarszczkami twarzy ustępował z wolna, zastępowany grymasem przebiegłości; kobieta nie zamierzała skapitulować.

– Gdzie on teraz robi? Ten chuj Norbert. – Wypluła to imię ze złością. – Pytałam o niego w komendzie, ale dyżurny mówił, że nie zna żadnego Swifta. Pewnie gnoja wypierdolili z milicji, ha, ha, ha!

Zaniosła się ochryłym rechotem, a Apolonia miała ochotę roześmiać jej się w twarz. *Możesz sobie pytać do usranej śmierci* – pomyślała mściwie i celowo przybierając minę niezbyt rozgarniętej, zapatrzonej wyłącznie w swoje sprawy nastolatki, odpowiedziała niezdradzającym cienia zainteresowania tonem:

– Nie mam pojęcia, gdzie Norbert pracuje. Nigdy o tym nie mówił, a ja nie pytałam, bo co mnie to obchodzi.

Graczykowa chyba uwierzyła słowom wnuczki, gdyż nie kontynuowała tematu. Zmrużyła za to chytrze wodniste oczy i wykrzywiła wargi w nieudanej imitacji przyjaznego uśmiechu, a jej głos stał się nagle przymilny.

– Mieszkacie gdzieś w pobliżu?

– Nie – warknęła dziewczyna. Nie zamierzała dać się nabrać, zmiana w zachowaniu babki była zbyt nagła, ewidentnie nastawiona na

omamienie wnuczki. Tylko w jakim celu? Postanowiła się dowiedzieć. – Czemu o to pytasz?

– Bo nagle sobie uświadomiłam, że jesteś moją jedyną krewną. Oprócz ciebie nie mam nikogo na świecie i gdyby coś mi się stało...

– To nawet nie wiesz, jak mnie powiadomić, bo nie znasz adresu – dokończyła Apolonia ze smutnym uśmiechem.

W oczach Graczykowej pojawił się chytry błysk.

– Właśnie. Stara już jestem, nie mam siły na kłótnie i chcę się pogodzić z twoimi przybranymi rodzicami. Podaj mi adres, bo chciałabym ich odwiedzić, porozmawiać spokojnie i przeprosić. Dobrze ci u nich, prawda? Lepiej niż u mnie. – Otarła nieistniejącą łzę. – Pola, pewnie myślisz, że jestem potworem, ale zrozum, robiłam to wszystko dla twojego dobra. Nie chciałam, żebyś skończyła tak jak twoja matka.

Żal i gniew przebiły się przez nadludzkie opanowanie, i plan wysondowania babki całkiem wyleciał Apolonii z głowy. Wściekłość wzięła górę nad rozważą, gdy dziewczyna wybuchnęła niekontrolowanym potokiem słów:

– I dlatego oskarżałaś sześciolatnie dziecko, że się kurwi z kim popadnie? Nazywałaś mnie dziwką i szmatą dla mojego dobra? Akurat! Jesteś potworem i nic tego nie zmieni. Nie chcę cię znać, zapijaczona suko!

Złość dodała jej takich sił, że jednym szarpnięciem uwolniła rękaw, na którym tak jak w piątek pozostały ciemne ślady po uchwycie brudnych paluchów babki. Zanim zapijaczony mózg Graczykowej zdążył zarejestrować niespodziewany zwrot akcji, dziewczyna zdążyła zyskać trzy metry przewagi.

– Zatrzymaj się, ty zdiro!

Lońka ani myślała posłuchać. Pędziła jak szalona, lecz gdy przed skrzyżowaniem przystanęła i obejrzała się za siebie, zobaczyła Graczykową tam, gdzie ją zostawiła. Najwyraźniej babka nie zamierzała jej gonić. Dziewczyna na wszelki wypadek skręciła w boczną uliczkę, choć powinna była iść prosto. Lepiej nadłożyć drogi niż zdradzić miejsce zamieszkania, Graczykowa mogła przecież mieć współnika, któremu zleciła śledzenie wnuczki.

Wracała ze szkoły powoli, wlokąc się noga za nogą, spoglądając obojętnie na mijanych ludzi. Z przerażeniem myślała o chwili, gdy znajdzie się w domu i będzie musiała udawać, że wszystko jest w porządku. Nie chciała przysparzać rodzicom zmartwień, wszak zrobili dla niej tyle dobrego. Musi sama rozwiązać ten problem.

Na szczęście jeszcze ich nie było, dzięki czemu zyskała trochę czasu, by przygotować się do aktorskiego debiutu. Musiała odegrać swoją rolę perfekcyjnie, nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Będzie udawać szczęśliwą, niemającą żadnych trosk dziewczynę, inaczej gotowi dojdź do wniosku, że dość już przysporzyła im kłopotów, a wtedy zareagują dokładnie tak, jak powiedziała ta straszna kobieta. Po prostu ją odeślą, skąd przyszła.

Najpierw rozpałała w piecu centralnego ogrzewania, bo choć w domu nie było jeszcze bardzo zimno, ogień zdążył już wygasnąć. Potem podgrzała zupę, jednak zdołała przełknąć zaledwie kilka łyżek, a i te z trudem przepchnęła przez ściśnięte gardło. Dławiło ją przerażenie, że po sześciu cudownych latach spędzonych tutaj, gdzie nigdy nie czuła się niechciana, miałaby wrócić do tamtej obskurnej rudery i kobiety, której nie zamierzała nigdy więcej nazywać babcią. Babcia to ktoś dobry, kochający i czuły, a tamto obrzydliwe, zapijaczone babsko nie zasługiwało, by tak się do niego zwracać.

Pierwsza do domu wróciła mama. Podziękowała z uśmiechem, gdy Apolonia postawiła przed nią talerz i naląła gorącej grochówki. Łapczywie przetykała łyżką za łyżką i dopiero w połowie zwolniła tempo. Wtedy też zwróciła uwagę na uporczywe milczenie dziewczyny.

– Lońka, czy ty przypadkiem nie jesteś chora?

– Nie. Czemu pytasz?

– Bo w ogóle się nie odzywasz, zwykle buzia ci się nie zamyka. Pokaż no się. – Inga Piątkowska-Swift wstała od stołu i uważnie przyjrzała się nastolatce, którą od początku traktowała jak własną córkę. – Zbyt zdrowo to ty nie wyglądasz. Masz załzawione oczy, zaczerwienione powieki i nos. Płakałaś czy to tylko katar?

W jej głosie brzmiało szczere zainteresowanie i tyle troski, że Apolonia z całych sił zapragnęła wykrzyknąć cały swój ból, wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Zdawała sobie sprawę, że rodzice nigdy nie

ugięliby się przed szantażem, a wtedy tamta kobieta na pewno spełniłaby swoją groźbę, nawet jeśli nie miałoby jej to przynieść żadnych wymiernych korzyści. Emilia Graczyk po prostu kochała ranić innych. Taka była zawsze, a ostatnie lata nic w tej materii nie zmieniły, nie należało zatem się łudzić, że odpuści.

– Katar. Do jutra przejdzie.

Apolonia nie chciała okłamywać przybranej matki, jednak nie miała innego wyjścia. Poza tym naprawdę miała zapchany nos. Co prawda wskutek długotrwałego płaczu, nie przeziębienia, ale Inga nie pytała o przyczyny, więc odpowiedź nie była kłamstwem.

Dziewczyna poczuła na policzku chłodną dłoń.

– Wydaje mi się, że masz gorączkę. Naprawdę dobrze się czujesz?

– Nieszczerólnie – bąknęła. – Położę się na chwilę, dobrze?

Tym razem także nie skłamała, rzeczywiście cały czas przebiegały ją dreszcze spowodowane napięciem. Zrobiła sobie herbatę z sokiem malinowym i poszła do swojego pokoju, gdzie zakopała się po uszy w pościeli, by wreszcie się rozgrzać. Chyba musiała się zdrzemnąć, nagle bowiem dobiegł ją głos ojca, choć nie słyszała, by wchodził do domu. Mówił zbyt cicho, by mogła zrozumieć słowa, za to odpowiedź mamy dotarła do niej całkiem wyraźnie:

– Nie panikuj, Norbert, moim zdaniem to zwykłe przeziębienie. Ale do szkoły raczej nie powinna jutro iść. W piątek też niech zostanie w domu, lepiej, żeby nie wychodziła na tę parszywą pogodę.

Albo przybrany ojciec zaczął mówić głośniej, albo przeniósł się w inne miejsce, gdyż teraz słyszała go całkiem dobrze.

– Faktycznie strasznie piździ, jeszcze by się doprawiła. A co z Martynką? Też zostanie? Lońka może jej dopilnować...

– Zwariowałaś? – oburzyła się Inga. – Lońka powinna leżeć, a nie robić za niańkę. Ani myślę ją wykorzystywać.

– Teraz to ty przesadziłaś. Kto mówi o wykorzystywaniu? To chyba normalne, że starsza siostra opiekuje się młodszą.

– Mną Kinga nigdy się nie opiekowała, więc skąd mam wiedzieć, czy to normalne? Ale nie chciałabym jej tego narzucać. Lońka jest naszą córką, a nie służącą.

Norbert mówił coś o wdrażaniu do obowiązków, lecz Apolonia przestała słuchać. *Cała mama* – pomyślała z czułością o Indze, która nigdy nawet najmniejszym gestem czy słowem nie dała dziewczynie odczuć, że bardziej kocha Martynkę, która była jej rodzonym dzieckiem, a nie zaledwie bratanicą męża. Wsunęła bose stopy w ulubione, mocno już rozczłapane papcie i pobiegła do połączonego z kuchnią pokoju, zwanego nieco na wyrost salonem.

– Cześć, tata.

– Cześć, zdechlaku. Wyjdiesz z tego czy powinienem zacząć myśleć o pochówku? Wolałbym jednak, żebyś trochę z tym poczekała, bo w zimie kwiaty są cholernie drogie, grabarz też więcej żąda.

Apolonia z groźną miną zerknęła na mężczyznę, do którego była tak bardzo podobna, że niektórzy w dalszym ciągu byli przekonani, iż jest jego biologiczną córką.

– Ty sknerusie! Zaraz ci dam popalić! – Podbiegła i wycisnęła na jego policzku głośnego całusa. Potem rozejrzała się po pomieszczeniu. – A gdzie się podziała Martynka?

– W łóżku. Już dawno śpi, ty też powinnaś. Jest prawie północ.

Popatrzyła na przybraną matkę z niedowierzaniem.

– Co?! Przespałam tyle godzin?

– W dodatku jak zabita, dlatego tata pytał o ewentualny pogrzeb – odpowiedziała Inga i poczochnęła włosy dziewczyny, trochę mniej ciemne od jej własnych, przy okazji dotykając jej czoła. – Nie obudziłaś się nawet wtedy, gdy Martynka krzyczała ci wprost do ucha, i moim zdaniem miałaś gorączkę. Chyba już przeszła, ale uważamy, że na wszelki wypadek do końca tygodnia powinnaś zostać w domu.

– A szkoła? – spytała niespokojnie Apolonia.

– Nie przesadzaj – włączył się Norbert. – Sama mówiłaś, że oceny na półrocze już macie wystawione. Poza tym weź pod uwagę, że jeżeli się rozchorujesz, będziesz musiała opuścić dużo więcej niż dwa dni.

Z trudem ukryła radość z niespodziewanego odroczenia wyroku. Graczykowa nie wiedziała, gdzie mieszkają Swiftowie, zatem nie zachodziła obawa, że ją tutaj znajdzie. Z tego, co Apolonia zdążyła się zorientować, ich pierwsze spotkanie było czystym przypadkiem – dziewczyna akurat wychodziła ze szkoły, gdy babka tam się znalazła.

W pierwszej chwili Emilia Graczyk nawet jej nie poznała, dopiero później uświadomiła sobie, skąd zna te ciemnoniebieskie oczy pod mocno zarysowanymi czarnymi łukami brwi.

– Chyba masz rację – przyznała. – Ale nie czuję się bardzo źle, więc Martynka mogłaby też zostać w domu. Będzie mi weselej.

Po namyśle Inga przystała na ten plan i następne dni Lońka spędziła na zabawie z uwielbianą małą siostrzyczką.

Rozdział 3

Spotkanie po latach

17–18 stycznia 1993, gdzieś w Polsce

Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do mieszkania, które teraz wydało mu się dziwnie puste i ciche. Zzuł buty i kopniakiem posłał je w stronę szafki na obuwie, potem zdjął kurtkę. Rzucił ją niedbale na taboret, wiedząc dobrze, że któraś z kobiet natychmiast umieści elementy garderoby na przynależnych im miejscach.

Gotując się z wściekłości, zajrzał do pokoju zamieszkiwanego przez Teodora. Jak ten gówniarz mógł tak postąpić? Wzgardzić wszystkim, co usiłowali mu wpoić, zrezygnować z wygodnego życia i dobrobytu?

Jak mam go odnaleźć, kiedy nie wiadomo, dokąd poszedł? Panie Boże, pomóż mi go odszukać, a przysięgam, że dostanie dobrą nauczkę. Odechce mu się raz na zawsze lekceważyć nasze zasady – przemawiał w myślach do Stwórcy, ten jednak nie dał mu żadnego znaku, że zamierza interweniować w tej sprawie.

Bartłomiej Koziniec podszedł do biurka. Przesunął dłonią po obudowie komputera Optimus 486 i znów targnęła nim złość, gdy uzmysłowił sobie, że wyjątkowo drogi prezent stoi tu teraz jak na urągowisko. Przesunął wzrokiem po jakichś szpargałach, potem przez chwilę bezmyślnie spoglądał na leżące na blacie pomięte świstki papieru i dość długo trwało, nim zrozumiał, na co patrzy. Najwyraźniej Teodor robił porządek w kieszeniach, stąd te stare bilety kolejowe. Na wszystkich powtarzała się nazwa tego samego miasta.

– Bielsko-Biała – mruknął. – Po co on tam jeździł, w dodatku w porach, kiedy powinien był przebywać w szkole? Może do dziewczyny?

Usiadł przy biurku i zastanawiał się nad niespodziewanie uzyskaną informacją. Miał przed sobą pięć biletów, z których wynikało, że pierwszy wyjazd miał miejsce drugiego grudnia. Później wyjazdy następowały w każdy piątek i jedynie w Boże Narodzenie Teodor nie odwiedził Bielska-Białej. Wszystko to wydało się Bartłomiejowi podejrzane, zabrał więc bilety i poszedł do kuchni, gdzie kobiety w milczeniu szykowały niedzielny obiad.

– Po co Teodor jechał drugiego grudnia do Bielska? Wiecie coś na ten temat?

Zgodnymi ruchami uniosły głowy i równie synchronicznie nimi pokiwały. Pierwsza odezwała się Maria, od czasu nawrócenia nazywana przez niego Anną. Nie godzi się wszak, by zwykła grzeszna kobieta nosiła imię Matki Bożej.

– Miał się spotkać z jakimś prokuratorem.

– To w związku ze studiami – dorzuciła Teresa. – Chciałeś, żeby poszedł na prawo, dlatego wybrał się z kolegami na jakąś rozprawę sądową, żeby zobaczyć na żywo, jak to wygląda. Tak nam powiedział.

– Na rozprawę w Bielsku? – zdziwił się Bartłomiej i popatrzył podejrzliwie.

Głowy znowu poszły w ruch, wykonując gest przeczenia.

– W Katowicach, ale na sali był prokurator z Bielska. Nie wiem czemu. – Anna zdenerwowała się na widok jego miny. – Teodor nie mówił.

Teresa potwierdziła jej słowa, po czym podjęła wyjaśnienie:

– Ten prokurator słyszał ich rozmowę i do nich podszedł. Podobno wypytywał o różne plany i na koniec powiedział, że może im załatwić praktykę czy coś takiego, tylko będą musieli przyjechać do Bielska. Dlatego Teodor tam pojechał.

Jakiś czas trawił odpowiedź.

– Czemu ja nic o tym nie wiem?! – wrzasnął naraz.

Kobiety skuliły się ze strachu. Przez kilka minut napawał się ich uległością, ale wkrótce ciekawość wzięła górę, dał więc znak, że mogą

się odezwać.

– Pewnie nie dosłyszałeś – odezwała się ostrożnie Teresa. – Byłeś wtedy pi... niedysponowany.

Sztucznym kaszlem zamaskowała potknięcie, dzięki czemu Koziniec nie zwrócił na nie uwagi, zajęty inną myślą. Jeśli ten gnojek znowu pojechał do Bielska? Niedobrze, bo jest rozżalony, jakby mu się stała jakaś krzywda, a w tym stanie jeszcze, nie daj Boże, powie prokuratorowi zbyt wiele. Wtedy może zrobić się nieciekawie. Trzeba będzie jak najszybciej tam pojechać i odszukać smarkacza. Tylko gdzie i jak?

– Wynocha stąd! Muszę w spokoju zadzwonić – rzucił w stronę kobiet.

Wstały bez zbędnych dyskusji i cicho zniknęły za drzwiami, Bartłomiej zaś sięgnął po notes z numerami telefonów i odszukał jeden z nich, sygnowany wyłącznie pseudonimem. Modląc się w duchu, by nadal był aktualny, wykręcił sześć cyfr. Długo nikt nie odbierał, toteż aż westchnął z ulgą, gdy po ósmym sygnale usłyszał znajomy głos.

– Cześć, Szpila – rzucił na przywitanie. Tamten nie odpowiedział, więc dodał szybko: – Doktor z tej strony.

Znowu brak reakcji. Czyżby dawny kolega o nim zapomniał lub, co gorsza, nie chciał pamiętać? Nie rozstali się w idealnej zgodzie, było to zatem całkiem prawdopodobne. Co powinien teraz zrobić? Ukorzyć się? Chyba będzie musiał.

– Doktor?! – usłyszał naraz pełen zdumienia okrzyk. – Ja pierdołę! Aż mi, kurwa, mowę odjęło! Ja tu czekam na wiadomość, że cię na papieża wybrali, a ty se do mnie dzwonisz jakby nigdy nic. Gadaj, co u ciebie słychać.

Bartłomiej poczuł taką ulgę, że nawet nie zwrócił uwagi na słownictwo dawnego kolegi, choć od czasu, gdy odnalazł Boga, gorąco potępiał używanie wszelkich przekleństw i nawet niewinna „cholera” spotykała się z jego dezaprobatą. Zignorował pytanie i bez wstępów przeszedł do sedna, nie chcąc przedłużać rozmowy. Nie podejrzewał co prawda, że policja założyła mu podsłuch na telefon, jednak nigdy nie wiadomo. Licho nie śpi.

– Słuchaj, Szpila, jest sprawa. Musimy pogadać.

Rozmówca wykazał umiarkowane zainteresowanie.

– To nawijaj, jak musisz.

Mimo niedbałego tonu dało się wyczuć, że jest zaciekawiony. Koziniec uśmiechnął się lekko. Dobrze znał dawnego współnika.

– Nie przez telefon. Masz jutro czas? – Uznavszy cichy pomruk za potwierdzenie, mówił dalej: – Koło piątej po południu będę na dworcu, czekaj tam na mnie.

– Pociągiem będziesz jechał? – zgorszył się Szpila. – Nie masz auta?

– Auto mam, ale nie mam na zbyciu prawka, a jakąś połówkę wypadałoby ze starym kumplem zrobić.

– No, chłopie, wreszcie gadasz jak dawny Doktor. Pójdziemy do „Dworku” i wypijemy za dawne czasy. Będę czekać bankowo.

Resztę dnia Koziniec spędził przed telewizorem. Gapił się bezmyślnie na ekran, w głowie zaś kształtował się plan działania. Jeśli nie uda mu się po dobroci, przywlecze szczeniaka do domu za włosy i da mu takie baty, że gówniarzowi odechce się raz na zawsze stawać okoniem. Zwłaszcza że tyle dla niego poświęcił. *Dla nich*, poprawił się natychmiast, bo choć udawał przed domownikami, że wcale go to nie obeszło, ból po odejściu Faustyny nadal tkwił w jego duszy niczym cień, niepozwalający zagoić się tej ranie.

Żona umarła niedługo po tym, jak odzyskał wolność, a Bartłomiej już wkrótce zrozumiał, że z jednej pensji nie zdoła zapewnić dzieciom godziwego życia. Nie chciał jednak wracać do tego, co było, nim na długie trzy lata zamknęły się za nim wrota zakładu karnego, dlatego wymyślił inny sposób zdobycia pieniędzy. To dla dzieci postanowił zrobić ten przekręt z mieszkaniem, to je chciał zabezpieczyć, tymczasem niewdzięczne bachory się na niego zwyczajnie wypięły.

Najpierw córka, choć ta przynajmniej nie bratała się z przedstawicielami organów ścigania, co najwyżej dała któremuś dupy w ramach swojej działalności. Ale i tak bolało, wszak nie taką przyszłość dla niej zaplanował. Ze swoją urodą i inteligencją mogła zajść naprawdę wysoko, a została zwykłą kurwą. Byłby nawet to ścierpiał, gdyby nie fakt, że jednocześnie odcięła się całkowicie od rodziny, w dodatku właśnie jego obwiniła. „Śmiesz twierdzić, że robisz wszystko na chwałę bożą? W takim razie ten twój Bóg jest tak samo podły jak ty, bo się na to godzi!” – wrzasnęła na odchodne i nigdy więcej

nie wróciła. *Taka już jest ta moja córka, niepokorna, nieustępliwa i zawzięta.* Ma to po mnie – pomyślał z nagłym rozrzewnieniem, bo mimo wszystko nadal ją kochał. Była jego pierwotnym dzieckiem, jego księżniczką, i choć ucieszył się z narodzin syna, córka na zawsze miała pozostać na pierwszym miejscu.

Zresztą syn od początku go rozczarowywał. Słaby, chorowity i jakiś taki rozmemłany, nie chciał jeździć z ojcem na ryby i na biwak, nie garnął się do kolegów i ich zabaw, za to najchętniej w ogóle nie wychodziłby z domu. Całe godziny spędzał nad książkami, a czasami, o zgrozo, nawet pisał wiersze. Bartłomiej obwinił o to żonę, rozpieszczając chłopaka do granic możliwości, teraz jednak widział, że nie do końca miał rację.

Teodor po prostu taki był, chwiejny i miękki jak nie mężczyzna. To chyba pierwszy raz, kiedy się zbuntował i w innym przypadku Koziniec by się ucieszył z przejawu samodzielności chłopaka, dającego nadzieję, że jednak wyjdzie na ludzi. Niechby się buntował nawet codziennie. Ale nie tak, na litość boską! Nie musiał mieszać do tego prokuratora. Musiał przecież wiedzieć, że w ten sposób zagrozi tak długo przygotowywanej operacji.

– Chodź na kolację, wszystko jest już gotowe.

Spoglądał bezmyślnie na Teresę, zanim dotarł do niego sens wypowiedzi. Wstał i poszedł do kuchni, gdzie rzeczywiście czekał już suto zastawiony stół. Uśmiechnął się z zadowoleniem, na co kobiety także rozpromieniły się w pełnych wdzięczności uśmiechach, jakby właśnie jemu zawdzięczały ów dobrobyt, podczas gdy tak naprawdę same zarabiała dużo więcej. Zmówili dziękczynną modlitwę i zabrali się do jedzenia, później zaś mężczyzna oznajmił krótko:

– Idę spać.

– Tak wcześnie?

W głosie Anny zabrzmiała nutka rozczarowania. W pierwszej chwili miał zamiar ją ofuknąć, ale przypomniał sobie, że kwestia własności mieszkania nadal nie została załatwiona, zmusił się więc do przeproszającego uśmiechu.

– Wybacz, kochanie, że nie dotrzymam ci towarzystwa. Jestem zmęczony, a jutro mam pierwszą zmianę. Przygotuj mi na popołudnie

czyste ubranie, bo jeżeli do tego czasu Teodor nie wróci, pojedę do Bielska go poszukać.

W milczeniu skinęła głową, lecz posmutniała jeszcze bardziej, toteż przez wzgląd na swoje plany wziął ją za rękę i poprowadził do pokoju służącego im za sypialnię. Uchwycił rozżalone spojrzenie Teresy, lecz nic na to nie mógł poradzić. Poza tym udawanie rodzeństwa było jej pomysłem, wiedziała dobrze, na co się pisze, gdy błagała, żeby zabrał ją z sobą, dlatego nie powinna mieć do niego pretensji. Od początku zdawał sobie sprawę, że sporo ryzykuje, wystarczy jakieś nieopatrznie wypowiedziane słowo lub gest i wszystko się wyda.

Innej z pewnością by odmówił, jednak ta dziewczyna miała nad nim dziwną władzę. Już jedno jej słówko czy uśmiech potrafiły całkiem go rozbroić, a gdy się z nią kochał, czuł się tak, jakby miał dwadzieścia lat mniej. Przy niej Anna była niczym śnięta ryba. W ogóle go nie pociągała i chcąc stanąć na wysokości zadania, musiał przywoływać w myślach obraz dziewczyny, którą przedstawiał wszystkim, włącznie z własnymi dziećmi, jako odnalezioną po latach poszukiwań przyrodnią siostrę.

Szybko odwalił szarwark. Zасыpiając, pomyślał z ulgą, że na jakiś czas będzie miał spokój.

Gdy obudził się rano, za oknami ciągle panował kompletny mrok. Anna jeszcze spała, nie zapalił więc światła i po ciemku poszedł do kuchni, by postawić czajnik na gazie, toteż bardziej wyczuł, niż zobaczył, że nie jest już sam. Obejrzał się. Teresa stała tuż za nim i wolno ściągała przez głowę koszulę nocną.

– Zwariowałaś? – syknął. – Przecież ona w każdej chwili może tu wejść.

– Na pewno jakoś ją udobruchasz.

Niedbale rzuciła na podłogę skłębioną tkaninę i stanęła przed nim całkiem naga. Rozum podpowiadał Bartłomiejowi, że powinien kazać jej się ubrać, ale ciało podjęło inną decyzję. Sztywny penis napierał na cienką bawełnę slipów, naciągając ją do granic wytrzymałości, jedna ręka sama wyciągnęła się w stronę ciemnego trójkąta u zbiegu ud, druga zaś zamknęła się chciwie na kształtnej piersi. Jęknął głośno, gdy zsunął mu slipy, zaczęła go pieścić. Nagle przestało mieć znaczenie,

że Anna może ich przyłapać, liczyła się tylko Teresa i ta oszałamiająca rozkosz, jaką jedynie ona umiała mu dać.

Kochali się długo i z zapamiętaniem, niebaczni, że ich głośne krzyki mogą obudzić tamtą. Wreszcie Bartłomiej z głuchym stęknieniem eksplodował nasieniem, gdy jednak chciał się wyswobodzić z objęć Teresy, przywarła do niego mocniej i kusząco poruszyła biodrami.

– Weź mnie jeszcze raz. Mam taką cholerną chciwę...

Natychmiast oprzytomniał i ją odepchnął.

– Jesteś rozwiązła jak Jezabel. Ubierz się i wyjdź stąd, rozpustnico.

Pompatyczny ton nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Uśmiechając się kpiąco, podniosła nocną koszulę i nago pomaszerowała do pokoju, który do niedawna dzieliła z Faustyną. *Bartłomiej, ty idioto, gdybyś nie był taki dobry w te klocki, już dawno bym ci powiedziała, gdzie możesz sobie wsadzić tę religijną gadkę* – rozmyślała, wrząc złością i upokorzeniem.

Wspomniała nie tak znów rzadkie incydenty, gdy korzystając z nieobecności pozostałych domowników, rzucał się na nią niczym wygłodniały wilk na zdobycz. Po wszystkim zawsze miał do niej pretensje, nazywał kusicielką i kazał błagać Boga o wybaczenie, co nie przeszkadzało mu jeszcze tego samego dnia ocierać się podbrzuszem o jej pośladki.

Kiedy mu to wypomniała, odpowiedział z miną urażonej niewinności, że przedpokój jest wąski, a on musiał przecież jakoś przejść. Poza tym ona chyba nie sądzi, że mógłby zachować się nieprzyzwoicie w obecności Anny i dzieci? Może by mu uwierzyła, gdyby nie wyczuwała za każdym razem, jak bardzo jest podniecony, zauważyła też, że później na długo znikał w łazience, skąd wychodził już bez wybruszenia w spodniach.

– Jebany hipokryta – szeptała w poduszkę, by nie mógł usłyszeć. – Jemu wolno wszystko, bo jest mężczyzną. Za to kobieta nie może właściwie nic, bo zaraz zostanie obwołana grzesznicą. W dupie mam takie zasady!

Nie mogła doczekać się chwili, gdy wreszcie pozbędą się Anny, o którą była potwornie zazdrosna pomimo świadomości, że Bartłomiej sypia z „narzeczoną” tylko wtedy, gdy nie ma innego wyjścia. Najpierw długo

unikał zbliżenia, w czym bezwiednie pomógł mu ksiądz, grzmiący o grzechu cudzołóstwa. Niestety sprawy własności mieszkania okazały się bardziej skomplikowane, niż oczekiwał, Koziniec zdecydował więc, że musi bardziej przywiązać Annę do siebie, a nic tak nie łączy ludzi, jak wspólne noce.

I właśnie z powodu owych nocy Teresę dręczyła zazdrość. Nie o seks, bo równie dobrze mogłaby być zazdrosna o jego rękę, ale o tę jedyną w swoim rodzaju bliskość. O możliwość przytulenia się do niego, wsłuchiwania się w rytm oddechu, poczucia ciężaru ręki spoczywającej na jej biodrze...

Nigdy jej nie daruję, że mi to wszystko zabrała!

18 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Pierwsze po ponad pięciu latach niewidzenia spotkanie początkowo przebiegało dość sztywno. Po przywitaniu wsiedli do czekającej przed dworcem taksówki i w milczeniu pojechali do restauracji „Dworek”, znajdującej się na peryferiach Bielska-Białej. To Bartłomiejowi odpowiadało, z dawnego życia pozostała mu niechęć do siadywania na widoku.

Zamówił eskalopki dla siebie i brizol dla towarzysza, zadysponował także pół litra zmrożonej finlandii i coca-colę, po czym zapalił papierosa, pierwszego od czasu, gdy opuścił wadowicki zakład karny. Dobry Boże, jak on mu smakował! Potem delektował się obiadem, jakże różnym od siermiężnych potraw przyrządzanych przez Annę. I ta kobieta śmie twierdzić, że dobrze gotuje! Nic dziwnego, że jej mąż zmarł tak młodo.

Po posiłku napełnił kieliszki i wzniosł pierwszy toast.

– Za nasze spotkanie.

Szpila popatrzył ze zgorszeniem, pokręcił głową i poprawił:

– Za tych, co garują.

Zmieszany popełnionym *faux-pas* Koziniec miał na szczęście tyle przytomności umysłu, by odpowiedzieć sakramentalnym: „A psom na pohybel”, dzięki czemu trochę się zrehabilitował w oczach dawnego

kolegi. Szpila popatrzył łaskawiej i wykazał pewne zainteresowanie, pytając jakby od niechcienia:

– Co w ogóle porabiasz?

– Nic ciekawego – odparł oględnie Bartłomiej, zaraz jednak się zreflektował. Wszyscy w branży doskonale wiedzieli, jaki Szpila jest podejrzliwy. Jeszcze gotów pomyśleć, że Koziniec celowo coś przed nim ukrywa, a wtedy nie będzie mowy o żadnej pomocy. – Mieszkam z rodziną, pracuję na etacie... – dodał szybko.

Tamten zarechotał niczym z dobrego dowcipu.

– Kurwa, chłopie! Myślałem, że to tylko chwilowe. Jak się to fachowo określa? Zmęczenie materiału czy jakoś tak. Ale widzę, że ty naprawdę straciłeś jaja.

W jego głosie pojawiła się nuta pogardy i Bartłomiej zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Nie po to męczył się z Anną tyle czasu, żeby stracić wszystko przez głupiego smarkacza, któremu naraz zachciało się zbuntować. Tylko Szpila mógł mu pomóc, potrzebował go jak powietrza, był to więc stan wyższej konieczności.

– Niczego, kurwa nie straciłem. Ni chuja! – wykrzyknął, a odrażające słowa przeszły mu przez gardło z zadziwiającą łatwością. – To fakt, że klecha zrobił mi w pierdłu wodę z mózgu, ale już dawno mi przeszło.

– Nie wiem, nie wiem... Coś za długo nie szukałeś kontaktu i tak se myślę, Doktor, czy ty czasem nie robisz u psiarni za wafla.

– Powtórz to jeszcze raz, a zrobię ci taką apokalipsę, że pozazdrościsz chłopakom z Pruszkowa – odpowiedział Koziniec swoim dawnym tonem.

– Lulka i Słonia tylko zastrzelono, umarli bez męczarni...

Celowo zawiesił głos, dając koledze czas na przemyślenie pochoinnie wypowiedzianych słów. Tak łatwo wszedł w dawną skórę, że poczuł tęsknotę za tamtymi czasami, kiedy nic go nie ograniczało. Ani rodzina, ani praca, a już na pewno nie religia. I co z tego miał, że zrezygnował z dawnego życia? *Jedno wielkie gówno* – stwierdził naraz. *A mogłem mieć wszystko! Jednak przedtem było dużo lepiej.*

– Co ty, Doktor, naraz taki w chuj poważny? – Głos Szpili wyrwał go z zamyślenia. – Na żartach się nie znasz? Jakbym myślał, żeś kapusta, to tej rozmowy wcale by nie było. Z kapusiami nie gadam!

– Pamiętam i tylko dlatego zapomnę. I jeszcze dlatego, że zadbałeś o moich, żeby im się krzywda jakaś nie działa.

– Zadbałem, bo tak się należało. Tylko ostatni rybi chuj nie zatroszczy się o rodzinę kumpla siedzącego we więźniu – oburzył się Szpila.

Bartłomiej doskonale znał zasadę: „Ty mnie nie sprzedasz, a ja zadbam o twoich”, ale wiedział również, że nie wszyscy jej przestrzegają. I o ile do części pierwszej stosowali się częściej, głównie ze strachu przed etykietą kapusia, a jeszcze bardziej zemstą zdradzonych, o tyle wielu lekceważyło część drugą, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że po odsiedzeniu kilku lub nawet kilkunastu lat ekswieżeń nie będzie dysponować dostateczną siłą, by móc odzyskać zagrabione pieniądze czy mścić się na nieuczciwym współniku.

– Ty to wiesz i ja to wiem, bo my jesteśmy stara szkoła i dla nas ważny jest honor – oznajmił uroczyście. – Ale młodzi mają to w dupie. Siedział ze mną pod celą taki jeden stary doliniarz i opowiadał, że kiedy zrobił kieszonkę, na wszelki wypadek oddawał fanty takiemu młodziakowi, który chciał się nauczyć krawiectwa.

– Chyba się z głową na dupę pomieniał! Kieszonkę trza mieć we krwi, tego byle leszcz się nie nauczy.

– Tu się zgodzę, z klezmera wirtuoza nie zrobisz.

– Ty to masz odzywki! – zaśmiał się Szpila. – Od razu słysząc, żeś Doktor. Ale nie dokończyłeś opowiadać. Co z tym doliniarzem?

– Blacharze go przycapili na gorącym, nie zdążył zdać fantów – podjął Koziniec. – Przypasowali mu jeszcze jakieś stare zasługi i dostał piątkę. Nie przejął się za bardzo, w końcu to ryzyko zawodowe.

Wyszczrzył zęby w porozumiewawczym uśmiechu. Szpila zarechotał, po czym ponaglił go niecierpliwie, jak dawniej, gdy chcąc zabić czas dłużący się niemiłosiernie podczas obserwacji upatrzonej posesji, Bartłomiej opowiadał mu zmyślane przez siebie lub przeczytane w książkach historie. „Gadasz, jakbyś był doktorem filozofii” – ocenił kiedyś Szpila i od tej pory zwykły Bartłomiej stał się Doktorem.

– Wcześniej wysłał tego swojego praktykanta do pasera, więc kiedy trochę się już rozeznał, komu może zaufać, grypsnął do niego, żeby odebrał szmal, dał mu też namiar na skrytkę, gdzie przechowywał zabezpieczenie na czarną godzinę. Młody miał to wszystko zanieść jego

żonie, ale tego nie zrobił, tylko jak ostatni skurwysyn zabrał wszystko i zniknął. Przy pierwszym widzeniu sprawa się wydała, więc ta żona zaczęła go szukać.

– I co było dalej? Znalazła go? – dopytywał się niecierpliwie zafascynowany opowiadaniem Szpila.

– A jakże. Rzecz się dzieła w Czechowicach-Dziedzicach, a to żadna wielka aglomeracja, prędzej czy później spotkasz tego, kogo szukasz. Zresztą on wcale się nie ukrywał, a kiedy zażądała zwrotu pieniędzy, bezczelnie się roześmiał i powiedział, że nie ma, bo przegrał na automatach. Nazwała go złodziejem, a on na to: „To idź na milicję i zgłoś, że cię okradłem”.

Nieco już wstawiony piciem na tempo Szpila tak głośno i niewybrednie komentował nielojalność młodego adepta złodziejskiego fachu, że zwróciło to uwagę innych gości, a ci nie omieszkali poskarżyć się obsłudze. Po drugiej interwencji kelnera mężczyzna pańskim gestem rzucił na stolik kilka banknotów.

– Chodź, Doktor, pojedziemy do mnie. Mam dość tej mordowni. – Obrzucił zdegustowanym wzrokiem eleganckie wnętrze. Wstał i ruszył ku wyjściu, jednakże po kilku krokach przystanął i ponownie wyjął portfel, a z niego banknot o nominale sto tysięcy złotych. Przywoławszy gestem kelnera, wsunął mu go za poszetkę ze słowami: – Żebyś nie gadał na mieście, że Szpila robi dziadostwo. Ale tak sobie myślę, że przydałaby się wam ochrona. A ty jak sądzisz, Doktor?

Bartłomiej obejrzał salę taksującym wzrokiem, potem przeniósł spojrzenie na pytającego, zahaczając przy tym na moment o twarz pobladłego kelnera.

– Ochrona jest tutaj niezbędna, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie każdy jest taki wyrozumiały jak mój kolega, a czasy są naprawdę niespokojne. Niby Pruszków i Wołomin leżą dość daleko od Bielska, ale...

– Proszę przekazać szefowi, że wkrótce się do niego zgłoszę z propozycją współpracy – znów włączył się Szpila. – Moi ludzie to prawdziwi zawodowcy, znają swój fach. Od lat współpracuję z policją, zatrudniam kilku zasłużonych w bojach emerytowanych zomowców, a nawet dwóch byłych esbeków, którzy po negatywnej weryfikacji nie

mogli nigdzie znaleźć roboty, więc pod moją opieką ten piękny lokal będzie bezpieczny. Jeszcze jedno. W mieście mówią na mnie Szpila, może o mnie słyszeliście.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł w stronę drzwi, a Koziniec podążył za nim. W progu przystanął i zerknąwszy za siebie, ryknął śmiechem na widok kelnera sadzącego ogromnymi susami w stronę zaplecza.

– Zapieprza, jakby mu ktoś do dupy pershinga wsadził. Z tą ochroną to mówiłeś na poważnie czy robiłeś sobie z niego jaja?

Szpila wzruszył ramionami. Włożył między wargi niezapalonego papierosa, kierując się w stronę stojącej przed lokalem taksówki.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Szał mógłby być z tego niezły, tylko bo ja wiem? Ludzi nie mam, ostatnio mocno się wykruszyli, zostały same szczawie. Ale co mi szkodziło go postraszyć? Zawsze to jakaś rozrywka.

Śmiejąc się, wsiedli do taksówki i pojechali do Szpili, gdzie Bartłomiej wreszcie mógł przedstawić swój problem bez obawy, że ktoś usłyszy. Kolega słuchał uważnie, raz tylko przerwał, by wznieść toast. Wypili, po czym wrócili do omawianego tematu.

– Nie bój nic, znajdę ci go w mig, prokuratorów w Bielsku nie ma znowu tak wiele – obiecał gospodarz. Napełnił kieliszki. – Twoje zdrowie, bracie. Mam go uciszyć na wieki czy tylko porządnie nastraszyć?

W pierwszej chwili mocno już pijany Bartłomiej nie wiedział, o kim kolega mówi. O prokuratorze czy o chłopaku? Dopiero po dobrej minucie uświadomił sobie, że nie ma to znaczenia, plan bowiem nie zakładał żadnych siłowych rozwiązań. Szpila wyglądał na mocno zawiedzionego, jednak nie zaprotestował.

– Jak tam chcesz. Twój syn, twój problem.

Dopili napoczętą butelkę, przy czym Koziniec uczestniczył w tej czynności bardziej symbolicznie.

– Kurwa, chyba się opilem – bełkotał niewyraźnie. – Brak treningu, bracie. Możesz mi wezwać taryfę?

Spróbował wstać, lecz się zachwiał, bezwładnie opadł z powrotem na wersalkę i głośno zachrapał. Gospodarz nie zamierzał go budzić, niech się chłop wyśpi. Przytrzymując się ściany, bo i on miał niejakie

problemy z zachowaniem równowagi, dotarł do przedpokoju, gdzie wisiał aparat telefoniczny. Wykręcił numer, a po chwili wydał ostrym, nieznoszącym sprzeciwu głosem stosowne polecenie. Nie miał względu na to, że jest już noc. Płacił, więc miał prawo wymagać, a komu się nie podoba, niech spada.

Rozdział 4

Odnaleziona zguba

20 stycznia 1993, gdzieś w Polsce

Bez Bartłomieja Anna czuła się źle. W nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, straciła apetyt i snuła się po domu bez sensu, nie umiając podjąć decyzji nawet w tak błahej kwestii jak zakupy czy obiadowe menu. Stała się humorzasta, przeskakująca w jednej chwili od euforii do załamania i ogólnie rzecz biorąc, była niczym statek bez sternika, miotany wirami rzeczynymi od brzegu do brzegu.

Na ten niespotykany dotychczas stan psychiczny niewątpliwie miała też ogromny wpływ przyrodnia siostra narzeczonego. Anna od początku jej nie lubiła, lecz ukrywała to starannie w obawie, że swoją niechęcią do Teresy urazi Bartłomieja, a do tego absolutnie nie mogła dopuścić. Bo gdyby odszedł, czym wtedy byłoby jej życie? Zaledwie wegetacją, zwykłym erzacem, namiastką prawdziwego istnienia.

Po raz pierwszy w swoim niespełna czterdziestoletnim życiu Anna była zakochana. Aż nie mogła uwierzyć, że i ją w końcu dopadło uczucie, które dotąd bezlitośnie wykpiwała. Zawsze twierdziła, że miłość prowokuje do irracjonalnych zachowań i uzależnia od drugiej osoby, pozbawiając własnej woli. Jednym słowem ogłupia, a Anna była zbyt trzeźwo myśląca, by oddać się we władanie tak destrukcyjnym emocjom.

Teraz za nic w świecie by z nich nie zrezygnowała. Rozkoszne dreszcze, gdy Bartłomiej na nią patrzył, motyle w brzuchu, gdy jej dotykał... Nie pozwoli sobie tego odebrać, prędzej zabije tę zdzirę, tę

goniącą się sukę, za nic mającą przyzwoitość. Mało jej, że gziła się w hotelach za pieniądze, to jeszcze musiała się rzucić na własnego brata. Cóż z tego, że przyrodni? Brat to brat, grzech jest taki sam, jakby uwiodła rodzzonego.

Bartłomieja Anna nie winiła, był przecież mężczyzną, a wiadomo, że jak suka nie da, to pies nie weźmie. Tak mawiała matka, świeć Panie nad jej duszą, a przed nią babka i prababka. Jak świat światem powtarzano te słowa, musiały więc być prawdą. Zresztą Anna na własne oczy widziała, że to właśnie Teresa okazała się winna. Stanęła przed nim golutka jak ją Pan Bóg stworzył i skusiła go do grzechu. Biedaczysko, musiałyby być z żelaza, żeby jej nie ulec.

Odtwarzała ciągle w pamięci tamtą scenę, a za każdą powtórką narastała jej wściekłość. Dość już znoszenia upokorzeń, zamartwiania się, czy Bartłomiej nie wybierze tamtej, która choć zdecydowanie brzydsza i z dużo gorszą figurą, miała nad Anną tę przewagę, że była o dwanaście lat młodsza. Teresa musi odejść i trzeba to załatwić teraz, dopóki narzeczony przebywa poza domem. Wtedy nie będzie już mógł tego zmienić.

– *Fait accompli!* – oznajmiła swojemu odbiciu w lustrze. – Tak się mówi po łacinie na fakt dokonany. Brzmi dużo bardziej elegancko niż po polsku.

– Możliwe, jest tylko małe ale. To nie łacina, lecz francuski.

Sens wypowiedzi jednak do Anny wcale nie dotarł, zbyt ją zaskoczyło, że w ogóle coś słyszy, była wszak w domu sama. Odwróciła się gwałtownie i stanęła oko w oko z przyrodnią siostrą Bartłomieja.

– Co tu robisz?

Teresa natychmiast wykorzystała brak precyzji pytania i odpowiedziała literalnie, okraszając słowa kpiącym uśmiechem.

– Mieszkam, w dodatku już od pewnego czasu. Nie zauważyłaś?

Anna poczuła gorąco oblewające jej policzki. Dosłownie płonęła gniewem.

– Trudno byłoby nie zauważyć. – Jeszcze starała się zachować spokój.

– Do wszystkiego się wtrącasz, wszędzie cię pełno, rządzisz się jak u siebie i jeszcze się kurwisz. Nawet Bartłomiejowi nie przepuściłaś,

choć to twój brat. – Spokój odszedł w niebyt, pozostała tylko wściekłość. – Uwiodłaś go, ty ladacznico, ty kurwo spod latarni!

– Jak już, to z hotelu Polonia. – Z ust Teresy nie zniknął ów bezczelny, kpiący uśmiezek. – A Bartłomieja uwodzić nie musiałam, wystarczy, że na mnie popatrzy, i od razu mu staje. Nie to, co przy tobie!

Jakie to żałosne, klócić się o faceta – pomyślała Anna w chwilowym przystępie zdrowego rozsądku. Odwróciła się bez słowa i poszła do kuchni, gdzie czekało ją przygotowanie sosu do jutrzejszego obiadu. *Zachowałam się jak bohaterka melodramatu* – oceniła bezlitośnie swój występ. Schyliwszy się do szafki, wyjęła nieduży rondel, potem zabrała się do krojenia marchwi w zgrabne półtalarki.

– On jest mój! Był ze mną, zanim jeszcze cię poznał.

Anna uniosła głowę i spojrzała na niedającą za wygraną Teresę.

– Dobrze powiedziałaś – zgodziła się pogodnie. – Był. Ale już nie jest, bo to ze mną się ożeni. A teraz wynoś się z mojego mieszkania. Nie chcę cię tu widzieć.

Teresa zbladła, najwyraźniej nie przewidziała takiego finału. Przez kilkadziesiąt sekund stała bez ruchu, aż nagle jej twarz wykrzywił grymas nienawiści. W zapadłej ciszy podbiegła do stołu, złapała rączkę rondla i wzięła szeroki zamach. Niemal równocześnie z głuchym uderzeniem rozległ się okrzyk bólu.

20 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Koziniec nie wrócił do domu również w ciągu następnych dni. Ponieważ nazajutrz po przyjeździe do Bielska zadzwonił do zakładu pracy z prośbą o dwa tygodnie urlopu z powodu spraw rodzinnych, czekał spokojnie na informację o miejscu pobytu syna. Wcześniej powiadomił też swoje kobiety, że poszukiwania Teodora znacznie się przedłużyły, w związku z czym musi zostać poza domem trochę dłużej. Nakazał też, by natychmiast zadzwoniły do Szpili, gdyby Teodor jednak wrócił.

W domu dawnego współnika czuł się dużo lepiej i pomyślał teraz, że najchętniej nie jechałby do siebie wcale. Tutaj mógł zachowywać się swobodnie, bez zważania na każde słowo i każdy gest w obawie, że

chlapanie coś, co wzbudzi podejrzenia Anny. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie lepiej zrezygnować z przedsięwzięcia, szkoda mu jednak było straconego czasu i wysiłku włożonego w przejęcie mieszkania. Długo rozważał wszystkie za i przeciw, aż w końcu, nie umiejąc podjąć decyzji, poprosił o radę Szpilę.

Kolega wysłuchał go uważnie.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Uwodzisz jakąś samotną babę, a kiedy już ją omotasz, prosisz ją o pieniądze jak ten... jak mu było? Kalibabka czy jakoś tak?

– O nic nikogo nie proszę – odparł z godnością Bartłomiej. – Same dają i jeszcze jęczą, żebym wziął, bo to na rozwinięcie wspólnego biznesu.

Szpila ryknął śmiechem i spojrzał na niego z mimowolnym szacunkiem.

– Ty, Doktor, jednak masz głowę. Ale co z rodziną tych bab? Nie boisz się, że zaczną ci robić pod górkę?

– Palcem mnie nie robili! Najpierw dokładnie sprawdzam, czy na pewno są samotne, a dopiero potem działam. Przy poprzedniej mi przyfarciło, bo wprawdzie baba nie miała szmalu, ale za to własnościową kawalerkę w centrum Wrocławia. Zabajerowałem, że muszę mieć zabezpieczenie kredytu, i wtedy sama zaproponowała, że ją na mnie przepisze.

– Nie boisz się, że pójdą na glinówek zgłosić wyłudzenie?

Bartłomiej wzruszył ramionami.

– Jakie wyłudzenie? Mówiłem już, że same się napraszały z pomocą. Mam na to świadków. Poza tym każda z nich ma swoje za uszami, przez co wcale nie tęskni do rozmowy z gliniarzami, tym bardziej że wiedzą, że ja wiem.

– A co z tą ostatnią? Co poszło nie tak?

– Wszystko, kurwa jego mać! – zdenerwował się Bartłomiej.

Opowiedział koledze, jak rok temu we Wszystkich Świętych, stojąc nad grobem żony, zauważył mniej więcej czterdziestoletnią kobietę. Uwiadomił sobie wtedy, że widzi ją nie po raz pierwszy i że zawsze jest na cmentarzu sama. Po krótkiej obserwacji wywnioskował, że musi być dość majątna, bo zawsze elegancka, z wypracowaną fryzurą, nie

żałowała pieniędzy na ustrojenie grobu. Postanowił więc poznać ją bliżej.

Koziniec się nie spieszył, kobieta wyglądała bowiem na ostrożną, a że dysponował jeszcze pieniędzmi ze sprzedaży wyłudzonego mieszkania, mieli za co żyć i nie musiał robić nic na chybcika. Czekał na sprzyjający moment, a jego cierpliwość wkrótce została wynagrodzona. Tuż przed Bożym Narodzeniem kobieta poślizgnęła się na oblodzonej ścieżce i upadła, a on jako dobry samarytanin natychmiast pospieszył z pomocą.

– Pomogłem jej dojść do samochodu, zawiozłem pod dom i odprowadziłem pod same drzwi. Nie wypadało jej odprawić mnie jak służącego, więc zaproponowała kawę, a ja skorzystałem z okazji i przyjąłem zaproszenie. Od tamtej pory zacieśniałem znajomość, przyjąłem się nawet do pracy, żeby niczego nie podejrzewała. Po siedmiu miesiącach wreszcie zaproponowała, żebym z nią zamieszkał, zamiast gnieździć się w trójkę w wynajmowanym pokoju. Oczywiście najpierw jej się oświadczyłem.

Zdumiony Szpila aż rozdziawił usta z podziwu. Doktor zawsze miał głowę do wymyślania różnych planów, ale nigdy nie był ryzykantem.

– Nie bałeś się, że zawlecze cię siłą do ołtarza? Albo cię wykopie z chaty, kiedy do niej dotrze, że celowo odwlekasz ślub?

– Nie zapominaj, że jestem człowiekiem głęboko wierzącym – odparł Bartłomiej, mijając się z prawdą. Owszem, jeszcze dwa dni temu w pełni zasługiwał na takie miano, ale teraz już nie bardzo. – Ona także, więc nie przyszło jej do głowy wątpić w moje słowa. A kiedy zaczęła przebąkiwać o zapowiedziach, wyjaśniłem jej, dlaczego musimy z tym poczekać.

Zapalił papierosa i pociągnął spory łyk zimnego piwa. Szpila także zapalił, lecz w przeciwieństwie do kolegi nie tknął dziś alkoholu. Na czwartek szykowała mu się pewna akcja i wolał być całkiem trzeźwy. Zbyt wielu kumpli wpadło tylko dlatego, że przy rutynowej kontroli trzeźwości badanie wykazało, iż napędzały ich promile. „Przezorny zawsze ubezpieczony” – pouczał podległych mu ludzi i sam także nie ryzykował.

Na syknięcie kolegi, zniecierpliwionego przedłużającą się przerwą, Koziniec zgasił niedopałek i podjął opowieść:

– Wy tłumaczyłem Annie, że mieszkałem wraz z żoną w domu należącym do teściowej i że włożyłem w niego kupę szmalu, bo obiecała go na nas przepisać. Ale nie zdążyła tego zrobić przed śmiercią Stefanii, a potem coś się babie przestawiło w głowie i nie było już o tym mowy. Powiedziała, że sporządziła testament i po jej śmierci dom będzie mój, pod warunkiem że się nie ożenię po raz drugi. Jeśli będę żonaty, dom przejdzie na własność Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, do którego należała. Dodałem też, że postąpiła tak, żeby ukarać mnie za to, że odciągnąłem jej córkę od prawdziwej wiary. Po tym wyjaśnieniu miałem spokój i tylko od czasu do czasu Anna pytała, czy stara wiedźma jeszcze żyje.

– Wszystko jasne, nie rozumiem tylko, czemu już dawno tego nie skończyłeś. Nie boisz się, że ona może się pokapować?

Bartłomiej ze złością odstawił na wpół opróżnioną butelkę i posłał koledze nieprzyjazne spojrzenie, jednak nic nie wskazywało, by ten się nim przejął. Po twarzy błąkał mu się zwykły ironiczny uśmiezek, mówiący dobitniej niż słowa, że Szpila to nie Anna lub Teresa, na niego takie ostrzeżenie nie podziała.

– Bo nie mogę, kapujesz?! Bo się, kurwa, okazało, że nie tylko ona ma prawo do tego mieszkania, a ta głupia pizda nigdy o tym nie wspomniała, tylko pierdoliła o jakichś komplikacjach. Gdybym wiedział wcześniej, załatwiłbym sprawę z gościem albo się wycofał.

– A teraz nie możesz załatwić?

– Jakbym mógł, to już dawno bym załatwił – zirytował się Koziniec. – Ale facet pojawił się tylko na chwilę i nie było kiedy pogadać o interesach. A zaraz potem zniknął i za cholerę nie mogę go odnaleźć.

W tym miejscu znacząco minął się z prawdą, bo po pierwsze, współwłaściciel pojawił się na trochę dłużej niż tylko na jeden dzień, a po drugie, o interesach jednak porozmawiali. Stało się to dopiero trzeciego dnia pobytu intruza w domu, wcześniej bowiem, po wtorkowym spotkaniu z Anną, w którym Koziniec nie mógł uczestniczyć, bo został wyrzucony za drzwi, gość stale gdzieś wychodził

albo zamykał się w pokoju Teodora, uniemożliwiając tym samym próby nawiązania kontaktu.

W czwartek niespodziewanie oznajmił, że ma ich dość i nazajutrz wyjeżdża, dodał też, spoglądając przy tym na Annę, że więcej go nie zobaczą. Bartłomiej się przeraził: jeśli obcy nie zrzeknie się swoich praw, cały plan weźmie w łeb, ugiął się więc i grzecznie poprosił. Tym razem nieznajomy przystał na propozycję, lecz trudno byłoby nazwać to rozmową, gdyż mówił tylko Bartłomiej. Tamten podczas jego przemowy nie odezwał się ani słowem i przerwał milczenie dopiero wtedy, gdy Koziniec zamilkł. Wtedy najzwyczajniej w świecie odmówił, przy czym nie wysilił się na dłuższą wypowiedź, przynajmniej trochę uzasadniającą odmowę, rzucił tylko krótkie „nie” i po prostu wyszedł z pokoju.

Następnego dnia zażyczył sobie ponownej rozmowy w cztery oczy z Anną, na co Bartłomiej za nic nie chciał się zgodzić, a wówczas obcy wyrzucił go za próg i mimo gwałtownych protestów zamknął mu drzwi przed nosem. Otworzył je dopiero po dziesięciu minutach. Uchyliwszy się zwinnie przed nadlatującą pięścią, jednym susem dopadł Kozinca, pchnął go na ścianę i władował straszliwego haka w żołądek.

Długo trwało, nim Bartłomiej złapał oddech. Obcy był już wtedy w przedpokoju, właśnie wkładał kurtkę, gdy rozjuszony Koziniec obrzucił go przekleństwami i zagroził zemstą. Tamten nawet na niego nie spojrzał. „Ją możesz obrobić na nul, gównu mnie to obchodzi, ale mojego nie ruszaj, bo pożałujesz. Startować do mnie też nie radzę, za cienki jesteś w uszach, frajerze” – rzucił pogardliwie. Chwilę później opuścił mieszkanie i jakby rozpułnął się w powietrzu, bo mimo intensywnych poszukiwań wzmocnionych obietnicą solidnej zapłaty za informację nikt nie miał pojęcia, gdzie się podział. Zniknął naprawdę.

W tym miejscu Bartłomiej nie skłamał, resztę natomiast zataił, nie mógł przecież stracić twarzy. Plan się powiódł. Szpila pokiwał głową ze zrozumieniem i zaczął rozważać głośno możliwości wyjścia z patowej sytuacji.

– Ja na twoim miejscu jeszcze bym trochę poczekał, osiemdziesięciometrowy kwadrat w centrum to nie w kij dmuchał,

szkoda rezygnować z takiego szmalu. Powinna ci jeszcze zapłacić za straty moralne – zarechotał.

Dalsze słowa przerwał sygnał telefonu, dźwignął się więc z fotela i poszedł odebrać. Wrócił szybko i ku zdumieniu gościa wyjął z barku butelkę ballantine'isa i dwie szklanki z grubego, rżniętego szkła. Napełnił je w jednej trzeciej, po czym, wróciwszy na fotel, podał jedną Bartłomiejowi, drugą zaś uniósł w górę ze słowami:

– Za kumpli, co pod całą.

– I za tych na wolności – odpowiedział Koziniec zgodnie z obyczajem.

Grube szkło zadźwięczało, gdy trącili się szklankami, bursztynowa ciecz zamigotała niczym płynne złoto, załamując się w żłobieniach reliefowego wzoru. Wypili do dna, po czym gospodarz znowu sięgnął po butelkę.

– Mówiłeś, że dzisiaj nie będziesz pić.

Popatrzył na zaskoczonego Bartłomieja i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Sukces trzeba opić, inaczej się rozeschnie. Twój chłopak ma jasnoblond loki i taką trochę babską urodę? Jeżeli to ten, to jeden z moich ludzi widział go dzisiaj z prokuratorem Mieczysławem Ochabczykiem. Jedli obiad w „Patrii”, potem wsiedli do samochodu. A ty, Doktor, gdzie się, kurwa, wybierasz? – spytał, gdy gość zerwał się na równe nogi.

– A jak myślisz? To chyba oczywiste, że jadę po Teodora. Zaraz wybiję gnojkwowi z głowy te fanaberie!

– Siadaj i przestań się podniecać, bo to niezdrowo – polecił Szpila zimno. – Wiesz, gdzie go szukać? – Pokiwał głową na widok niepewnej miny Kozinca i dodał łagodniej: – No właśnie. Ja też nie wiem.

– Przecież powiedziałaś... – zaczął Bartłomiej. Kolega wszedł mu w słowo, nie pozwalając dokończyć.

– Wiem, z kim jest, ale nie wiem gdzie, bo Pumeks zgubił ich na światłach. Ale nie bój nic, moi ludzie już wiedzą, kogo szukać, więc do jutra na pewno będą wiedzieć, gdzie ten cały Ochabczyk mieszka.

Nie powiedział nic więcej, bo choć słowa podwładnego nie pozostawiały żadnych wątpliwości, zdecydował się milczeć. Doktor i tak miał dosyć zmartwień, Szpila ani myślał mu ich dokładać, zwłaszcza że

jutro z pewnością wszystko się wyda. Niech więc kumpel jeszcze ten wieczór spędzi bez świadomości, że syn okrył go hańbą.

21 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Teodor odgarnął z twarzy pukiel jasnobłond włosów, miękkich i delikatnych jak u dziecka. Zresztą cały był taki – delikatny, wychuchany przez matkę niewidzącą świata poza ukochanym synkiem. Jej darem od Boga.

Jak on jej pod koniec nienawidził! Tego ciągłego chwalenia się nim, jakby był cennym eksponatem, tego wyróżniania go na każdym kroku z krzywdą dla drugiego dziecka i wreszcie tego wiecznego dziękowania Bogu, że dał jej takiego wspaniałego syna.

Kiedyś nie wytrzymał i wypalił, że to raczej zasługa ojca, chyba że poczęła niepokalanie niczym Maryja. Później pożałował gorzko tych słów, bo chociaż w przeciwieństwie do innych matek nigdy nie biła swoich dzieci, jej gniew był zimny i starannie pielęgnowany, a kary tym straszniejsze, że pozornie nie pozostawiały po sobie żadnych śladów.

Ojciec natomiast prawie go nie dostrzegał, dla niego najważniejsza była córka. I tak żyli sobie podzieleni na krzyż, którego dłuższe ramię należało do ojca i Faustyny, drugie zaś, to krótsze, mniej ważne, do matki i Teodora. Wiadomość, że ojciec trafił do aresztu, podejrzany o okradanie mieszkań, zaskoczyła ich wszystkich, nawet matkę.

Tak przynajmniej twierdziła i nawet przysięgała przed obrazem Maryi, że nie miała o niczym pojęcia, co nie przeszkodziło jej powitać męża z radością, gdy wyszedł po trzech latach na warunkowe zwolnienie. Być może zrobiła to, bo wiedziała, że nie dożyje następnego roku, i chciała zapewnić im opiekę? Niemieszkańcy z rodziną ekszwień miałby marne szanse, było wielce prawdopodobne, że wylądowaliby w domu dziecka, natomiast wspólny meldunek pod dachem babci oddalał to zagrożenie.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby ojca nie ogarnęła mania religijna, przez którą zamienił życie swoich dzieci w piekło. Dopóki żyła matka, jakoś dawało się to wytrzymać, lecz kiedy umarła, z każdym dniem

posuwał się dalej w narzucaniu swojej woli. Kulminacja konfliktu nastąpiła, gdy przeprowadzili się do Anny. Znienawidzili ją od pierwszej chwili za tę dziwną uległość wobec Bartłomieja, za to, że nie zaprotestowała, kiedy kazał im nazywać ją mamą, i przede wszystkim dlatego, że odebrała im nadzieję.

Tak liczyli, że pod jej wpływem ojciec się zmieni, znów stanie się normalny, tymczasem to ona się zmieniła, upodobniła do niego w fanatyzmie. Cichy i uległy Teodor łatwiej to znosił, za to Faustyna, nieznająca dotąd żadnych ograniczeń, buntowała się coraz bardziej i wkrótce dom zaczął przypominać pole bitwy, z tą tylko różnicą, że nie używano broni, lecz słów, a podłogi nie brukała posoka, bo rany psychiczne nie krwawią.

Wreszcie nadszedł dzień sądu, choć wcześniej nic nie zwiastowało katastrofy. Zaczęło się od przybycia nieznajomego, który pojawił się niespodziewanie i zażyczył sobie rozmowy z Anną, a kiedy ojciec spytał o powód wizyty, zignorował go i wszedł do środka. Nie dowiedzieli się, kim jest i dlaczego ich odwiedził, tak jak nie mieli pojęcia, jakich argumentów użył, że pozwolono mu zostać, choć było widać, iż Anna zwyczajnie się go boi, a ojciec aż kipi nienawiścią i gdyby mógł, rozszarpałby intruza na kawałki.

Na czas jego pobytu Teodor musiał się przenieść na sofę do salonu, co zresztą niespecjalnie go zmartwiło, wywnioskował bowiem z kilku uwag, że pokój, który uważał za swój, kiedyś należał do nieznajomego. Czuł się z tego powodu niezręcznie, zwłaszcza że obcy wydawał mu się całkiem sympatyczny. Podobnego zdania musiała być Faustyna, gdyż niemal nie odrywała od niego wzroku i przy stole jawnie z nim flirtowała, na co na szczęście ani ojciec, ani Anna nie zwrócili uwagi, zajęci swoimi myślami.

Opuścił ich w piątek, ale zanim to zrobił, pokazał im, że ojciec wcale nie jest taki niepokonany. Faustyna nie umiała ukryć pełnego satysfakcji grymasu na widok walczącego o oddech Bartłomieja, a po urągliwych słowach nieznajomego wybuchnęła głośnym śmiechem. Wtedy odezwała się ciotka Teresa, choć zazwyczaj nie włączała się do rodzinnych kłótni, sprawiając wrażenie neutralnej. Oboje z siostrą

tolerowali ją, lecz nie zdołali polubić, a Faustyna wręcz twierdziła, że wyczuwa w niej jakiś fałsz.

Teraz przekonał się, że jak zwykle miała rację, ponieważ ciotka jawnie wystąpiła przeciwko niej. Doskoczyła do Faustyny i wymierzyła jej policzek, nazywając przy tym ladacznicą. Wzburzony ojciec zdążył chwycić Teresę za rękę, zanim uderzyła po raz drugi, i zażądał wyjaśnień, ona zaś odpowiedziała, że Faustyna spędziła noc z tamtym człowiekiem. „Nie było jej w łóżku, kiedy wstałam do łazienki. W przedpokoju usłyszałam, jak uprawiali seks, a ona czerpała z tego grzeszną przyjemność” – mówiła z niespotykaną dotychczas zaciętością.

Bartłomiej nawet nie poprosił Faustyny o jej wersję wydarzeń, tylko od razu obrzucił ją wyzwiskami. Początkowo przyjmowała to w milczeniu, ale gdy kolejny raz nazwał ją kurwą, uniosła hardo głowę i wysyczała z wściekłością: „To twoja wina. Skończyłam dwadzieścia dwa lata, a przez ciebie nigdy nawet nie byłam na prawdziwej randce, bo odstraszyłeś ode mnie wszystkich chłopaków i nawet kiedy cię nie było, bali się do mnie zagadać. Sam śpisz z nią bez ślubu, a mnie nazywasz kurwą? Wiesz co? Wolę być kurwą niż hipokrytą i oszustem! Mniejszy wstyd!”.

Ostatnie słowa wykrzyczała, po czym zamilkła na moment, by zaczerpnąć powietrza. „A ty jesteś chyba całkiem ślepa, nie widzisz...” – zaczęła znów, patrząc przy tym na Annę, nie dokończyła jednak, silne uderzenie w twarz skutecznie zamknęło jej usta. Ojciec złapał ją wpół, nie pozwalając, by upadła, potem zawlókł do pokoju, skąd jeszcze długo dochodziły odgłosy razów i jego wrzaski, krzyku siostry Teodor jednak nie usłyszał.

Rano okazało się, że Faustyna zniknęła, zostały tylko jej rzeczy. Od tamtej pory ani razu nie spotkał siostry, choć szukał jej po różnych lokalach, kierując się słowami Bartłomieja, który twierdził, że rzeczywiście została prostytutką. Nie próbowała skontaktować się z bratem, a on wcale się jej nie dziwił, gnębiły go za to wyrzuty sumienia. Gdybyż nie okazał się taki słaby! Powinien był wystąpić przeciwko ojcu i stanąć w obronie siostry zamiast stać jak cielę i tylko się gapić. Zasłużył na to, że nie chciała go znać, i jedyne, co mógł teraz zrobić, to mieć nadzieję, że kiedyś zdoła się w jej oczach zrehabilitować.

Ale to droga przyszłości, najpierw musi uporządkować własne życie. Tam już na pewno nie wróci. Czy jednak powinien zostać tutaj? Z nim? Po namyśle doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Nie miał się gdzie podziąć, a Mietek, mimo odstręczającego wyglądu, wcale nie był taki zły. Wysłuchawszy chaotycznych zwierzeń chłopaka, pozwolił mu zostać tak długo, jak będzie chciał, i nie postawił przy tym żadnych warunków. Teodor nie ukrywał, jak bardzo jest wdzięczny, a to, co stało się później, było jego wyborem.

Zerknął na zegarek. Dopiero dochodziła czternasta, a Mietek uprzedził, że dzisiaj wróci późno. Co tu robić? Nie miał ochoty na lekturę, w programie telewizyjnym nie znalazł niczego interesującego, a szkoda, bo obejrzałby jakiś dobry film. Naraz zahaczył wzrokiem o stojące na półce kasety video i przypomniał sobie, że Mietek namawiał go gorąco do sięgnięcia po jeden lub drugi. Teodor przebiegł wzrokiem nic niemówiące mu tytuły, wreszcie wsunął do odtwarzacza pierwszą kasetę z brzegu, opisaną jako *Paul i Jack na szczycie*. Uwielbiał filmy podróżnicze.

Współpracownik Szpili dotrzymał obietnicy i pojawił się nazajutrz, by przekazać zebrane informacje. Bartłomiejowi nazwa ulicy nic nie powiedziała, zainteresował się natomiast wyglądem Pumeksa i ukradkiem spoglądał na niego z mieszaniną fascynacji i odrazy.

Mężczyzna był ogromny. Przy niewysokim, mierzącym około metr siedemdziesiąt Szpili wyglądał niczym Goliat stojący naprzeciwko Dawida, a gdy zdjął kurtkę, opinająca potężny tors koszulka uwypukliła wielkie wężły mięśni. Wyciągnął do Kozińca dłoń wielkości bochenka chleba i uśmiechnął się połową twarzy. Druga pozostała nieruchoma, tym bardziej więc wydawała się straszna. Poszarpana zachodzącymi na siebie, wypukłymi, zaczerwienionymi bliznami i dziwnie rozmyta, sprawiała wrażenie, jakby ktoś usiłował zmienić jej rysy za pomocą grubej tarki. Prawdopodobnie stąd wzięło się jego przezwisko.

Na polecenie, że ma ich zawieźć na miejsce, zareagował skinieniem głowy i bez słowa ruszył ku wyjściu. Czekał w progu, dopóki się nie

ubrali, złapał rzucone mu kluczyki, a gdy wyszli przed dom, stał przy samochodzie i przytrzymał otwarte drzwi. *Karny i służalczy jak pies* – pomyślał z pogardą Bartłomiej, wolał jednak zachować to spostrzeżenie dla siebie. Wszak każdy pies może pogryźć, gdy się go zaczepia.

Ciekawiło go, jak Pumeks zdoła umieścić za kierownicą ponaddwumetrowe cielsko, olbrzym musiał mieć wszakże sprawdzony sposób, wsunął się bowiem na miejsce całkiem sprawnie. Równie sprawnie poruszał się po oblodzonych, zakorkowanych ulicach i nie minęło pół godziny, a znaleźli się u celu.

– Tu właśnie mieszka prokurator Ochabczyk – oznajmił Szpila, gdy po zaparkowaniu samochodu u wylotu uliczki podeszli do bramy. Pumeks został w samochodzie. – Otworzysz sam czy mam ci pomóc?

– Myślisz, że nie dam rady? Na pewno trochę wyszedłem z wprawy, ale nie jest jeszcze ze mną tak źle, żeby mnie byle łucznik pokonał.

Koziniec wyjął z kieszeni pęk wytrychów, po namyśle wybrał dwa i przymierzył się do zamka. Wsunąwszy grubszy w górną część otworu, poruszył nim w obie strony, później sięgnął po cieńszy i umieścił go w dolnej części.

– No, Doktor, niezły jesteś. – W głosie Szpili słychać było niekłamany podziw. – Po takiej przerwie przypasować do strzału to trzeba mieć talent.

– Jeszcze nie otworzyłem.

Bartłomiej delikatnie poruszył dolnym wytrychem. Zamek stawiał opór. Mężczyzna zwiększył lekko nacisk, potem trochę mocniej i nagle rozległo się charakterystyczne szczęknięcie. Furtka stanęła otworem.

– Ożeż w mordę! Aż żal, że tak się marnujesz. Powiedz, Doktor, nigdy cię nie korciło, żeby wrócić?

– Nie korciło – brzmiała odpowiedź. – Do tej pory. Bo właśnie zaczęło. Ale pogadamy za parę dni, jak już ustawię młodego.

– Przyjedźcie do mnie – zaproponował Szpila. – Pomogę ci go naprostować, a potem zaplanujemy coś razem.

Bartłomiej zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Zobaczmy – rzekł w końcu. – Wszystko zależy od tego, jak Teodor wytłumaczy swoje zachowanie. Wracaj do domu, bracie, w razie czego przyjedziemy taryfą.

Doktor sam wie, co powinien robić, niepotrzebne mu moje nauki. Do takiego wniosku doszedł Szpila i skierował się w stronę samochodu, podczas gdy Koziniec zamknął za sobą furtkę, po czym ruszył wydeptaną w śniegu wąską ścieżką ku domowi.

Rozdział 5

Zabójczy film

21 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Bartłomiej zadzwonił do drzwi, raz, drugi, potem trzeci, cały czas z takim samym skutkiem. Nikt nie otworzył, a ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu, tymczasem nie dalej jak kilka minut temu ten młodziak od Szpili zapewniał, że widział tam blondyna o dziewczynskiej urodzie. Pumeks na pewno nie kłamał, bałby się oszukiwać szefa, pozostało zatem tylko jedno wyjaśnienie – Teodor nie otwierał celowo.

Boi się, gnojek – pomyślał Koziniec z satysfakcją.

Po raz drugi tego samego dnia wyjął pęk wytrychów i choć tutaj nie poszło mu tak łatwo, bo właściciel zainwestował w zamek z najwyższej półki, po pięciu minutach znalazł się w środku. Natychmiast zorientował się, że jego domysły były słuszne, z głębi domu bowiem dobiegały czyjeś głosy. Szybko, lecz bezszelestnie poszedł w kierunku źródła dźwięku, który teraz wyraźnie się zmienił, niezrozumiałe słowa zagłuszały czyjeś jęki i głośny, spazmatyczny oddech. Doszedłszy do wniosku, że Teodorowi musiało coś się stać, przyspieszył jeszcze i po kilku krokach wpadł do salonu. Potem dosłownie wrósł w ziemię.

Jego własny syn siedział odchyłony na oparcie sofy i z zapamiętaniem przesuwiał dłonią po obnażonym członku, spoglądając jednocześnie spod współprzymkniętych powiek na ekran telewizora, gdzie dwóch chłopaków wzajemnie się masturbowało. Naraz wyższy z nich uklęknął i zbliżył usta do penisa partnera. Na widok rozkoszy na twarzy

stojącego Bartłomiej wstrząsnął się z obrzydzenia. Czegoś równie ohydneho dotąd nie widział, nie podejrzewał nawet istnienia podobnych filmów, a tymczasem Teodor nie tylko je oglądał, ale nawet się nimi podniecał. Jego własny syn jęczał i sapał, oglądając dwóch pedałów!

– Teodor!

Ryk mógłby obudzić umarłego, lecz chłopak jakby nie usłyszał. Zerwał się z sofy i nie zważając na majtki płaczące się wokół kostki, podbiegł do ekranu. Tam właśnie nastąpiła zmiana, teraz ten niższy klęczał, wyższy natomiast sapał głośno, rozdziawiając szeroko pełne spermy usta. Bartłomiej zobaczył, jak syn dotyka penisem tych rozwartych warg, i targnął nim wstręt, jednocześnie zaś poczuł wściekłość. Szarpnięciem za ramię zwrócił w swoją stronę półprzytomnego z rozkoszy chłopaka, który nawet teraz nadal się masturbował, synchronizując swoje jęki z odgłosami z telewizora.

– Przestań, ty zboczeńcu! Słyszysz!? Przestań natychmiast!

Nawet jeśli Teodor usłyszał wrzaski ojca, nie mógł już przestać. Właśnie szczytował z triumfalnym krzykiem spełnienia, tryskając nasieniem na stojącego przed nim Bartłomieja. Ten nie od razu się zorientował, skąd wzięła się ciecz oblepiająca mu dłonie i odznaczająca się bielą na czarnym flauszu płaszcza.

Nagle pojął, co się stało, i żołądek podszedł mu do gardła, przez moment bowiem poczuł się, jakby uczestniczył w akcie podobnym temu, jaki rozgrywał się na ekranie, gdzie bohaterowie całowali się teraz namiętnie, zlizując spływającą po brodach spermę. Oczy zasnuła mu czerwona mgła, dłoń sama zwinęła się w pięść.

Straszliwe uderzenie dosięgło chłopaka w chwili, gdy z wolna wracał do siebie po przeżytym uniesieniu. Nie całkiem jeszcze świadomy, nie miał szans uniknąć ciosu czy chociażby się zasłonić. Twardy kułak trafił go prosto w usta i wybijając dwa zęby, miotnął nim niczym szmacianą lalkę na stojący w rogu kominek. Teodor uderzył głową o obudowę, potem wolno osunął się na podłogę i znieruchomiał.

Bartłomiej znieruchomiał także. Spoglądał tępo na leżącego, na krwawy ślad rozmazany na kremowym marmurze, wreszcie na wypływającą spod głowy ciemnoczerwoną ciecz, i dość długo trwało, nim zrozumiał, co właśnie zrobił. Wtedy pojawiła się panika. Pędem

ruszył w stronę drzwi, chcąc jak najszybciej stąd zniknąć, i dopiero na widok aparatu telefonicznego wrócił mu rozsądek. Czym prędzej zadzwonił do Szpili.

– Przed chwilą zabiłem swojego syna – oznajmił bez wstępów. – Potrzebuję twojej pomocy. Możesz przyjechać?

– O kurwa. – W słuchawce nastąpiła chwila ciszy, po niej padły oczekiwane słowa: – No nic, zdarza się. Czekać na mnie przy wjeździe na ulicę, będę za dziesięć minut. Nie panikuj, jakoś ogarniemy ten bajzel.

Czas oczekiwania Bartłomiej spędził, paląc papierosa za papierosem. Nie wstydził się, że poprosił o pomoc, kwestia prestiżu nagle przestała go obchodzić. Był wszak złodziejem, nie mordercą.

Szpila dotrzymał słowa. Pojawił się o czasie i najpierw zażyczył sobie relacji z przebiegu zdarzenia. Słuchał w milczeniu i nawet okiem nie mrugnął na wieść o upodobaniach Teodora, co wzbudziło w Bartłomieju pewne podejrzenia.

– Wiedziałeś! – zawołał oskarżycielskim tonem. – Czemu mnie nie uprzedziłeś?

– A ty byś na pewno mi uwierzył! Poza tym jak byś się poczuł?

Miał rację, homoseksualista w najbliższej rodzinie to w myśl ich niepisanego kodeksu tylko trochę mniejsza hańba dla nazwiska niż cwel.

– Też prawda, zresztą niczego by to nie zmieniło. Gdybym to odkrył wcześniej, może byłaby szansa wybić mu zboczenie z głowy, ale teraz?

Szpila skinieniem głowy skwitował wypowiedź Kozińca, dając tym do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty.

– Teraz pójde posprzątać, a ty weź taryfę i jedź do domu. Tu masz klucze. I nie myśl o nim więcej, bo i tak mu nie pomożesz. Ważne, że uratowałeś honor, nikt nie będzie robić z ciebie podśmiejek.

– Pójdziesz sam? Dasz radę?

Bartłomiej spojrzał z niepokojem na mikrą posturę towarzysza, ten jednakże wydawał się pewny swego.

– Nie bój żaby, szpilka wszędzie się zmieści – nawiązał do swojego przezwiska. – Poza tym nie będę sam, Pumeks mi pomoże.

– Przecież go tu nie ma!

- Ma zaraz przyjechać. Spokojnie, Doktor, obiecałem, że ładnie posprzątam. Lepiej powiedz, czego tam dotykałeś?

Po krótkim zastanowieniu Bartłomiej wyszczególnił newralgiczne punkty – na szczęście nie było ich zbyt wiele, ograniczały się do drzwi wejściowych i aparatu telefonicznego. Szpila skinął głową i ruszył w stronę posesji prokuratora, Koziniec zaś w stronę przeciwną, na najbliższy postój taksówek. Wbrew obawom kolegi nie czuł wyrzutów sumienia, a jedynie ulgę, że nie będzie musiał świecić oczami za Teodora. Hańba została zmaszana.

Niestety wszystko ma swój kres i nieuchronnie nadszedł nowy tydzień, a wraz z nim konieczność udania się do szkoły. Dziewczyna drżała na samą myśl o ponownym spotkaniu z babką, lecz gdy mijały dni, a Graczykowa się nie pojawiła, Apolonia uwierzyła, że to już koniec udręki. Widocznie babka zrozumiała, że niczego nie wskóra.

Tym większym więc zaskoczeniem był widok Graczykowej czekającej w czwartek w pewnym oddaleniu od szkoły. Lońka dojrzała ją zbyt późno, by móc niepostrzeżenie się wycofać, a reakcja kobiety świadczyła, że ona także zauważyła wnuczkę, natychmiast bowiem ruszyła w jej kierunku. Dziewczyna stała jakiś czas jak wmurowana i tym sposobem straciła cenne sekundy, w końcu jednak odzyskała zdolność ruchu i rzuciła się w stronę najbliższej uliczki. Po przebiegnięciu kilkunastu metrów obejrzała się z lękiem, na szczęście babka została w tyle, nie mając najmniejszych szans dopędzić zwinnej, wysportowanej nastolatki.

Wąska uliczka, na całej długości odseparowana płotami od przydomowych ogródków, okazała się dojazdem do posesji i kończyła się kolejnym płotem, za którym znajdował się nowy, spory budynek. Spanikowana Lońka przez kilka minut stała bezradna z kompletną pustką w głowie, nie wiedząc, co mogłaby zrobić, by uniknąć kolejnej konfrontacji. Graczykowa nie zrezygnowała z pogoni, była coraz bliżej. Już tylko dwa metry dzieliły ją od wnuczki, gdy przystanęła i wydarła się na całą ulicę:

– Powiedz temu chujowi Norbertowi, że wiem, kto jest twoim ojcem. Dojdę do tego, gdzie mieszkacie, i narobię mu wstydu na całą okolicę, chyba że dostanę milion złotych. Słyszysz, ty mała kurwo? Milion albo powiem wszystko!

Słowa nie były w stanie zranić Apolonii; słyszane wiele razy, zbyt zapadły w pamięć, by mogły teraz wywrzeć jakieś wrażenie. Co innego oczy. Szalone, pełne nienawiści, przeraziły dziewczynę do tego stopnia, że w panice rzuciła się w stronę ogrodzenia i zaczęła się wspinać po siatce. Strach dodał jej sił; sama nie wiedziała, jakim sposobem zdołała osiągnąć szczyt, tym bardziej że babka również dopadła płotu.

Szarpała go zaciekle, usiłując za wszelką cenę stracić wnuczkę. Lońka zwinnie przełożyła nogi na drugą stronę i zeskoczyła, po czym pognęła w stronę rosnących na działce drzew owocowych, byle dalej od tej potwornej staruchy. Nieduży sad kończył się przy następnym płocie, na szczęście dużo niższym. Apolonia właśnie zamierzała wspiąć się na niego, gdy od strony domu doszedł ją męski głos:

– Słyszałeś?

– Niby co? – spytał drugi. – Zdawało ci się.

– Wcale nie – upierał się pierwszy. – Jakaś baba wrzeszczała. Słyszałem wyraźnie kobiecy krzyk. Lepiej pójdę sprawdzić...

– Kurwa mać! – zdenerwował się drugi. – Myślisz, że widziała?

– Raczej nie, przecież furтка jest zamknięta. – W głosie mężczyzny brzmiała jednak nutka powątpiewania. – Jestem pewien, że zamknąłem za tobą, ale lepiej sprawdzę.

– Idę z tobą – zdecydował drugi z mężczyzn. – Jestem pewien, że zamknąłem – przedrzeźniał ze złością. – Że też Bóg musiał mnie pokarać takim debilem! Miałeś zrobić tylko jedno i nawet to musiałeś spierdolić! Nie będę ryzykować, kary śmierci jeszcze nie zniesiono, a jeden trup czy dwa to już żadna różnica.

Lońka usłyszała dość, by zrozumieć, że mężczyźni dopuścili się jakiegoś strasznego czynu. *Chyba kogoś zabili, bo mówili o trupie, a teraz planowali pozbyć się przypadkowego świadka. Co robić? –* zastanawiała się gorączkowo, spoglądając w panice na odcisnięte w śniegu wyraźne ślady własnych stóp. Oceniała wzrokiem odległość dzielącą ją od niewielkiego budynku gospodarczego i postanowiła

zaryzykować. To była jej jedyna szansa. Jeśli będzie dość szybka, przebiegnie na wydeptaną przez domowników ścieżkę i ruszy nią w stronę szopki, a pod jej osłoną przejdzie przez płot i zeskoczy na ulicę. Uda się, musi się udać!

Rzeczywiście zdołała skryć się za budynkiem gospodarczym, ale końcówka planu okazała się niewykonalna. Za płotem nie znajdowała się ulica, lecz następna posesja, a na nieskalanej bieli śniegu ślady stóp natychmiast rzuciłyby się w oczy. Musiała przedostać się na tyły domu mieszkalnego, czyli tam, gdzie przed chwilą rozmawiali ci dwaj. Ostrożnie ruszyła wzdłuż bocznej ściany, zaklinając w duchu los, by sprawił, że mężczyźni dojdą aż do końca posesji, zanim zawrócą i ją zobaczą. Tu jednak szczęście ją opuściło.

– Ej, szefie, widzę świeże ślady! – usłyszała głos jednego z mężczyzn. – Jednak, kurwa, ktoś tu wlaźł. Trzeba go poszukać i uciszyć.

Apolonia przyłgnęła do cienkiego pnia jakiegoś drzewka i obejrzała się przez ramię. Spoglądający na tropy był niewysoki, szczupły i chyba niezbyt młody. Z tej odległości nie widziała dobrze rysów twarzy, ale miała niemal całkowitą pewność, że przekroczył już czterdziestkę. Drugi natomiast, dużo wyższy i zwalisty, z pokiereszowaną prawą stroną twarzy, bardziej przypominał ogromne monstrum niż człowieka. Rozglądał się uważnie, a gdy odwrócił głowę, wystawiając w jej stronę niezdeformowany policzek, oceniła, że wyglądał na jakieś dwadzieścia kilka lat.

– Furtka jest zamknięta – powiedział z wyraźną satysfakcją. – Widzisz? Ta pizda przelazła przez siatkę.

– Pewnie schowała się za szopką – zawyrokował starszy. – Chodźmy, trzeba dorwać tę cholerną babę.

Lońka odetchnęła z ulgą i gdy tylko zniknęli jej z oczu, rozejrzała się czujnie, po czym pobiegła w stronę podwórza. Na szczęście nikogo tam nie było, jedyne, co zobaczyła, to stojący na wprost tylnych drzwi bałwan. Minęła go w pędzie, dopadła żywopłotu odgradzającego posesję od ciekawskich oczu przechodniów, a na widok znajomego otoczenia z jej piersi wydobyło się kolejne dziękczynne westchnienie.

Teraz pozostało jedynie przedrzeć się przez tworzący zwartą masę, kolczasty niczym zeriba żywopłot, by dostać się do siatki. Tuż za nią

znajdował się normalny świat, bez wygrażającej jej wariatki i przede wszystkim bez tych dwóch podejrzanych osobników, mających zapewne sporo na sumieniu.

Po kilkunastu krokach doszła do rogu posesji i dopiero tam znalazła w zwartym i niestety bardzo rozrośniętym żywopłocie niedużą lukę. Wprawdzie za wąską, by mogła przejść tamtędy bez narażenia kurtki na szwank, co jednak znaczyło zniszczone okrycie w porównaniu z możliwością wydostania się z pułapki? Gorzej, że owa szczelina znajdowała się w miejscu, gdzie ogrodzenie zostało wzmocnione pionowymi prętami, tworzącymi w szczycie coś na kształt częstokołu. Wydawało się niemożliwe do pokonania. Drugiego przejścia jednakże nie było i Lońka nie widziała innej możliwości wydostania się z pułapki, jak przejść tamtędy i wrócić się do punktu, gdzie zaczynała się zwykła siatka.

Zanim zagłębiła się w żywopłot, spojrzała za siebie, by sprawdzić, czy tamci nie nadchodzą. Nie dojrzała żadnego ruchu, zobaczyła natomiast coś innego, a widok był tak straszny, że nie zdołała powstrzymać okrzyku przerażenia. Bezwiednie zrobiła dwa kroki do tyłu, nadziała się udem na ostrą gałązkę żywopłotu i znowu wrzasnęła, przeświadczona, że to ci dwaj wreszcie ją znaleźli i dźgnęli nożem. W tej samej chwili usłyszała dochodzące od strony domu podekscytowane głosy prześladowców:

- Tam jest! - Młodszy wskazywał palcem kierunek. - Widzisz ją?
- To łap ją, durniu, na co czekasz? - odpowiedział starszy.

Sam także ruszył w stronę Apolonii i to wreszcie wyrwało ją z odrętwienia. Zrobiła błyskawiczny zwrot i zaczęła się przedzierać przez żywopłot. Słyszała trzask rozdieranego materiału, jakaś gałąź smagnęła ją w policzek, o milimetry mijając oko, ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia. *Muszę zdążyć przed nimi* - powtarzała sobie w myślach. *Muszę wrócić do domu i powiedzieć tacie. On pomoże, zna się na tym...* W obawie przed utratą wzroku parła teraz naprzód z zamkniętymi oczami, dopóki coś nie zagrodziło jej drogi.

Uniosła powieki i aż jęknęła, gdy jej oczom ukazała się siatka wzmocniona stalowymi prętami. *Cholera jasna, doszłam do drugiego końca!* Czym prędzej zawróciła, na szczęście z tej strony częstokół nie

sięgał tak daleko i po kilku krokach natrafiła na normalną siatkę, prześladowcy natomiast poszli w przeciwny róg. Zyskała tym samym trochę przewagi, co natychmiast wykorzystała i zaczęła się wspinać. Tym razem wydawało się trudniej – pokaleczone ostrymi gałęziami dłonie krwawiły i piekły tak dotkliwie, że palce odmawiały posłuszeństwa, przez co chwyt nie był zbyt silny.

Jeszcze tylko kawałek – powtarzała sobie w myślach, gdy kolejny raz czubek buta ześlizgnął się z niedającego porządnego podparcia oczka siatki i Apolonia zawisła na zmaltretowanych dłoniach. Paradoksalnie w pokonaniu ogrodzenia pomogli jej prześladowcy, gdy bowiem zobaczyła młodszego, zbliżającego się coraz bardziej, nabrała nowych sił i już wkrótce osiągnęła szczyt. Mężczyzna zauważył to i zrozumiał, że ofiara wymknie mu się z rąk. Zrezygnowawszy z niemającej szans powodzenia pogoni, przystanął w miejscu i wrzasnął:

– Wiem, jak wyglądasz, gówniaro! Udało ci się uciec, ale spróbuj tylko pisnąć słowo o tym, co tu widziałas, a nie dożyjesz wieczora. Twoja rodzina też zginie. Słyszysz, smarkulo? Tatuś dostanie kulkę w łeb, a z mamusią najpierw się zabawimy. Na pewno...

Przycupnęła okrakiem na szczycie płotu, wsłuchana w jego głos niczym kobra w monotony zaśpiew fakira. Sparaliżowana strachem, nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu i gdyby teraz podszedł bliżej, mógłby bez większego wysiłku ściągnąć ją z płotu. Ale on tego nie zrobił, tylko mówił, mówił, mówił... Kiedyś jednak musiał zaczerpnąć powietrza, a gdy to zrobił, podczas owej króciutkiej przerwy, uszy dziewczyny zarejestrowały inny dźwięk i wtedy pojęła przyczynę dziwnego słowotoku młodszego z mężczyzn. Był nią odgłos zapuszczanego silnika. A więc tak to sobie zaplanowali!

Nie czekała dłużej. Zeskoczyła na ziemię, zagłuszając resztę słów, upadła przy tym na kolana, lecz zaraz się poderwała i pobiegła w górę ulicy, cały czas nasłuchując, czy nie usłyszy nadjeżdżającego samochodu. W głowie kołatała jej jedna jedyna myśl: *Oni nie mogą się dowiedzieć, gdzie mieszkam!*

Zanim Apolonia dotarła do ulicy Malowany Dworek, kilka razy musiała się ukryć za stojącym na poboczu pojazdem lub przyłgnąć ciasno do pnia drzewa, by nie zauważono jej z poruszającego się powoli

samochodu. Jednak tylko jedno auto wzbudziło jej podejrzenia. Jechało zbyt wolno nawet jak na fatalny stan nieodśnieżonej jezdni, a kierowca wyraźnie rozglądał się po poboczu zamiast patrzeć na drogę.

W dodatku stary ford taunus miał tablicę rejestracyjną do tego stopnia zachlapaną błotem, że nie dało się odczytać ani jednego znaku. Było to bardzo zastanawiające i podejrzane zjawisko, zważywszy, że jasnoniebieskiej karoserii nie szpeciła ani jedna smuga brudu. Gdy tylko zniknął za zakrętem, Lońka wychynęła zza zdezelowanego dostawczaka i znów pobiegła przed siebie, czujna niczym zwierzątko gotowe czmychnąć na najcichszy nawet szelest.

Miała wrażenie, że wszystkie złe moce sprzysięgły się dzisiaj przeciwko niej. Najpierw babka i ślepa uliczka, później mordercy i żywopłotowa pułapka, a teraz wichura. Ta ostatnia pojawiła się bez ostrzeżenia, choć jeszcze przed chwilą nic nie zwiastowało kataklizmu. Świeciło słońce, krzesząc srebrne iskierki na pokrytych śnieżną bielą gałęziach drzew i tylko od czasu do czasu zasłaniał je jakiś mały obłoczek.

Ogromna czarna chmura pojawiła się znikąd. Błyskawicznie połknęła słońce i świat nagle pograżył się w półmroku. Gwałtowna zawierucha utrudniała widzenie i tak skutecznie tłumiła wszelkie dźwięki, że Apolonia słyszała tylko głośnie wycie wiatru. Co rusz zgarniała z twarzy śnieżną maskę i wyteżała wzrok, lecz widoczność była prawie zerowa. Jedynym pocieszeniem było, że jeśli ona nie widzi dalej niż na pół metra, kierowca taunusa musi być równie bezradny. Tylko idiota gapiłby się na pobocze zamiast pilnować drogi.

Nieco uspokojona parła naprzód i właściwie graniczyło z cudem, że w ogóle go dojrzała w tej kurzawie; zawdzięczała to gwałtownemu porywowi wiatru, który rzucił ją na stojącego przy krawężniku malucha. Lońka upadła na maskę i nie bardzo pojmując, co się stało, na chwilę zastygła w tej pozycji. Potem szybko rozejrzała się dookoła w obawie, że zaraz pojawi się właściciel i zrobi jej kosmiczną awanturę, i wtedy zobaczyła mijającego ją taunusa. Znów zastygła w bezruchu, nie chcąc przyciągnąć uwagi kierowcy.

Wiatr ponownie zmienił kierunek, dzięki czemu przez moment wyraźnie widziała pochylonego do przodu mężczyznę z twarzą niemal

przyklejoną do szyby. Pojechał dalej, nie zwróciwszy na nią uwagi, i nie minęło więcej niż kilkanaście sekund, jak zniknął w gęstym тумanie śniegu, niesionym kolejnym powiewem. Apolonia z wolna odkleiła się od maski malucha i na drżących nogach ruszyła w stronę domu.

Teraz nie musiała się już ukrywać, ale co dalej? Nie mogła przecież w ogóle nie wychodzić z domu. Rodzice nie uwierzą w długotrwałą chorobę, zresztą przyrzekła sobie ich nie okłamywać. A przynajmniej nie wprost. Owszem, zdarzało jej się zataić coś bądź nie zaprzeczać, gdy błędnie interpretowali jakąś sytuację, ale nigdy dotąd nie powiedziała nieprawdy i nie zamierzała tego zmieniać. Należało znaleźć inne wyjście.

Nawet nie podejrzewała, że wszystkie te perypetie zabrały tyle czasu, okazało się jednak, że do domu dotarła jako ostatnia.

– Dobrze, że jesteś.

Wyraźnie przestraszona Inga przytuliła ją mocno, po czym pomogła zdjąć przemoczoną kurtkę. Norbert także wyglądał na zaniepokojonego, choć zazwyczaj daleko lepiej umiał maskować swoje uczucia.

– Właśnie miałem zacząć cię szukać. Dawno nie widziałem takiej zawieruchy, ostatni raz chyba w siedemdziesiątym dziewiątym podczas zimy stulecia.

– Już myślałam, że nigdy nie dojdę do domu – pożaliła się Apolonia.

Zdrętwiałe wargi z trudem wypowiadały słowa, ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze, wywołane nie tylko warunkami atmosferycznymi. Spadek napędzającej ją adrenaliny również się do tego przyczynił. Opowiadając o swoim strachu, miała na myśli także groźby wykrzyczane przez młodszego z mężczyzn oraz tego drugiego, który ścigał ją samochodem, o tym wszelako nie zamierzała wspomnieć.

– Rany boskie, dziecko! Co ci się stało? – zawołała naraz Inga z przerażeniem.

Właśnie zobaczyła pokancerowane dłonie przybranej córki, których ta nie zdążyła ukryć za plecami. Zaalarmowany jej okrzykiem Norbert natychmiast powiódł wzrokiem za spojrzaniem żony.

– Wygląda to tak, jakbyś chciała złapać gołymi rękami wyjątkowo nieprzyjaznego kota, ale zakładam, że przyczyna tych zadrapań jednak jest inna. Kot czy inny zwierzak nie ograniczyłby się wyłącznie do dłoni.

– Wpadłam na płot – odpowiedziała oględnie, a gdy po minach przybranych rodziców zorientowała się, że wyjaśnienie ich nie usatysfakcjonowało, odrobinę je rozwinęła. – Wiatr mnie na niego pchnął i chciałam się go przytrzymać. Był z siatki, a ja akurat pechowo trafiłam na miejsce, gdzie dwie końcówki zachodziły na siebie.

Tłumaczenie najwyraźniej ich zadowoliło, bo już bez dalszych pytań Inga zdezynfekowała jej dłonie i nałożyła opatrunki na najgłębsze rany.

Apolonia zjadła trochę gorącej zupy, z trudem zmuszając się do jej przełknięcia. W końcu skapitulowała i odłożyła łyżkę. Napotkała pytające spojrzenie Ingi i zapragnęła z całych sił przytulić się do niej i wyznać wszystko, zrzucić z siebie odpowiedzialność i pozwolić, by rodzice zajęli się problemem. Niestety miała związane ręce.

– Już nie mogę.

Jej słowa znowu miały podwójne znaczenie. Nie mogła zwierzyć się z kłopotów, bo gdyby opowiedziała o tym, co zobaczyła w tamtym ogrodzie, musiałyby również podać powód, dla którego się tam znalazła, a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Opieka nad nią kosztowała ich już zbyt wiele, dziewczyna nie mogła im dokładać kolejnej zgrzyoty.

– Gdzie Martynka? – sprytnie zmieniła temat, zauważyła bowiem, że Norbert także bacznie jej się przygląda.

– Śpi – odpowiedziała Inga. – Wychowawczyni mówiła, że zabrała dzieciaki do ogrodu, gdzie stoczyły regularną bitwę w śnieżki, a potem ulepiły bałwana. Nic dziwnego, że mała padła już w samochodzie.

Na dźwięk słowa „bałwan” Apolonię przeszedł kolejny dreszcz.

– Dalej mi zimno. Chyba też się położę i spróbuję zasnąć.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z kuchni. Na łzy pozwoliła sobie dopiero w swoim pokoju, gdy przykryta kołdrą po uszy wtuliła twarz w poduszkę. Płacz pozwolił odrobinę rozładować napięcie, jednak rozwiązanie problemu nie przyniósł.

W tym pomogli dopiero rodzice, całkiem nieświadomie zresztą, gdyż dziewczyna nadal nic im nie powiedziała. Akurat szykowała kolację, gdy Inga ponownie poruszyła wałkowany już wielokrotnie temat:

– Uważamy, że powinnaś jednak wyjechać gdzieś na ferie. Wszyscy twoi koledzy jadą na obozy albo z rodzicami na wczasy...

– Wcale nie wszyscy – zaprotestowała żywo. – Kaśka zostaje w domu, Łukasz tak samo, Agnieszka chyba też.

– Lońka, nie kombinuj – odezwał się wyraźnie rozbawiony Norbert. – Kaśka leży w szpitalu po operacji wyrostka, a Agnieszka ma złamaną nogę. Moim zdaniem dość trudno byłoby im wyjeżdżać, ale co ja tam wiem...

Nie poddała się, gotowa bronić swojego zdania wbrew wszelkim argumentom.

– Za to Łukasz jest zdrowy, a mimo to zostaje w Bielsku.

– Jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Ponieważ jego uwaga nie wywarła na dziewczynie żadnego wrażenia, Norbert spojrzął bezradnie na Ingę, która natychmiast wzięła na siebie ciężar rozmowy, by poznać źródła niechęci przybranej córki do zorganizowanej formy wypoczynku.

– Nie chcesz jechać na obóz czy w ogóle wyjeżdżać z domu?

Przyparta do muru Apolonia milczała ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Inga odczekała jakiś czas, nim ponownie się odezwała, tym razem ze smutkiem:

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami i że możemy o wszystkim szczerze rozmawiać, ale widzę, że się omyliłam. Szkoda.

Dziewczyna zerknęła na nią z ukosa. Zobaczyła rozczarowanie w zielonych oczach przybranej matki i to było więcej, aniżeli mogła znieść.

– Nie mogę jechać, bo dobrze wiem, że nie macie na to pieniędzy! – Głos jej się załamywał, co raz przechodził w szloch, mimo to mówiła dalej, chcąc wyrzucić z siebie przynajmniej tę jedną gnębiącą ją od dawna troskę: – Nie chcę być dla was ciężarem, wystarczy, że płacicie za moje ubrania, za obiady w szkole...

Reszta słów utonęła w niepohamowanym płaczu. Wyraźnie wstrząśnięta Inga poparzyła na męża, równie zszokowanego jak ona.

– Lońka, czy ty oszalałaś? – Norbert pierwszy otrząsnął się ze zdumienia. – Jakim ciężarem? O czym ty mówisz?

– Nie jestem waszym dzieckiem, wzięliście mnie z musu...

Inga także zdążyła już dojść do siebie i teraz starała się jakoś uporządkować chaotyczne wyznania przybranej córki.

– Z musu? Skąd naraz taki pomysł? Opowiadaliśmy ci przecież, jak to było. O tym, że zobaczyłam cię na cmentarzu...

– Pamiętam – przerwała jej Apolonia. – Ale tata musiał dać babce pieniądze, żeby zrezygnowała z opieki.

Ku jej zaskoczeniu Norbert się roześmiał.

– Przed chwilą powiedziałaś, że wzięliśmy cię z musu – przypomniał. – Czyli co? Zapłaciłem za coś, czego nie chciałem?

– Nie to miałam na myśli – zdenerwowała się. – Chodzi mi o to, że nikt inny mnie nie chciał, a wy wiedzieliście, jak bardzo źle mi u babki. Dlatego uznaliście, że nie macie innego wyjścia. Czyli wyszło na moje.

Dość długo trwało, nim dała się przekonać, że jej obawy są wyssane z palca. Potem aż do wieczora bawiła się z młodszą o dziesięć lat siostrą, która tak naprawdę była jej kuzynką. *Ciekawe* – rozmyślała – *czy ktoś inny ma tak samo skomplikowaną sytuację rodzinną*. Martynka jednakże nie pozwoliła jej na zgłębienie tego tematu; pełna energii istotka do tego stopnia zaabsorbowała dziewczynę, że nie wiadomo kiedy nastał wieczór.

Rozdział 6

Skumulowany pech

21 stycznia 1993, gdzieś w Polsce

– Nie pijany, tylko wypity! – odpowiedział Józef Pruchnol z godnością.

Supozycję, jakoby nadużył alkoholu do tego stopnia, by zasłużyć na miano pijanego, odebrał jako osobistą obrazę. Tej nocy miał wszak trzecią zmianę, a od czasu, kiedy przyszło NOWE, pił w pracy tyle co nic. Pół litra na trzech nie było warte nawet wzmianki, a ci tutaj usiłowali zrobić z niego jakiegoś nałogowca.

Policjanci wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Pruchnol już chciał znów się oburzyć, gdy młodszy stopniem funkcjonariusz mruknął polubownie:

– Niepotrzebnie się go czepiasz. Nieważne, że trochę wypił. Nie jest nieprzytomny, więc chyba wie, co mówi.

– No dobra – odpowiedział po krótkim namyśle sierżant, którego nazwiska Pruchnol nie zapamiętał. – Zgłosił pan zabójstwo. Gdzie są zwłoki i skąd pewność, że ten człowiek nie umarł sam z siebie?

Zapytany zachnął się, potem wyprostował niezbyt imponującą postać, by móc przynajmniej we własnym mniemaniu spojrzeć na policjanta z góry.

– A gdzie mają być? W mieszkaniu leżą, po bloku przecież chodzić nie będą. I to nie żaden człowiek jest, ino kobita!

Na to zaskakujące sprostowanie młodziutki posterunkowy parsknął urywanym śmiechem. Sierżant próbował zganić go wzrokiem, lecz jemu także zadrżały wargi. Z wyraźnym wysiłkiem zachował powagę.

– A kobieta to nie człowiek?

W jego głosie brzmiała niekłamana ciekawość. Pruchnol wzruszył ramionami, zaburzając nieco tym samym niezbyt stabilną równowagę. Rzuciło nim lekko na ścianę, lecz zaprawiony w bojach mężczyzna odbił się od niej ramieniem z miną oznaczającą „nie ze mną takie numery” i wróciwszy swobodnie do pionu, odparł z głębokim przekonaniem:

– Jakby kobita była człowiekiem, toby się mówiło „ta człowiek”, a nie „ten człowiek”. Kobita to kobita, i już.

Wobec takiej argumentacji policjanci darowali sobie polemikę, przeszli natomiast do kwestii dużo istotniejszej:

– Skąd pan się wziął w cudzym mieszkaniu? Bo ten trup to chyba nie u pana...?

Surowy ton sierżanta nie zrobił na znalazcy zwłok najmniejszego wrażenia, a przynajmniej nie takie, na jakie liczył funkcjonariusz. Zamiast się wystraszyć, Józef Pruchnol zapłonął świętym oburzeniem.

– Jakie u mnie?! Panie, co mi pan tu będzie amputował! W swoim mieszkaniu bidulka leży, cała we krwi, i nóż ma wbity w gardło. Cała kuchnia zasyfiona, wszystko porozwalane... Kto to teraz posprząta? – zafrasował się zupełnie bez sensu.

Zapadła cisza.

Pruchnol milczał, bo nie miał nic więcej do powiedzenia. Tak naprawdę mógłby opowiedzieć o życiu sąsiadki całkiem sporo, ale nadal tkwił w nim głęboko uraz do milicji, powstały w czasach nie tak znów odległych, gdy nie tylko za sprawą działalności opozycyjnej bywał na komisariacie częstym gościem. Teraz co prawda nie było już milicji, ale jak miał zaufać funkcjonariuszom, kiedy z napisem „Policja” na mundurach paradowali ci sami ludzie?

Sierżant milczał również, porażony insynuacją, jakoby miał coś komuś amputować. Czyżby ten drobny złodziejaszek, z uporem maniaka dorabiający do swoich wyczynów patriotyczną ideologię, chciał się teraz zemścić, pomawiając ich o bezprzykładną brutalność? Takie działanie wcale nie byłoby skazane z góry na niepowodzenie – z każdym dniem rosła liczba ludzi twierdzących, że należeli do grona opozycjonistów, a tortury, jakie wedle ich słów zadawano na komisariatach, mogły przebić nawet te, z których słynęła Święta

Inkwizycja. Najstraszniejsze zaś było, że nikt nie próbował weryfikować owych informacji i przyjmowano na wiarę największe nawet brednie, zatem równie dobrze ludzie mogliby uwierzyć także Pruchnowi.

Posterunkowy milczał zaś, nie chcąc wychodzić przed szereg. Minęły dopiero dwa miesiące, odkąd ukończył tak zwaną szkółkę, jak potocznie określano szkolenie podstawowe. Miał przed sobą jeszcze dość długą drogę, nim stanie się pełnoprawnym policjantem, dlatego wolał się nie wychylać. Gdy jednak cisza się przedłużała, przyszło mu do głowy, że sierżant milczy celowo, bo chce sprawdzić przydatność podopiecznego do służby. To miało sens, podobnie jak wysyłanie młodego narybku do oddziałów prewencji. Ulica najlepiej ich zweryfikuje, wykaże, czy nadają się do tej roboty.

Młody policjant postanowił zaryzykować. Wziął głęboki wdech i polecił nadmiernie służbowym tonem:

– Proszę nas zaprowadzić do tego mieszkania.

Jego głos podziałał na tamtych niczym czarodziejskie zaklęcie budzące pogrążonych w długoletnim śnie. Pruchnol skinął głową i skierował się w stronę klatki schodowej, a nim posterunkowy zdążył ruszyć za nim, wyprzedził go sierżant, do tej pory wpatrzony bezmyślnie w ścianę sąsiedniego budynku, przyozdobioną napisami, z których jedynym niezawierającym nieprzyzwoitych wyrazów był: „Będę księdzem jak mój ojciec”.

Weszli na czwarte piętro. Tam Pruchnol poprowadził ich w lewo, gdzie zaopatrzone w domofon drzwi oddzielały mieszkania od klatki schodowej. Otworzył je kluczem i podszedł do następnych, nie próbował jednak nawet ich dotknąć.

– To tutaj.

Głos miał dziwnie zdławiony. Sierżant rzucił okiem na jego pobladałą nagle twarz i szybko nakazał:

– Pan zostanie na zewnątrz.

Józef Pruchnol nie czekał długo. Po niespełna pięciu minutach policjanci opuścili zasiedlone zwłokami mieszkanie i stanęli po obu stronach drzwi niczym wartownicy strzegący wejścia do pałacu. Pruchnowi pozwolili pójść do domu, z czego skrzętnie skorzystał. Senność po nocce co prawda minęła mu w chwili, gdy zobaczył leżącą

w kałuży krwi sąsiadkę, ale teraz zaczęło męczyć go pragnienie. To kac morderca dawał znać o sobie.

Morderca? Pruchnął aż się wzdrygnął i zamknął drzwi również na drugi zamek, choć zazwyczaj używali tylko jednego. Licho nie śpi.

Aspirant Piontek bez większych emocji spoglądał na denatkę. Bardziej ekscytował się powrotem do wydziału dochodzeniowego, skąd pół roku wcześniej został usunięty w atmosferze skandalu, gdy jeden z przesłuchiwanym świadków rozpoznał w nim funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa znanego ze znęcania się nad opozycjonistami. Rzekomo znanego, gdyż ów mężczyzna nie przedstawił żadnych dowodów na poparcie swojego oskarżenia, do dziś nie znalazł się też nikt mogący je potwierdzić.

Kilkakrotnie przesłuchiwany w tej sprawie Piontek konsekwentnie zaprzeczał, by kiedykolwiek nadużył władzy, było więc słowo przeciwko słowu, niemniej na wszelki wypadek przesunięto go na stanowisko dyżurnego, by swoją obecnością nie kłuł tamtego w oczy. Aspirant wcale nie był taki święty, jak to przedstawiał w trakcie przesłuchań, za to znał odpowiednich ludzi, mających u niego dług wdzięczności za ustawianie dochodzeń po ich myśli. Upomniał się o spłatę. To dlatego nie znaleźli się inni świadkowie, a i sam oskarżający w końcu przyznał, że się pomylił i wziął Piontkę za kogoś innego.

Przemysław Piontek daleki był od przejmowania się śmiercią jakiejś kobiety i dlatego wykonywał rutynowe czynności czysto mechanicznie, nie przywiązując do nich większej wagi. Dopiero gdy technik pobrał ze zwłok próbki do badań i sporządził dokumentację fotograficzną, po czym ustąpił miejsca lekarzowi, by ten mógł przystąpić do oględzin, aspirantowi przyszło do głowy, że szybkim zamknięciem sprawy mógłby umocnić swoją pozycję w wydziale, mocno nadwątloną mimo oddalenia wszelkich zarzutów.

– Gdzie ten facet, który ją znalazł? – spytał posterunkowego, stojącego przy drzwiach w oczekiwaniu na polecenia.

– Poszedł do domu.

– Co?! Nie przyszło wam, kurwa, do głowy, że to on mógł ją zabić? Założę się, że w domu został po nim tylko smród, bo facet dawno się zwinął. Banda debili, a nie policjanci! Daj mi ten adres, sam sprawdzę!

Młody funkcjonariusz wysłuchał oskarżycielskiej tyrady z kamienną twarzą, a polecenie aspiranta skwitował ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion.

– Po co panu adres? On mieszka tutaj, naprzeciwko. – Wskazał drzwi po drugiej stronie korytarza. – Jest u niego sierżant Rohatyński, więc na pewno nie uciekł.

Piontek mruknął coś pod nosem i bez pukania nacisnął klamkę. Kierując się odgłosami rozmowy, wszedł do całkiem sporego pokoju, gdzie królował wieloelementowy segment Agata na wysoki połysk. Sam od dawna marzył o takim i poczuł niechęć do właściciela, choć jeszcze nie zamienił z nim ani słowa.

– Rohatyński, co tu robisz? – zwrócił się surowo do policjanta z przewencji. – Kazałem ci przesłuchać sąsiadów.

– Właśnie wykonuję – odpowiedział sierżant z lekkim uśmiechem. – Pan Pruchnol jest jedynym obecnym w domu sąsiadem.

Aspirant aż poczerwieniał z irytacji, pewny, że Rohatyński z niego żartuje.

– Jaja se robisz czy jak?! Cztery piętra i tylko w jednym mieszkaniu ktoś jest? Nie wierzę! Pewnie ci się nie chciało...

– Pan sierżant mówi prawdę. – Gospodarz wszedł mu w słowo. – To nowy blok, dużo mieszkań stoi pustych, bo są cholernie drogie.

Piontek postanowił chwilowo porzucić temat. Wróci do niego w stosowniejszej chwili, teraz przede wszystkim należało przesłuchać świadka.

– Zostawmy to na razie, mamy ważniejsze sprawy. Niech nam pan teraz opowie, jak to się stało, że znalazł pan zwłoki.

Mina Pruchnola świadczyła, że właśnie uznał aspiranta za osobę niespełna rozumu.

– Nic się nie stało. Zwyczajnie leżała w kuchni na wprost wejścia, to nie mogłem nie zobaczyć, choćbym nie chciał.

– Panie, co mi pan tu opowiada! Nie o to pytałem – zdenerwował się Piontek. – Chodziło mi o to, co pan robił w jej mieszkaniu.

– To trzeba było od razu tak mówić, a nie kombinować – burknął rozeźlony Pruchnol, marzący o butelce tyskiego, chłodzącej się w lodówce. Przez tego głupiego gliniarza musiał czekać na moment, gdy wreszcie poczuje w ustach smak goryczki.

– Mało nam, że trzeba ludziom tłumaczyć, o czym gadał Wałęsa? – niespodziewanie wsparł go sierżant.

Aspirant aż podniósł się z krzesła, tak go ubodło lekceważenie, wyraźnie brzmiące w słowach Rohatyńskiego.

– Jak śmiesz wyrażać się bez szacunku o panu prezydencie? Za komuną tęsknisz? Wolałbyś tego zbrodniarza Jaruzelskiego?

Sierżant niespecjalnie się przejął pytaniami, które nie wnosiły nic do sprawy, bardziej chyba stanowiły zamanifestowanie poglądów politycznych starszego stopniem policjanta. Był zmęczony po nocnej służbie, a wtedy zawsze wyostrzał mu się dowcip; kpiące uwagi pojawiały się z jego ustach jakby samoistnie, bez woli ich właściciela.

– Kogo bym wolał? Hmm... – Udał, że się zastanawia. – Najbardziej to Ewę Wachowicz. A co do Wałęsy, to szanuję go jako przywódcę „Solidarności”, ale konieczność tłumaczenia jego wypowiedzi na język polski bywa nieco męcząca. Tak samo jak ciągłe poprzedzanie jego nazwiska słowami „pan prezydent”. To się nazywa tytułomania. Strach pomyśleć, ile by trzeba było się nagadać, gdyby na dodatek był magistrem inżynierem.

Piontek kilkakrotnie usiłował mu przerwać, ale Rohatyński udawał, że nie usłyszał, i zamilkł dopiero, gdy skończył. Zły jak szerszeń aspirant z trudem powstrzymał się od uwag. Zdając sobie sprawę, że nie przegada elokwentnego sierżanta, ponownie zwrócił się do Pruchnola, by wyładować na nim zły humor.

– Dowiem się wreszcie, dlaczego wszedł pan do mieszkania sąsiadki? A może woli pan rozmowę w komendzie?

Gospodarz jednak nie zamierzał być chłopcem do bicia i natychmiast się odgryzł:

– Już dawno by pan się dowiedział, gdyby nie gadka o Wałęsie, pardą, o panu prezydencie elektryku Lechu Wałęsie. – Na widok oburzenia Piontka roześmiał mu się w twarz, po czym kontynuował pogodnie: – Jak przechodziłem obok drzwi pani Marysi, z letka mną zarzuciło

i chyłem się klamki. Naciłem ją niechcący, drzwi się otwały i pociągły mnie za sobą do środka. Panie, jak żem ją uwidzioł, to z miejsca mi z połowę promilów z łepu uciekło. Bo z deczka wypity byłem, ale nie że pijany! – zastrzegł się i zamilkł.

Policjant nie sprawiał wrażenia przekonanego o prawdomówności świadka. Zmrużył chytrze oczy i spytał, w jego mniemaniu bardzo podstępnie:

– To dlatego ubabrał pan krwią ubranie?

Zdziwiony Pruchnol zagapił się na niego z otwartymi ustami.

– Czyje ubranie? – wyjąkał, gdy wróciła mu zdolność mówienia. – Nie rozumiem, co pan do mnie mówi. Czemu miałbym mazać komuś krwią łachy?

Rohatyński postanowił interweniować. Jeśli ten cwaniak myśli, że przez wrobienie niewinnego człowieka zaliczy szybkie wykrycie sprawcy, to bardzo się zdziwi.

– Pan Pruchnol miał na sobie jasne džinsy marmurki i beżową kurtkę z materiału. Nie było na nich śladów krwi, zmyć też ich nie mógł, bo na takich materiałach zostałyby plamy.

Oblicze aspiranta pobladło z wściekłości.

– Bo się przebrał i wyrzucił zakrwawione łachy, zanim do nas zadzwonił – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To jasne jak dwa i dwa cztery. A na ciebie, Rohatyński, napiszę raport, skończy się wtrącanie w nie swoje sprawy. Możesz wracać na komendę, nie potrzeba mi tu kogoś, kto psuje zamiast pomagać.

Podpatrzony na filmach wielkopański gest, jakim szlachta zwykła odprawiać służących, tak ubawił Rohatyńskiego, że roześmiał się w głos. Ciągłe chichocząc, wyszedł na korytarz, gdzie natknął się na niewysokiego, szczupłego mężczyznę o ascetycznej twarzy. Ucieszył się na jego widok, bo choć współpracowali ze sobą tylko podczas jednych oględzin, owo spotkanie zapadło mu w pamięć.

Prokurator Joachim Biskup, zwany z uwagi na dość mikrą posturę Achimkiem, wyróżniał się na plus na tle kolegów po fachu, skostniałych w swoich poglądach i przyzwyczajeniach. Rzutki i inteligentny, miał też ogromne poczucie humoru, co Rohatyński cenił w ludziach bardzo wysoko. Teraz jednak Biskup nie wyglądał na kogoś mającego ochotę

żartować. Prędeż udusić. Rozglądał się po niedużym korytarzu, gniewnie marszcząc brwi, i mamrotał pod nosem jakieś słowa, jako żywo przypominające przekleństwa.

– Sierżant Rogowski? Nie. Rogatowski? Dobrze zapamiętałem?

– Prawie. Nie od rogu, tylko od rohatyny. Rohatyński.

– Faktycznie, przepraszam najmocniej. – Biskup wyciągnął dłoń do powitania. Uścisnęli sobie prawice, po czym prokurator wyjaśnił powód swojej irytacji. – Wie pan, gdzie jest miejsce zbrodni? Bo błąkam się tu już pół godziny i ciągle trafiam na zamknięte drzwi. Poumierali tu wszyscy czy jak? Byłem pewien, że trup jest tylko jeden.

– Na razie tak – odpowiedział dość enigmatycznie sierżant.

Zaintrygowany takim doborem słów prokurator popatrzył na policjanta z ciekawością i obawą zarazem.

– Nikt nie wspomniał, że są także ranni. Co tu się właściwie stało?

– Nie, nie, bez obaw, żadnych rannych nie ma.

Rohatyński chciał dodać coś więcej, lecz Biskup przerwał mu sarknięciem:

– Jak widzę, prowadzącego śledztwo też nie ma. Chyba że to pan...

– A broń mnie Boże! – wykrzyknął policjant, autentycznie przerażony.

– Ja jestem zwykły prewencjusz, gdzie mnie na salony! Śledztwo prowadzi aspirant Przemysław Piontek i wydaje mu się, że już znalazł winnego.

Opowiedział Biskupowi o swoich dotychczasowych ustaleniach, po czym przeszedł do dość mizernych dokonań aspiranta. I choć występował przeciwko niepisanemu prawu nakazującemu kryć kolegów, nie miał wyrzutów sumienia. Piontek nie zasługiwał na lojalność. Biedny Pruchnol! To naprawdę pech, że musiał trafić na takiego tępaka.

21 stycznia 1993, Bielsko-Biała

– Lońka, wiesz już, co chciałabyś robić po skończeniu podstawówki? – spytała Inga przy kolacji. – Co prawda masz jeszcze blisko rok do namysłu, ale warto zacząć się zastanawiać, jaką szkołę powinnaś wybrać.

Apolonia miała ochotę wykrzyknąć, że bardziej niż przyszły zawód interesuje ją, czy ma szansę dożyć końca stycznia, bo jest wielce prawdopodobne, iż żadne dalsze wykształcenie nie będzie jej już potrzebne. Tego jednak nie mogła powiedzieć, toteż wzruszyła tylko ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia.

Inga nie drażyła tej kwestii, wróciła natomiast do poprzedniej:

– W sumie to temat na inną okazję, zajmiemy się nim kiedy indziej. Teraz musimy dokończyć rozmowę o feriach.

Norbert postawił na stole szklanki z herbatą i pokiwał głową.

– Właśnie. – Usiadł koło dziewczyny i objął jej szczupłe ramiona. – Jak sama widzisz, problem wykorzystywania nas istniał wyłącznie w twojej wyobraźni, więc nie musisz kisić się w domu. To jak będzie z tym wyjazdem?

– Już za późno – odpowiedziała zdławionym rozpaczą głosem. – Trzeba było się zgłosić do ubiegłego piątku.

– Cholera jasna! Na wyjazd z komendy też już jest za późno. Tak mi przykro. Miałem w pracy takie urwanie głowy, że na śmierć o tym zapomniałem.

Zmartwiony Norbert popatrzył na przybraną córkę, potem przeniósł pytający wzrok na żonę. Inga w zamyśleniu przesuwiała po talerzu niedojedzony kawałek parówki. Naraz zdecydowanym ruchem odłożyła widelec.

– Rajner.

Nie dodała nic więcej, ale też nie musiała, Norbert od razu pojął, co miała na myśli. Posłał jej porozumiewawcze spojrzenie, wstał i wyszedł z kuchni. Po chwili ich uszu doszedł szmer jego głosu, lecz nie mogły rozróżnić słów, gdyż starannie zamknął za sobą drzwi.

Apolonia zerknęła pytająco na przybraną matkę.

– Myślisz, że wujkowi Rajnerowi uda się coś załatwić?

W jej głosie brzmiała nadzieja. Wisła to miejscowość uzdrowiskowo-wypoczynkowa, pełno tam pensjonatów, domów wczasowych i schronisk. Gdyby się okazało, że któreś zimowisko dysponuje wolnym miejscem, zyskałaby dwa tygodnie na zastanowienie się, co dalej. Tylko przy prześladującym ją ostatnio pechu pewnie nic z tego nie wyjdzie.

Wrócił Norbert, niestety nie była w stanie wyczytać z jego twarzy, jaki był wynik rozmowy, pytać zaś nie śmiała, nie chcąc prowokować losu. Przybrany ojciec usiadł, sięgnął po kubek i upił kilka łyków herbaty, nim wreszcie się odezwał:

– Lońka, co powiesz na spędzenie ferii w Wiśle?

Aż podskoczyła z radości, a w następnej chwili rzuciła mu się na szyję.

– Jesteś najlepszym tatą pod słońcem! A wujek Rajner najlepszym wujkiem. – Znów go uściskała, coś jednak nie dawało jej spokoju. – Skąd wujek wiedział, że ma szukać dla mnie miejsca na zimowisku?

Odsunęła się, by na niego spojrzeć, i od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Nie wyglądało, by Norbert wiedział, o czym mowa, przeniosła więc wzrok na Ingę, lecz ona również sprawiała wrażenie zagubionej. I zmartwionej.

– Przykro mi, ale zimowisko nie wchodzi w grę, na to jest zwyczajnie za późno. Wiem, że to dla ciebie rozczarowanie, ale...

– Ale to moja wina, bo zamiast wcześniej z wami porozmawiać, cały czas powtarzałam, że nie chcę nigdzie jechać. – Apolonia weszła jej w słowo. – Ciocia Jola ma powiedzenie, że za głupotę się płaci...

Inga odwzajemniła się, przerywając jej wypowiedź.

– Nie całkiem takie. Jolka mawia: „Czemuś biedny? Boś głupi”, ale właściwie wychodzi na to samo. Nieważne. W każdym razie, jeżeli masz ochotę, możesz pojechać na ferie do nich. Bardzo by się ucieszyli, gdybyś przyjechała.

Takie rozwiązanie w ogóle nie przyszło jej do głowy, a było najlepsze z możliwych, bo nie dość, że pozwalało zniknąć z Bielska-Białej, to jeszcze mogła spędzić dwa tygodnie z ludźmi, których wręcz uwielbiała. Apolonia zwyczajnie nie znajdowała słów mogących oddać w pełni jej uczucia.

– Ja... ja... – jąkała się nieporadnie i w końcu rozplakała się jak małe dziecko. – Bardzo chcę – wykrztusiła, gdy już zdołała się uspokoić.

– W takim razie zacznij się pakować – polecił Norbert. – Musimy wyjechać najpóźniej po dwunastej, bo rano muszę być w sądzie, a na czternastą trzydzieści umówiłem się z pewnym facetem na rozmowę.

– Jutro po dwunastej? – upewniła się, nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. – A co ze szkołą? Jutro jest dopiero piątek.

– Wyobraź sobie, że doskonale o tym wiemy – odpowiedziała Inga. – Też bym wolała, żeby już była sobota. Szkołą się nie przejmuj, napiszę ci usprawiedliwienie. Ale także chciałabym wiedzieć – zwróciła się do męża – czemu akurat jutro? Nie lepiej w sobotę niż tak na wariackich papierach? Nic nie przygotowałam, muszę sprawdzić, czy Lońka ma dość czystych ubrań, czy nie trzeba czegoś dokupić...

– Inga, błagam, wyhamuj trochę – poprosił ze śmiechem. – Zachowujesz się jak te wszystkie nadopiekuńcze matki, które zawsze bezlitośnie wykpiwałaś.

Posłała mu mordercze spojrzenie, ale słowa męża najwyraźniej poskutkowały, gdyż na powrót stała się logicznie myślącą kobietą.

– Chyba faktycznie mi odbiło. Rajner i Jola mają coś takiego jak pralka, w Wiśle też są sklepy i gdyby młoda czegoś potrzebowała, kupi sobie na miejscu.

– Nie muszę nic kupować, mam wszystko – stwierdziła natychmiast Apolonia. – To tylko dwa tygodnie, nie zdążę z niczego wyrosnąć.

Mniej więcej miesiąc temu niechcący podsłuchiwała rozmowę przybranych rodziców o braku pieniędzy na upatrzoną przez Martynę lalkę. Od tamtej chwili starała się ograniczyć własne potrzeby do minimum, przez cały czas bowiem gnębiło ją poczucie winy, że to właśnie z jej powodu nie stać ich na kupno prezentu dla rodzonej córki.

Nie wyglądało jednak, by jej deklaracja wywołała w nich zadowolenie. Sprawiali wrażenie bardziej zdziwionych niż ucieszonych, a Norbert wręcz zachnął się gniewnie.

– Brednie. Jeszcze nie spotkałem nastolatki, która nie chciałaby sobie kupić nowego ciucha. Co znowu wymyśliłaś?

Niespodziewanie w sukurs przyszła jej Inga.

– Nie rób afery z niczego, będzie chciała, to sobie kupi, i już. Lepiej powiedz, czemu macie jechać już jutro? Od soboty asfalt zwijają czy jak?

– Dlatego jutro, moja dociekliwa żono, że w sobotę od rana mam dyżur, a ty nie możesz jej odwiedzić, bo musisz iść do pracy.

Ostatnie słowa Norbert wypowiedział z lekką kpina. Inga spiorunowała go wzrokiem i odpowiedziała gniewnie:

– Żebyś wiedział, że muszę! Niedługo roczny bilans...

– A jak wszystkim wiadomo, dla księgowych nie ma przed bilansem żadnych sobót, urlopów ani chorobowego – dopowiedział z powagą, której przeczyły błyski wesołości w oczach. – Umieranie też jest zakazane.

– Dlatego na razie musisz powstrzymać swoje mordercze zapędy. Za to ja nie muszę! – skonstatowała z triumfem.

Norbert nie pozwolił żonie napawać się zwycięstwem i niewinna rozmowa przekształciła się w słowną przepychankę. Zazwyczaj Apolonia uwielbiała przysłuchiwać się tym niby-kłótniom przybranych rodziców, jednak nie dziś. Słowo „mordercze” przypomniało jej o przerażającym odkryciu. Poczowała mdłości.

– Idę się pakować – powiedziała zdławionym głosem.

Czym prędzej pobiegła do łazienki, gdzie w ostatniej chwili zdążyła uklęknąć przed muszlą klozetową. Długo trwało, nim wstała z kolan i na osłabłych nogach powędrowała do swojego pokoju. Tam padła jak ścięta na fotel, nie mogąc wykrzesać z siebie ani odrobiny energii, na szczęście osłabienie minęło dość szybko. Kiedy po pewnym czasie do pokoju zajrzała Inga, nic już nie świadczyło o przebyтым niedawno kryzysie.

Rozdział 7

Pierwsza samodzielna wyprawa

22 stycznia 1993, Bielsko-Biała

– Kurwa mać! Żeby to jasny chuj strzelił! – pieklił się Norbert do słuchawki telefonu, nieświadom faktu, że przybrana córka wszystko słyszy przez niedomknięte drzwi. – Dzisiaj nie mogę. Nie da się tego przesunąć?

Na dźwięk przekleństw Apolonia zrobiła wielkie oczy, potem w głębi duszy zaczął rodzić się strach. Ojciec nie miał skłonności do używania takich wyrazów, klął jedynie w chwilach wielkiego wzburzenia, toteż wnioszek nasuwał się sam. Musiało stać się coś bardzo złego, byle problem nie wyprowadziłby go z równowagi.

Wiedziona ciekawością, przemknęła na palcach do przedpokoju i czujnie nadstawiła ucha, nie chcąc uronić ani słowa.

– Nie, ale o czternastej trzydzieści mam umówione spotkanie, a przedtem muszę odwieźć Lońkę do Wisły – mówił gniewnym tonem. – Co? Nie, na ferie zimowe.

Żałowała, że nie może usłyszeć, co mówi ten ktoś po drugiej stronie, chyba jednak nie było to nic przyjemnego, bo Norbert nagle wybuchnął:

– Jak to przełożyć? Chyba cię pogięło! Ferie mam, kurwa, przełożyć, bo sekretarka zapomniała mnie powiadomić?!

Słuchał słów rozmówcy, wydając przy tym pełne irytacji pomruki, wreszcie odezwał się z rezygnacją:

– Trudno. Jeśli nie ma innego wyjścia, to przyjadę, tylko nie wiem, jak mam jej to powiedzieć. Tak się cieszyła...

Nie czekała dłużej. Wróciła do pokoju, lecz tym razem nie starała się iść cicho. Przestało jej zależeć na dyskrecji, nie miało to już najmniejszego znaczenia. *Powinnam była przewidzieć, że nic z tego nie będzie – pomyślała z goryczą. Co ja komu zrobiłam, że zawsze wszystko musi mi się spieszyć? Nie mogło się udać chociaż to jedno?*

Z nienawiścią popatrzyła na niezbyt wypchany plecak, czekający na wniesienie do samochodu. Równie dobrze mogła go od razu rozpakować, bo na nic już się nie przyda. Tata pewnie powie, że zawiezie ją w niedzielę, ale Apolonia była całkowicie przekonana, że znowu zajdzie coś nieprzewidzianego, zmuszającego do zmiany planów. Pech tak łatwo nie odpuszcza, szczególnie w jej przypadku.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i do środka wsunął się Norbert. Zerknął na skuloną w fotelu dziewczynę, na jej zwieszane z rezygnacją ramiona i zrozumiał, że ona już wie. Chwycił ją za rękę.

– Muszę zaraz jechać do pracy. Tak mi przykro – powiedział cicho. – Zrozum, córeńko, o wpół do trzeciej mam to spotkanie, a już minęło południe. Nie wiem, jak długo szef będzie mnie trzymał, ale nawet gdyby się streszczał, to i tak nie dam rady tak szybko obrócić tam i z powrotem. Innym razem bym to olał, ale wezwania do szefa nie mogę zlekceważyć, a na tej rozmowie też cholernie mi zależy.

Na pewno bardziej niż na mnie – skonkludowała w myślach. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że jest niesprawiedliwa, bo od czasu zamieszkania w tym domu ani razu nie poczuła się kimś bez znaczenia. Mogła mieć żal tylko do losu.

Na wszelki wypadek zacisnęła powieki, by zapobiec zdradzieckim łzom, i odezwała się, gdy już miała pewność, że głos jej nie zdrży.

– W porządku, mówi się trudno. Poza tym nie ty jeden tak masz, że ktoś ci zmienia plany – starała się go pocieszyć. – Koleżanka z klasy opowiadała kiedyś, że za każdym razem, kiedy ma odwiedzić babcię, jej tata ma pilną pracę i Elka musi jechać pociągiem do Katowic, a potem tramwajem do Chorzowa.

– To faktycznie pech – mruknął Norbert.

Zauważyła, że trochę się rozpogodził, kontynuowała więc opowiadanie:

– Elka uważa, że z tą pracą to ściema, bo wiesz, ta babcia nie jest jego mamą, tylko teściową, a on jej bardzo nie lubi.

Uśmiechnął się i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– W takim razie wcale mu się nie dziwię. – Rzucił okiem na plecak. – Pojedziemy w niedzielę, okej?

Rozśmieszyło ją, że przewidziała taką właśnie wypowiedź, i już chciała to skomentować, gdy w głowie zrodził się całkiem nowy pomysł.

– Też bym mogła pojechać pociągiem.

– Dokąd? – nie zrozumiał Norbert. – Do Katowic?

– Oj, tato – zniecierpliwiła się. – Do Wisły. To bliżej niż do Katowic, a Elka już od ponad roku sama jeździ.

Nie odpowiedział od razu. Zmarszczył brwi w zastanowieniu, co ją ucieszyło. Nie odmówił natychmiast, czyli nie wszystko było stracone. Co prawda wyjazd w niedzielę także stanowił pewne rozwiązanie, ale niósł też zagrożenie, że zostanie zauważona. Musiałaby nie wyściubiać nosa z domu, ale jak miała wytłumaczyć siostrze, dlaczego nie może z nią iść na sanki, czego Martynka domagała się już wczoraj i tylko silna zawieja odwiodła ją od tego pomysłu? Niestety w nocy wiatr ustał, a wraz z nim zniknął pretekst do pozostania w domu.

– No nie wiem – odezwał się w końcu Norbert. – Jesteś chyba jeszcze za młoda na samotne podróżowanie. Masz dopiero trzynaście lat...

– Czternaście – poprawiła go oburzona Apolonia. – Trzynaście skończyłam we wrześniu, a Ela jest ode mnie tylko dwa miesiące starsza.

– Jesteś pewna, że trafisz do Milewskich? Nie zgubisz się po drodze?

Dziewczyna nie posiadała się z oburzenia, że została potraktowana jak małe, nierozumne dziecko. Wobec takiej zniewagi fakt, że ostatni raz była tam ponad trzy lata temu, w związku z czym drogę do domu Rajnera pamiętała jak przez mgłę, wydał się Apolonii nieistotny. Ważniejsze było udowodnienie przybranemu ojcu, że się omylił w jej ocenie. Wtedy na pewno się zgodzi, żeby pojechała sama.

– Chyba tylko idiota mógłby nie trafić! Jak niby miałabym się zgubić na głównej ulicy? Nie jestem małym dzieckiem! Wsiądę na ostatnim przystanku i pójdę w prawo, tak jak jeździ autobus. Droga jest prosta, nie ma szans się pomylić.

Norbert zerknął na zegarek i stwierdził, że na podjęcie decyzji nie zostało mu zbyt wiele czasu. Jeśli miałyby zawieźć Lońkę na stację, musiałyby zrobić to już. Właściwie czemu nie? On w tym wieku także jeździł sam, w dodatku często autostopem. Zdążył już co prawda poinformować Rajnera, że przyjazd został przesunięty na niedzielę, ale to nic nie szkodzi, zadzwoni jeszcze raz i da znać o kolejnej zmianie planów.

– Bierz plecak, młoda, jedziemy na dworzec.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy dziewczyna zawisła mu na szyi i uściskała go z całych sił. Po dziesięciu minutach wiśniowy polonez wyjechał z posesji, kierując się w stronę dworca Bielsko-Biała Główna, i wkrótce znaleźli się na peronie. Apolonia była zbyt podekscytowana, by siedzieć w poczekalni, gdzie musiałyby spędzić ponad godzinę, gdyż, jak okazało się na miejscu, pociąg relacji Bielsko-Biała–Cieszyn odjeżdżał dopiero o trzynastej czterdzieści cztery.

Podenerwowany jej pierwszą samodzielną wyprawą Norbert długo udzielał przybranej córce ostatnich pouczeń.

– Nie zapomnij wysiąść w Goleszowie, inaczej zajedziesz do Cieszyna.

– Przecież wiem.

Udał, że nie słyszy jej pełnej oburzenia uwagi, i mówił dalej:

– Masz dwadzieścia dziewięć minut na przesiadkę, więc spokojnie zdążysz, nawet gdyby pociąg miał opóźnienie.

– Tato, przestań!

– Na dworcu PKS kup bilet do Wisły Czarnej – powtarzał to, co wcześniej przekazał już dwa razy. – Musisz wysiąść na pętli koło restauracji „Fojtula”. To ostatni przystanek, więc jakby co, to kierowca ci powie.

– Przestań już, tato, nie jestem debilką.

– Wiem, że nie, ale każdemu może się zdarzyć, że się zagapi. I nie zapomnij zadzwonić zaraz po przyjeździe.

Zniecierpliwiona Apolonia wzniosła oczy do nieba.

– O tym też już mówiłeś, a na sklerozę jestem jeszcze za młoda.

– Nie ma co się obrażać, ja tylko ci przypominam.

– To przypomnij też sobie, że o czternastej trzydzieści masz swoje superważne spotkanie, a wcześniej rozmowę z szefem.

Wskazała dworcowy zegar wskazujący dwunastą trzydzieści dziewięć. Na ten widok Norbert zaklął pod nosem, uściskał ją po raz ostatni i odszedł, a wkrótce potem z peronu zniknęła również Apolonia.

22 stycznia 1993, Wisła

Pierwsza samodzielna podróż nie okazała się wcale tak ekscytująca, jak Apolonia sobie wyobrażała. Przede wszystkim była nudna. Siedzenie na twardej ławce wkrótce stało się nużące i nie pomogła nawet bujna wyobraźnia, malująca przedziwne historie o życiu innych ludzi, tkwiących wraz z nią w poczekalni, do której jednak przeszła.

Lońka miała jednak nadzieję, że w pociągu będzie inaczej, i wprost nie mogła się doczekać, kiedy za szybą zaczną się przesuwać nieznane dotąd widoki. Tymczasem ledwie wyjechali z Bielska-Białej, a słońce zasłoniły ciężkie ołowiane chmury. Świat za oknem pociemniał, zerwał się także wiatr miotający w powietrzu gęstym, mokrym śniegiem. Wielkie białe płatki lepiły się do szyb, z każdym przebytym kilometrem ograniczając widoczność, tak że w okolicach Skoczowa przez okna nie widziała już nic.

Niestety był to dopiero początek problemów, gdy bowiem dojechała do stacji przesiadkowej, okazało się, że na dworcu w Bielsku-Białej udzielono im błędnej informacji. Owszem, pociąg do Wisły odjeżdżał o piętnastej dziewięć, ale z Ustronia, z Golezowa natomiast dopiero o piętnastej pięćdziesiąt jeden. Mając przed sobą ponad godzinę oczekiwania, Apolonia zdecydowała się wejść do poczekalni.

Usiadła w rogu przestronnego pomieszczenia i zajęła się rozwiązywaniem krzyżówki w „Rewii Rozrywki”. Wkrótce tuż obok rozlokowała się grupka podpitych wyrostków. Najpierw rozmawiali między sobą, o ile rozmową można nazwać wrzaski gęsto przeplatane przekleństwami. Wnioskując z rzucanych w stronę Lońki spojrzeń, chcieli zaimponować jej dorosłością, a gdy się przekonali, że ich zabiegi nie wywarły spodziewanego wrażenia, przeszli do niewybrednych zaczepek. Przez kilka minut znosiła to w milczeniu.

Udawiała zajęta rozwiązywaniem, ale młodzieńcy nie odpuszczali, wstała więc, zabrała plecak i wyszła przed budynek. Wolała się wystawić na atak śnieżycy niż słuchać tych chamów, którzy w wulgaryzmach prześcignęli nawet babkę, dotychczas dzierżącą na tym polu palmę pierwszeństwa. Obawiała się tylko, że również chcą dostać się do Wisły, na szczęście tak się nie stało. Wkrótce potem całą grupą wsiedli do pociągu zmierzającego w przeciwnym kierunku, Apolonia mogła zatem wrócić do poczekalni.

Megafonistka wreszcie zapowiedziała odjazd pociągu do Wisły i Lońka mogła kontynuować podróż. Pół godziny później wysiadła na stacji Wisła Centrum, skąd idąc śladem większości pasażerów, znalazła się na dworcu autobusowym. Kupiła bilet do Wisły Czarnej i rozejrzała się po poczekalni, a przekonawszy się, że wszystkie miejsca są zajęte, przycupnęła w rogu i przysłuchiwała się głośniejszemu lub ciszszemu prowadzonemu rozmowom. Dzięki temu dowiedziała się, że wichura zerwała linię telefoniczną do Czarnej i Malinki.

Przypomniała sobie o obietnicy złożonej Norbertowi i podeszła do obleganego automatu, by ustawić się w kolejce. Nie był to oczywiście jedyny automat telefoniczny w Wiśle, jednakże aura nie zachęcała do pieszych wycieczek. Wiało jeszcze mocniej niż wczoraj w Bielsku, opad śniegu też był zdecydowanie większy.

– Cześć, tata – powiedziała, gdy po dziesięciu minutach doczekała się swojej kolei. – Melduję, że dojechałam cała i zdrowa.

– To świetnie. Trochę się martwiłem, bo w Radiu Delta mówili o strasznej śnieżycy. Jest tam gdzieś ciocia Jola?

– Dzwonię z dworca autobusowego – wyjaśniła Apolonia i wyjaśniła powody. – Ponoć przez tę zawieję nie wiadomo, kiedy usuną awarię. Nie martw się, autobus jeździ normalnie, chodzi o to, że muszą wleźć na słup.

Chyba naprawdę musiała się urodzić pod jakąś przynoszącą pecha gwiazdą, gdyż śnieżycy nie zamierzała ustąpić, ponadto jeszcze zwiększyła swoją moc. Trudno więc było się dziwić kierowcy, że w trosce o bezpieczeństwo pasażerów odmówił jazdy w takich warunkach. Lońka żałowała, że po przyjeździe nie poszła na komisariat, tam nie musiałaby

siedzieć w kącie poczekalni, zatłoczonej teraz niczym miejski autobus w godzinach szczytu.

Wujek Rajner na pewno znalazłby dla niej jakiś kącik, gdzie mogłaby przeczekać zawieję, zresztą możliwe, że pojechałaby z nim po pracy. Teraz jednak było na to za późno, kierowca w każdej chwili mógł zdecydować, że warunki pogodowe poprawiły się na tyle, by dało się w miarę bezpiecznie jechać. *Na pewno jazda byłaby bezpieczniejsza od siedzenia w tym smrodzie* – pomyślała ze złością. *Czy ci ludzie nie mają dostępu do wody?*

Od stojących obok niej, a właściwie nad nią czterech mężczyzn znów wionęło przetrawionym alkoholem, odorem dawno niemytych ciał i niepranej chyba nigdy odzieży. Zaduch wprost obezwładniał, wzmagając pragnienie, jednak Apolonia bała się je ugasić, bo choć zabrała ze sobą butelkę wody mineralnej, na myśl, że później musiałaby skorzystać z publicznej toalety, zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała doskonale, w jakim stanie znajdują się tego rodzaju przybytki, dlatego odwiedzała je wyłącznie w stanie najwyższej konieczności.

– Opóźniony autobus do Wisły Czarnej odjedzie ze stanowiska trzeciego – usłyszała naraz niezbyt wyraźnie odczytaną informację.

Nie czekając na zakończenie komunikatu, złapała nieco zgnieciony jej ciężarem plecak i pobiegła na stanowisko, gdzie rzeczywiście czekał już stareńki jelec. Wsiadła jako jedna z pierwszych i zajęła miejsce na samym tyle, na małym podwyższeniu, w nadziei, że ta lokalizacja uchroni ją przed koniecznością ustąpienia miejsca. Od siedzenia na plecaku w kącie poczekalni rozboleły ją plecy, w głowie huczało i najchętniej zwinęłaby się w kłębek pod kołdrą. Samodzielność wydała jej się naraz mocno przereklamowana.

Wybór miejsca okazał się strzałem w dziesiątkę. Tyłem autobusu trzęsło niemiłosiernie i pewnie dlatego nikt ze starszych pasażerów nie robił jej żadnych uwag, zresztą na Nowej Osadzie wysiadło ich sporo, mogła więc odetchnąć z ulgą. Przymknęła powieki i jak większość nastolatek pogrążyła się w marzeniach, dlatego nie zauważyła, że od mostu na Czarnej Wisielce jedynym źródłem światła są autobusowe reflektory. Wątpliwe zresztą, czy nawet gdyby zwróciła na ten fakt uwagę, zrozumiałaby, co on oznacza.

Tymczasem Czarne postanowiło prawdopodobnie być w zgodzie ze swoją nazwą, gdyż przywitało ich kompletną ciemnością. Apolonia wysiadła i niemal natychmiast się poślizgnęła, potracona przez przemarznąętą ciżbę, pchającą się bez pardonu do ciepłego pojazdu. Poleciała prosto w zaspę. Ledwie zdążyła wygrzebać z niej plecak i zrobić parę kroków, gdy znów ktoś na nią wpadł. To dolatujący do autobusu mężczyzna zderzył się z dziewczyną z takim impetem, że ponownie się przewróciła. Zanim wstała i odszukała upuszczony plecak, autobus odjechał, a wraz z nim światła reflektorów. Towarzysze podróży także już zniknęli. Pozostała tylko ciemność.

Bezradnie rozejrzała się wkoło, niepewna, w którą stronę powinna iść, a przedsięwzięcie, które w jasnym, ciepłym domu wydawało się błahostką, teraz urosło do gigantycznych rozmiarów, zdecydowanie ponad jej możliwości. Przypomniała sobie własne, wypowiedziane obrażonym tonem słowa: „Chyba tylko idiota mógłby nie trafić!”, i poczuła, że zaraz rozplacze się jak małe dziecko, choć przedtem zarzekała się, że nim nie jest.

– Myśl, kretynko!

Wypowiedziany głośno nakaz utknął co prawda w przeciągłym jęku wiatru, ale do mózgu najwyraźniej mimo to dotarł, gdyż nagle pamięć podsunęła jej potrzebne informacje. Powiedziała przecież ojcu, że trudno byłoby się zgubić, idąc główną ulicą, a teraz dodatkowo uzmysłowiła sobie, że za ostatnią bytnością u Milewskich zdarzyło jej się wracać z Wisły autobusem, gdy samochód cioci Joli niespodziewanie odmówił współpracy. To stąd wiedziała, że z przystanku należy pójść w prawo główną drogą.

– Niepotrzebnie panikowałam – mruknęła.

Wydobyła z plecaka latarkę, o której przypomniała sobie dopiero teraz, i zadowolona, że nikt nie był świadkiem jej chwilowego załamania, zarzuciła na ramiona niezbyt ciężki bagaż. Skierowała strumień światła na drogę przysypaną zaskakująco cienką warstwą świeżego śniegu. Widocznie niedawno musiał tędy przejeżdżać pług. Należało jak najszybciej to wykorzystać, zanim wichura naniesie nowe pokłady białego puchu, ruszyła więc rażno przed siebie, nie zdając sobie sprawy, jak wielki popełnia błąd.

Brnąc w śniegu, sierżant Paweł Szalbót przeklinał chwilę, w której podjął tę szaloną decyzję. Wszystko przez Milewskiego, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Ten cholerny zomol od początku stał mu ością w gardle.

Szalbót ciągle pamiętał ich pierwsze spotkanie i własne upokorzenie, gdy przekonał się, że mężczyzna wyglądający na niebezpiecznego bandziora (i adekwatnie do tego wyglądu przez sierżanta potraktowany) jest w istocie funkcjonariuszem milicji, w dodatku dowódcą grupy realizacyjnej Plutonu Specjalnego ZOMO. Co prawda czasowo odsuniętym od służby, ale mimo wszystko nie był to byle krawężnik.

Z tym jeszcze by się pogodził, zwłaszcza że Milewski nie wydawał się mieć do niego pretensji, ale czemu nie pokazał legitymacji, kiedy byli w pokoju sami? Koniecznie musiał to zrobić w obecności kapitan Szczepankowskiej? Zresztą ona też nie zachowała się ładnie, komendant powinien być lojalny wobec swoich podwładnych, a nie opierdalać ich przy obcych. Po tym incydencie sierżant życzył z całego serca jej i Milewskiemu wszystkiego najgorszego, ale los stanął po ich stronie. Najpierw starszego chorążego wyjęto z zamrażarki i przywrócono do służby, a dwa lata później Szczepankowska awansowała do stopnia majora.

Milewski już wtedy, ku wielkiemu niezadowoleniu Szalbóta, służył w Wiśle, dokąd się przeniósł, nie chcąc współpracować z ludźmi, którzy wystąpili przeciwko niemu podczas kampanii nienawiści rozpętanej przez dowódcę Plutonu Specjalnego. Z kolei major Szczepankowska po swoim awansie długo już w Wiśle nie zabawiała i w roku dziewięćdziesiątym przeniosła się do Cieszyna.

Jej miejsce zajął komisarz Jan Kowalczyk – schorowany, wiecznie nieobecny mężczyzna, dla którego stanowisko komendanta komisariatu stanowiło swoistą poczekalnię. Czy raczej przeczekalnię, żeby ciężko ranny na służbie policjant mógł doczekać emerytury bez przeświadczenia, że niepotrzebnie zajmuje etat, który można by obsadzić kimś pełnowartościowym. Prawdopodobnie właśnie z uwagi na

częstą absencję komisarza Kowalczyka utworzono wówczas etat zastępcy komendanta.

Na wieść o tym Szalbót aż podskoczył z radości. Miał najdłuższy staż i najwyższy stopień, bo w przeciwieństwie do kolegów z komisariatu on tego sierżanta wysłużył jeszcze w milicji. Czuł się lepszy od nich, awansowanych do stopnia sierżanta z kaprali czy plutonowych wyłącznie dlatego, iż po przemianowaniu milicji w policję tamte stopnie przestały istnieć. Nie wziął jednakże pod uwagę podkomisarza Milewskiego, dorównującego mu stażem i przewyższającego go stopniem, i dzień, który miał być dniem triumfu, okazał się dniem klęski.

Od tamtej chwili niechęć Pawła Szalbóta do Rajnera Milewskiego zamieniła się w gryzącą, starannie pielęgnowaną nienawiść. Sierżant z niecierpliwością czekał na spotkanie zastępcy komendanta, cóż jednak, skoro takowe nie następowało. Rozładowywał więc frustrację, odgrywając się nie tylko na zatrzymanych, ale i na zwykłych obywatelach, którzy mieli wątpliwe szczęście odwiedzić komisariat podczas jego dyżuru. Jakkolwiek nawet to Milewski musiał mu zepsuć, ponieważ od czasu zajścia z Fajlhauerem zaczął się pilnie przyglądać poczynaniom podwładnego i bezlitośnie punktować wszystkie niedociągnięcia.

– Pierdolony kryminalista!

Sierżant poczuł, że robi mu się gorąco. Nie wiedział, czy to na wspomnienie opanowania Ditmara Fajlhauera, które odebrał jako bezczelność, czy może z powodu zmęczenia długotrwałym marszem. W dodatku całkiem niepotrzebnym. A taki był pewien, że wreszcie szczęście się do niego uśmiechnęło...

Pogrążony w myślach nie zauważył, że ścieżka skręca w prawo, i poszedł prosto.

– Niech to jasny chuj strzeli! – zaklął głośno, wygrzebując się z zasy sięgającej mu niemal po pachwiny.

Zanim się z niej wygrzebał, zdążył się spocić, w butach natomiast pojawiła się lodowata wilgoć topniejącego śniegu. *A ludzie twierdzą, że praca policjanta nie jest ciężka* – pomyślał z pretensją, choć dzisiejszy wysiłek miał wyłącznie na własne życzenie.

Niebawem zabudowania się skończyły. Tutaj droga była węższa, lecz nadal niezle odśnieżona, i co najważniejsze, zawieja prawie całkiem ustała. Mrok także stał się jakby trochę mniej gęsty, prawdopodobnie za sprawą śniegowych płatków opadających teraz z rzadka i majestatycznie, zamiast tak jak jeszcze kilka minut temu zwałać się na ziemię gęstą, zwartą masą.

Apolonia zgasiła latarkę i spojrzała w niebo, zaraz jednak skrzywiła się z niechęcią. Księżyc właśnie znajdował się w nowiu, trudno zatem, żeby był widoczny. Pomyślała, że nie powinna być tym zdziwiona, przecież ustaliła już, że jest największym pechowcem na świecie, zatem stanie i gapienie się w niebo w oczekiwaniu na cud jest kompletnie bezsensowne, bo on na pewno nie nastąpi. Lepiej się ruszyć, dopóki jest w miarę widno, bo przy jej szczęściu zaraz pojawi się jakaś potwornie wygłodzona chmura i zeżre chciwie nieliczne gwiazdy, dające tę odrobinę światła rozjaśniającego ciemności.

Oczy zdążyły już przywyknąć do mroku. Maszerowała równym, dość szybkim krokiem, podśpiewując przy tym piosenkę o pechowcu, która nagle stała jej się bardzo bliska: „From the day I was born/ Sidle Jinks was my name/ Though I tried and I tried/ That name still remains”^[1]. Ona także, choćby nie wiadomo jak się starała, ciągle pozostawała tym, kim była w dniu narodzin – nieślubnym dzieckiem trzynastolatki i sadystycznego gnojka, znienawidzonym przez własną babkę i nieustannie ściganym przez pech.

Wędrowała pogrążona w zadumie, nie zwracając uwagi na otoczenie, i choć w którymś momencie błysnęła jej myśl, że droga do domu Milewskich powinna chyba być krótsza, zaraz wytłumaczyła sobie sytuację lukami w pamięci. Ostatni raz, kiedy odwiedziła Jolę i Rajnera, miała zaledwie dziesięć lat. Była dzieckiem, poza tym miała prawo zapomnieć, jaką drogą szła ponad trzy lata temu. Rozmawiała wtedy z Jolą, zapewne więc się zagadała, przez co trasa wydała jej się krótsza. Musi po prostu iść dalej zamiast wymyślać dramaty.

Piętnaście minut później przekonała się, iż dramat wcale nie był wymyślony. Minęła jakiś most, którego istnienia w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, i odkryła, że droga zwęziła się do zaledwie ścieżki. Tu szło się dużo gorzej. Gwiazdy zniknęły i Apolonia znowu musiała posiłkować się latarką, lecz nieprzywykła do takiego oświetlenia, co rusz wpadała w kopny śnieg, gdy noga nie trafiała na wydeptaną dróżkę. Zmęczenie dawało o sobie znać. Lońka szła coraz wolniej, aż wreszcie przystanęła i omiotła światłem latarki okolicę.

– To jest po prostu niemożliwe – powiedziała rwącym się, zdyszonym głosem. – Oni na pewno nie mieszkają na takim odludziu. Musiałam pójść złą drogą.

Jak jednak miałyby ją zmylić, skoro cały czas szła prosto, nigdzie nie skręcając? I co powinna teraz zrobić? Zerknąwszy na zegarek, aż jęknęła, gdy uświadomiła sobie, że maszerowała blisko półtorej godziny, a w efekcie nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

– Muszę spytać kogoś o drogę – mruknęła i dość niemrawo ruszyła naprzód.

Miała nadzieję, że ów ktoś wskaże jej jakiś skrót do domu Milewskich. Wydeptana ścieżka świadczyła, że okolica nie jest całkiem niezamieszкана, toteż Apolonia postanowiła się jej trzymać i gdy niespodziewanie tropy skręciły w las, bez wahania również tam podążyła. Przeszła tak zaledwie kilkanaście metrów, kiedy wichura powróciła, a wraz z nią nadciągnęła kolejna, jeszcze obfitsza fala śnieżnego opadu.

Stało się to nagle i tak niespodziewanie, że gdy w jednej chwili zamiast leciutkiego wietrzyku owiewającego rozgrzane marszem policzki w Lońkę uderzył gwałtowny poryw, nie zdołała utrzymać się na nogach i upadła w śnieg. Wygrzebywała się z niego długo, nim w końcu zdołała wstać. Oczyszczyła latarkę z białego puchu, przetała oczy, pozbywając się płatków uparcie sklejących rzęsy, i skierowała strumień światła na ścieżkę. Wtedy zmartwiała. Tam, gdzie przed kilkoma minutami odznaczał się wyraźnie wydeptany trop, teraz widniała jednolita, niczym nieskalana biel. Ścieżka zniknęła.

[1] Fragment piosenki What can I do zespołu Smoki.

Rozdział 8

Zagubieni

22 stycznia 1993, Wisła

Ditmar czuł się potwornie zmęczony. *Weekend, niech to szlag* – klął w myślach pomysły Grucy, by przy takiej pogodzie zajmować się zwózką dłużyc. Przekleństwa były jednak łagodne, w dodatku rzucone bardziej pro forma niż z rzeczywistego przekonania, Ditmar bowiem zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że ma to na własne życzenie.

Tadeusz Gruca był pracodawcą uczciwym i dbającym o pracowników. Może nie płacił najlepiej, ale też nie były to stawki głodowe, niewiele wyższe od „kuroniówki”, co w rodzącej się w bólach gospodarce rynkowej wreszcie niepodległej Polski stanowiło praktykę dość powszechną. Co również ważne, Gruca nie wypłacał pod stołem części wynagrodzenia, by nie musieć odprowadzać składek na ubezpieczenie społeczne od całości, nie oszukiwał na premiach i nadgodzinach, a za pracę w dni wolne płacił stosownie powiększoną stawkę.

Tak więc, gdy tylko Ditmar usłyszał, że szef szuka chętnych do pracy w soboty, zgłosił się natychmiast, skuszony dodatkowymi pieniędzmi. Odziedziczona po krewnej chatka okazała się studnią bez dna, pochłaniającą każdy grosz, toteż chłopak imał się niemal każdego sposobu, by dorobić. Niemal, bo choć zwrócono mu uwagę na pewne możliwości pozbycia się kłopotów finansowych, chłopak odrzucił je zdecydowanie, mimo że skutecznie pomogłyby mu rozwiązać problem. Bez cienia protestu pogodził się z tym, że został później nazwany naiwnym frajerem. Przysiągł sobie przecież, że nigdy więcej...

Drogę do domu znał już na pamięć, nogi same go niosły i w odpowiednim miejscu skręciły w las. Tu tok myśli urwał się gwałtownie, bo oto chłopak zobaczył daleko przed sobą poruszające się wątle światło. Aż przystanął zdziwiony, w najbliższej okolicy oprócz jego chatki nie było bowiem innego domostwa. Światelko zniknęło na moment, przysłonięte pniami drzew, lecz zaraz znów się pojawiło. Człowiek?

– Nie, kurwa! Jeleń kupił latarkę i tak se świeci, ty debilu – warknął, zły na siebie za to bezmyślne pytanie.

Było oczywiste, że jest to człowiek, tylko dlaczego się tutaj znalazł? Ditmar nie miewał gości, zresztą z własnego wyboru. Nie miał znajomych na tyle bliskich, by mieli go odwiedzać, ale też wcale o to nie zabiegał, bo po pierwsze, bał się, że niechcący naruszy warunki zwolnienia, po drugie zaś, po pracy bywał zbyt zmęczony, a w dni wolne zajmował się remontem domu. Na prowadzenie życia towarzyskiego zwyczajnie brakowało mu czasu. Kim więc był ów tajemniczy ktoś, ewidentnie zmierzający w stronę chatki?

Nim zdążył się nad tym zastanowić, gwałtowny nawrót zawiei rzucił mu w twarz mokre płatki, uniemożliwiając śledzenie światelka. Ditmar, który tylko ostremu treningowi, jakim była praca przy wyrębie, zawdzięczał zachowanie równowagi, po przetarciu oczu zauważył od razu, że zniknęło. Widocznie idący przed nim człowiek nie miał tyle szczęścia i albo wichura wrzuciła go w zaspę, albo zgubił latarkę.

– Trzeba mu pomóc – doszedł do wniosku i przyspieszył kroku.

Od tamtego dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów. W normalnych warunkach byłby go dogonił w mig, ale to, co się teraz działo, bardziej przypominało kataklizm. Wiatr wiał prosto w twarz, przez co Ditmar miał wrażenie, że w ogóle nie posuwa się naprzód, mokry śnieg oblepiał policzki, czoło i rzęsy, tworząc lodowatą skorupę. Światelka na przedzie nadal nie było widać, ale po miesiącu pobytu w górach chłopak wiedział już, że wichura wykręca światłem na wszystkie strony i nierzadko przy takiej pogodzie można je zauważyć dopiero wtedy, gdy podejdziesz się całkiem blisko. Bardziej go zmartwiło, że śnieżycą skutecznie zatarła ślady. Jeśli obcy zmylił drogę i zboczył między drzewa, nie sposób

będzie go odnaleźć. Nie z tą latarką, przebijającą się przez śniegowy mur co najwyżej na metr.

Kątem oka zauważył po lewej jakieś wgłębienie, przystanął więc i skierował na nie latarkę. Ślady butów co prawda zniknęły już pod śniegiem, ale dość głębokie dziury nadal były widoczne. Obcy z pewnością wpadł w zaspę, później jednak musiał wrócić na ścieżkę, w innym wypadku zostawiłby po sobie więcej takich dołków.

Ditmar znów ruszył przed siebie, teraz wszakże szedł powoli, wytrzeszczając oczy, by nie przegapić żadnego śladu. Niczego do przegapienia jednak nie było, wszystkie tropy zasypał śnieg. Wkrótce doszedł do miejsca, w którym rosnące coraz rzadziej drzewa definitywnie ustąpiły pola otwartej przestrzeni. Tam przystanął, by się rozejrzeć, lecz zaraz zrezygnował, uświadomiwszy sobie, że nie ma to najmniejszego sensu.

Nieduża polana, zazwyczaj stanowiąca enklawę spokoju podczas wietrznych dni, tym razem nie została oszczędzona. Mało tego, wiatr jakby zapragnął jej pokazać, kto tu rządzi, i rozszalał się jak nigdzie indziej. Wyjąc wściekle, niósł z sobą masy śniegu tak wielkie, że wyglądały jak ogromne bałwany, a on bez wysiłku miotał nimi na wszystkie strony. W tej sytuacji szukanie kogoś przy słabym świetle kieszonkowej latarki mijało się celem i Ditmar postanowił zabrać się do poszukiwań całkiem inaczej.

Skulił się w sobie i z mocno pochyloną głową ruszył przez polanę ku jej środkowi. Znał tę trasę na pamięć, a jednak kilkakrotnie zdarzyło się, że stopa nie trafiła na niewidoczną spod śniegu dróżkę. Wtedy zapadał się, niekiedy po kolana, niekiedy aż po pachwinę, i dość długo trwało, nim udawało mu się wygrzebać.

Ściana wyrosła przed nim niespodziewanie. Omal na nią nie wpadł, pewny, że od domu dzieli go jeszcze kilka metrów, co dobitnie świadczyło, jak bardzo śnieżyca oddziałuje na zmysł orientacji. Czym prędzej wrzucił do sieni plecak z zakupami i pobiegł do szopy, skąd zaraz wypadł z wielkim naręczem drewna. Rzuciwszy je na śnieg, zaczął formować wysuszone szczapy w zgrabny stos, gdy naraz zamarł, porażony nagłą myślą.

W następnej chwili pędził już do domu. Po kilku minutach znów wybiegł, lecz znikającemu pod śniegiem drewnu nie poświęcił najmniejszej uwagi. Spojrzał za to w okna, oświetlone teraz wszystkimi lampami, jakie tylko wpadły mu w rękę, po czym włączył pokaźnych rozmiarów reflektor, dający światło co najmniej dziesięciokrotnie silniejsze niż latarka. Powoli omiatał nim polanę, a gdy niczego nie dojrzał, zaczął włączać go i wyłączać, żywiąc przy tym nadzieję, że błyski przebiją się przez śniegową zasłonę.

Po czasie, który wydał mu się wiecznością, chociaż minęło nie więcej niż pięć minut, zszedł niżej i ponowił próbę. Był pewien, że teraz przybysz musiał zobaczyć światło, niemniej zwątpił, gdy odwróciwszy się w stronę domu, nie dojrzał jaśniejszych plam okien.

– Kurwa mać!

Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny, może jedynie wtedy, gdy zarzucano mu popełnienie przestępstwa, a on nie umiał znaleźć nic na swoją obronę. Jak miał pomóc temu nieszczęśnikowi? Chyba będzie musiał zejść do Czarnego i powiadomić GOPR. Ale najpierw jeszcze trochę poszuka, upewni się, że ów człowiek nie znajduje się w pobliżu.

Zszedł jeszcze niżej, prawie do samej granicy polany, i skierował się w lewo. Planował penetrować las sukcesywnie, od lewej do prawej, potem trochę niżej od prawej do lewej, i tak do skutku, dopóki nie znajdzie się na drodze. Wtedy nie pozostanie nic innego, jak wezwać fachowców od poszukiwań.

Doszedł do prawego krańca polany i nagle się zawahał, gdyż obmyślona strategia działania wydała mu się idiotyczna. Skąd wziął pewność, że zagubiony człowiek nie zawędrował w bok dalej niż na szerokość polany? Mimo woli skierował reflektor poza wyznaczony sobie pierwotnie region poszukiwań, potem przesunął nim niżej. Nagle zamarł w bezruchu. Czy tylko mu się zdawało, czy też naprawdę przez moment zobaczył między drzewami nikłe światełko? Ponownie zwrócił tam reflektor i trzykrotnie włączał go i wyłączał. Potem wyteńczył wzrok.

Po chwili zobaczył wyraźnie słabe błyski latarki. Trzykrotnie zapalały się i gasły, zatem nie mogły być iluzją zrodzoną z pobożnych życzeń. Ruszając w tamtym kierunku, Ditmar czuł się tak lekko, jakby nagle zrzucił z barków stukilowy ciężar.

– Halo! – wykrzyknął.

Chciał polecić, by przybysz nie ruszał się z miejsca, lecz zaraz zamilkł. Wołanie nie miało sensu, wichura kręciła głosem jeszcze bardziej niż światłem. Przeszedł może z piętnaście metrów, gdy go zobaczył, a chwilę później także usłyszał. Przez wycie wichru przebił się nabrzmiały rozpaczą i strachem dziewczęcy głos:

– Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

Nie spytał, jak się nazywa ani co robi na tym, było nie było, zadupiu. Wyjaśnienia mogły poczekać, teraz chciał jak najszybciej zabrać ją do domu, posadzić przy piecu i napić gorącą herbatą. Dziewczyna trzęsa się z zimna, choć podścieliła sobie część wywleczonych z plecaka ubrań, część zaś, jak później się okazało, włożyła na siebie. To dlatego w pierwszej chwili wydała mu się gruba i dziwnie bezkształtna.

Niemniej jej sylwetka nie miała żadnego znaczenia, gruba czy wychudzona, należało jak najszybciej zabrać ją z tego wygwizdowa.

– Możesz wstać?

– Spróbuję.

Przytrzymując się świerkowego pnia, stanęła na nogi, gdy jednak chciała zrobić krok naprzód, z okrzykiem bólu upadła prosto w złożone z ubrań gniazdo. Może dlatego skojarzyła się Ditmarowi z bezradnym pisklęciem? Mimo to nie zapytał o rozmiar obrażeń, uznawszy to również za stratę czasu. Złamanie, zwichnięcie czy skrzywienie, wszystko jedno, i tak powodowało konieczność niesienia dziewczyny. Na samą myśl o tym poczuł jeszcze większe zmęczenie. Innego wyjścia jednakże nie widział.

Pomógł jej się podnieść i oprzeć dla równowagi o pień, powrzucał ubrania do plecaka, który założył na pierś. Plecy musiał mieć wolne, by móc wziąć tę leśną zgubę na barana. Wcześniej podał jej reflektor.

– Musisz go trzymać, bo ja nie mam czym. – Napotkał zdumiony wzrok i dorzucił burkliwie: – Trzecia ręka jeszcze mi nie urosła. – Dziewczyna nadal chyba nie rozumiała, ale on nie dodał nic więcej, tylko kucnął przed nią i polecił zwięźle: – Wskakuj.

Ditmar dźwignął się z głośnym stęknieniem, chwycił mocno jej nogi tuż nad kolanami i zataczając się nieco, ruszył skosem w stronę polany. Nie próbował wracać po własnych śladach, te bowiem zdążyły już zniknąć. Szedł wolno, oszczędzając siły, bo choć zdarzyło mu się kilka razy wpaść w śnieg po kolana, wiedział, że najgorsze dopiero przed nim. Na skraju polany przystanął, zbierając się w sobie przed tą najtrudniejszą próbą, gdy naraz dziewczyna odjęła rękaw od jego ucha. Ona także nie miała trzeciej ręki, a tymi dwoma, które miała od urodzenia, kurczowo obejmowała swojego nosiciela, dlatego wsunęła reflektor w rękaw kurtki, pozostawiając na zewnątrz tylko odbłyśnik.

Poruszyła ręką, by móc oświetlić okolicę, i nagle pisnęła radośnie:

– Tam na górze ktoś jest, przez moment widziałam światło. Czy tam idziemy? – wykrzyknęła podekscytowana.

Ditmar skrzywił się boleśnie. Dopiero co odzyskał czucie w swoim biednym uchu, zmaltretowanym przyciskaniem do niego reflektora, a teraz dziewczyna najwyraźniej koniecznie chciała całkiem go ogłuszyć. To chyba jednak prawda, że dobre uczynki lubią się mścić. Mogłyby jednak bodaj trochę z tym poczekać.

– Właśnie tam. Nie wierć się tak, bo jak oboje padniemy w ten śnieg, to dupa zbita – ostrzegł, gdy podskoczyła z radości. – Nie mam pojęcia, jak tam dojdziemy, bo miejscami zapadałem się aż po pachwiny.

– Puść mnie. To żaden odpoczynek ze mną na plecach. – Zsunęła się na ziemię i przytrzymując się ramienia Ditmara, stanęła obok niego. – Noga nie jest złamana, może dam radę przejść chociaż kawałek?

Przełożył plecak na właściwe miejsce i objął mocno dziewczynę, by wziąć na siebie jej ciężar, ale niewiele to pomogło. Przekuśtykała zaledwie ze dwa metry, gdy natrafiła chromą nogą na zaspę i zawyla z bólu, a potem długo usiłowała się uwolnić ze śnieżnej pułapki. Kiedy w końcu dopięła swego, po prostu upadła w śnieg i rozplakała się z bezsilności.

– Nie becz – odezwał się z niezamierzoną szorstkością, chcąc ukryć, że czuje się równie bezradny co ona. – Coś wymyślę...

– Co tu można wymyślić? Kaplica i tyle – burknęła, lecz zaraz spytała z ożywieniem: – Masz może sanki?

Ditmar nie miał pojęcia, czy dysponuje takim sprzętem. Dotychczas na niego nie natrafił, ale nie zdążył jeszcze przejrzeć wszystkich zakamarków, więc to nic nie znaczyło. Ważniejsze było natomiast, że sanki nie na wiele by się zdały w tym kopnym śniegu. Przypomniał sobie za to, że widział w szopce coś innego.

Zdjął plecak i rzucił w śnieg, później zaczął ściągać kurtkę, nie zważając na protesty dziewczyny.

– Usiądź na nim, bo wilka dostaniesz. – Pomógł jej się usadowić na niezbyt foremnym siedzisku, następnie otulił kurtką i zapiął zamek. – Tak ci będzie cieplej. Wrócę jak najszybciej, ale trochę to potrwa, nie chcę, żebyś zmarzła na kość. Tylko pamiętaj, nie wolno ci zasnąć, choćby nie wiem jak cię korciło, żeby zamknąć oczy!

– Nie bój się, nie zasnę, nie jestem idiotką.

Oświetlił reflektorem ściągniętą zmęczeniem drobną buzię i ze zdziwieniem odnotował, jak bardzo jest młoda. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Co takie dziecko robiło samo z dala od ludzkich siedzib? Na zaspokojenie ciekawości będzie musiał jednak trochę poczekać, teraz ważniejsze było zapewnienie małej schronienia.

Polana nie była równa, mniej więcej w połowie przecinało ją wzniesienie, ciągnące się od podnóża aż po górny kraniec. Nauczony doświadczeniem, Ditmar skierował się prosto na nie i później szedł jego szczytem, wcześniej zauważył bowiem, że wicher zwał stamtąd większość śniegu. Mimo to nie uchronił się od parokrotnego wpadnięcia w zaspę. Utwierdził się w przekonaniu, że postąpił słusznie, pozostawiając dziewczynę.

Odnalazłszy w szopce dziwaczne urządzenie, sprawdził wytrzymałość sznurka, po czym pognał z powrotem, co jakiś czas zerkając za siebie. Przypominająca tobogan konstrukcja ślizgała się po śniegu leciutko niczym łyżwy po lodowej tafli. Oby sprawdziła się również z obciążeniem. Zresztą, co mu szkodziło sprawdzić od razu? Niewiele myśląc, skierował dzioby szerokich, drewnianych nart w stronę, gdzie światło reflektora wyłowiło z mroku nieruchomy kształt, usiadł okrakiem na parcianych paskach i odepchnął się piętami.

W następnej chwili zawył z bólu, zahaczywszy kością ogonową o ledwo przysypany kamień. Już miał zrezygnować, gdy przody nart znalazły się

na stromiźnie, pociągnęły za sobą resztę i nim zdążył się zdobyć na jakąś reakcję, pędził na łeb na szyję ku widocznej w świetle reflektora, rosnącej w oczach sylwetce siedzącej nieruchomo na plecaku. *Kurwa mać! Zaraz ją rozjadę!* – błysnęła mu przerażająca myśl. W akcie desperacji rzucił się w bok. Wpadł głową w śnieg, ręką zaciśniętą na sznurku szarpnęło boleśnie, niemniej, gdy wreszcie wygrzebał się z zasy, zobaczył, że tobogan zatrzymał się o metr od dziewczyny.

– Tak musiał wyglądać zjazd Bellewa Zawieruchy po przybyciu do Klondike, kiedy wylądował w namiocie Joy – odezwała się w zadumie.

Ditmar roześmiał się serdecznie, ubawiony skojarzeniem, potem zamilkł, zdziwiony. Analogia była oczywista, ale zaskoczyło go, że ona także czytała tę książkę i najwyraźniej tak jak on była nią zachwycona.

– Widziała pani tę zawieruchę? – spytał słowami Kita Bellewa.

– Jaką zawieruchę? – odpowiedziała natychmiast, wzorem Joy nadając tonowi wyraz niechęci.

– I co tu gadać o latających dywanach! – Nie wytrzymał i znów parsknął śmiechem. – No dobra, siadaj, księżniczko, na rydwan albo dywan. – Pomógł jej się przemieścić, potem podał plecak. – Trzymaj. I uważaj na zadek, trafienie w wystający kamor potrafi nieźle zabość. Wiem, co mówię, przed chwilą to przerobiłem.

Mimo woli potarł bolące miejsce, po czym napiął mięśnie i pociągnął sznurek. Ruszyli do domu, z każdym przebytym metrem wyraźniej wabiącego światłami lamp.

Godzinę później śnieżycy już im była niestraszna. W piecu buzował ogień, w garnku postawionym na rozpalonej do czerwoności blasze bulgotała smakowicie pachnąca grochówka, a przebrana w suchą odzież i otulona kocem dziewczyna siedziała w dosuniętym do ciepłych kaflów fotelu i popijała herbatę z sokiem malinowym. Lekko skręcona w kostce noga, ciasno owinięta elastycznym bandażem, spoczywała na małym stołeczku.

Korzystając z okazji, że gospodarz wyszedł do przyległego pomieszczenia, żeby się przebrać, Lońka z ciekawością toczyła wokół

wzrokiem. Jeszcze nigdy nie widziała domu, w którym nie byłoby nie tylko elektryczności, ale nawet bieżącej wody. Rozłożysty, opalany drewnem piec też ją zaciekał, lecz ten akurat uznała za coś cudownego i poczuła żal, że Norbert po wprowadzeniu się do starego domu przy ulicy Malowany Dworek zdecydował się wymienić podobnego staruszka na kuchnię gazową.

Nadal miała dreszcze. Wyplątała się z koca, by dołożyć do ognia kilka szczap, gdy do pokoju wszedł jej wybawca.

– Siedź, ja to zrobię. – Schylił się, by włączyć do paleniska spory klocek. – Powiedz lepiej, jak masz na imię i skąd się tu wzięłaś.

Ponownie zakutała się w ciepły pled, odpowiedziała zwięźle na pytanie o imię, po czym zadała szereg własnych:

– Mieszkasz tutaj sam, bez rodziców? Jak mam do ciebie mówić? Pomożesz mi znaleźć dom wujka?

– Apolonia – wypowiedział głośno jej imię. – Jeszcze nie spotkałem go na żywo. Jak to się zdrabnia? Pola?

– Nie! – wrzasnęła przerażona, że ten sympatyczny chłopak mógłby użyć tej formy, samej w sobie całkiem ładnej. Cóż z tego, skoro babka skutecznie ją obrzydziła. – Błagam, tylko nie Pola! Wszyscy mówią do mnie Lońka.

– Też ładnie. Ja mam na imię Ditmar, odziedziczyłem ten dom po ciotce i mieszkam w nim dopiero od grudnia, dlatego jest jeszcze dość prymitywnie. Ale nie trzeba gonić za stodołę – stwierdził z krzywym uśmiechem i otworzył drzwi do sieni, a potem następne, pokryte starą, łuszczącą się farbą. Za nimi znajdowało się nieduże pomieszczenie. – Przedtem była tu duża spiżarnia, ale podzieliłem ją na dwie części i z jednej zrobiłem łazienkę. Wprawdzie wodę trzeba na razie pompować do wiader, ale zawsze to lepsze od wygodki na zewnątrz. Za to w przyszłym roku będę miał już ciepłą wodę.

– Bez prądu chyba ci się to nie uda.

W odpowiedzi na pełną sceptycyzmu uwagę tylko się uśmiechnął. Przetawił garnek na stół i wyjął talerze.

– Siadaj i jedz, na pewno jesteś głodna. – Nalał jej pełny talerz zupy, potem oświadczył niby od niechcenia, ale w jego głosie brzmiała źle skrywana duma: – Jak dobrze pójdzie, to na wiosnę podciągną mi prąd.

Apolonia wpatrzyła się w niego wielkimi ze zdumienia oczami.

– O matko! – wykrzyknęła po dziecinnemu. – Przecież to bardzo dużo kosztuje. Masz tyle pieniędzy?

Rozśmieszony absurdalnym posądzeniem Ditmar się wyszczerzył, potem zaprzeczył ruchem głowy.

– A wyglądam na takiego, co ma? Jeden facet mi doradził, żebym sprawdził, czemu ten dom pominięto. Początkowo mnie zbywali, ale się uparłem, no i się okazało, że jednak był ujęty w planie elektryfikacji. Tłumaczyli się, że pewnie ktoś coś pomieszał i że ciotka powinna była się upomnieć, a teraz jest już za późno.

– Szkoda – mruknęła między jedną a drugą łyżką grochówki. – Ale co to znaczy? Że będziesz musiał zapłacić?

– Ni chu...! – W ostatniej chwili uświadomił sobie młody wiek dziewczyny i zmienił okrzyk na bardziej parlamentarny. – Ni cholery! Ciotka była już stara i pewnie nie miała siły użerać się z urzędnikami. Wierzyła, że mają rację, w końcu oni pokończyli szkoły, a ona ledwo umiała czytać. Dla niej słowo byle urzędasza było święte. Ale nie dla mnie. Zrobiłem tam taki krawal, że aż przyleciał jakiś kierownik.

– Co to jest krawal? – dopytywała się Apolonia. – Bójka?

– No co ty?! Tam same kobiety były, miałbym się bić z babami? Larmo zrobiłem, czyli hałas, harmider, awanturę. Zagroziłem, że pójdę z tą sprawą do gazet i do telewizji, bo to jest zwyczajne złodziejstwo, oszukać starą kobietę. A teraz chcą oszukać mnie, bo jak ktoś młody i po wyroku, to czują się bezkarni.

Najwyraźniej podniecony przeżywanym na nowo zajściem chłopak przestał zważać na słowa, tymczasem Lońka, której nowy, całkiem dorosły znajomy szalenie imponował, chłonęła je chciwie. Dlatego od razu wychwyciła to, czego zapewne publicznie nie rozgłaszał, i zerknęła na niego z lekką obawą.

– Jak to po wyroku? Co zrobiłeś? Okradłeś kogoś? – Pokręcił głową, próbowała więc dalej: – A może zabiłeś?

Pokręcił głową, bardziej z rezygnacją niż w geście przeczenia.

– Jak myślisz, ile ja mam lat? – odpowiedział pytaniem.

Zmierzyła go taksującym wzrokiem.

– Dwadzieścia? Nie mam pojęcia.

– Dwadzieścia trzy. A minimalna kara za zabójstwo wynosi osiem lat. Umiesz liczyć? Musiałbym zabić, mając piętnaście, a dzieci do więzień nie wsadzają.

Skinęła głową i zajęła się grochówką. Ditmar także sięgnął po łyżkę, zdążył jednak zaledwie kilka razy podnieść ją do ust, gdy Apolonia znowu się odezwała:

– Już wiem! Byłeś szpiegiem, prawda?

– Lońka, zlituj się – jęknął, odsuwając łyżkę od ust tak gwałtownie, że zupa przelała się przez brzegi i wychlusnęła z powrotem na talerz. – Dla kogo miałbym szpiegować i po co? Lepiej powiedz wreszcie, jakim sposobem trafiłaś na to zadupie i do kogo przyjechałaś. Wspomniałaś o wujku, ale jeśli mam cię tam zaprowadzić, musisz podać jego nazwisko.

Zagapiła się bezmyślnie na chłopaka i trwała tak przez jakiś czas, nim zrozumiała, że zachowała się, delikatnie mówiąc, niemądrze. A nawet bardzo delikatnie. Ditmar raczej w myślach czytać nie umiał.

– Sorry, w ogóle o tym nie pomyślałam. Wujek nazywa się Milewski. Mieszka w Czarnem nad zaporą. – Chłopak milczał, założyła więc, że podane informacje są niewystarczające, dorzuciła więc następną: – Ma na imię Rajner i jest ko...

– Kurwa! – przerwał jej gwałtownie, lecz w jego okrzyku nie było złości, tylko strach. – Ja pier... – Tym razem zdążył ugryźć się w język. – Co za cholerny, pieprzony pech! By to jasny szlag trafił!

Nerwowym gestem władował pustą łyżkę do ust i głośno siorbnął powietrze. Na ten widok Apolonii zadrgały wargi. Zauważywszy jego morderczy wzrok, zasłoniła usta dłonią, niemniej na opanowanie rozbawienia było już za późno. Parsknęła śmiechem. Przez chwilę wyglądał, jakby całkiem poważnie rozważał możliwość uduszenia jej, ale poczucie humoru zwyciężyło i on także się roześmiał.

– Nareszcie wiem, co oznaczają słowa „żywił się powietrzem” – wykrztusiła, gdy zdołała trochę się uspokoić. – Nie masz pojęcia, jak to komicznie wygląda. – Niespodziewanie zmieniła temat. – Rajner tak naprawdę wcale nie jest moim krewnym. Nazywam go tak, bo przyjaźni się moim ojcem. Czemu to źle, że przyjechałam do niego?

– Nie lubię gliniarzy.

Zafrasowała się na tę zwięzłą odpowiedź.

– To niedobrze – stwierdziła równie zwięźle. Posłał jej pytające spojrzenie, rozwinęła więc wypowiedź: – Uratowałeś mi życie. Nie próbuj się kłócić, oboje wiemy, że zamarzałabym w tym cholernym lesie. Dlatego pomyślałam, że mógłbyś mnie odwiedzić... – Zauważyła brak entuzjazmu, mimo to brnęła dalej: – Zaplanowałam, że upiekę ciasto, zrobię sałatkę i jeszcze... Nie patrz tak, umiem radzić sobie w kuchni. Ale Norbert... mój ojciec też jest policjantem, dlatego pewnie nie będziesz chciał przyjechać...

Ostatnie słowa brzmiały tak cicho i niewyraźnie, że bardziej domyślił się ich sensu. Wyciągnął rękę przez stół, ujął Apolonię pod brodę, zmuszając do uniesienia głowy, i z przerażeniem zauważył, że ma oczy pełne łez. Biedna mała. Dzisiejsze przeżycia odbiłyby się nawet na dorosłym, a ona nie miała nawet czternastu lat. Odrzucenie zaproszenia, chociaż niewyrażone słowami, lecz miną, musiało być kroplą, która przepełniła kielich, stąd te łzy.

Odsunął talerz z niedojedzoną zupą i sięgnął po paczkę klubowych. Nie palił dużo, zaledwie kilka sztuk dziennie, teraz jednak poczuł nieprzewycięzoną chęć na papierosa. Znów uchylił okiennicę, by dym nie rozprzestrzenił się po domu, i wypuszczając siwy obłok, stwierdził z przykrością, że śnieżycy jeszcze się wzmogła. Westchnął ciężko, zgasił niedopałek i zamknął okno, odcinając ich od wycia wichury.

– Tego właśnie się obawiałem – powiedział z ponurą miną. – Cały czas sypie. Jak tak dalej pójdzie, to napada tyle, że nie będziemy mogli dostać się do Czarnego. Tyle tylko z tego pożytku, że ten, kto zostawił ślady, nie będzie mógł tutaj wrócić.

– Jakie ślady? Te, po których przyszłam? – domyśliła się Apolonia. – Byłam pewna, że są twoje.

– Cały dzień sypał śnieg, a ja szedłem tamtędy rano. Nie podoba mi się, że ktoś się tu kręcił. Nie mam znajomych wpadających na kawę czy wódkę, zresztą nikogo nie zapraszałem. Nie lubię się zaprzyjaźniać.

Apolonia przyglądała mu się z uwagą, ważąc coś w myślach.

– Wychodzi na to, że nie lubisz nikogo oprócz siebie – stwierdziła nagle.

Kpiący ton podział na Ditmara jak płachta na byka.

– Przede wszystkim nie lubię mieć problemów – warknął ze złością, której nie zdołał powściągnąć. – Lepiej by mi było zostawić cię w tym lesie, ale nie, znowu musiałem pokazać, jaki jestem dobry i szlachetny – dodał cicho, z przyzwyczajenia mówiąc do siebie. Ona jednak to usłyszała i zapłonęła gniewem.

– W takim razie naprawdę dziwne, że mnie szukałeś, a potem zabrałeś do domu, chociaż wcale nie chciałeś tego robić. – Zachnął się, więc dorzuciła: – Przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że żałujesz.

Oczy Lońki znów zaszkliły się łzami. Wyglądała tak żałośnie i bezbrinnie, że Ditmarowi ścisnęło się serce. Nie mógł pozwolić, by utwierdziła się w przekonaniu, iż on naprawdę wolałby pozostawić ją w lesie na pewną śmierć.

– Nie powiedziałem, że żałuję, tylko że tak byłoby dla mnie lepiej. Co innego, gdybyś była mężczyzną.

Natychmiast zapłonęła słusznym gniewem.

– Bo kobiety mniej szkoda?!

– Nie to miałem na myśli. – Głos miał zmęczony i pełen rezygnacji. – Chodzi o to, że jesteś dziewczyną, w dodatku nieletnią, a ja siedziałem za gwałt.

Rozdział 9

Delikatna sprawa

25 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Norbert nie zdążył jeszcze dobrze się rozeznać w swoich nowych obowiązkach, gdy do pokoju wszedł zaaferowany Mieczysław Ochabczyk. Właściwie bardziej adekwatnym byłoby tutaj słowo „wpadł”, gdyż otworzył drzwi z takim impetem, że z biurka komisarza Jagielskiego sfrunęły papiery i majestatycznie osiadły na podłodze.

Prokurator jakby tego nie zauważył. Podeszedł do Jagielskiego i pochyliwszy się ku niemu, powiedział półgłosem:

– Panie Jurku, mogę prosić na słówko?

Komisarz popatrzył na niego ze zdumieniem, nie bardzo pojmując, o co może chodzić. Co prawda ostatnio osiągnęli stan, który na upartego można by nazwać porozumieniem, ale do bliższej konfidencji było im jeszcze bardzo daleko. Skąd więc naraz ten familiarny zwrot? Wołanie zaś na słówko oznaczało prośbę o rozmowę w cztery oczy, co zdziwiło Jerzego jeszcze bardziej, bo w pomieszczeniu oprócz Swifta nie było nikogo więcej.

– Ma pan do mnie jakąś sprawę? To może jednak porozmawiajmy tutaj, po korytarzu ciągle ktoś łązi...

– Nie macie pomieszczeń do przesłuchań? – zirytował się Ochabczyk, jakby po raz pierwszy przebywał w budynku komendy.

Jagielski miał już na końcu języka sarkastyczną ripostę, lecz ubiegł go Norbert. Wstał zza swojego nowego miejsca pracy i podeszedł do biurka kolegi.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – przywitał się uprzejmie i zaproponował: – To może ja wyjdę. Daj mi akta jakiejś sprawy, poczytam sobie w poczekalni.

– Komisarz Swift. Witam, witam! – Ochabczyk wyraźnie ucieszył się na jego widok. – Siedział pan tyłem do drzwi, dlatego nie poznałem. Poza tym pan chyba służy w Szczyrku, prawda? Nie spodziewałem się pana tutaj zastać – usprawiedliwił się, co zdziwiło policjantów. Do tej pory nic takiego nigdy nie miało miejsca.

– Przeniosłem się do dochodzeniówki i właśnie dzisiaj zaczynam – wyjaśnił zwięźle Norbert, nie wdając się w szczegóły.

Nie miał ochoty opowiadać nielubianemu prokuratorowi o swojej skomplikowanej sytuacji. Na szczęście Ochabczyk był zbyt zajęty własnymi kłopotami, by mogły zainteresować go cudze, i ograniczył się do skinięcia głową.

– W takim razie mam prośbę do obu panów, bo obaj jesteście inteligentni i na pewno poradzicie sobie z tym problemem. Wiem też, że umiecie zachować dyskrecję, a to bardzo ważne, bo sprawa jest delikatnej materii.

Komisarze wymienili rozbawione spojrzenia.

– Niech pan lepiej przestanie nas wychwalać, bo jeszcze uwierzmy, że pan naprawdę tak o nas myśli – nie wytrzymał Jagielski.

– Kiedy to jest prawda – bronił się prokurator. – Z panem Norbertem jeszcze mi się nie zdarzyło oficjalnie współpracować, ale miałem przyjemność zobaczyć go w akcji – nawiązał do zatrzymania Kolekcjonera Dorot. – Za to z panem już kilkakrotnie i zawsze byłem pełen podziwu, tylko o tym nie mówiłem, żeby...

– Żeby mu się w dupie nie poprzewracało – dokończył za niego Norbert. – Panie prokuratorze. – Popatrzył prosto w oczy Ochabczyka. – Niech pan powie, czego od nas oczekuje, a my zdecydujemy, czy będziemy mogli pomóc.

– W każdym razie obiecujemy dyskrecję – obiecał Jagielski w swoim i Swifta imieniu. – Bo domyślam się, że ta sprawa ma coś wspólnego z pana hm... preferencjami?

Wyraźnie zaskoczony prokurator w zakłopotaniu potarł wypielęgnowaną dłoń podwójny podbródek; widać było, że nie

spodziewał się podobnej otwartości. Zmierzył obu komisarzy podejrziwym wzrokiem, jednak nie dopatrył się na ich twarzach żadnego z uczuć typowych dla ludzi dowiadujących się niespodziewanie, że ktoś z grona długoletnich znajomych jest homoseksualistą. Najczęściej były to niechęć, obrzydzenie czy nawet nienawiść, tu natomiast widział wyłącznie uprzejme zainteresowanie.

– Niestety tak – potwierdził, gdy już zyskał pewność, że nie stanie się dla policjantów obiektem kpin. – Chodzi o to, że na początku grudnia poznałem pewnego chłopaka. Miałem pewne wątpliwości, bo był jeszcze taki młody...

– Jak młody? – spytał ostro Norbert.

Ochabczyk spojrzał na niego z urazą.

– Co pan sobie myśli?! Nie jestem jakimś pedofilem! – oburzył się i nadał, lecz prawie natychmiast oklapł i dalsze słowa wypowiadał już spokojnie: – Teodor jest pełnoletni. Ma dwadzieścia lat i od dawna ustaloną orientację seksualną, więc to wcale nie tak, jak pan myśli. Od pierwszej chwili widziałem, że też jest mną zainteresowany, martwiła mnie tylko różnica wieku. Ale zaczął mnie odwiedzać i było cudownie, a dwa tygodnie temu przyjechał na dłużej. Niestety w ubiegły czwartek musiałem wyjechać w sprawach rodzinnych. Miałem wrócić tego samego dnia wieczorem, ale wiecie, jak to bywa z dawno niewidzianymi krewnymi. Tak namawiali, że postanowiłem zostać do piątku, potem do soboty... Koniec końców wróciłem dopiero dzisiaj rano i... – Urwał i ukrył twarz w dłoniach, a gdy po chwili je odsunął, zobaczyli mokre od łez policzki. Prokurator westchnął głęboko i podjął z wysiłkiem: – Kiedy wszedłem do domu, od razu zauważyłem brak wielu cennych przedmiotów. Potem odkryłem, że Teodor zniknął, za to w salonie jest wielka plama krwi.

25 stycznia 1993, Wisła

– Dlaczego w piątek spóźniłeś się na służbę?

– Ja?! – Paweł Szalbót wyglądał jak uosobienie zdziwienia. – Nie wiem, kto panu tych głupot nagadał. Pewnie se jaja robił, a pan od razu

uwierzył. Dobrze wiem, że chce się pan mnie pozbyć i szuka haka!

Rajner Milewski przez jakiś czas spoglądał w milczeniu na podwładnego. Na jego twarzy nie było widać gniewu, a jedynie zaniepokojenie. Sprawiał wrażenie kogoś obserwującego nieznaną dotąd okaz fauny.

– Nie muszę szukać, sam się podkładasz głupimi wymówkami. Mogłeś wymyślić jakieś wytłumaczenie, ale gdzie tam, ty wolałeś iść w zaparte.

– Ale ja naprawdę...

– Nie kończ – rzucił zimno Rajner. – W piątek w Czarnem nie działały telefony, a ja musiałem po południu zadzwonić w pilnej sprawie. Dalej nie kumasz? Przyjechałem tutaj, a na dyżurce dalej siedział Bujok.

– Bo myśmy się za...

– Zamienili? To chciałeś powiedzieć? W takim razie dziwne, że on o tym nic nie wiedział i był wkurwiony, bo przez ciebie musiał odwołać randkę. Dostyc! – ostrzegł, gdy Szalbót sięgnął po kolejną wymówkę. – Ściemniać możesz żonie, ze mną ten numer nie przejdzie. Mam tego powyżej uszu. Albo przedstawisz wiarygodne wytłumaczenie, albo nagana i po premii. Wybieraj.

Sierżant spoglądał na niego spode łba. Przekonawszy się, że przełożony nie żartuje, przybrał minę skrzywdzonej niewinności, a gdy zobaczył, że to również nie przyniosło spodziewanego efektu, ostatecznie skapitulował.

– W piątek zadzwonił do nas policjant z Żywca – zaczął niechętnie. – I ten Piontek powiedział...

– Mów jakoś składniej, bo już się pogubiłem. Dzwonił Piontek czy w piątek?

– Piontek to nazwisko tego aspiranta, który dzwonił w piątek. Mają zabójstwo kobiety, szukają krewnych i wyszło im po meldunku, że od grudnia syn denatki mieszka w Wiśle. To ten pana pupilek, Fajlhauer.

W pierwszej chwili Rajnerowi znów zrobiło się szkoda chłopaka, do którego rzeczywiście od początku poczuł sympatię. W następnej dotarło do niego, że tłumaczenie sierżanta jest dziwnie pokrętne; nie mógł dopatrzeć się związku pomiędzy zabójstwem dokonany w Żywcu a spóźnieniem podwładnego.

– Teraz rozumiem, dlaczego się spóźniłeś na służbę. Jako wzorowy policjant składałeś mu kondolencje.

Co prawda Pawła Szalbóta nikt nie mógłby zaliczyć do najbystrzejszych potoków w okolicy, ale nawet on wychwytał sarkazm. Poczerwieniał lekko, bardziej z gniewu niż z zażenowania, i zasypał Milewskiego istną lawiną słów.

– Panie komendancie, aspirant Pionek mówił, że ta kobieta została dźgnięta nożem w gardło. Ale jest też bardzo pobita, głównie na twarzy, dlatego jest problem z identyfikacją. Nie można porównać jej ze zdjęciem z dowodu, a sąsiedzi niezbyt dobrze ją znali, dlatego chłopaki z Żywca szukają kogoś z rodziny. Kto jak kto, ale syn na pewno matkę rozpozna, dlatego przed służbą poszedłem do Fajlhauera. Chciałem pomóc kolegom, skąd mogłem wiedzieć, że znowu się zacznie śnieżyca? Myślałem, że się napiję gorącej herbaty, ale ten gnojek chyba gdzieś polazł, bo pukałem i pukałem, i nic. Czekałem może z dziesięć minut, potem uznałem, że muszę wracać. Wiało coraz mocniej i tak kurzyło śniegiem, że w ogóle nie wiedziałem, gdzie idę. O mało się nie zgubiłem w tym jebanym lesie!

W głosie miał tyle rozzalenia, że Rajner o mało nie wybuchnął śmiechem. Z trudem zdobył się na poważny ton:

– To musiało być straszne przeżycie, serdecznie ci współczuję. Tylko że wcale nie musiałeś tam iść osobiście. Pewnie o tym nie słyszałeś, ale na komisariacie jest takie stanowisko jak dzielnicowy.

Dopiero pod koniec wypowiedzi do Szalbóta dotarła ironia. Poczerwieniał jeszcze bardziej, dłonie zacisnął w pięści.

– Dzielnicowy nigdy nie ma czasu – burknął. – Chciałem, żeby było prędeż, bo Piontkowi zależy na jak najszybszej identyfikacji.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki pilny, chyba cię nie doceniałem. Tylko skąd miałem o tym wiedzieć? Na komisariacie jakoś tej pilności nie widać.

Tego było już sierżantowi za wiele. Jawnie niesprawiedliwa ocena dotknęła go do tego stopnia, że zapomniał o danym sobie przyrzeczeniu zachowania wszystkiego w tajemnicy i niewiele myśląc, wypalił:

– Piontek się pochwalił, ten aspirant z Żywca, znaczy się, że już ma sprawcę. A kiedy mówił o identyfikacji, wspomniął też, że Ditmar

Fajlhauer jest jedynym spadkobiercą, bo ta kobieta nie miała innych krewnych. I wtedy sobie pomyślałem, że warto by było sprawdzić, gdzie Fajlhauer był i co robił w chwili zabójstwa, bo przecież już raz siedział, a wiadomo, że w więzieniu nikt nie robi się lepszy.

– Rozumiem – odpowiedział Rajner spokojnie, choć odczuwał nieprzepatą ochotę, by wbić podwładnemu do głowy bodaj odrobinę rozumu. – Czyli sytuacja wygląda tak, że celowo pominąłeś drogę służbową, bo zamarzył ci się sukces śledczy. Nie wiem tylko, czy to zataiłeś, bo zamierzałeś siłą zmusić Fajlhauera do przyznania się, czy może z obawy, że odbiorę ci splendor i przypiszę sobie twoje osiągnięcie.

– Ja wcale nie... – zaczął Szalbót, lecz podkomisarz nie pozwolił mu dokończyć.

– Masz rację, ty wcale nie. Nie powiadomiłeś mnie o telefonie z Żywca, nie poleciłeś dzielnicowemu, żeby przekazał Fajhaureowi, że jego matka została zamordowana, i nie stawiłeś się do służby o czasie. W efekcie Bujok musiał zostać dłużej i odwołać randkę, Ditmar Fajlhauer nadal nie wie, że jego matka nie żyje, a chłopaki z Żywca stoją ze śledztwem, bo nie mają oficjalnej identyfikacji zwłok. Zaiste jedno wielkie pasmo sukcesów, nic tylko pozazdrościć. Zastanawiam się, czy nie wystąpić do komendanta powiatowego z wnioskiem o premię dla ciebie, bo wypadaloby jakoś uhonorować taki wyczyn.

Nie czekając na reakcję podwładnego, Milewski odwrócił się na pięcie i odszedł. Bał się, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma i powie coś, co utwierdzi sierżanta w przekonaniu, iż jest niewinną ofiarą prześladowań. Niepotrzebnie się wysilał, Szalbót bowiem i bez tego do końca dnia siedział naburmuszony i na wszystkie pytania o powody złego humoru odpowiadał jednakowo, z gniewem i pretensją: „Stary mnie zjechał jak psa, bo chciałem zrobić coś, na co on nie wpadł. Zazdrosny skurwysyn!”.

O przekazaniu złych wieści Fajlhauerowi nawet już nie pomyślał i gdyby Milewski nie powiadomił dzielnicowego o prośbie kolegi z żywieckiej komendy, Ditmar jeszcze długo mógłby nie wiedzieć o śmierci matki, a ciało Marii Fajlhauer leżałoby w kostnicy w oczekiwaniu na identyfikację. Co i tak się stało, ale już nie z winy policji, tylko niesprzyjającej aury.

Sierżant Andrzej Czyż był całkowitym przeciwieństwem Szalbóta. Odpowiedzialny, obowiązkowy i bardzo inteligentny, po usłyszeniu oszczędnej relacji natychmiast domyślił się niechlubnej roli Szalbóta w całym zdarzeniu. Zresztą zazdrość i niezdrowe ambicje tego ostatniego dla nikogo w komisariacie nie były tajemnicą, a sympatia niemal całej załogi kierowała się w stronę zastępcy komendanta. Teraz jednak Czyż się zasepił.

– Osada Barański Most – przeczytał na głos adres Fajlhauera. – Będzie problem, bo powyżej strażnicy OSP drogi w ogóle nie są jeszcze odśnieżone, a w wyższych partiach spadło ponad pół metra świeżego śniegu. Po takim puchu nie przejdzie się nawet na biegówkach.

– Chłopak pracuje u Tadka Grucy – przypomniał Rajner. – Gruca pewnie ma telefon, a jak nie, to się do niego przejdę. Mieszka niedaleko...

Sierżant nie podzielał jego optymizmu.

– Nie sądzę, żeby to coś pomogło, bo jak tyle śniega naroz dosuło, to chłopiec też z chałpy, kruca fuks, nie wyńdzie.

Przejście w połowie wypowiedzi na gwarę świadczyło o zdenerwowaniu opanowanego zazwyczaj Czyża.

– To źle? – spytał Milewski ostrożnie. Naraz coś przyszło mu do głowy.
– Przecież to na pewno nie jest pierwszy taki opad. Wcześniej ludzie jakoś sobie radzili, nie siedzieli uwięzieni w domach do wiosny, to teraz też dadzą sobie radę.

– Wiślanie tak, ale on jest miastowy, nie wiemy, czy pomyślał o zrobieniu zapasów czy zgromadzeniu opału, że o nafcie nie wspomnę.

Ostatnie słowa wprawiły Rajnera w zdumienie.

– Na cholere mu nafta? Koktajle Mołotowa będzie produkować czy jak?

– To nie taki głupi pomysł, mógłby rzucać nimi w zające. Gdyby trafił, miałby co jeść, w dodatku od razu upieczone. Ale mnie chodziło o światło. – Sierżant zauważył, że jego odpowiedź niczego Milewskiemu nie wyjaśniła, więc dodał: – Potrzebuje nafty do lamp naftowych, bo tam nie ma prądu.

Podkomisarz oniemiał. Zwyczajnie nie mieściło mu się w głowie, że mogą istnieć jeszcze takie miejsca, gdzie nie dotarły linie energetyczne.

Na litość boską, był koniec dwudziestego wieku! To po prostu niemożliwe!

– Nie rozumiem, jak można tak żyć. Jego ciotce to nie przeszkadza?

Czyż zrobił przedziwną minę, oscylującą pomiędzy zdziwieniem, zgorzeniem a rozbawieniem. Ostatecznie wygrało to ostatnie i gdy sierżant się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć stłumiony śmiech.

– Chyba nie, ale pewności nie mam, bo nie rozmawiam z duchami. Ewa Cieślar zmarła... – Urwał i przez kilka sekund poruszał niemo ustami. Najwyraźniej wyęzanie pamięci zakończyło się sukcesem, bo zaraz rozjaśnił się w uśmiechu. – To było bodajże w maju osiemdziesiątego dziewiątego. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat, a do końca wszystko robiła sama – dodał z podziwem. – Umarła na ławce przed domem, dokładnie tak, jak chciała. Zawsze powiadała, że ani myśli być dla nikogo ciężarem. Że jak przyjdzie na nią pora, to siednie se na tej ławce z flaszką kwitu, coby godnie śmierć powitać. Ciekawe, skąd wiedziała, że już na nią czas? – dorzucił w zadumie. – Dzieci nie mieli, a z rodziny został jej tylko ten chłopiec. Spróbuję jutro się do niego dostać, a jak nie, to trza będzie powiadomić GOPR.

Rajner nieuważnie skinął głową, zajęty swoimi myślami. Dotychczas był pewien, że Ditmar mieszka z ciotką, ale teraz, gdy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że chłopak nigdy czegoś takiego nie mówił. Owszem, potwierdził, że zameldował się w domu ciotki, ale wcale nie powiedział, że z nią mieszka. To Rajner tak założył.

Miastowy chłopak mieszkający na kompletnym odludziu, w starym domu bez prądu i z pewnością bez innych wygód. Samotny, obcy w środowisku, bez przyjaciół, za to z etykietą kryminalisty. Tego nie wytrzymałaby większość dojrzałych, pewnych siebie mężczyzn, a jednak podczas cotygodniowych wizyt na komisariacie Ditmar nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego, choć na pewno od czasu ich pierwszego spotkania bardzo się zmienił. Zrobił się bardziej otwarty i ufny, a jednocześnie wyciszony, bez widocznych na początku pełnych gniewu spojrzeń. Z jego słów można było wywnioskować, że jest dumny z wykonywanej pracy, z tego, że sobie poradził mimo braku wprawy i kondycji fizycznej.

Mimo woli Rajner przypomniał sobie podejrzenie Szalbóta i przez jakiś czas rozważał na chłodno prawdopodobieństwo takiego scenariusza, nim ostatecznie go odrzucił. Wcale nie dlatego, że polubił chłopaka i uwierzył w jego resocjalizację, życie go nauczyło, że ślepa ufność wcale nie jest dobra, bo przynosi tylko rozczarowanie, cierpienie i masę problemów. Ufał wszak kolegom z plutonu jak samemu sobie – i jak na tym wyszedł?

Skreślił Ditmara z uwagi na jego charakter, zdaniem Milewskiego dyskwalifikujący chłopaka jako zabójcę. Człowiek, który w trakcie starań o pracę ostrzega potencjalnego pracodawcę, że siedział w więzieniu z powodu zgwałcenia, by, jak to określił w rozmowie z Grucą, nie było żadnych nieporozumień, nie umiałby udawać, że nic się nie stało. Ktoś taki przyznałby się od razu, a już na pewno nie pozwoliłby, żeby za jego czyn skazano kogoś innego.

Zadzwoił telefon i skutecznie oderwał Rajnera od rozważań o Fajlhauerze, a późniejszy nawet zajęć skutecznie usunął z myśli nie tylko chłopaka, ale także Lońkę, która mimo wcześniejszych zapowiedzi jeszcze nie przyjechała. Milewski miał co prawda zamiar zadzwonić i zapytać, czy Norbert dlatego jej nie przywiózł, bo tak jak wielu innych kierowców ma prawo jazdy ważne wyłącznie podczas ładnej pogody, najpierw jednak załatwiał sprawy służbowe, a później zwyczajnie zapominał.

25 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Technik skrupulatnie sfotografował salon, gdzie prawdopodobnie doszło do jakiegoś wypadku, o czym świadczyły krwawe ślady rozmazane na obudowie kominka, niewielka plama u jego podnóża i dużo większa niespełna metr dalej. Utrwalił też odciski linii papilarnych i obejrzawszy je przez lupę, stwierdził wstępnie, że w większości należą do jednej osoby, prawdopodobnie właściciela posesji. Według jego opinii drugie z ujawnionych występowały znacznie rzadziej, trzecie natomiast znajdowały się jedynie na aparacie telefonicznym.

Mieczysław Ochabczyk potwierdził jego przypuszczenia. Zeznał, że mieszka sam i od bardzo dawna nikt u niego nie gościł. Wyjątkiem był Teodor Koziniec i zapewne drugie z odcisków palców należą właśnie do niego, kategorycznie zaprzeczył natomiast, by ktokolwiek obcy korzystał z jego telefonu. Dali temu wiarę. Dom prokuratora stał na końcu ślepej uliczki, trudno zatem byłoby przypuszczać, że ktoś pilnie poszukujący dostępu do telefonu znalazł go dopiero tutaj. Śladów traseologicznych nie ujawniono; jeżeli takowe w ogóle były, na zewnątrz zasypał je śnieg, a wewnątrz zamieniły się w ledwie widoczne zaschnięte plamy.

– Nie wierzę, że Teodor brał w tym udział! – upierał się Ochabczyk, wbrew ustaleniom policjantów i zdrowemu rozsądkowi.

Nie zaliczał się do pokrzywdzonych łatwych we współpracy, zresztą zanim zyskał status pokrzywdzonego, komisarze stracili ponad pół godziny na przekonanie go o konieczności złożenia oficjalnego zawiadomienia o przestępstwie. Uparł się za wszelką cenę chronić dobre imię kochanka i pomogła dopiero uwaga Jagielskiego, że ofiarą mógł być właśnie Koziniec. Poparł go Swift, mówiąc, że nawet gdyby postanowili pomóc mu nieoficjalnie, niezbędna będzie obecność technika, a jego dyskrecji nie są w stanie zagwarantować. Niezgłoszenie kradzieży, gdzie jednym ze śladów jest plama krwi, postawi prokuratora w kłopotliwej sytuacji.

Policjanci wymienili spojrzenia. Żaden nie miał ochoty dyskutować z przekonanym o swojej racji jurystą, gdy jednak Norbert demonstracyjnie zapatrzył się w widok za oknem, Jerzy z westchnieniem wziął na siebie przykry obowiązek. W końcu był to dla Swifta pierwszy dzień pracy w nowym wydziale, a Jagielski zobowiązał się go wdrożyć.

– Panie prokuratorze, nie twierdzę, że jestem nieomylny, ale...

Nie zdołał dokończyć, gdyż Ochabczyk przerwał mu gniewnie:

– A ja wiem, co mówię! Teodor na pewno mnie nie okradł. Ktoś musiał się włamać. Pewnie myślał, że dom jest pusty.

– Nie ma śladów włamania – stwierdził Jerzy sucho. – Wobec tego wniosek może być tylko jeden. Taki, że Koziniec mu otworzył.

– Przecież nie zna pan wszystkich włamywaczy w Polsce – zirytował się prokurator. – A nawet gdyby Teodor kogoś wpuścił, to jeszcze nie

oznacza, że był z nim w zмовie. Ta krew... Boję się o tego chłopca. Pewnie został ciężko zraniony albo...

Urwał i popatrzył tak błagalnie na policjantów, że nie zdobyli się na przedstawienie swojego zdania w tej sprawie. Gdyby Koziniec został zabity przez włamywacza, nie zniknąłby z domu, gdyż martwi nie mają zwyczaju się przemieszczać. Zraniony, mógłby szukać pomocy, ale wiedzieli już, że od czwartku nie zgłosił się do żadnej placówki medycznej nikt o podobnym rysopisie. Bardziej zatem prawdopodobne było, że pobił się ze współnikiem o łupy, po czym obaj opuścili dom. Tego jednak komisarze prokuratorowi nie powiedzieli, ograniczając się do przekazania informacji, że na obudowie kominka technik znalazł kilka włosów z fragmentami skóry, prawdopodobnie zdartej przy uderzeniu.

– Na pewno nic mu nie jest – stwierdził Norbert oględnie. – On ma kręcone jasnoblonde włosy. prawda? W takim razie uważam, że zdarzenie wyglądało mniej więcej tak: Koziniec siedział na sofie, kiedy ten drugi...

– Się pojawił – wszedł mu w słowo Jagielski i wzrokiem nakazał, by przyjaciel nie denerwował Ochabczyka bez potrzeby.

Swift skinął głową na znak akceptacji i podjął:

– Koziniec wstał, stanął obok kominka. Zaczęli się kłócić, tamten go uderzył, a chłopak poleciał do tyłu i przywalił głową w marmur. Musiało go zamroczyć, więc osunął się na podłogę, stąd rozmazane ślady krwi na obudowie i ta mniejsza plama.

– Ten drugi pewnie go cucił, a kiedy Koziniec się ocknął, złapał coś i uderzył – dokończył Jagielski i rozejrzał się po bliskim sąsiedztwie kominka. – Nie ma pan pogrzebaczka? – spytał prokuratora, zerkając jednocześnie w stronę mosiężnego pojemnika na akcesoria kominkowe. Znajdowały się w nim tylko wąska łopatka i miotełka.

– Oczywiście, że mam. – Prokurator spojrział w to samo miejsce i dokończył ponurym tonem: – To znaczy miałem.

– No to wszystko jasne – znów podjął Swift. – Kiedy Koziniec go rąbnął, tamten musiał upaść tutaj. – Wskazał rozległą plamę krwi. – Chłopak przestraszył się, że go zabił, więc dał nogę, a gdy ten drugi odzyskał przytomność, zabrał fanty i też zniknął.

Ochabczyk skinął głową. Potem spojrział na zegarek i zaklął.

– Przepraszam, panowie, ale ja także muszę zniknąć, za pół godziny mam rozprawę. Odbiorę klucze na komendzie, dobrze?

Nie zaprotestowali. Decyzja prokuratora o opuszczeniu domu była im bardzo na rękę, nie musieli już pilnować każdego słowa.

– Kto to jest ten cały Koziniec? – zaciekawiał się milczący do tej pory technik. – Nieślubny syn, że tak go broni?

– Kolega od szachów – mruknął Norbert i zwrócił się do Jerzego: – Grubas może mieć rację co do niewinności chłopaka, bo równie dobrze wszystko mogło się odbyć właśnie w ten sposób, jak to przedstawiliśmy.

– Nie mogło – zaoponował niespodziewanie technik, oglądający właśnie jakiś wydobyty spod sofy przedmiot. – Mam ten pogrzebacz. Są na nim takie same włosy.

Swift, jeszcze bardziej od Jagielskiego przekonany o współnictwie Kozinca, pokiwał tylko głową, jego kolega natomiast dał wyraz swoim uczuciom w sposób bardziej spektakularny. Uderzył pięścią w stół i zaczął kłać długo a kwieście.

– Kurwa mać – zakończył całkiem zwyczajnie tę wyszukaną litanie. – Byłem pewien, że brał udział w kradzieży, ale teraz to już sam nie wiem.

– Może być sprawcą i ofiarą jednocześnie, jedno drugiego nie wyklucza. Wpuścił kumpla i wspólnie obrobili chatę, ale potem doszło do kłótni. Kumpel uciekł pierwszy albo zaczekał, aż Koziniec się opamięta, w każdym razie zniknęli obaj, a wraz z nimi dobra wszelakie naszego ulubionego prokuratora.

Technik już jakiś czas temu zabezpieczył pogrzebacz i wstał z kucek. Teraz podszedł do przemawiającego Norberta i powiedział:

– Nie chcę się wtrącać, ale czemu nie bierzecie pod uwagę Ochabczyka jako sprawcy? Mógł zabić tego chłopaka, upozorować kradzież, a ciało i fanty wywieźć w pizdu pod osłoną nocy. To, że jest prokuratorem...

– Nie ma dla nas najmniejszego znaczenia – wszedł mu w słowo Jerzy.

– Ale nie dałby rady wynieść ciała samodzielnie, zresztą nikt by nie zdołał. Musiałby je wlec, a wtedy na podłodze zostałyby ślady krwi.

– Właśnie – poparł go Norbert. – A sam mówiłeś, że gdzie indziej podłoga jest czysta, co oznacza, że Koziniec wyszedł stąd o własnych

siłach. Nie ma ciała ani zgłoszenia o pobiciu, więc nie ma przestępstwa innego niż kradzież.

Rozdział 10

Jestem Petra

25 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Rozdokazywana córeczka wreszcie zapadła w sen i Inga z cichym westchnieniem usiadła obok męża na kanapie. Norbert objął ją, przyciągnął do siebie i zanurzył twarz w atramentowoczarnych włosach, pachnących miętowym szamponem.

– Wreszcie chwila spokoju – mruknął. – Nie wydaje ci się, że Martyna jest ostatnio jakaś nadaktywna? Mam wrażenie, że od mojego powrotu z pracy nawet na chwilę nie usiadła. I stała się dziwnie marudna. Może to wina opiekunki...?

Inga nie pozwoliła mu dokończyć. Prychnęła głośno, a gdy zauważyła, że niewiele to pomogło mężowi w zrozumieniu, zwerbalizowała swoją opinię:

– Oczywiście, że to wina opiekunki. Nie jest Lońką.

– Więc ty uważasz...?

– To jasne jak słońce. Martyna po prostu tęskni. Polubiła Marzenkę i kiedy są same, nie sprawia jej kłopotu, ale po naszym powrocie wstępuje w nią diabeł.

Norbert zmrużył oczy, a spoglądająca na jego profil żona po raz kolejny skonstatowała, że to niesprawiedliwe. Po co mężczyźnie takie długie, gęste rzęsy?

– O tym nie pomyślałem. Może powinienem...

– Ani się waż! Nie będziesz przerywać Lońce ferii tylko dlatego, że nie radzisz sobie z dzieckiem. Dziewczyna ma prawo wypocząć. Jest siostrą,

a nie matką czy opiekunką, Martynie rozstanie też dobrze zrobi, kiedy się przekona, że świat nie kręci się wokół niej, a inni nie są po to, żeby spełniać jej zachcianki.

Uśmiechnął się, gdy znowu odpowiedziała na pytanie, którego nie pozwoliła mu do końca wyartykułować. Zaraz jednak spoważniał.

– Uważasz, że za bardzo kocham Martynę? Z krzywdą dla Lońki? Nie wydaje mi się, żebym jakoś szczególnie ją wyróżniał. Jest dużo młodsza, nie mogę traktować ich jednakowo.

W jego głosie usłyszała rozzalenie, przytuliła się więc, po czym zadarła głowę, by móc spojrzeć w chmurne ciemnoniebieskie oczy.

– Nie jestem specjalistką od miłości rodzicielskiej – stwierdziła z nagłym smutkiem. – Moim zdaniem nie krzywdzisz Lońki poprzez wyróżnianie Martyny i nie sądzę, by Lońka chciała, żebyś traktował je tak samo. Gilgotanie po brzuszku i noszenie na barana raczej nie jest wytęsknioną rozrywką czternastolatek.

– A twoją?

Inga wszakże jeszcze nie skończyła, toteż zignorowała zaczepkę.

– Co do miłości, to wydaje mi się, że nie można kochać za bardzo, ale trzeba kochać mądrze. Chyba nie chcesz, żeby Martyna wyrosła na kogoś takiego jak Maciek?

W pierwszej chwili Norbert poczuł złość. Jak ona w ogóle mogła porównywać? Potem pamięć podsunęła mu sceny z dzieciństwa brata i już wiedział, co Inga miała na myśli. Ich rodzice nie kochali mądrze.

Znów wtulił twarz w jej włosy i wciągnął w nozdrza ich kojący zapach.

– Masz rację. Będę musiał powściągnąć chęć obdarowania moich córek gwiazdkami z nieba. Obydwu córek – podkreślił, a Inga skinęła głową.

– Nigdy nie wątpiłam, że kochasz Lońkę tak samo mocno jak Martynę. Tylko trudniej jest ci to okazać, bo jest starsza i te wszystkie śmieszne gesty i słówka są niezbyt przydatne w przypadku nastoletniej pannicy. A na początku była zbyt nieufna, by je docenić.

– I przede wszystkim miała problem z uwierzeniem w ich szczerłość. Tyle się tam kręciło różnych „wujków” i „dziadków”, a nie było ani jednego, który polubiłby ją bezinteresownie. Chodziło im tylko o jedno.

Oczy pociemniały mu z gniewu na wspomnienie gehenny, jaką bratanica przechodziła w domu wiecznie pijanej babki. Dopóki żył dziadek, była w miarę bezpieczna, bo choć Graczyk nie żywił do wnuczki żadnych cieplejszych uczuć, nigdy nie dopuściłby do tego, by pod jego dachem działały się jakieś bezceństwa. Po jego śmierci natomiast Emilia Graczyk zupełnie przestała panować nad swym nałogiem.

Nie miała pieniędzy na wódkę, toteż zapraszała każdego, kto przynosił butelkę jakiegoś trunku w zamian za seks. Jedni zostawali dłużej i w zależności od wieku kazali nazywać się „wujkami” lub „dziadkami”, inni znikali po jednej nocy, większość z nich miała niestety pewną cechę wspólną – bardziej niż zniszczona nałogiem, zapuszczona czterdziestokilkulatka podobała im się jej śliczna, nad wiek rozwinięta wnuczka.

Paradoksalnie wszystko mogłoby skończyć się tragicznie, gdyby nie Graczykowa i jej wyzwiska kierowane w stronę Apolonii. To dzięki nim dziewczynka bardzo wcześnie dowiedziała się o sprawach, które dla jej rówieśników jeszcze długo miały pozostawać tajemnicą, i nie reagowała na słodkie słówka, unikała pozostawiania sam na sam ze znajomymi babki, a drzwi do swojego pokoju nie tylko zamykała na klucz, ale jeszcze zastawiała tapczanem.

– To prawdziwy cud, że uchroniła się od najgorszego – powiedziała Inga cicho. Naraz parsknęła śmiechem. – Choć zdaniem Rajnera nie ma żadnych cudów i pechów, jest tylko działanie człowieka. Czyli Lońka samej sobie zawdzięcza ocalenie.

– Pamiętam ten dzień, kiedy odkrył wiersze Rilkego – rzekł Norbert w zadumie. – Był jak odmieniony, cały czas gadał tylko o tym, że Rainer Maria Rilke jest największym poetą i że każdy powinien je znać.

– To prawda. Nieraz mówimy o pechu, a tymczasem jest to tylko konsekwencja naszych złych wyborów. Ale wygodniej jest obwinić pech, zły los albo Szatana. Rajner to cholernie mądry gość. A właśnie, dzwoniłeś do niego?

– Cholera, na śmierć zapomniałem – zmartwił się Norbert. – Mam od groma roboty, dochodzeniówka to jednak nie wydział śledczy w bezpiece

czy komisariat w Szczyrku. Niby robota taka sama, ale ilościowo chwilami nie do ogarnięcia.

– Nie przejmuj się, zadzwonisz jutro. A może naprawią wreszcie linię telefoniczną i będziemy mogli zadzwonić do nich do domu? Wieki z Jolką nie gadałam.

Norbert zerknął za okno i stwierdził z radością, że śnieg co prawda jeszcze pada, ale znacząco zmniejszył intensywność. Wiatr także przycichł, wszystko zatem wskazywało, że najgorsze mają już za sobą.

– Postaram się jutro zadzwonić, inaczej gotowi uznać Lońkę za podrzutka i zechcą ją adoptować. Ale teraz nie mogę nic zrobić, więc proponuję skorzystać z okazji, że Martyna śpi, i przetestować tę twoją nową spiralę. Niech na sobie zarobi.

26 stycznia 1993, Wisła

Andrzej Czyż naprawdę dołożył wszelkich starań, by dotrzeć do domu Fajlhauera. Próbował dwukrotnie i dwukrotnie musiał odstąpić, pokonany przez głębokie zasy, z których długo się wygrzebywał. Zgodnie z jego przewidywaniami biegówki nie były żadną pomocą, cienkie deski stanowiły raczej zawadę, z łatwością grzęznąc w białym puchu. Gorzej było z ich uwolnieniem, gdyż znaczna długość nart nie pozwalała swobodnie nimi sterować.

– Przykro mi, komendancie, ale Żywiec będzie musiał poczekać – oznajmił zaraz po rozpoczęciu służby. – Zdo mi się, że przestaje sypać, może jutro mi się uda. Z głodu isto nie umrze, jakisi zapasy musi mieć.

Na szczęście w tej kwestii Rajner mógł go uspokoić, zaraz też przekazał sierżantowi pocieszającą informację.

– Rozmawiałem wczoraj z Tadkiem Grucą. Mówił, że w połowie stycznia zawiózł Ditmarowi wyładowane po brzegi sanie, bo „żoł mu było boroka i niy mógł się już dziwać, jak chłapieć się morduje i targo zakupy w rugzaku” – powtórzył słowa Grucy, starając się prawidłowo wymawiać i akcentować słowa, jeszcze kilka lat temu całkiem mu nieznanie. – Mąka, cukier, kasza, ziemniaki, masło, mięso, kiełbasa... chyba tylko wódki nie wymienił.

– Wcale mnie to nie dziwi. Tadziok ma dobre serce, ale lubi se wypić. Mąkę, mięso albo kiełbasę mógł dać, ale kwit to co innego.

Na tę konkluzję Rajner roześmiał się serdecznie, potem spoważniał.

– Gruca nie może się go nachwalić, mówi, że jeszcze nie widział, żeby ktoś był tak najechany na robotę. Inna sprawa, że potrzebuje pieniędzy, bo ponoć zabrał się do remontu.

Tu przypomniał sobie wypowiedź Szalbóta o jedynym spadkobiercy i spochmurniał, bo słowa o pieniądzach nabrały nagle nowego znaczenia. Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, lecz przerwał mu Piotrek Wodziński, zastępujący na stanowisku dyżurnego Pawła Szalbóta, który wielce obrażony w ramach zemsty poszedł na chorobowe.

– Panie komendancie, komenda miejska w Bielsku-Białej do pana. Komisarz Norbert Świt czy jakoś tak... Nie usłyszałem dokładnie, a głupio mi było się dopytywać – tłumaczył młodziutki sierżant, jeden z tych pogardzanych przez Szalbóta „nieprawdziwych sierżantów”, bo awansowany po likwidacji stopnia kaprała.

– Norbert Swift. – Milewski wymówił wyraźnie obco brzmiące nazwisko. – Nie przejmuj się, mało kto jest w stanie je zapamiętać i nie przekręcić.

Podszedł do biurka obok i dał znać Wodzińskiemu, żeby przełączył rozmowę, po czym odezwał się do słuchawki:

– Cześć, Norbert, co tam słyhać w eleganckim świecie? Tyle roboty w tym Szczyrku macie, że nie macz czasu Lońki przywieźć? Trzeba było mówić, tobym po nią przyjechał, bo ferie niedługo się skończą!

Czekał na jakąś dowcipną odpowiedź, lecz z tamtej strony panowała cisza. Głos Norberta, dziwnie zmieniony i pełen lęku, usłyszał dopiero po drugim: „Halo? Jesteś tam?”, gdy miał już odłożyć słuchawkę.

– Przecież Lońka jest u was! Rajner, powiedz, że sobie jaja robisz.

Błagalny ton przyjaciela nie pozostawiał złudzeń do powagi sytuacji, toteż odpowiadając Swiftowi, Milewski organizował już w myślach akcję poszukiwawczą.

– Nigdy nie żartuję z takich spraw. Lońki tu nie ma, nie dalej jak rano zastanawialiśmy się z Jolą, czemu jej nie przywieźliście. Zaraz ruszam do Bielska, pogadamy na miejscu. Nie martw się, bracie, na pewno ją znajdziemy.

Ostatnie zdanie wypowiedział z optymizmem, którego tak naprawdę wcale nie czuł, zbyt wiele młodych dziewczyn ginęło bezpowrotnie, wywożonych wbrew swojej woli do domów publicznych bądź przetrzymywanych w ustronnym miejscu przez miłośników lolitek. Były też takie dobrowolnie wiążące się z wyrzutkami społeczeństwa, omamione wizją *dolce vita*. Tylko że owo *dolce* kończyło się bardzo szybko, pozostawało jedynie *vita*, w którym nie było nic za darmo i piękny sen zamieniał się w koszmar.

Wszystkie te myśli Rajner zachował dla siebie. Nie miał zamiaru dołować przyjaciela statystykami, które Norbert przecież doskonale znał.

– Nie przyjeżdżaj – usłyszał jego niewyraźny głos, zniekształcony trzaskaniem drzwi i czyjąś kłótnią. – To nie ma sensu, bo Lońka na pewno dojechała do Wisły. Lepiej będzie, jak ja przyjadę, tylko dam znać Indze.

– Rzeczywiście tak będzie lepiej – przyznał Milewski. – Ale najpierw podaj mi najważniejsze fakty, od razu zaprzęgnę chłopaków do roboty. Zaczynaj od tego, kiedy i z kim pojechała, no i skąd wiesz, że dotarła do Wisły.

Wysłuchał uważnie relacji Norberta, zanotował kilka szczegółów, po czym zwołał wszystkich dostępnych funkcjonariuszy i zapoznał ich z problemem, na koniec zaś poprosił o przedstawienie przemyśleń i wniosków. Usłyszał ich sporo, jednak do sprawy wniosły niewiele.

Na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia zaginięć małoletnich nie odnotowano zbyt wiele jak na miejscowość turystyczną, w dodatku niemal wszystkie wynikały z lekkomyślności rodziców bądź opiekunów, nieumiejących wpoić dzieciakom, jak ważne jest w górach odpowiednie zachowanie. Tutaj pole do popisu mieli głównie goprowcy i wyłącznie dzięki ich ofiarności wszystko kończyło się szczęśliwie.

Tylko w kilku przypadkach zaginięcia nie były związane z turystyką górską. Dzieciaki z tych czy innych względów zwyczajnie zwały z domu, lecz wkrótce zostały odnalezione, nic zatem nie wskazywało, że wśród wiślańskiej społeczności ukrywa się jakiś pedofil czy inny zwyrodnialec. Mimo to Andrzej Czyż miał wątpliwości.

– Nie musi być wiślaninem. Mógł przyjechać do Wisły na wczasy, zobaczyć samotną dziewczynkę i ją porwał.

Rajner wcześniej także rozpatrywał taki wariant wydarzeń, dlatego teraz mógł od razu wytoczyć ciężkie działa przeciwko hipotezie sierżanta.

– Kiedy Lońka dzwoniła do ojca, mówiła, że czeka na autobus do Czarnego i siedzi w poczekalni, bo na zewnątrz jest zawierucha. Rozmawiała normalnie, nie jak ktoś znajdujący się pod presją, poza tym z poczekalni pełnej ludzi nikt jej raczej siłą nie wywłócił. Dlatego moim zdaniem zniknęła dopiero w Czarnem.

– Trzeba by wypytać kierowcę i pasażerów, może ktoś ją zapamiętał – rzucił któryś z funkcjonariuszy.

Milewski skinął głową. Wyznaczył policjantów odpowiedzialnych za wykonanie tego zadania, następnie zwrócił się do Czyża:

– Andrzej, sprawdź na wszelki wypadek braci Żaczków, a w szczególności Panoczka i jego rodzinę. To moi krewni i do dziś nie mogą mi darować, że właśnie ja dostałem spadek po babce – wyjaśnił pozostałym.

Sierżant Czyż parsknął urywanym śmiechem.

– Spadek spadkiem, ale mnie się widzi, że Panoczek bardziej jest na pana wściekły z powodu córki. – Zreferował zdumionym kolegom fragment historii Kolekcjonera Dorot i zakończył: – Właściwie czasem mam wrażenie, że on wcale nie jest zadowolony, że Dorota żyje i miewa się całkiem dobrze, bo przez to nie może oskarżać komendanta o jej śmierć. – Naraz zwrócił się wprost do Rajnera. – Panie komendancie, czy on znał tę dziewczynkę? W sensie czy rozpoznałby ją jako kogoś, kto jest panu bliski?

Nim Milewski zdążył odpowiedzieć, do dyskusji włączył się Piotrek Wodziński, najmłodszy w korpusie podoficerskim komisariatu.

– Masz na myśli zasadę oko za oko? To bez sensu.

– Niby czemu? – zaperzył się Czyż. – Jeśli uważa, że szef odebrał mu córkę, może postanowił odplącić mu tym samym. A że komendant nie ma dzieci, to mógł wymyślić, że w takim razie odbierze mu kogoś innego. Zauważył dziewczynkę na drodze, przekonał się, że jest sama, i po prostu skorzystał z okazji.

Wodziński wysłuchał go z miną pełną powątpiewania i zaraz przeszedł do przedstawienia kontrargumentów.

– Po pierwsze, musiałby ją na tej drodze rozpoznać, a sam ostatnio mówiłeś, że w sobotę wysiadła linia energetyczna i całe Czarne było czarne.

– Miał latarkę – przerwał mu Czyż.

– I świecił każdemu mijanemu człowiekowi w gębę? A nawet gdyby dziewczynkę przypadkiem oświetlił i rozpoznał, to w jaki sposób ją zmusił, żeby poszła z nim spokojnie, bez krzyków i szamotaniny?

Czyż miał zamiar znowu polemizować, ale Rajner zdecydował, że cała ta dyskusja jest stratą czasu. W przypadku zaginięć liczy się każda minuta, a od zniknięcia Apolonii minęło już ponad sześćdziesiąt godzin.

Kierowca autobusu nie zapamiętał podróżującej samotnie czternastolatki, nie rozpoznał też dziewczyny na zdjęciu przywiezionym przez podenerwowanych do szaleństwa Swiftów. Wymienił za to nazwiska kilku znanych mu osób jadących tym właśnie kursem, pospieszyli zatem, by porozmawiać z nimi, pełni nadziei, że dowiedzą się czegoś, co rzuci światło na zaginięcie Apolonii i pozwoli im ją odnaleźć.

Nadzieja okazała się płonna. Zmęczeni pasażerowie zbyt byli zajęci wpychaniem się do autobusu i poszukiwaniem wolnego miejsca, by zwracać uwagę na jakąś nastolatkę, a gdy już usiedli, nie rozglądali się po otoczeniu, tylko najczęściej spoglądali przez okno i szacowali w myślach wyrządzone przez śnieżycę szkody. W końcu pozostała już tylko jedna pasażerka, lecz tym razem policjanci nie pokładali zbyt wielkiej ufności w pozytywny wynik rozmowy. Nie sądzili, by uważająca się za wielką damę żona miejscowego lekarza raczyła zwrócić uwagę na kogoś innego niż ona sama, niemniej należało ją także zapytać o Apolonię.

Żaden z policjantów nie kwapił się do tej wizyty, toteż Milewski zdecydował, że porozmawia z Nowogrodzką osobiście. W ostatniej chwili

dołączyła do niego Inga, dotychczas nieopuszczająca komisariatu mimo namów Joli Milewskiej, by pojechała z nią do domu.

Rozalia Nowogrodzka przyjęła ich chłodno, lecz poprawnie. Z wystudiowaną uprzejmością zaprosiła niespodziewanych gości do elegancko urządzonego salonu, bezosobowego i tak samo zimnego jak jego właścicielka. Odczekała, aż usiedli na tapicerowanych, szalenie niewygodnych krzesłach, sama zaś zasiadła naprzeciwko w skórzanym fotelu.

– Możecie państwo powtórzyć swoje nazwiska? – poprosiła tonem bardziej przypominającym żądanie aniżeli prośbę.

– Podkomisarz Rajner Milewski, zastępca komendanta komisariatu w Wiśle – odpowiedział uprzejmie Rajner. – Towarzyszy mi pani Inga Piątkowska-Swift. Jej córka Apolonia zaginęła, stąd nasza wizyta.

Nowogrodzka wykazała niejakie zainteresowanie nietypowym wydarzeniem i policjant nie miał innego wyjścia jak odpowiedzieć na szereg pytań. Obawiał się – nie bez powodu – że w przeciwnym wypadku kobieta kategorycznie odmówi współpracy. W tym czasie Inga rozejrzała się dyskretnie po pokoju i doszła do wniosku, że gdyby przyszło je spędzić bodaj pół dnia wśród tego całego szkła i metalu, z pewnością by oszalała.

Nagle zauważyła, że do pokoju weszła wyglądająca na jakieś osiemdziesiąt lat dziewczynka w zapinanym na guziki czerwonym sweterku, o zaplecionych w dwa warkocze włosach o nietypowej barwie kojarzącej się Indze z cynamonem. Dziewczynka stanęła za plecami Nowogrodzkiej i dawała gościom rozpaczliwe znaki nakazujące milczenie, domyślili się więc, że nie chce, by zdradzili jej obecność.

Kobieta ledwo co rzuciła okiem na okazaną jej fotografię i odpowiedziała obojętnie, nie siląc się nawet na okazanie współczucia:

– Nie widziałam jej.

– Niech pani dokładnie się przyjrzy. – W głosie Ingi zabrzmiały błagalne nuty. – Może coś sobie pani przypomni...

Nowogrodzka jednakże nie zamierzała sobie przypominać czegokolwiek z tych strasznych trzydziestu minut, podczas których była zmuszona podróżować zatechłym, trzęsącym się gratem w towarzystwie prostaków. Nigdy więcej...

Litanie wyrzekań przerwał nagle dźwięczny dziecięcy głos:

– Ja ją widziałam!

Nowogrodzka drgnęła jak ukłuta szpilką, a jej ładnie wykrojone usta wykrzywił grymas niechęci. Odwróciła się w stronę dziewczynki.

– Nela, co tu robisz? Natychmiast marsz do swojego pokoju!

– Ale mam, ja naprawdę ją widziałam!

– Brednie! – skwitowała kobieta. – Przestań wreszcie zmyślać. No już, wynoś się stąd albo powiem ojcu.

Dziewczynka rzuciła matce spojrzenie pełne żalu i wybiegła z pokoju, a Nowogrodzka uśmiechnęła się do gości niby z zażenowaniem, a jednak oboje ze zdumieniem dojrzeni w nim także cień triumfu.

– Skaranie boskie z tym dzieciakiem, nic tylko opowiada jakieś niestworzone historie i kłamie na potęgę – narzekała Nowogrodzka i po raz pierwszy podczas całej rozmowy odnieśli wrażenie, że jest całkiem szczerą i niczego nie udaje. – Mąż mówi, że jak tak dalej pójdzie, będzie musiał oddać ją do jakiegoś zakładu. Z dziewczynami to jednak same kłopoty, prawda? – Popatrzyła porozumiewawczo na Inge.

Nie doczekawszy się spodziewanej reakcji, zaczęła się rozwodzić nad zaletami swojego syna, w jej opinii przewyższającego inteligencją wszystkich geniuszy razem wziętych. Czas płynął, a ona mówiła i mówiła, aż wreszcie Rajner nie wytrzymał.

– Pani Nowogrodzka, wierzę na słowo, że Paweł potrafi wszystko, włącznie z chodzeniem po wodzie i zesłaniem manny z nieba, ale my poszukujemy zaginionego dziecka. Jeśli nie może nam pani pomóc...

– Ja zawsze wiem, gdzie są moje dzieci, bo jestem dobrą i odpowiedzialną matką. Trzeba było dziewczuchy pilnować, a nie teraz zawracać ludziom głowę.

Zielone oczy Ingi zzieleniały jeszcze bardziej. Nie oznaczało to dla Nowogrodzkiej nic dobrego, toteż Rajner czym prędzej dał znać koleżance, że powinna się pospieszyć, i ruszył szybko ku wyjściu, a Inga podążyła za nim. Mroźny podmuch owiewający zaczerwienione od gniewu policzki pozwolił jej ochłonać.

– Co za wstrętna baba! Miałam ochotę wydrapać jej oczy.

– Zauważyłem – mruknął Rajner, wpatrzony w zatoczkę dla autobusu, jedyne miejsce w pobliżu domu Nowogrodzkich odśnieżone na tyle, że

można było tam zaparkować. – Zauważyłem też, że chyba ktoś na nas czeka.

Rzeczywiście za samochodem stała jakaś nieduża postać. To przytupywała, to podskakiwała, czy ze zniecierpliwienia, czy z zimna, w każdym razie na pewno chciała pozostać niezauważona, gdyż na dźwięk głosów natychmiast przypadła do ziemi. Dwa grube warkocze i czerwony sweterek pozwoliły nadchodzącym natychmiast ustalić jej tożsamość.

– Taka dobra i odpowiedzialna matka, a pozwoliła wyjść dziecku na mróz bez okrycia – mruknął Rajner, a jego oczy błysnęły gniewem.

– Nie sądzę, by matka wiedziała o tej wyprawie – odparła Inga, pamiętająca doskonale własne dziecięce eskapady. – Lepiej się pospieszmy, bo mała gotowa dostać zapalenia płuc, a wtedy dobra matka nas zlinczuje.

Zanim doszli do radiowozu, drobna twarzyczka zdążyła zsinieć z zimna. Rajner bez słowa usiadł za kierownicą i włączywszy silnik, ustawił ogrzewanie na maksimum, Inga zaś usiadła obok małej na tylnym siedzeniu i otuliła ją kocem, uprzednio rozłożonym na siedzeniu. Dziewczynka uśmiechnęła się do niej i powiedziała:

– Ja naprawdę ją widziałam. Siedziałam tyłem do przodu, a ona przy samych drzwiach, na katafalku.

W przeciwieństwie do Rajnera Inga nie miała problemu z rozszyfrowaniem wypowiedzi i zamiast tracić czas na żądanie jej doprecyzowania, spytała bez tchu:

– Jesteś pewna, że to była ona?

Dziewczynka potwierdziła, po czym niespodziewanie zażądała:

– Zawieźcie mnie na komisariat, to ją narysuję. I innych pasażerów też.

A więc o to jej chodziło! W innym przypadku Rajner poczułby pewnie podziw dla inwencji małej, by dopiąć swego i znaleźć się w centrum uwagi na komisariacie, ale dzisiaj nie miał nastroju do spełniania dziecięcych kaprysów. Bał się spojrzeć na Ingę, pewny, że zobaczy na jej policzkach łzy rozczarowania.

– Na komisariat nie możemy pojechać, bo to za daleko, twoja mama umarłaby z niepokoju. – Ze zdumieniem usłyszał jej ożywiony głos. –

Ale komisarz też mieszka w Czarnem, a jego żona na pewno znajdzie jakieś kredki. Potem odwieziemy cię pod sam dom, żebyś nie zmarła. Aniela, czemu nie włożyłaś płaszczyka?

Postawiony przed faktem dokonanym Rajner nie miał innego wyjścia, jak ruszyć w kierunku swojego domu. Wyłączył cicho grające radio, by nie uronić nic z prowadzonej na tylnym siedzeniu rozmowy. Dziewczynka musiała chyba posłużyć się jakimiś nadprzyrodzonymi mocami, skoro zdołała przekonać Inge.

– W płaszczykach chodzą takie lalusie jak mój brat – brzmiała pełna pogardy odpowiedź. – I nie mam na imię Aniela.

– Mama mówiła do ciebie Nela. Myślałam, że...

– To zdrobnienie od Petroneli. Nie cierpię go! Na drugie mam Józefa. Józia-Sruzia! Nie wiem, po co w ogóle mi jakieś imię, rodzice i tak zawsze mówią o mnie „ona”, a tego kretyńskiego zdrobnienia używają tylko przy gościach.

Rajner zerknął w lusterko i stłumił rozbawienie na widok min pasażerek. Petronela siedziała nastroszona niczym kura na grzędzie, z grymasem oburzenia, Inga zaś sprawiała wrażenie całkiem ogłupiałej.

– Nie cierpisz imienia Petronela? – spytał, autentycznie zaintrygowany. Właściwie wcale jej się nie dziwił, jego zdaniem było paskudne.

– Zdrobnienia, bo tak się mówi na Anielę – sprecyzowała. – Ale imię Petronela też jest głupie, staromodne i za długie.

– To je skrót – doradził bez zastanowienia.

– Niby jak?

Napotkał w lusterku jej pełen nadziei wzrok i doszedł do wniosku, że jest idiotą, skoro tak łatwo dał się zapędzić w koziego róg. Gorączkowo analizował to dziwaczne imię, żonglował w myślach sylabami, by podać bodaj jedną sensowną propozycję. Pela? Odpada, to do Pelagii. Ola? Ela? Też są zajęte. Rona brzmi idiotycznie, tak samo Pera...

– Petra! – niemal krzyknął, uchwyciwszy wreszcie pomysł błąkający się po obrzeżach świadomości.

Oczy siedzącej z tyłu dziewczynki rozbłysły, usta rozchyliły się w uśmiechu.

– Petra – powtórzyła cicho. – Jestem Petra.

Rozdział 11

Jedyny świadek

26 stycznia 1993, Wisła

– Myślę, że już dam radę – oświadczyła po południu Apolonia.

Krzątała się po kuchni, za nic mając jego uwagi, by oszczędzała chorą nogę. Nim odpowiedział, obserwował ją przez jakiś czas i doszedł do wniosku, że jest dużo lepiej niż wczoraj, a bez porównania do piątku czy soboty, gdy najmniejszy ruch powodował ból. Niemniej noga nadal nie była w pełni sprawna.

– Zobaczymy.

– Co zobaczymy? – zdenerwowała się lakonicznym stwierdzeniem. – Chyba wiem lepiej, czy mnie boli, czy nie!

Ditmar uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Okej, okej. Tylko na mnie nie wrzeszcz, bo będę mieć koszmary senne, a od tego tylko jeden krok do nocnego moczenia się.

Wygięła wargi w uśmiechu, lecz nie poniechała tematu.

– Nie mogę dłużej tu zostać.

Usiadł przy stole i poprosił, by także to zrobiła. Nie lubił omawiać ważnych spraw na stojąco, od razu nasuwały mu się skojarzenia z więzieniem, głównym powodem była jednak troska o zdrowie tego upartego jak osioł dziewczuszyska, które nie wiadomo jak i kiedy przejęło władzę w małym domku.

Zaczęło się już pierwszego wieczoru, gdy zaczął rozpalać w dotychczas nieużywanym piecu stojącym w rogu wyziębionego pokoju. Szło mu opornie. Ogień ciągle przygasał i w końcu dziewczyna zainteresowała

się pochodzeniem smug dymu i przyczyną mamrotania pod nosem wymyślnych przekleństw. Jego wyjaśnienia skwitowała odpowiedzią, że prościej będzie przenieść łóżko do kuchni niż ogrzać pomieszczenie, w którym temperatura jest niewiele wyższa od tej na zewnątrz. Wykpiła go niemiłosiernie, gdy wyznał, że chciał zapewnić jej prywatność, a na prowokacyjne pytanie, czy nie boi się przebywać w nocy w pobliżu gwałciciela, postukała się wymownie palcem w czoło i dodatkowo nazwała go kretynem.

Później wcale nie było lepiej. Niemal na każdy temat miała zdanie, najczęściej sprzeczne z jego opinią, i nie wahała się walczyć o nie z uporem godnym lepszej sprawy. Kuśtykając po nierównych deskach podłogi, jęczała z bólu przy każdym nieostrożnym kroku, co nie przeszkodziło jej poustawiać naczyń i garnków po swojemu. Następnego dnia kazała mu przestawić pod ścianę stojącą dotychczas przy piecu ławę, wczoraj natomiast dokładnie określiła miejsce, w którym powinien składować drewno.

Jedynie dzisiaj niczego nie wymyśliła, ale dzień jeszcze się nie skończył i można było przyjąć za pewnik, iż lada moment dziewczyna wpadnie na jakiś genialny plan zorganizowania mu czasu. *Oby tylko nie kazała mi czyścić komina* – pomyślał Ditmar z rozbawieniem, bo choć zżymał się głośno na jej szalone pomysły, w duchu przyznawał, że jak dotąd były to zmiany na lepsze. W dodatku napełniła ten smutny, cichy dom życiem i wiedział, że trudno mu będzie wrócić do tego, co było przedtem.

– Będę za tobą tęsknić, dlatego wolałbym, żebyś została – wyznał szczerze. – Ale wiem, że wujek i rodzice umierają z niepokoju i na pewno prowadzą poszukiwania.

– Ja też będę tęsknić. – Obdarzyła go uśmiechem. – Tylko że nie mogę przestać myśleć o tym, że się przeze mnie martwią. A co, jeśli rodzice się wkurzą i oddadzą mnie z powrotem babce? To już wolałabym zamarznąć w tym śniegu.

– Zwariowałaś? Z tego, co mówiłaś, twoi rodzice są wspaniali i bardzo cię kochają. Czemu mieliby cię komuś oddawać?

– Bo widzisz – Lońka wsparła brodę na pięściach i wbiła w Ditmara poważne spojrzenie – oni mnie adoptowali. A ja wpakowałam się

w kłopoty, dlatego tak bardzo chciałam wyjechać z Bielska. Dla ich dobra, ale wszystko się popieprzyło...

Sama później nie wiedziała, dlaczego opowiedziała mu o rozmowie z babką, swojej ucieczce i nieudanej randce. Początkowo mówiła nieśmiało, gotowa w każdej chwili przerwać, lecz chłopak słuchał z uwagą, nie wyśmiał jej i nie rzucał kpiących spojrzeń, wkrótce więc nabrała pewności siebie. Kiedy przeszła do ostatniego spotkania z Graczykową, głos ponownie zaczął drżeć, a prawdę o desperackim wtargnięciu na cudzą posesję i jego skutkach wyznała ledwie słyszalnie, głosem wibrującym od z trudem powstrzymanego płaczu.

Ditmar milczał. *Pewnie uważa, że to wszystko zmyśliłam, żeby zwrócić na siebie uwagę* – doszła do wniosku i nie zdołała już dłużej wstrzymać szlochu, tak wielkie poczuła rozżalenie. Oślepiły ją łzy. Usłyszała hurgot odsuwanego krzesła, potem ciche kroki. Zamarły tuż obok i wtem Apolonia poczuła dotyk dłoni gładzącej delikatnie jej zmierzwiłone włosy, a chwilę później usłyszała cichy, kojący głos:

– Nie płacz. Nie jesteś sama na świecie, na pewno coś wymyślimy, tylko przestań płakać, bo od tego robi mi się jakoś miękko. Popatrz na mnie. – Bezwiednie usłuchała. – Ale najpierw wytrzymaj nos, bo masz śpiki na brodzie.

Doceniła tę niezbyt udolną próbę poprawienia jej humoru i odpowiedziała półuśmiechem, po czym wytarła twarz i nos, przejeżdżając przy okazji chusteczką po suchej brodzie. Doprowadziwszy się do porządku, podniosła na Ditmara ciągle jeszcze wilgotne oczy.

– Co tu można wymyślić? Nic! Uciekłam z Bielska, żeby się nie dowiedzieli, gdzie mieszkam, ale...

Przesunął krzesło, usiadł obok Lońki i uścisnął jej lodowate dłonie.

– Nie bardzo jarzę, w czym miał ci pomóc ten wyjazd.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem i wyrzutem. Jak mógł pytać o to, co oczywiste, zwłaszcza że dopiero co wyjaśniła powody?!

– Jak to w czym? Przecież przed chwilą o tym mówiłam. Babka chce się dowiedzieć, gdzie mieszkam, żeby szantażować tatę, a ten facet groził, że zabiją moją rodzinę. To chyba oczywiste, że planowali mnie śledzić.

Oczekiwała zrozumienia, tymczasem Ditmar sprawiał wrażenie nieco ogłupiałego, jakby nie mógł pojąć sensu jej słów.

– Zastanawiam się – powiedział wolno – co masz zamiar zrobić po feriach. Zostać w Wiśle na zawsze czy już do końca życia nie wychodzić z domu?

– Głupi jesteś! Czemu miałabym?... – Urwała gwałtownie, w oczach pojawiła się panika. – W ogóle o tym nie pomyślałam. To ja jestem głupia.

– Wcale nie jesteś głupia, tylko przerażona. Nawet dorośli ludzie nie myślą w takich chwilach logicznie, a ty... Nie obraż się, ale do dorosłych jeszcze się nie zaliczasz. Wcale się nie dziwię, że się wystraszyłaś, sam też pewnie byłbym posrany ze strachu.

Zerknęła z ukosa, by sprawdzić, czy z niej nie żartuje, lecz zamiast spodziewanej kpiny zobaczyła powagę i autentyczną troskę. To sprawiło, że poczuła się odrobinę lepiej, niestety nie rozwiązywało jej problemów.

– Co ty byś zrobił na moim miejscu? – spytała z nadzieją na usłyszenie konkretnego wyjścia. – Bo ja nie mam pojęcia, co dalej.

Wbrew jej oczekiwaniom Ditmar nie podał żadnego cudownego sposobu na zażegnanie kłopotów.

– Powinnaś porozmawiać o tym z podkomisarzem Milewskim.

Skrzywiła się jak po zjedzeniu czegoś wyjątkowo kwaśnego.

– Fajna rada, nie ma co – burknęła. – Mówiłam ci przecież, że nie chcę martwić rodziców, a wujek Rajner kumpluje się z tatą. Na pewno zaraz by mu wygadał.

– I bardzo dobrze – oświadczył ku jej zaskoczeniu. – Nie znoszę gliniarzy, ale Milewski jest w porządku. Twojego ojca nie znam, ale jestem pewny, że kiedy usłyszy o groźbach, poruszy niebo i ziemię, żeby dopaść tych skurwysynów. Dziewczyno, sama sobie nie poradzisz, nie masz żadnych szans, za to policjanci mają do dyspozycji różne urządzenia, środki i wiedzę, nie tylko broń. I na sto procent nie pozwolą, żeby jakiś bandzior groził rodzinie jednego z nich.

– Wiem o tym i powiedziałabym tacie od razu. Ale nie mogłam, bo wtedy musiałabym mu powiedzieć, dlaczego weszłam do tamtego ogrodu, i wszystko by się wydało. Dowiedziałby się o Graczykowej

i dałby jej szmal, żeby nikt o mnie nie gadał, a ja nie chcę. Za dobrze ją znam. Ona nie przestanie, wyda forszę i przyjdzie znowu.

Ditmar w milczeniu spoglądał na przygnębioną dziewczynę, analizując jej słowa. Z ostatnim twierdzeniem całkowicie się zgadzał, miał natomiast sporo wątpliwości, jeśli chodzi o poprzednie. Z opowiadań Lońki o ojcu wyłaniał się co prawda obraz mężczyzny bardzo oddanego rodzinie, gotowego ją chronić za wszelką cenę, jednak chłopak odnosił wrażenie, że ową ceną nie jest uleganie szantażowi. Na to Norbert Swift z pewnością był za mądry, niemniej Apolonia w jej obecnym stanie ducha nie umiała tego pojąć. Była zbyt wystraszona, by mogły do niej trafić jakiekolwiek argumenty, nawet te najbardziej logiczne. Mimo to postanowił spróbować jeszcze raz.

– Moim zdaniem będzie najlepiej, jak pogadasz o tym z ojcem. Sama nic nie zwojujesz, możesz tylko unikać spotkania z babką, ale tego nie da się robić w nieskończoność, a ty musisz przecież chodzić do szkoły.

Uniosła brodę w geście buntu.

– Mogę się przenieść do innej.

– Sama? Lońka, nie gadaj głupot. – Zniecierpliwiał się jej niemądrym uporem. – To mogą załatwić tylko rodzice, a co im powiesz? Nakłamiesz, że koledzy cię prześladowają albo że nauczyciele się na ciebie uwzięli?

Zauważył rumieniec zażenowania wypełzający jej na policzki i poczuł ulgę, że wreszcie zdołał przemówić jej do rozsądku.

– Kurde, ale to tak głupio mówić mu o tym po takim czasie – wymamrotała pod nosem. – Trochę przypał, co nie?

Zadowolony, że dała się przekonać, obdarzył dziewczynę uśmiechem.

– Nie większy niż to, do czego będę się musiał przyznać Milewskiemu. Że dwa razy próbowałem dostać się do ludzkich siedzib, ale po kilkunastu metrach musiałem się poddać. Jednak miastowy to nie to samo co góral.

Zrozumiała, co chciał jej przekazać, i znów się zachmurzyła.

– Ale ja muszę! Kiedy pomyślę, jak bardzo się martwią... Już wcale mnie nie boli, mogę chodzić normalnie.

Na uwagę, że podłoga różni się trochę od śniegu i raczej trudno się w nią zapaść, zareagowała wzruszeniem ramion. Chcąc udowodnić swoją rację, podskoczyła kilkakrotnie, gdy wtem natrafiła na nierówne

spojenie desek. Kostka odpowiedziała tak ostrym bólem, że Apolonia z głośnym jękiem upadła na kolana.

Ditmar nie powiedział „a nie mówiłem?”. Wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko, potem podał chusteczkę. Odezwał się dopiero wtedy, gdy nowa fala łez została opanowana.

– Jutro rano spróbuję znowu, a jeżeli mi się nie uda, zjadę na tym cholernym toboganie, chociaż zapieprza toto szybciej niż pershing.

Najwyżej roztrzaskam sobie łeb na najbliższym drzewie – dodał w myślach. Głośno nie ośmielił się tego powiedzieć, by nie przerazić Lońki. Gdyby coś mu się stało... Czym prędzej odsunął od siebie czarną prognozę. Uda się, musi się udać!

26 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Bartłomiej nie miał ochoty wracać do domu, a gospodarz bynajmniej nie ułatwiał mu podjęcia decyzji o wyjeździe. Za każdym razem wynajdywał jakiś pretekst do zatrzymania gościa, a ten skrzętnie z niego korzystał. Teraz jednak Koziniec oznajmił stanowczo, że już najwyższy czas opuścić gościnne progi.

– Co cię tam trzyma? – dopytywał się Szpila. – Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z tym mieszkaniem, za duże ryzyko, a wynik niepewny.

– Też tak myślę, ale wrócić muszę. Trzeba pozałatwiać pewne sprawy, zabrać rzeczy, a trochę tego jest, bo dzieci nic ze sobą nie zabrały.

– Po co? Syn nie żyje, a córka...

– Też nie żyje – warknął Bartłomiej, a napotkawszy podejrzliwe spojrzenie kolegi, wyjaśnił: – Miałem na myśli, że dla mnie tak, jakby nie żyła. Ale rzeczy muszę zabrać. Nie wiadomo, co w nich jest, nie chcę, żeby Anna się czegoś domyśliła.

– Ale wrócisz? Dom jest duży, pomieścimy się razem, a będzie nam weselej. No, Doktor, nie daj się prosić, czeka nas piękne życie.

Uradowany Koziniec skinął głową. Nie wiedząc o tym, Szpila rozwiązał jego problemy bytowe, gdyż odłożonych pieniędzy na długo nie wystarczy. Było ich wprawdzie całkiem sporo, ale Bartłomiej nie

zamierzał biedować. Jeśli mężczyzna nie żyje na pewnym poziomie, nikt nie traktuje go poważnie i z respektem, a on zamierzał przejąć miasto w swoje władanie. Zdążył już się zorientować, że Bielsko-Biała nie podlega żadnej liczącej się organizacji, tu nie musiał się obawiać, że nastąpi na odcisk ludziom z Pruszkowa czy Wołomina lub innym liczącym się gangom. Najwyższa pora zapełnić tę lukę.

– Wróć, nie bój nic. – Nie chciał okazać, że propozycja kolegi spadła mu jak z nieba, udał więc, że się nad nią zastanawia. – Co do mieszkania, to pomyślę o tym, ale dopiero po powrocie, jak już pozamykam tamtejsze sprawy.

Szpila nie naciskał dłużej, zresztą nie mógł tego zrobić bez złamania niepisanych zasad. Zamiast tego zaproponował:

– Podwieźć cię na dworzec?

– Dzięki, ale nie. Zamówiłem taryfę. – Jakby na potwierdzenie od strony ulicy rozległ się samochodowy klakson. – O, właśnie przyjechała. To na razie, bracie.

Uścisnęli sobie dłonie, krótko, a mocno, po męsku, bez tego nowomodnego obejmowania się i poklepywania po ramionach, kojarzących się Kozińcowi z homoseksualistami. Na tę myśl wzdrygnął się z obrzydzeniem i odegnał wspomnienie własnego syna. Było, minęło, żal po stracie Teodora też w końcu minie, tak samo jak ten po stracie Faustyny. Uniósł dłoń na pożegnanie i wyszedł z domu.

Szpila w zamyśleniu obserwował zza franki wysoką postać zmierzającą w stronę zaparkowanej przed bramą taksówki. Odczekał, aż kolega wsiądzie, a gdy samochód zniknął za zakrętem, oderwał się od okna i przeszedł do przedpokoju, gdzie sięgnął po słuchawkę telefonu. Wykręcił numer, lecz po tamtej stronie nikt nie odbierał, ponowił więc próbę. Znowu nic. Szpila zaklął. Zapalił papierosa, zaciągnął się kilka razy i spróbował po raz trzeci.

26 stycznia 1993, Wisła

W domu Milewskich czekał już na nich Norbert. Pozornie spokojny, usiłował robić dobrą minę do złej gry, ale ani towarzysząca mu Jolanta,

ani nowo przybyli nie dali się na to nabrać. Znali go zbyt dobrze.

Na widok żony i Rajnera poderwał się z miejsca, lecz przystanął, zaskoczony widokiem stojącej między nimi dziewczynki.

– Kto to jest? Czemu przyprowadziliście to dziecko?

– Przedstawiam ci Petrę, czyli Petronelę Nowogrodzką. To świadek, jedyny, jakiego udało nam się spotkać – odpowiedziała Inga z ożywieniem. – Wraz z matką wracała w czwartek po południu autobusem z centrum do Czarnego i twierdzi, że widziała Lońkę i że może narysować pozostałych ludzi, którzy jechali tym kursem. Pomyślałam, że warto spróbować.

Norbert nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

– Myślałem, że przynajmniej ty jesteś mądrzejszy – zwrócił się do Rajnera. – Tyle ludzi niczego nie zapamiętało, a akurat dziecku Lońka rzuciła się w oczy? Brednie! I gdzie są jej rodzice? Dobrze wiesz, że nie możemy przesłuchiwać jej samej, bez obecności opiekuna! Mało mamy kłopotów? Zachowałeś się jak ostatni kretyn!

– Przestań! – Oczy Ingi zaiskrzyły się gniewem. – Wiem, co czujesz, ale wyżywanie się na Rajnerze w niczym nam nie pomoże. Poza tym to ja zdecydowałam, żeby ją tu przywieźć, więc jeśli chcesz na kogoś wrzeszczeć, to wrzeszcz na mnie, a nie na niego! Nie wiem, czy dziewczynka... – Urwała, zerknęła na przysłuchujące się im dziecko i podjęła już spokojnie: – Nie mam pojęcia, czy Petra rzeczywiście widziała Lońkę, ale nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby się okazało, że mówi prawdę, a my...

– Widziałam ją – przerwał jej dźwięczny dziecięcy głos. – Ja nigdy nie kłamię. Ta dziewczynka jest bardzo podobna do pana.

Odważnie popatrzyła na zachmurzonego Norberta, ten jednak nie okazał spodziewanej radości. Spojrzał podejrzliwie na przywiezioną, potem przeniósł wzrok na żonę i przyjaciela i zadał oczywiste pytanie:

– Pokazywaliście jej zdjęcie Lońki?

– Jej nie. Ale rzuciła na nie okiem, kiedy okazywaliśmy fotografie jej matce – odpowiedział uczciwie Rajner.

– No widzisz... – zaczął Norbert.

Urwał w pół zdania, tak bardzo poczuł się zaskoczony na widok gniewu w oczach spokojnej zazwyczaj Milewskiej. Gdyby wzrok mógł

zabijać, padłby martwy u stóp Joli, która niespodziewanie znalazła się tuż przed nim.

– Musisz być taki cholernie uparty? Coś się stanie, jeżeli jej pozwolisz narysować ten portret? Najwyżej się okaże, że nic z tego nie wyszło, nic na tym nie stracisz. Ale nie, ty musisz koniecznie postawić na swoim, całkiem jak...

Nie dokończyła. Zasłoniła twarz rękami i wybiegła z kuchni, Swift zaś spoglądał za nią z niezbyt mądrą miną. Inga i Rajner także wyglądali na zdezorientowanych, lecz zanim zdążyli skomentować dziwne zachowanie Joli, już była z powrotem. Położyła na stole makulaturowy notatnik i kilka ołówków oraz świecowe kredki, te ostatnie mocno już zużyte.

– Masz na imię Petra? – zwróciła się do dziewczynki. – Ładnie. Potrzebujesz czegoś jeszcze? Może gumki?

Petronela zaprzeczyła ruchem głowy, lecz zamiast usiąść, przystanęła koło stołu z dość niepewną miną.

– Czy mogłabym pójść gdzie indziej? – spytała nieśmiało. – Żle mi się rysuje, kiedy ktoś się na mnie patrzy.

Jola uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Siadaj tutaj, nie będziemy ci przeszkadzać.

Petra zajęła miejsce i przysunęła sobie notatnik, potem ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się kredkom. Po chwili namysłu zaczęła rysować, a wówczas dorośli przenieśli się do pokoju naprzeciwko, by nie przeszkadzać jej w skupieniu. Wbrew wcześniejszym słowom nawet Norbert miał nadzieję, że rysunki dadzą im jakiś trop.

– Przepraszam, że się na ciebie wydarłam – odezwała się niespodziewanie Jolanta. – To dlatego, że dzisiaj jest pewna rocznica i kiepsko to znoszę. Równo dziesięć lat temu dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Biegłam do domu jak na skrzydłach, żeby podzielić się ze Zdziskiem cudowną nowiną, a wtedy on...

– Kazał ci usunąć? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Inga.

Ale Jola zdecydowanie pokręciła głową.

– O tym nie mogło być mowy, aborcja to przecież grzech. Za to urządził mi pogadankę na temat wyższości męskiego rozumu nad kobiecym, a wszystko sprowadzało się do tego, że nie mam prawa

o niczym decydować, bo jestem na to za głupia. I że nie miałam prawa zachodzić w ciążę bez pozwolenia.

Norbert, słuchający ze złością jej zwierzeń, już miał się oburzyć, że przyrównała go do tamtego zwyrodnialca, który był jej pierwszym mężem, lecz ostatnie zdanie sprawiło, że najpierw spojrział na Jolantę z niedowierzaniem, a przekonawszy się, że nie żartowała, nie wytrzymał i ryknął śmiechem. Napotkał gniewny wzrok żony, dość długo jednak trwało, nim zdołał wyartykułować wyjaśnienie:

– Przecież nie śmieję się z Joli, tylko z tego debila. W tym wieku powinien chyba już być wiedzieć, że nie zaszła w ciążę sama ze sobą.

– A antykoncepcję też pewnie uważał za grzech – dorzuciła Inga, czułym muśnięciem ręki okazując mężowi, że niesłusznie posądziła go o brak empatii.

– Uznawał tylko kalendarzyk, ale co z tego? I tak się do niego nie stosował, bo przecież mężczyzna ma swoje potrzeby. – Jola zacisnęła dłonie w pięści. – Byłam na tyle nieostrożna, że wykrzyczałam mu to wszystko prosto w twarz, a wtedy on zrzucił mnie ze schodów. Tak się skończyły moje marzenia o dziecku.

W jej oczach błysnęły łzy. Zamrugwała szybko, chcąc się ich pozbyć, ta walka jednak była z góry przegrana. Jolanta wymamrotała niewyraźne „przepraszam, zaraz wrócę” i wybiegła z pokoju. Przez kilkadziesiąt sekund wsłuchiwali się w tupot stóp na schodach, wreszcie Rajner przerwał milczenie:

– Jola nie tylko poroniła. Ten gnój nie pozwolił jej pójść do lekarza i nie wezwał pogotowia nawet wtedy, gdy dostała ostrych bólów brzucha i gorączki, bo nie chciał, żeby obcy facet zaglądał jej do majtek. Pewnie by umarła, gdyby nie teściowa. Przynajmniej tyle zrobiła dla Joli, że tym razem nie posłuchała syneczka i zadzwoniła po pomoc. Lekarz powiedział Joli, że to był ostatni moment, jeszcze parę godzin i byłoby za późno.

Inga szukała w pamięci i w końcu znalazła.

– To było wtedy, kiedy rzekomo zaraziła się ospą wietrzną. Była na zwolnieniu ponad miesiąc i podobno zabroniła nam przyjeżdżać, żebyśmy się nie zaraziły. Do głowy mi nie przyszło, że Tarnawa wciska nam kit. Lucy też na pewno nic nie podejrzewała, bo rozmawiała z nim

normalnie. – Zamyśliła się na moment. – Że też wtedy od niego nie odeszła! Gdyby powiedziała lekarzom, co naprawdę się stało...

– Tarnawa odwiedzał ją codziennie i cały czas groził, co zrobi, jeżeli Jola piśnie chociaż słówko. Całkiem ją zastraszył, wmówił, że wszystko stało się z jej winy, a na koniec jeszcze śmiał mieć pretensje, że Jola już nigdy nie zajdzie w ciążę. – Rajner zacisnął zęby, jego twarz przybrała wyraz okrucieństwa. – Niczego bardziej nie żałuję jak tego, że ten skurwysyn wjechał autem do zapory i się utopił.

Nie dodał nic więcej. Nie musiał, i bez tego wiedzieli, co miał na myśli. Z różnych reakcji, a także enigmatycznych wypowiedzi koleżanki Inga już dawno wysnuła wniosek, że właśnie z powodu gehenny przeżytej z Tarnawą Jola opuściła Rajnera, a później, kiedy nie zrezygnował, konsekwentnie mu odmawiała, gdy proponował jej małżeństwo. A nawet ślepy by zauważył, jak bardzo jest w nim zakochana.

Teraz wiedziała, co było przyczyną, i chętnie wypytałaby kolegę, jak udało mu się namówić Jolę do zmiany zdania, rzuciła więc okiem w stronę kuchni, by sprawdzić, czy ma na to czas. W trakcie rozmowy o koleżance i jej pierwszym mężu jedynie udawała spokojną, choć tak naprawdę szalała z niepokoju o dziewczynę, którą pokochała jak własne dziecko. Czy ta Petra nigdy nie skończy rysować?

Ze swojego miejsca widziała tylko drzwi i fragment ściany, wstała więc i przeszła na korytarz, skąd zamierzała dyskretnie zerknąć w głąb kuchni. Plan się nie powiódł, nie zdołała bowiem powstrzymać okrzyku zdumienia na widok kredek w rękach dziewczynki i dwóch leżących przed nią kartek.

Natychmiast zasłoniła usta dłonią, mimo to stłumiony dźwięk, na który pogrążeni w rozmowie mężczyźni nie zwrócili uwagi, musiał dotrzeć do uszu dziecka. Petra odwróciła się gwałtownie, a w jej przejrzystych oczach Inga dojrzała panikę. *Czego ta mała tak się boi?* – zastanawiała się gorączkowo. *Przecież nie wrzasnęłam na całe gardło.*

Szybko podeszła do dziewczynki i ukucnąwszy obok krzesła, delikatnie dotknęła rączki kurczowo ściskającej brązową kredkę.

– Wystraszyłam cię? Przepraszam. Po prostu...

– Niech pani nikomu o tym nie mówi – wyszeptało dziecko błagalnym tonem. – Ja bardzo proszę. Nikt nie może się dowiedzieć...

– Dlaczego?! – przerwała jej zdumiona Inga. Nie mogła pojąć zachowania małej. – Przecież to nie jest...

Teraz Petra weszła jej w słowo, choć prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Mówiła szybko, połykając sylaby.

– Bo mama i tata mi zabronili to robić. Powiedzieli, że nikt nie powinien wiedzieć, bo to jest w brwi naturze. – Zamilkła na moment, zastanawiając się nad jakąś kwestią. – Nie rozumiem, czemu w brwi.

Podniosła na Ingę ogromne oczy, ciemnoniebieskie tak jak oczy Norberta i Apolonii, a jednocześnie tak różne. Ich były intensywniejsze, w kolorze chabrów, podczas gdy tęczę Petry miały odcień bardziej stłumiony. Jak kobalt.

– Myślę, że użyli słowa „wbrew” – odpowiedziała Inga, choć żadne pytanie nie zostało zadane. Padło dopiero teraz.

– Co to znaczy?

– Wbrew, czyli przeciw. Wbrew naturze oznacza, że coś jest niezgodne z naturalnym porządkiem, z przyjętymi normami.

Inga wiele by dała, by mieć taką umiejętność tłumaczenia jak Norbert, radzący sobie świetnie z dużo bardziej skomplikowanymi pytaniami. Nie była pewna, czy dziewczynka zrozumiała cokolwiek z jej wyjaśnień.

Chwilę później zyskała pewność.

– Teraz rozumiem – powiedziała Petra z rezygnacją. – Rodzice często powtarzają, że jestem nienormalna. To dlatego tata powiedział, że będą musieli oddać mnie do zakładu, jeżeli ktoś się o tym dowie.

Rozdział 12

Rysunki Petry

26 stycznia 1993, Wisła

Inga wróciła do kuchni dopiero po kilku minutach, gdy już miała pewność, że nad sobą zapanuje. Wcześniej musiała wyjść, by nie puścić przy dziecku wiązanki najgorszych przekleństw, gdyż po słowach Petry poczuła taką wściekłość, że omal nie eksplodowała. Dobrze wiedziała, jak to jest być tym „gorszym”, niekochanym dzieckiem, ale czegoś podobnego nawet ona nie doświadczyła. Jak można być tak okrutnym?

– To nieprawda, że jesteś nienormalna – rzuciła z pasją. – Masz bardzo rzadką umiejętność, ale to nie jest nic złego. Przeciwnie, to wielki dar, a twój ojciec...

W porę ugryzła się w język, dzięki czemu słowa „jest idiotą” nie zostały wypowiedziane. Niemniej nie na wiele to się zdało, gdyż Petra chyba nie zwróciła uwagi na jej wypowiedź, zatrzymując się na pierwszym zdaniu. Przerzuciła leżące na stole kartki i wyciągnąwszy jedną z nich, podsunęła ją Indze.

– To też jest normalne? – spytała gorzko.

Na widok portretu Apolonii, tak dokładnego w każdym szczególe, jakby nie był to rysunek, lecz fotografia, Indze zakręciły się w oczach łzy. Zyskała właśnie niezbity dowód, że przybrana córka jechała tym autobusem. Ale gdzie wysiadła? O to trzeba będzie zapytać to niesamowite dziecko, siedzące z miną skazańca oczekującego wykonania wyroku śmierci. Biedna mała! I ci koszmarni rodzice nieumiejący swoimi ograniczonymi, zaściankowymi umysłami

rozpoznać nietuzinkowych zdolności. Dla takich ludzi wszystko, co bodaj odrobinę odbiega od przyjętych norm, jest traktowane jak dewiacja, którą należy tępić.

I choć wszystko się w niej buntowało przeciwko nawet sekundzie zwłoki, Inga zdecydowała się najpierw dodać otuchy nieszczęśliwemu dziecku. Jakkolwiek nie była przesądna, wewnętrzny głos podpowiadał jej, że dzięki temu zwiększy szansę odnalezienia Lońki całej i zdrowej, bo okazane dobro zostaje odwzajemnione.

– Masz rację, to nie jest normalne – zgodziła się z uśmiechem. – To jest niesamowite, cudowne i piękne. Dziewczyno, masz ogromny talent! Twój rodzice tego nie rozumieją, bo są aż do bólu zwyczajni, dlatego każą ci go ukrywać.

Petra przytaknęła, po czym powiedziała ze smutkiem:

– Przede wszystkim są wściekli, że uczę się szybciej niż mój brat, bo to on jest ich wymarzonym dzieckiem, a ja... Chciałabym nie pamiętać tego wszystkiego, co zobaczę. Próbowałam zapomnieć, ale nie umiem.

Dopiero teraz Inga zrozumiała, skąd ta niecodzienna dokładność rysunku przedstawiającego Apolonię.

– To chyba się nazywa fotograficzna pamięć. – Zauważyła po reakcji Petry, że ów termin jest jej całkiem obcy, toteż postarała się go przybliżyć: – Wystarczy, że coś zobaczysz, a już to pamiętasz, prawda? Zapamiętujesz w ten sposób wszystko: twarze, krajobrazy i treść czytanych książek. To dlatego nauka nie sprawia ci trudności.

– Nie chcę tego! – Dziewczynka wysyczała te słowa przez zaciśnięte zęby. – Wolę być zwyczajna, bo wtedy rodzice będą mnie kochać.

Inga nie miała serca jej powiedzieć, że zamiana w zwyczajne dziecko niczego by nie zmieniła, bo miłość nie podlega żadnym normom czy usankcjonowanym kodeksami prawom. W dodatku nie kocha się za coś.

– Nie możesz całkiem odrzucić zdolności, z którymi się urodziłaś, możesz tylko je w sobie stłumić. Ale to nie jest dobre rozwiązanie, bo to tak, jakbyś odcięła sobie rękę. Spróbuj się z nimi nie obnosić, żeby nie prowokować rodziców. Nie chwal się przed innymi, nie pokazuj, że je masz, ale z nich nie rezygnuj, zwłaszcza z rysowania, bo moim zdaniem to byłaby zbrodnia nie rozwijać takiego talentu.

Petra skinęła głową na znak, że zrozumiała, lecz w jej przejrzystych oczach nadal czaiła się obawa.

– Może im pani o tym nie mówić?

– Nie wiem, czy uda mi się zachować wszystko w tajemnicy, ale jedno mogę ci obiecać. Gwarantuję, że nic z tego, co tutaj było i będzie powiedziane o twoich umiejętnościach, nie wydobędzie się poza mury tego domu. Możesz nam zaufać. I jeszcze jedno. – Inga z uśmiechem pogładziła miękkie cynamonowe loki. – Nie ty jedna na świecie masz takie zdolności. Jest was więcej, nie jesteś z tym sama.

Dziewczynka odwzajemniła uśmiech, a gdy Inga zaproponowała wezwanie reszty towarzystwa, nie tylko nie zaprotestowała, ale też na jej buzi pojawiło się coś na kształt dumy, że jej rysunki mogą okazać się przydatne.

Właściwie do przeglądania dzieł Petry wystarczyłby Rajner, gdyż jedynie on znał uwiecznionych na nich ludzi. Jola rozpoznała tylko dwie kobiety, Inga i Norbert zaś, niebędący mieszkańcami Czarnego – nikogo, za to z ogromnym zainteresowaniem przysłuchiwali się rozmowie Rajnera z Petrą. Od razu zauważyli, że mała obdarzyła zaufaniem tego dość ponurego z wyglądu mężczyznę o zimnych oczach i wąskich, nieskorych do śmiechu ustach i nic sobie nie robi z jego groźnych min i taksujących spojrzeń.

– To jest Zuzka Cieślar, a obok niej Jura Pilch. – Wskazał pierwszy z rysunków. – Gdzie siedzieli?

– Obok mnie. To znaczy po drugiej stronie autobusu, też tyłem do przodu.

Rajner zanotował coś na odwrocie kartki, obrócił ją z powrotem, jeszcze raz zerknął na rysunek i sarknął:

– Czemu narysowałaś ich z profilu?

– Z czego? – nie zrozumiała Petra, wyjaśnił więc znaczenie użytego terminu. Wtedy odpowiedziała z wyraźnym zniecierpliwieniem: – Bo widziałam ich tylko z boku, to jak inaczej miałam ich narysować?

– Okej, dzieciaku, nie musisz od razu się złościć – usiłował załagodzić sytuację, co niezbyt mu się udało z powodu niezbyt fortunnego użycia słowa „dzieciak”, czym prędzej więc zapytał o kolejny rysunek. – Tutaj widzę Emila Wantuloka. Siedział sam?

– Siedział koło mnie, ale swojego portretu nie zrobiłam. Jak pan chce, mogę dorobić, ale nie będzie prawdziwy, bo nie wiem, jak wtedy wyglądałam.

– Chyba tak jak teraz? – zaśmiał się Rajner.

Spojrzała na niego z powagą.

– Teraz też nie wiem, jak wyglądam, bo się nie widzę, a wyraz twarzy ciągle się zmienia. To się nazywa mimoza.

Milewski lekko się zachłusnął, usiłując zachować powagę.

– Rozumiem. A kogo tu widzimy? Jana Legierskiego, a obok niego twoją mamę. Z jej mimozy wynika, że jest obrażona na cały świat. Wiesz może dlaczego?

Rajner miał głos dziwnie stłumiony, na szczęście Petra nie zwróciła na to uwagi, podobnie jak na iskry rozbawienia w chłodnych zazwyczaj oczach. Popatrzyła na rysunek przedstawiający matkę i wzruszyła ramionami.

– Ona zawsze tak wygląda. A wtedy była wściekła na pana Legierskiego, bo usiadł koło niej i próbował z nią rozmawiać.

– Naprawdę tak zrobił? To straszne! Za takie zachowanie powinien pójść do więzienia albo chociaż dostać mandat.

Dziewczynka bezbłędnie wychwyciła sarkazm i oczy jej rozbłyły.

– Można by go też wytarzać w smole i pierzu, a potem zakuć w doby i wystawić koło „Fojtuli” na pokaz.

– Facet zakuty w doby na pewno miałby ciekawą mimozę – nie wytrzymał Norbert, a Inga, choć skarciła go wzrokiem, parsknęła urywanym śmiechem.

Tamci dwoje nie zwrócili uwagi na ten wtřęć, zajęci omawianiem następnego rysunku, na którym widniały dwie pogrążone w rozmowie kobiety.

– Nela Podżorska i Marysia Szarzec. Przecież te dwie rodziny nienawidzą się jak zarazy – skomentował Rajner. – Aż dziw, że się nie pozabijały. A za nimi ich mężowie, też w zgodzie. Nic z tego nie rozumiem...

Niespodziewanie w słowo weszła mu żona.

– A ja rozumiem, szkoda tylko, że nie ma to nic wspólnego z Lońką. Mieli dzisiaj w Cieszynie sprawę w sądzie. Pozwala Panoczka o kradzież

drewna.

– Takie buty – mruknął Rajner. – Należało mu się jak psu buda. Mam nadzieję, że wygrali i że ta zgoda potrwa trochę dłużej. No dobra, jedźmy dalej, został ostatni rysunek. Pięć osób... – Zwizualizował w myślach wnętrze autobusu, a wtedy uświadomił sobie, że ostatnie siedzenie znajduje się na lekkim podwyższeniu. – Zobaczmy, kogo mamy na tym katafalku... Michał Byrt z synem, Lońka i... – Pochylił się niżej nad rysunkiem. – Tych dwóch nie znam, w ogóle nie kojarzę tych twarzy. Pewnie przyjezdni. Kurwa, nie mam pojęcia, gdzie ich...

Zaferowany, na pierwsze szarpnięcie za rękaw swetra w ogóle nie zwrócił uwagi, dopiero drugie, silniejsze, przerwało tok myśli i słów. Ze zdziwieniem popatrzył najpierw na tarmoszącą go dziecięcą rączkę, potem na jej właścicielkę.

– Co się stało? Nie przeszkadzaj mi teraz, muszę pomyśleć.

– Wcale pan nie musi, bo ja ich znam. Chodzą ze mną do szkoły, tylko że oni są w szóstej klasie, a ja w trzeciej. Ten z ciemnymi włosami to Marcin Cieślar. Jego tata strasznie pije i w zeszłym tygodniu policja go zabrała, bo się awanturował – dodała ściszym głosem, jakby zdradzała wielką tajemnicę.

Milewski gorączkowo szukał w pamięci takiego zdarzenia, lecz w żadnym nie było wzmianki o chłopaku imieniem Marcin. Zresztą, skoro miało miejsce w Czarnem, w grę mogło wchodzić tylko jedno. Z tego, co pamiętał, ofiarą przemocy były tam żona i córka, nie przypominał sobie natomiast wzmianki o synu.

– Czy Mirosława Cieślar to jakaś rodzina tego chłopaka?

– Mira to jego siostra. On się nią opiekuje, bo dziewczyny są słabsze. Marcin tak mówi i w szkole tępi chłopaków, którzy nas zaczepiają.

Rumieniec na policzkach Petry powiedział Rajnerowi, kto jest obiektem pierwszego zapewne uczucia dziewczynki, dlatego zrezygnował z dalszej indagacji. Miłość zaślepia nawet dorosłych, a co dopiero dziesięciolatkę.

– Kim jest ten drugi chłopak?

– Konrad Procner. Przyjaźnią się z Marcinem, chociaż Konrad jest o rok młodszy. Poszedł wcześniej do szkoły, dlatego chodzą do tej samej

klasy. Ze mną chodzi Aldona, siostra Konrada. Oni mieszkają koło Podzorskiego, tego, co go Gojny nazywają.

Więcej pasażerów Petra nie zapamiętała, co nie dziwiło, zważywszy, że siedziała tyłem do kierunku jazdy. Wypytał jeszcze, kto z czternastu sportretowanych wysiadł na ostatnim przystanku, i ucieszył się, gdy wymieniła tylko siedem osób, a wśród nich dwa skonfliktowane z Panoczką małżeństwa. Trudno było przypuścić, by mąż i żona wspólnie napadli na nieznaną nastolatkę. Zostali zatem tylko dwaj chłopcy i Jan Legierski. Ten ostatni, starszy i schorowany mężczyzna, według słów Petry wracający od lekarza, też raczej mógł zostać wykluczony, mimo to Rajner postanowił zadać dziewczynce ostatnie pytanie:

– Powiedz mi, Petro, co zrobiłaś po wysią... wysię... – zaplątał się ku ucieście żony. Posłał jej spojrzenie bazyliuszka i dokończył inaczej. – ... kiedy wysiadłaś?

– Stałam z boku, bo ludzie na przystanku zaczęli się strasznie pchać i się bałam, że mnie przewrócą jak tę dziewczynę.

Wskazała palcem na rysunek przedstawiający Apolonię. Na ten gest troje obserwatorów natychmiast podeszło do Petry, gotowi poddać ją przesłuchaniu. Zwłaszcza Norbert wyglądał, jakby miał zamiar wydusić siłą wszelkie informacje, toteż Rajner na wszelki wypadek zasłonił dziewczynkę własnym ciałem.

– Przypominam ci, że ona jest małoletnia. Chcesz ją wystraszyć? W takim razie proszę bardzo. – Odsunął się lekko. – Ale nie gwarantuję, że dowiesz się czegokolwiek. Raczej zakładam, że się zatnie i nie odpowie na żadne pytanie.

Przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem, wreszcie Norbert z ciężkim westchnieniem odpuścił. Stał obok poblądłej z emocji żony i ujął jej lodowatą dłoń, Milewski zaś ponownie zwrócił się do Petry:

– Wiesz może, w którą stronę poszedł pan Legierski?

– Nie poszedł do domu, tylko na „Fojtulę”. Mówił, że ma dobry wynik i że musi się na to konto kwitu napić.

– A chłopcy?

– Nie wiem – odpowiedziała z wyraźnym żalem. – Mama wreszcie się pojawiła, więc poszliśmy do domu.

Więcej pytań nie mieli, wobec czego zgodnie z obietnicą Rajner odwiózł Petrę do domu. Towarzyszyła im Inga, na wypadek gdyby musieli wytłumaczyć powody „uprowadzenia” dziewczynki. Mała jednak nie chciała o tym słyszeć.

– Nie możecie iść ze mną! Mama się mną nie interesuje i na pewno nie wie, że wyszłam z domu.

– A jeżeli się mylisz? Co wtedy? Ja bym szalała z niepokoju...

– Bo pani kocha Apolonie, a moja mama mnie nie znosi. Nawet nie zapyta, gdzie byłam – upierała się Petra. – Zresztą i tak bym jej nie powiedziała, bo dla mamy policjant to nieodpowiednie towarzystwo.

Rajner wydał z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy gdakaniem a prychnięciem, Inga natomiast uznała za stosowne wygłosić dydaktyczną uwagę:

– Nie powinnaś okłamywać mamy. Kłamstwo to coś obrzydliwego, zwłaszcza kiedy kieruje się je do bliskich.

Petra popatrzyła na nią z urazą.

– Przecież już mówiłam, że nigdy nie kłamię. Jeżeli nie chcę albo nie mogę czegoś powiedzieć, po prostu się nie odzywam, i już.

Wkrótce znaleźli się na tym samym parkingu, skąd wcześniej ją zabrali, i Petra wysiadła. Spoglądając za nią, Inga wiedziała, że już zawsze, myśląc o dziewczynce, będzie miała przed oczami tamtą scenę, od której zaczęła się jej rozmowa z Petronelą – dwie dłonie rysujące w tym samym czasie na dwóch kartkach dwa różne obrazki.

26 stycznia 1993, Żywiec

Ze zdumieniem spoglądał na policyjną taśmę na drzwiach.

– Co to, kurwa, ma być? – mruknął z irytacją.

Wyciągnął rękę, by zerwać przeszkodę uniemożliwiającą niezauważalne wejście do mieszkania, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie powinien ryzykować i dobrowolnie pchać się blacharzom w łapy. Chuj wie, czemu przykleili tę taśmę! Może Anna go przejrzała i poszła ze swoimi podejrzeniami do glin? Nie, to bez sensu, wtedy nie opieczętowaliby drzwi, tylko zaczęli się na niego w środku.

Stał bezradny, nie bardzo wiedząc, co powinien w tej sytuacji zrobić. Tutaj kunszt włamywacza nie mógł mu pomóc, pochapne działanie również nie wchodziło w grę, mogło przynieść więcej szkody niż pożytku. Należało najpierw gruntownie przemyśleć, jakie posunięcie będzie się najbardziej opłacać, i dopiero wtedy podjąć odpowiednie kroki.

Bartłomiej zawrócił w stronę schodów, a wkrótce potem siedział w pobliskiej kawiarni nad filiżanką podwójnego espresso i bił się z myślami. Najpierw postanowił natychmiast wyjechać. Podniósł już nawet kawę do ust, by wypić ją jednym haustem, nim jednak to zrobił, uprzytomnił sobie konsekwencje. Nie znał przecież konkretnych przyczyn otasmowania drzwi. Musiały być poważne, a w takich przypadkach prześwietla się wszystkich domowników. Jakkolwiek nie był tam zameldowany, wszędzie widniały odciski jego linii papilarnych, a zatem policja raz-dwa się zorientuje, że tam bywał. Pozostało mu więc tylko jedno.

Pół godziny później pochylał się przed okienkiem dyżurki komendy policji.

– Dzień dobry. Mam pewien problem. Wróciłem właśnie z wyjazdu do kolegi i zastałem na drzwiach mieszkania narzeczonej policyjną taśmę. Czy mógłbym się dowiedzieć, co się stało? Niepokoję się o Annę...

Siedzący po drugiej stronie szyby funkcjonariusz nawet nie spojrzął na petenta, tylko rzucił zwięźle:

– Adres proszę.

Bartłomiej podał stosowne dane, a policjant zapisał je na kartce, po czym zajrzał do grubego zeszytu, wodząc palcem po zapiskach. Wreszcie sięgnął po telefon i po wykręceniu trzycyfrowego numeru powiedział półgłosem kilka słów. Odłożywszy słuchawkę na widełki, ponownie zwrócił się do Kozińca stojącego w pozie pełnej nerwowego oczekiwania:

– Proszę zaczekać, zaraz przyjdzie aspirant Piontek i wyjaśni, w czym rzecz.

Wszystko się w nim buntowało przeciwko pobytowi w tym miejscu, jednakże Bartłomiej zdołał zapanować nad instynktem każącym mu natychmiast opuścić komendę. Być może przyście tutaj było głupim

pomysłem, ale wycofanie się teraz byłoby jeszcze głupsze, usiadł więc na twardym krześle w poczekalni i pogрузzył się w niewesołych myślach.

Po kilku minutach rozległ się brzęczyk zwalnianego zamka i w progu stanął młody policjant bez żadnych dystynkcji.

– Pan do aspiranta Piontka? Proszę za mną.

Wkrótce potem Koziniec znalazł się w pokoju, gdzie za biurkiem rozpierał się czterdziestoletni na oko mężczyzna w cywilnym ubraniu. Wyświechtana marynarka, sterczące na wszystkie strony włosy oraz niestarannie ogolone policzki świadczyły, że nie przywiązywał zbytnej wagi do wyglądu. Oderwał wzrok od leżącej na blacie gazety i przeniósł go na wchodzących, skrzywieniem pulchnych warg dając do zrozumienia, że nie są mile widzianymi gośćmi. Pańskim gestem odprawił posterunkowego i zwrócił się do cywila:

– Czego chcesz? Po co tu przylazłeś?

Bartłomiejowi krew uderzyła do głowy, z trudem się zmusił do zachowania spokoju. Zewnętrzny, w duszy bowiem poprzysiągł zemstę gburowatemu policjantowi. *Jeszcze będziesz płakać i błagać o litość, ty parszywy kundlu. Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić, a już na pewno nie jakiś tępy gliniarz. Zapłacisz mi za to* – odgrażał się w myślach, głośno zaś odpowiedział grzecznie, celowo przybierając pokorny ton.

W miarę jak aspirant słuchał wyjaśnień, z jego twarzy zniknął grymas irytacji, zastępowany miną wyrażającą zadowolenie, a gdy usłyszał o wizycie młodego gościa domagającego się pieniędzy, uśmiechnął się szeroko.

– Przyznam się, że czekałem na takie słowa – powiedział ku zdumieniu Kozinca. – Syn denatki jest groźnym przestępcą. – Zauważył minę świadka i szybko dodał: – Wiem, że pan także był na bakier z prawem, ale to stare dzieje. Poza tym pan był włamywaczem, a Fajlhauer w wieku dwudziestu lat brutalnie zgwałcił niewinną dziewczynę. To robi różnicę. W dodatku on w grudniu wyszedł z więzienia i z tego, co pan zeznał, zaraz przyjechał do matki z żądaniem zapłaty nie wiadomo za co. Ona odmówiła, a po miesiącu została zatłuczona na śmierć przez nieznanego sprawcę. Przyzna pan, że to daje do myślenia.

Bartłomieja tak przytłoczył nawał informacji, że stać go było wyłącznie na skinienie głową. Dotąd nie miał pojęcia, że tamten bezczelny gówniarz był synem Anny, mało tego, do tej pory żył w przeświadczeniu, że nigdy nie miała dzieci.

– Narzeczona nie utrzymywała z synem żadnych kontaktów, dlatego mnie wtedy zaskoczył. Nie miałem pojęcia o jego istnieniu, a kiedy powiedział, że jest synem Anny, przyjąłem go jak własne dziecko. Gdybym wiedział, co z niego za człowiek, nigdy bym nie pozwolił, żeby ją zastraszył. Mam nadzieję, że ten gnojek nie ma rodzeństwa, miasto mogłoby tego nie wytrzymać, gdyby się okazało, że takich jak on jest więcej.

Piontek kupił ten niezbyt udany żart. Zarechotał, po czym stwierdził, że Maria Sienicka miała tylko jednego syna.

– Czemu mówi pan o niej Anna? – zainteresował się nagle.

– Tak miała na drugie. Nie lubiła imienia Maria, bo tak nazywał ją mąż.

Koziniec skłamał bez mrugnięcia okiem, a aspirant ze zrozumieniem pokiwał głową i ku zadowoleniu rozmówcy dorzucił:

– Musiał jej ostro dawać popalić, skoro po jego śmierci wróciła do panińskiego nazwiska i zmieniła imię.

To wyjaśniało, dlaczego nazwisko Fajlhauer nic Bartłomiejowi nie powiedziało. Nie przyszło mu do głowy, że młody intruz mógłby być dzieckiem Anny, a ona z nieznanых przyczyn przemilczała ten fakt. Pewnie wstydziła się syna gwałciciela.

Policjant zdawał się całkowicie przekonany o winie młodego człowieka i chyba dlatego zadowolili się stwierdzeniem, że jakiś czas temu dzieci Kozinca wyprowadziły się z mieszkania Anny i poszły na swoje. Nie wnikał też specjalnie, gdzie konkretnie przebywał Bartłomiej w czasie zabójstwa. Odnotowawszy adres Szpili, oznajmił tylko, że zamierza to sprawdzić, po czym przeszedł do całkiem innej kwestii:

– Czy mógłby pan zidentyfikować zwłoki?

26 stycznia 1993, Wisła

Rozmowa z pasażerami podróżującymi tym samym autobusem nie wniosła do poszukiwań nic nowego. Małżeństwa Podzorskich i Szarców zbyt były zajęte świętowaniem z okazji wygrania sprawy sądowej, by zwracać uwagę na nieznaną dziewczynę. Zagadali się do tego stopnia, że nie zauważyli nawet Nowogrodzkiej, choć obecność żony lekarza w pojeździe zaliczanym do środków komunikacji publicznej stanowiła swoiste kuriozum.

Jan Legierski również nie przypominał sobie Apolonii, a indagowany uporczywie przez Rajnera, rozkładał bezradnie ręce.

– Piekno dzieuszka – stwierdził po obejrzeniu fotografii. – Jakbych miał ze trzicet roków mienij, to pewnie bych się za nió dziwoł.

Potem zauważył, że w jego wieku bardziej go interesuje, czy zdoła nie oblać sobie stóp w trakcie sikania, po czym przymknął powieki i pogrążył się w drzemce. Rajnerowi pozostali zatem tylko chłopcy.

Obaj pamiętali siedzącą obok nich dziewczynę, lecz to było w zasadzie wszystko. Marcin Cieślar przyznał, że zagadnął ją kilka razy, ale kiedy nie wykazała zainteresowania rozmową, zrezygnował i więcej jej nie zaczepiał. Później już jej nie widział, nie zwrócił też uwagi, czy wysiadła przed nim, czy po nim. Zgodnie z jego zeznaniami po opuszczeniu autobusu miał zamiar wracać do domu, lecz dał się namówić Konradowi na oglądanie filmów z kasety i na tym zajęciu zeszło im aż do późnego wieczora.

– Jakiś cholernie długi musiał być ten film – zauważył niewinnie Rajner.

Piwnie oczy chłopaka błysnęły gniewem, na zapowiadającej się na bardzo przystojną twarzy odmalował się grymas niechęci.

– Użyłem liczby mnogiej, o ile pan wie, co to jest.

Podkomisarz zareagował na oczywistą prowokację niezmaconym spokojem.

– Coś tam mi się obiło o uszy. Do wieczora, czyli do której?

– Nie patrzyłem na zegarek – burknął Marcin. – Chyba do dziewiątej, może trochę dłużej. A może krócej. Pan zawsze sprawdza czas po skończeniu jakiejś czynności?

– Nie zawsze – przyznał pogodnie Rajner. – Ale gdybym był ostatnią osobą, która widziała kogoś, kto zaginął, starałbym się wszystko sobie

przypomnieć zamiast się stawiać. Uprzedzam, że sprawdzę, czy mówisz prawdę.

Głos mu stwardniał, wyraz twarzy także się zmienił, nie był już przyjazny, a po uprzednim rozbawieniu nie pozostał nawet ślad. Wszystko to jednak nie wywarło na młodym rozmówcy większego wrażenia.

– Może pan sobie sprawdzać do usranej śmierci! – odpowiedział gniewnie i dorzucił, nie próbując nawet ukryć pogardy: – Szkoda, że jak ojciec leje mamę i siostrę, to wtedy nie jesteście tacy dociekliwi!

Podkomisarz nie słyszał dotychczas o żadnych problemach z interwencjami w domu Cieślarów, dlatego atak był dla niego kompletnym zaskoczeniem.

– O czym ty mówisz?

– Pan dobrze wie o czym! Ale najlepiej udawać, że się o niczym nie ma pojęcia. Bo domowe problemy powinno rozwiązywać się w domu, a nie rozpowiadać o nich po dziedzinie. To przecież wstyd.

Ostatnie zdania zabrzmiały, jakby chłopak kogoś cytował i Rajner zaczął się domyślać powodów jego złości. Niemniej musiał zyskać pewność.

– Kto tak powiedział? Ktoś od nas?

Jednakowoż Marcin zacisnął wargi i nie odpowiedział, i nic nie wskazywało, by miał zamiar zaspokoić ciekawość policjanta, wobec czego Milewski musiał chwilowo zrezygnować z dalszej indagacji. Zresztą i tak miał do załatwienia pilniejsze sprawy. Matce i siostrze chłopaka chwilowo nic nie zagrażało, priorytetem natomiast było odszukanie Apolonii.

– Skoro nie chcesz mówić, to trudno, ja cię zmusić nie mogę. To na razie wszystko. Do widzenia.

Pospieszył do domu Procnerów, by skonfrontować z Konradem słowa Marcina. Nie obawiał się, że chłopcy zdążą uzgodnić wersję wydarzeń, w ubogim domu Cieślarów nie było nawet telewizora, a co dopiero mówić o takiej ekstrawagancji jak telefon. Mogli oczywiście obgadać tę kwestię wcześniej, ale na to Rajner nie miał już wpływu.

Rozdział 13

Oszukana oszustka

26 stycznia 1993, Żywiec

– Matko Boska!

Okrzyk nie był udawany, Bartłomiej naprawdę przeżył szok. Aspirant Piontek wprawdzie go uprzedził o drastyczności widoku, ale mężczyzna się nie spodziewał, że będzie aż tak źle. Głośno przełknął ślinę i usiadł ciężko na podsuniętym mu krześle. Ocierając pot z czoła, przeprosił policjanta za zwłokę.

– Nic nie szkodzi, rozumiem, że to dla pana wstrząs. Niech pan chwilę odpocznie, mamy czas. Proszę dać znać, kiedy będzie pan gotowy.

Aspirant poklepał go pokrzepiająco po ramieniu i odszedł na drugi koniec pomieszczenia, gdzie wdał się w rozmowę z mężczyzną przyodzianym w lekarski kitel, Bartłomiej zaś przymknął powieki. Nie czuł zażenowania, że omal nie zemdłał, był przecież włamywaczem, nie zabójcą, a dla policjanta zwykłym obywatelem. Gdy minął pierwszy szok, Koziniec na tyle odzyskał jasność myśli, by móc spokojnie przeanalizować sytuację. Przymknął powieki i udając zrozpaczonego utratą narzeczonej, pograżył się w rozważaniach.

Było mu na rękę, że Piontek zdawał się całkowicie przekonany o winie Fajlhauera, przyjmując przy tym za pewnik, iż syn dziedziczy po matce, co według policjanta stanowiło główny motyw zabójstwa. Bartłomiej jeszcze go w tym utwierdził mocno podkolorowanym opowiadaniem o potwornej awanturze o pieniądze, jaka w grudniu miała miejsce

między młodym człowiekiem a Anną, oraz o innych, całkowicie zmyślonych.

Tymczasem prawda wyglądała zupełnie inaczej, o tym jednak nie zamierzał aspiranta informować. Musiałby być ostatnim głupcem, by się przyznać. Gdyby Piontek dowiedział się o testamencie, w myśl którego postanowień Koziniec jest jedynym spadkobiercą narzeczonej, mógłby nabrać podejrzeń, a choć Bartłomiej miał niezbite alibi, nie chciał mieszać Szpili do śledztwa. Niedobrze byłoby zwracać uwagę policjantów na potencjalnego współnika, zwłaszcza że planowali duże przedsięwzięcie.

Policjant wreszcie się znudził czekaniem i Koziniec nie mógł już zwlekać. Podszedł ponownie do wózka i długo spoglądał na zmasakrowane oblicze kobiety. Czegoś podobnego nie widział jeszcze nigdy, toteż początkowo skupił się głównie na zapanowaniu nad reakcją własnego organizmu. Dopiero później, gdy już udało mu się zwalczyć odruch wymiotny, zaczął się zastanawiać nad prośbą aspiranta. Czy ten człowiek całkiem zwariował? Naprawdę oczekiwał, że ktoś jest w stanie rozpoznać tę twarz, której właściwie nie było?

Zerknął niepewnie na Piontkę, a gdy policjant zachęcająco skinął głową, ponownie przeniósł wzrok na denatkę i przyjrzał jej się uważnie. Teraz, gdy już wiedział, czego może się spodziewać, przyszło mu to dużo łatwiej, chociaż żołądek nadal się buntował i Koziniec nie mógł sobie darować, że przed przyjściem tutaj zjadł solidny obiad. Pomogło mu pytanie aspiranta, czy da radę. On miałby się poddać? Nie ma takiej możliwości! Wyobraził sobie kpiny Szpili na wieść, że Doktor porzygał się na widok trupa, i pochylił się nad zmarłą.

26 stycznia 1993, Wisła

W przeciwieństwie do matki Cieślara, zahukanej, spracowanej kobieciny, Ewa Procner zażądała, by rozmowa z synem odbyła się w jej obecności. Zawołała Konrada i już po chwili w drzwiach pokoju stanął wysoki, chudy nastolatek, sprawiający wrażenie, że ma stanowczo zbyt wiele rąk i nóg. Rajner podświadomie oczekiwał nerwowości ruchów,

uciekania wzrokiem, nagłych rumieńców oraz głosu co rusz przechodzącego w niekontrolowany pisk, czyli całej gamy zachowań typowych dla chłopców w okresie dojrzewania.

Tymczasem Konrad nie wykazywał żadnego z nich, a kiedy policjant po okazaniu zdjęcia Apolonii i zadaniu pytania zerknął na niego ukradkiem, napotkał chłodne spojrzenie ołowianoszarych oczu.

– Oczywiście, że ją pamiętam, bo Marcin do niej zarywał, ale go zbyła. Żalił się potem, że to pewnie przez jego ubranie, ale mi nie wyglądała na taką, dla której liczą się tylko markowe ciuchy. Po mojemu była zmęczona i dlatego nie miała ochoty na głupie przekomarzanki.

Rajner porównał w myślach spójną, logiczną wypowiedź chłopaka do wyjaśnień udzielanych przez jego przyjaciela, a wcześniej przez małą Petrę i doszedł do wniosku, że w Czarnem musiał swego czasu wystąpić prawdziwy wysyp wybitnie inteligentnych dzieciaków, skoro w tak krótkim czasie poznał już troje. A może młodzi po prostu wcześniej teraz dojrzewają i dlatego wydają się rozsądniejsi?

– Ty z nią nie rozmawiałeś?

– Nie. Ja nie mam takiej ładnej gęby jak Marcin, na mnie laski nie lecą. – W głosie chłopaka nie było jednak zazdrości, tylko rozbawienie. – Z Mad Maxem nie mam szans.

Podkomisarz przywołał w pamięci wizerunek filmowego bohatera i musiał przyznać, że ten, kto wymyślił ów przydomek, miał dobre oko. Cieślar nie tylko był podobny do Mela Gibsona, ale także ze względu na gniewne błyski w oczach i wyraz buntu na twarzy mógł się kojarzyć z tą konkretną postacią.

– Co robiliście po przyjeździe do Czarnego?

– Poszliśmy do domu – odpowiedział Konrad bez namysłu. – To znaczy Marcin przyszedł tu ze mną, bo miałem kasety z *Gwiezdnymi wojnami*, a oni nie mają video.

– Długo oglądaliście? O której Marcin wyszedł?

Tym razem odpowiedź nie padła od razu. Chłopak zmarszczył brwi w zastanowieniu, wreszcie zrobił gest, jakby miał zamiar bezradnie rozłożyć ręce i powstrzymał się od tego w ostatniej chwili.

– Chyba po dziewiątej... Mamo?

Ewa Procner nie potrzebowała zbyt wiele czasu na przypomnienie sobie przebiegu tamtego wieczoru.

– Też dokładnie nie wiem, ale o dziewiątej poszłam do chłopaków i zwróciłam uwagę Marcinowi, że powinien wracać do domu. Ojciec jest ochlaptusem, to prawda, i nie przejmuje się niczym innym oprócz butelki, ale Hanka Cieślar to porządna kobieta i dobra matka. Na pewno się o niego martwiła, bo nie uprzedził, że będzie u nas.

Ani ona, ani syn nie wykazywali negatywnego stosunku do policji, toteż Rajner postanowił skorzystać z okazji i zadać pytania, na które Marcin nie udzielił odpowiedzi. Niczym nie ryzykował, najwyżej także odmówią wyjaśnień. Ale nie odmówili i już wkrótce podkomisarz miał przegląd sytuacji. Choć nie dał nic po sobie poznać, w środku aż się w nim gotowało z wściekłości. *Pierdolony imbecyl* – wyzywał w myślach podwładnego. *Ja ci, gnoju, pokażę honor rodziny, ty cholerny wszarzu!*

Podziękował za informacje i miał zamiar wstać, gdy powstrzymało go pytanie Konrada:

– Panie aspirancie, czemu pan pytał o tę dziewczynę? Czy coś jej się stało?

W głosie chłopaka brzmiała autentyczna troska, jego matka również wyglądała na przejętą losem dziecka, którego nawet nie знаła, i Rajner zdecydował się na szczerość. Przewidywał, że będzie mu potrzebna każda pomoc, a Ewa Procner i jej syn sprawiali wrażenie osób mających na tyle autorytetu, by móc pociągnąć innych za sobą.

– Apolonia jest córką mojego przyjaciela. Przyjechała z Bielska-Białej na ferie, ale do nas nie dotarła. Ostatni raz była widziana w piątek, właśnie w tym autobusie, potem wszelki ślad po niej zaginął.

Oczy matki rozszerzyły się ze zgrozy; kobieta stłumiła dłonią okrzyk przerażenia i skierowała pytające spojrzenie na syna, siedzącego nieruchomo ze zmarszczonymi w zastanowieniu brwiami, ze wzrokiem utkwionym w kącie pokoju. Wtem chłopak oderwał się od kontemplowania ściany i podniósł oczy na policjanta.

– Myli się pan. Ostatni raz widziałem ją nie w autobusie, ale na zewnątrz, kiedy już z niego wysiadła.

Rajner natychmiast się powstrzymał, choć jeszcze przed chwilą miał zamiar wstać.

– Naprawdę ją widziałeś!? – wykrzyknął podekscytowany. – Co robiła? Niespodziewanie Konrad parsknął śmiechem. Pod wpływem karcącego syknięcia matki spoważniał, lecz w szarych oczach nadal skrzyły się iskierki wesołości.

– Kiedy stanąłem na stopniach, akurat wygrzebywała się z zasy i przypominała bałwanka, z tą różnicą, że się ruszała.

Jego słowa potwierdziły co prawda spostrzeżenia Petry, niestety nie wносиły do sprawy nic nowego. Chyba że...?

– Co było potem? Widziałeś ją jeszcze?

Chłopak skinął głową, a policjant zmusił się do pozostania na miejscu, choć najchętniej podbiegłby i chwycił za chude ramiona, by siłą wytrząsnąć z niego odpowiedź. Na szczęście oczekiwanie na nią nie trwało długo.

– Doszliśmy już z Marcinem do rogu „Fojtuli”, kiedy usłyszałem, że ktoś biegnie. Myślałem, że za nami, więc się obróciłem, ale to był jakiś pasażer. Dolatywał do autobusu i potracił tę dziewczynę tak mocno, że znowu się przewróciła. Zastanawiałem się, czy nie potrzebuje pomocy, jednak zaraz wstała, więc poszedłem za Marcinem. Autobus już ruszał i musiałem zejść mu z drogi, żeby mnie nie rozjechał.

– Potem już jej nie widziałeś?

Konrad pokręcił głową.

– Przy kiosku „Ruchu” jeszcze raz się obejrzałem, ale było za ciemno.

Ramiona Rajnera opadły, cały jakby oklapł, skurczył się w sobie. Następne pytanie zadał wyłącznie po to, by procedurom stało się zadość, bez nadziei na usłyszenie czegoś mogącego mieć znaczenie dla sprawy.

– Nie zauważyłeś na przystanku jeszcze kogoś oprócz Apolonii, kiedy potracił ją ten późnialski pasażer?

– Była już tylko ona, wszyscy zdążyli się rozejść, a autobus właśnie ruszał. – Chłopak na moment zamilkł, po czym podjął z namysłem: – Wie pan, to jest kure... cholernie dziwne... Bo myśmy szli tą samą drogą, którą ona miała iść, i nikogo tam nie było. Naprawdę nawet żywego ducha. A przy skręcie w stronę Ostoi staliśmy jakiś czas z wyłączonymi latarkami i też nikt się nie pojawił. Dlatego nie bardzo wiem, jak ktoś mógłby ją napaść.

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko, kolego! – To Procnerowa włączyła się znieścacka do rozmowy. – Czy ty aby nie zmyślasz, bo chcesz poczuć się ważny?

– Mamo!

– Ty mi tu nie mamuj, tylko mów prawdę, bo coś mi tu nie pasuje. Po co mielibyście stać na tym skrzyżowaniu?

– Wcale nie staliśmy na skrzyżowaniu, tylko przy płocie.

– A ty niby zawsze taki precyzyjny? Nie kombinuj, chłapiec, nie z takimi sobie radziłam. Pięć a dwacet na goły zadek zawsze dobrze robi na pamięć.

Pod oskarżycielskim spojrzeniem matki Konrad ewidentnie się zmieszał. Spuścił wzrok, zagryzł wargi i ogólnie wyglądał teraz jak skruszony grzesznik oczekujący na wyznaczenie pokuty. Milczał, lecz ponaglące syknięcie nie pozostawiło mu wyboru.

– Marcin zwinął ojcu paczkę fajek – odpowiedział wymijająco.

– I co dalej? Macaliście te papierosy czy jak? Bo jeśli zgasiliście lampki, to nawet patrzeć się nie dało.

– Kurzyliśmy – wyznał, patrząc jej przy tym prosto w oczy. – Wypaliliśmy po dwie, a potem usiedliśmy na murku, bo Marcinowi zrobiło się jakoś mdło, a ja miałem zawroty głowy. Siedzieliśmy tam chyba z dziesięć minut.

Naraz oczy Konrada rozbłysły ekscytacją. Zignorował triumfalne „a widzisz!” matki i zwrócił się do Rajnera:

– Nie widziałem jej! – Zauważył brak zrozumienia na twarzy Milewskiego i czym prędzej zaczął mu tłumaczyć: – Nie widziałem jej, a na pewno bym zauważył, bo specjalnie pilnowałem, żeby nas kto nie nakrył. Przysięgam, że nikt tamtędy nie przechodził!

Podkomisarzowi nie udzieliło się podniecenie chłopaka, przeciwnie, odniósł się do jego rewelacji dość sceptycznie:

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi – przyznał. – Domyślam się, że nie przechodziła, bo nie przyszła do domu.

– O tym wiemy – odpowiedział niecierpliwie Konrad. – Ale powinna była przechodzić, nie rozumie pan?!

Rajner naraz pojął, do czego chłopak zmierza, i miał ochotę zdzielić się w głowę. Jak mógł być tak głupi?

– Kiedy odchodziliście, na przystanku była już tylko Lońka – rozważał głośno, chcąc poukładać sobie w głowie zebrane informacje i odtworzyć przebieg wydarzeń, by na jego podstawie wysnuć hipotezę śledczą. – Po pięciu, góra siedmiu minutach powinna była was minąć, ale tam nie dotarła, z czego wniosek, że została napadnięta pomiędzy „Fojtulą” a tym skrzyżowaniem. Co znowu? – spytał na widok pełnej powątpiewania miny Konrada.

– To chyba niemożliwe. Nie widzieliśmy żadnego światełka, a tylko idiota wyszedłby z domu bez latarki. W ogóle trzeba by nie mieć mózgu, żeby bez powodu wyjść z domu w taką pogodę. Mnie się wydaje, że ona zabłądziła.

Podkomisarzowi opadły ręce. Zabłądzić na prostej drodze? Niepotrzebnie tracił czas na rozmowę z dwunastolatkiem zamiast zająć się szukaniem Lońki. Przecież to jeszcze dzieciak, co on może wiedzieć o porwaniach?

– Nie mogła zabłądzić, wiedziała, którądy ma iść. Jeszcze przed wyjazdem powtórzyła przed ojcem, że po wyjściu z autobusu musi skierować się w prawo, a potem cały czas prosto. – Wstał i ruszył do drzwi. – Dziękuję za pomoc. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała Ewa Procner.

Jej syn nie zamierzał jednak odpuścić.

– Jeszcze tylko chwilę – rzucił niemal błagalnie. – Jedno pytanie. W prawo, stojąc tyłem do autobusu, prawda? Ale to pod warunkiem, że wysiadłaby na pętli.

Czas jakby stanął w miejscu. Rajner usłyszał szum w uszach i poczuł mrowienie w koniuszkach palców, po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, a nogi stały się dziwnie słabe. Na wszelki wypadek zawrócił i ciężko klapnął na zwolnione przed chwilą krzesło.

– O czym ty mówisz? – chciał krzyknąć, lecz z ust wydobył się głos niewiele donośniejszy od szeptu.

– Pobocze na pętli było całe zavalone śniegiem zgarniętym przez pług. Ludzie nie mieliby gdzie wysiąść, dlatego autobus stanął przed „Fojtulą” – wyjaśnił Konrad, po czym dorzucił ze skruchą: – Myślałem, że pan o tym wie.

Milewski zdążył już opanować emocje na tyle, by móc myśleć logicznie, mimo to postanowił się upewnić.

– Autobus zawrócił na pętli i zatrzymał się przed gospodą, tym samym zmieniły się strony i Lońka powinna była pójść w lewo. Chodzi ci o to, że mogła o tym nie pomyśleć? Że poszła w przeciwnym kierunku?

Konrad potwierdził, a Rajner znów doszedł do wniosku, że chłopak jest wyjątkowo spostrzegawczy jak na dwunastolatka, w dodatku ma analityczny umysł i rzadką w tym wieku umiejętność wysnuwania logicznych wniosków.

– Bardzo mi pomogłeś. Dziękuję. Gdybyś w przyszłości szukał pracy, z przyjemnością zarekomenduję cię do policji. Pani również dziękuję i gratuluję syna.

Wyszedł, żegnany uśmiechem szczęścia na twarzy Konrada i pełną dumy miną jego matki. Sam natomiast nie czuł się ani szczęśliwy, ani dumny, tylko przerażony. Dokąd Apolonia mogła zawędrować? Domy stojące przy drodze pomiędzy przystankiem a strażnicą OSP celowo pominął w rozważaniach. Stały na tyle blisko, że gdyby Lońka znalazła w którymś z nich schronienie na czas zamieci, już dawno gospodarze zaprowadziliby ją do Milewskich lub przynajmniej daliby znać, iż jest bezpieczna.

Czy powyżej strażnicy znajdowały się jakieś zabudowania? Chyba nie, ale pewności nie miał. Tylko raz zapuścił się dalej, poza zakaz ruchu, ale dojechał jedynie do mostu, za którym znajdowała się wąska stroma droga, wedle objaśnień sierżanta Czyża prowadząca do osady Równe. Będzie musiał zapytać o to Andrzeja. Jeśli tak, istniała szansa, że Apolonia przeczekała śnieżycę w którymś z nich. A jeśli nie? Wtedy będą musieli szukać jej ciała, choć i w tym przypadku wynik poszukiwań wcale nie był pewny. Zdarzało się już odnajdywać zwłoki zaginionych turystów dopiero po wiosennych roztopach.

26 stycznia 1993, Świętoszówka

Ja pierniczę! Takie zadupie, a ja się zgubiłam – rozmyślała, po raz kolejny mijając ten sam sklep spożywczy. Zmęczona i poirytowana,

zdecydowała się zapytać o drogę, skoro mapa okazała się kompletnie nieprzydatna. Zawróciła.

Na małym parkingu przed sklepem stały trzy samochody i pozostało tylko jedno wolne miejsce tuż przy płocie. Maria zmierzyła je wzrokiem i zrezygnowała w obawie, że jest zbyt wąskie. Zaparkowała krzywo na ulicy, z prawym kołem na niezbyt szerokim chodniku, wysiadła i dopiero wtedy rozejrzała się w poszukiwaniu ewentualnego zakazu zatrzymywania się i postoju. Na szczęście niczego takiego nie zauważyła.

Nie była dobrym kierowcą. Cóż z tego, że egzamin na prawo jazdy zdała śpiewająco? Brakowało jej praktyki, gdyż wkrótce po kupieniu „malucha” poznała Bartłomieja i na wszelki wypadek ukryła przed nim fakt posiadania samochodu.

Ten nagły impuls, zupełnie niezrozumiały dla jej racjonalnej natury, zaskoczył ją do tego stopnia, że na pytanie, czy ma auto, odpowiedziała, że nigdy w życiu nie ośmieliłaby się usiąść za kierownicą. Później zaś, gdy Koziniec z nią zamieszkał, schowała prawo jazdy w szafie pod bielizną, mężczyzna bowiem uważał kobiety za kierownicą za wybryk natury i z uporem godnym lepszej sprawy dowodził, że niewiele je różni od prostytutek.

Znosiła jego dziwactwa, kuriozalne poglądy oraz tę całą zaburzoną rodzinę wyłącznie z jednego powodu, a teraz przyjechała do tej pipidówki, by naocznie się przekonać, że jej poświęcenie nie pójdzie na marne. Rok wśród tych religijnych szaleńców nie wydawał się wygórowaną ceną za restaurację i zajazd, a także ogromny kawał gruntu, a ona nie kupowała przecież kota w worku. Na to była zbyt inteligentna i cwana.

Kiedy Bartłomiej się pochwalił, że po śmierci matki właśnie on odziedziczy to wszystko, Maria zaraz zadzwoniła do pracującej w sądzie koleżanki, by ta sprawdziła w księgach wieczystych status gruntu i stojących na nim budynków. Przekonawszy się, że rzeczywiście stanowią własność Jadwigi Koziniec, podjęła odpowiednie kroki i wreszcie początkiem grudnia udało jej się namówić Kozinca na spisanie testamentu. Pomogła jej w tym katastrofa, w której zginęło jedenastu pasażerów autobusu, a wielu innych zostało rannych. Maria

tak umiejętnie wzbudziła w nim obawę, że gdy wyznaczyła go na swojego jedyne go spadkobiercę, w zamian mężczyzna bez dalszych protestów zapisał jej swój majątek.

Biedny dureń – pomyślała bez cienia współczucia i zdecydowanie pchnęła drzwi sklepu. Wewnątrz panował półmrok, pachniało stęchlizną i kiszoną kapustą. Miała ochotę natychmiast stamtąd wyjść, ale wspomniawszy w porę, o jaką stawkę toczy się gra, przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i podeszła do lady.

– Dzień dobry. Chyba zmyliłam drogę. Czy może mi pani powiedzieć, jak mam dojechać do posesji Kozińców?

Rozmawiająca z dwoma kobietami ekspedientka wytrzeszczyła na nią oczy; podobnie zareagowały jej towarzyszki.

– Do czego?! – wykrzyknęły zgodnym chórem.

Maria doszła do wniosku, że najwyraźniej region stoi bardzo kiepsko pod względem powszechnej edukacji, skoro wyraz „posesja” jest im obcy. W takim razie powinna używać jak najprostsz ych słów.

– Chodzi mi o drogę do domu Jadwigi Koziniec.

Kobiety wymieniły spojrzenia, potem ekspedientka wzruszyła ramionami i burknęła, nie siląc się na uprzejmość:

– Pojedzie pani prosto aż pod sam las i tam skręci w lewo. Dom Jadźki Kozińcowej widać z daleka, nawet ślepy by trafił. Ale jak se pani urwie zawieszenie na tych wertepach albo wjedzie do rowu, to nie do mnie z pretensjami!

Maria pomyślała, że zawiść ekspedientki widać z jeszcze dalsza, ale ugryzła się w język i nie powiedziała tego głośno. Szkoda jej było czasu na kłótnie z tą prymitywną kobietą. Podziękowała i poszła do wyjścia. Już w drzwiach usłyszała wymawiane kpiącym tonem słowo „posesja”, po którym nastąpił wybuch śmiechu.

– Co za prymityw – mruzczała z obrzydzeniem, wsiadając do auta. – Głupia, bezczelna pinda. One wszystkie są takie.

Bezwiednie dotknęła miejsca, gdzie wysoko nad lewym uchem widniał wielki guz. Syknęła z bólu. Gdyby nie bujne włosy, niespodziewany, pełen wściekłości atak Teresy mógłby się zakończyć poważnym urazem, może nawet wizytą w szpitalu. Na szczęście rondel ześlizgnął się po koronie splecionej z warkocza i uderzył w ramię, nie czyniąc większej

szkody, a napastniczka straciła równowagę i wypuściła go z ręki. Przez chwilę stała zdezorientowana, dając w ten sposób swojej niedoszłej ofierze czas na kontratak.

Sienicka wybuchnęła śmiechem na wspomnienie zaskoczenia w oczach Teresy, gdy ta zrozumiała, że z atakującej stała się atakowaną. Już nie będzie się obnosić z tą swoją ładną buźką i pysznie nieskazitelną cerą!

Anna chętnie wspominałaby nadal swoje zwycięstwo nad znieawidzoną rywalką, ale musiała wrócić do rzeczywistości. Droga rzeczywiście zawiodła ją na skraj lasu, lecz w tym miejscu wygląd okolicy przestał się zgadzać z opisem ekspedientki. Zerknąwszy w lewo, Maria zobaczyła chylącą się ku upadkowi chatynkę, znajdujące się w mniej więcej takim samym stanie dwa budynki gospodarcze i szopę z jednej strony podpartą dwoma drągami.

– Wredna zawistna małpa, żeby ją szlag!

Wściekła na złośliwą ekspedientkę, pojechała w prawo, pewna, że za zakrętem zobaczy zajazd, tam jednak aż po horyzont ciągnęły się pola uprawne. Na domiar złego droga przed nią wyglądała na nieodśnieżoną i gdy samochód po raz kolejny zatańczył, buksując w kopnym śniegu, Maria zawróciła. Postanowiła pojechać w lewo i sprawdzić, czy za zdewastowanymi zabudowaniami nie znajduje się obiekt, do którego zmierzała.

Podskakując na wertepach, „maluch” dotoczył się do mocno pochylonego płotu. W tym miejscu droga się skończyła. Maria wysiadła i bezradnie powiodła wzrokiem po okolicy. Może powinna zapytać tutaj o tę cholerną Jadwigę?

Dom co prawda sprawiał wrażenie opuszczonego, ale z komina snuła się smużka dymu, a po podwórzu przechadzał się wychudzony pies. Wyglądał na niespecjalnie zainteresowanego stojącym przed furtką gościem, niemniej jego przekrwione dzikie oczy nie zachęcały do zawierania bliższej znajomości.

– A nawet dalszej – stwierdziła Maria.

Zdecydowała, że jednak zrezygnuje z wizyty w tym domu. Głupotą byłoby ryzykować, pies na pewno nie jest szczepiony.

– Czego tu pani szuka?

Odwróciła się błyskawicznie, przestraszona niezauważalnym pojawieniem się kobiety za swoimi plecami, i zobaczyła przed sobą pooraną zmarszczkami twarz, pokrytą siecią spękanych naczynek. Wolno wypuściła powietrze z płuc.

– Szukam pani Jadwigi Koziniec.

– To ja. O co chodzi?

Maria poparzyła na nią z niedowierzaniem.

– Pani?!

Rozmówczyni najwyraźniej poczuła się urażona.

– Coś się nie podoba? To wypierdalać mi stąd. Ja nikogo nie zapraszałam, na towarzystwie mi nie zależy.

– Nie, nie! – zawołała szybko Maria, chcąc ją udobruchać, choć wszystko się w niej buntowało przeciw podlizywaniu się temu babsku. Ale nie po to jechała tyle kilometrów, by wrócić z niczym. – Chodzi mi tylko o to, że chyba nie pani szukam. Miałam na myśli inną Jadwigę Koziniec, właścicielkę restauracji i zajazdu.

Przez kilka sekund kobieta spoglądała na nią w osłupieniu, w następnej chwili wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Rozmawiała pani z moim synem – oznajmiła tonem świadczącym o niezachwianej pewności. – Taka elegancka kobitka, a też się dała nabrać! Trza Bartkowi to przyznać, umie chłopak czarować.

Zbitej z tropu Marii zabrakło słów. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więcej, nie wiedziała nawet, jak powinna zareagować. Rozmówczyni zauważyła to zagubienie i w końcu się nad nią ulitowała.

– Jak pani chce się dowiedzieć więcej, to lepiej chodźmy do domu, zanim całkiem pani zamarznie.

Rozdział 14

Tajemniczy bałwan

27 stycznia 1993, Wisła

Poprzedniego dnia po powrocie do domu Rajner nie zdobył się na opowiadanie o nowej hipotezie. Nie chciał przysparzać żonie i przyjaciołom zmartwień, zwłaszcza że mogła okazać się błędna. Porozumiał się natomiast z sierżantem Czyżem i po krótkiej naradzie ustalili, że najpierw rozpytają mieszkańców domów stojących przy drodze, a poszukiwania w terenie zaczną dopiero w razie, gdyby wcześniejsze działania nie przyniosły żadnego efektu.

Zgodnie z umową w środowy poranek spotkali się przy „Fojtuli” i ruszyli w stronę budynku OSP. Rozmowy z mieszkańcami nie zajęły im dużo czasu, wszystkie bowiem przebiegły według jednego schematu: policjanci zadawali pytania i pokazywali zdjęcie Lońki, mieszkańcy zaś albo kręcili głowami, albo odpowiadali w sposób zwerbalizowany. Forma jednak nie miała żadnego znaczenia wobec faktu, że wszystkie odpowiedzi były negatywne.

– Sam nie wiem, co robić – wyznał Rajner z niespotykaną u niego bezradnością, gdy opuścili ostatnie domostwo. – Brakuje mi doświadczenia, nigdy nie brałem udziału w działaniach na takim terenie. Jak myślisz? Wzywać ludzi do przeszukania poboczy? Bo jeśli chłopak nie ma racji, to tylko niepotrzebnie ich przegonię.

– Jest jeszcze jeden dom przy drodze – odezwał się sierżant, ignorując pytania. – Dość daleko stąd, przed skretem na Równe.

– Gdzie to jest? Przy drodze? – Czyż potwierdził skinieniem, na co Milewski spojrzał powątpiewająco. – Jesteś pewny? Bo jechałem tam kiedyś i dotarłem aż do mostu na Równie, i żadnego domu nie mijałem, tylko domek kempingowy i jakieś szopki.

Sierżant wcale się nie zmieszał. Ruszył naprzód niezbyt szybkim, lecz równym krokiem i dopiero gdy zrównali się ze znakiem zakazu ruchu, wyjaśnił:

– Pan ma na myśli most w Sklypkach, ten na Małe Równie, a ja drugi. Tam jest droga prowadząca na Równie od drugiej strony, a wcześniej przy drodze stoi dom, o którym wspomniałem. Nie pamiętam, jak ma na nazwisko mieszkająca w nim kobieta, zawsze mówiliśmy o niej Mama z Białki, bo tak nazywają to miejsce.

Rajner poczuł nowy przyływ nadziei i podświadomie przyspieszył kroku, zaraz jednak zwolnił, zmitygowany uwagą podwładnego o czekającej ich dość długiej trasie i co za tym idzie, konieczności równomiernego rozłożenia sił. Czyż miał rację, bo chociaż droga została odśnieżona, szło się ciężko, zwłaszcza w nasłonecznionych miejscach, gdzie śnieg był miękki, przez co buty zapadały się przy niemal każdym kroku. Nim dotarli na miejsce, był już porządnie zmęczony, tym bardziej więc docenił nauki sierżanta.

Ku jego rozczarowaniu Mama z Białki nie udzieliła Apolonii schronienia, nie widziała też przechodzącej dziewczyny. To akurat policjantów nie zdziwiło, nieraz mieli okazję się przekonać, że światło latarki znika w chmurze wirujących śniegowych płatków i trzeba bardzo się wysilić, żeby z odległości większej niż dwa metry dojrzeć jego blask.

– Kole Barańskiego Mostu mieszko teraz taki młody. Mogła uwidzieć światło... – zasugerowała kobieta, gdy mieli już wychodzić.

Podkomisarz poczuł, że zamiera mu serce. Nie zważając na jej dalsze słowa, pędem rzucił się w stronę drzwi, a sierżant, zaskoczony zachowaniem zawsze opanowanego komendanta, czym prędzej ruszył za nim.

– Dziękujemy bardzo – powiedział tylko i wypadł na zewnątrz.

Dogonił Milewskiego przy drodze. Rajner stał bez ruchu i tylko to zaciskał dłonie w pięści, to znów je rozwierał, a na jego twarzy

malowały się wściekłość i rozpacz. Na widok podwładnego ruszył naprzód.

– Jeżeli jej coś zrobił... – Urwał, potem zimnym, zdecydowanym tonem podjął: – Kiedy tam dojdziemy, zostaw mnie z nim sam na sam, a najlepiej zawróć. Nie powstrzymasz mnie, a lepiej dla ciebie, żebyś tego nie widział.

Czyż spojrział na niego z przerażeniem.

– Panie komisarzu, o czym pan mówi? Jej musiało chodzić o Ditmara Fajlhauera, którego chce przesłuchać ten aspirant Piontek z Żywca. Czemu ten chłopak miałby coś zrobić Apolonii? Nic z tego nie rozumiem.

– Ten chłopak jest na warunkowym, odsiadywał wyrok za zgwałcenie. Teraz kumasz? Jeżeli tknął Lońkę choćby palcem, już nigdy nie wyjdzie z tego lasu.

Sierżant nie spytał o nic więcej, wszystko, co najważniejsze, zostało już powiedziane. Doszli właśnie do miejsca, gdzie zaczynała się droga prowadząca pod Wyśni, wskazał więc właściwy kierunek, a gdy minęli most i w miarę odsnieżona trasa zwężała się do wydeptanej butami ścieżki, wysforował się naprzód, biorąc na siebie rolę przewodnika.

Maszerowali już długo, gdy nagle przystanął i obejrzał się na podkomisarza z dosyć niepewną miną.

– Według mnie tu powinniśmy skręcić między drzewa. Tak szedłem ostatnio, ale teraz nie mam pewności. Byłem tu tylko raz, w dodatku z piętnaście lat temu. Mogłem coś pomylić – usprawiedliwiał się, choć Rajner nie robił mu żadnych wyrzutów.

– Jeśli nie tutaj, to gdzie?

Zanim Czyż zdążył odpowiedzieć, dobiegło ich czyjeś wołanie:

– Halo?! Proszę zaczekać!

Głos dochodził z góry, gdzieś spomiędzy drzew rosnących po ich prawej stronie, skierowali więc tam wzrok, nie dojrzelik jednak nikogo. Po kilku minutach bezowocnego czekania sierżant wzruszył ramionami.

– Chyba se ktoś jaja robi. Idziemy?

– Czekaj, musimy to sprawdzić – zaoponował Milewski. – Może coś się stało i jest potrzebna pomoc?

– E tam – mruknął nieprzekonany sierżant. – Wtedy by wzywał ratunku.

Rajner w duchu przyznał mu słuszność, ale poczucie obowiązku kazało mu się upewnić. Nabrał powietrza w płuca i zawołał donośnie:

– Tu podkomisarz Milewski z komisariatu policji w Wiśle. Gdzie jesteś? Potrzebujesz pomocy? Odezwij się!

Góry powtarzały jeszcze echem jego słowa, gdy obcy odpowiedział. Jego głos znacznie się przybliżył; choć nadal brzmiał trochę niewyraźnie, zagłuszany szumem gęsto rosnących świerków, mogli już w nim rozpoznać nutę radości.

– Pan komendant! A ja właśnie chciałem do pana jechać.

Powiedli wzrokiem w kierunku źródła dźwięku i zobaczyli pomiędzy drzewami jakąś postać ciągnącą za sobą niezidentyfikowany przedmiot. Nagle człowiek przystanął. Opadł na ów przedmiot i następne, co ujrzeli, to przesuwany się z zawrotną prędkością biały tuman. W pierwszej chwili Rajner uznał go za lawinę i już miał krzyknąć do Czyża, że powinni się stąd ewakuować, zanim żywioł ich pochłonie, gdy zauważył, iż śnieżny obłok meandruje między drzewami. Jak świat światem nie słyszał, by lawina kierowała się rozsądkiem, unikając zderzenia, wobec czego nie powiedział nic.

Jeszcze chwila i z tumanu wyłonił się tobogan z leżącym na nim człowiekiem. Ze trzy metry przed nimi pojazd gwałtownie skręcił i zarył przodem w zaspie, z impetem wyrzucając pasażera w śnieg. Pełni obaw ruszyli w jego kierunku, lecz przypominający bałwana człowiek zaraz wstał, stał z oczu warstwę białego puchu i zawołał:

– Panie komisarzu, jak dobrze, że pana widzę!

Niecierpliwym ruchem strzepnął z policzków resztę śniegu i dopiero wtedy Rajner go rozpoznał. Mimo to wołał się upewnić.

– Ditmar? – spytał, podchodząc bliżej.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, przed nim stał Fajlhauer, uśmiechając się radośnie, a na ten widok z policjanta uszła nagle cała energia. Gdyby Apolonia spędziła te dni w domu chłopaka, Ditmar nie miałby powodów witać Milewskiego tak entuzjastycznie. Musiał wiedzieć, że znajdzie się na cenzurowanym.

– Co się stało? – spytał podkomisarz, przyjmując obojętny ton. – Masz się zgłosić dopiero za dwa dni.

Przez kilkadziesiąt sekund Fajlhauer milczał, sprawiał przy tym wrażenie kompletnie ogłupiałego. Potem klepnął się w czoło.

– Z tego wszystkiego na śmierć zapomniałem, że mam się u pana odmeldować. Ja nie o tym. W piątek znalazłem w lesie dziewczynę i ona...

Nie dokończył. Rajner doskoczył jednym susem i złapał go za poły kurtki wysoko na piersiach.

– Co z nią zrobiłeś, skurwysynu?!

– Ja... Ja...

Uchwyt przybrał na sile i chłopak nie mógł wydobyć ze ściśniętego gardła innej odpowiedzi niż to chrapliwe dukanie, zajęty walką o bodaj haust powietrza.

– Panie komendancie! – Dostrzegłszy niebezpieczeństwo, Czyż usiłował oderwać dłonie Milewskiego od kurtki Fajlhauera. Bezskutecznie. – Kurwa mać, udusi go pan! Rajner, opamiętaj się – ryknął wściekle.

W akcie desperacji władował podkomisarzowi pięść pod żebro i dopiero to poskutkowało. Milewski wypuścił kurtkę i odepchnął Ditmara, który który łapczywie łykał powietrze. Jego twarz wolno traciła bordową barwę.

– Przepraszam, że pana uderzyłem – bąknął Czyż. – Ale się bałem, że jeszcze chwila, a go pan udusi.

– Jeżeli jej dotknął, pożałuje, że go nie udusiłem – odparował Rajner, łypiąc gniewnie w stronę chłopaka.

Fajlhauer doszedł już do siebie i teraz popatrzył na podkomisarza z równym gniewem, a jego głos wibrował furją.

– Oczywiście, że jej dotknąłem, i to nie raz. Gdybym wiedział, że to zabronione, kazałbym jej się czołgać do domu, a potem samej zrobić sobie opatrunek. Trzeba było ją zostawić w tym pierdolonym lesie, wtedy żaden pojebaniec by się nie czepiał.

Na obelgę zareagował nie Milewski, lecz Czyż.

– Nie będzie byle kryminalista obrażać komendanta!

Zacisnął dłonie w pięści i zrobił krok ku stojącemu nieruchomo chłopakowi, gdy powstrzymał go rozkaz przełożonego.

– Zostaw go, Andrzej.

Sierżant cofnął się niechętnie, nadal jednak nie spuszczał wzroku z człowieka, którego niedawno bronił. Wyglądało na to, że teraz żałuje. Rajner także sprawiał wrażenie kogoś, kto nagle zmienił zdanie, tylko w jego przypadku zmiana przyjęła kierunek przeciwny. Gdy ponownie zwrócił się do Ditmara, w oczach błyszczały mu iskierki wesołości.

– Nigdy nie słyszałeś, że prawdziwie dobry uczynek nie czeka pochwały?

– Śmierci też chyba nie czeka! – burknął chłopak, ale głos znacznie mu złagodniał.

– Z tym bym się nie zgodził, w końcu skądś się wzięli ci wszyscy męczennicy – odparował Milewski. – Przepraszam za tamto. Martwiliśmy się o Apolonię... Wspomniałeś o opatunku. Co jej się stało? Coś poważnego?

– Skręciła nogę, dlatego jest uziemiona w domu. Próbowałem ją zwieźć, ale ten pojazd jest kompletnie niesterowny.

Rajner wspomniał spektakularne zakończenie zjazdu i wybuchnął śmiechem.

27 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Zmiana pogody nadeszła niespodziewanie. Gdy Ochabczyk przebudził się w środku nocy, odkrył, że wściekłe wycie wichru i gwałtowne bębnienie deszczu o blaszany dach wcale nie było majakiem sennym. To działało się naprawdę.

– I bardzo dobrze – mruknął, stojąc nad muszlą klozetową. – Wreszcie nie trzeba będzie odśnieżać auta. Na chuj komu śnieg w mieście?

Ponownie obudził się dopiero na dźwięk budzika. Gotując wodę na poranną kawę, podszedł do okna, by sprawdzić, czy jego nadzieje się spełniły i śnieg całkowicie zniknął, a na okrągłe jak księżyc w pełni oblicze wypłynął uśmiech zadowolenia.

Prokurator miał przed sobą widok na znajdujący się na tyłach domu ogród i mógł się przekonać, że jedynie w tych miejscach, gdzie drzewa rzucały głęboki cień, pozostały brudnobiałe połacie. I jeszcze ten cholerny bałwan, który nie wiadomo skąd się wziął. Prawdopodobnie ulepił go Teodor i wyłącznie dlatego Ochabczyk jeszcze nie rozwalił owej dekoracji, choć śnieg już dawno na niej zszarzał.

Na wspomnienie kochanka znowu poczuł rozpacz i ból. Nie mógł uwierzyć, że chłopak porzucił go bez słowa, kradnąc na odchodnym cenne przedmioty. Przeczucie mówiło mu, że stało się coś złego, i nie mógł darować Jagielskiemu i Swiftowi zlekceważenia sytuacji. W dodatku prokurator Jacek Woźniak stanął po ich stronie zamiast poprzeć kolegę po fachu. Bo obowiązujące procedury, bo przepisy... Kiedyś takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia, paragrafy nie stanowiłyby żadnej przeszkody.

– Zachciało się debilom zmiany ustroju! – warczał, zalewając kawę wrzątkiem. – Co im przeszkadzało tamten?

Zabrał szklanekę, usiadł przy stole, upił solidny łyk i znów spojrzał na bałwana. Naraz drgnął. Słońce na moment przebiło się przez ciężkie deszczowe chmury, a w jego promieniach bok bałwana nie był już jednolicie szary. Ochabczyk zobaczył u podstawy wyraźnie brązową plamę. W pierwszej chwili wziął ją za ziemię zmieszaną ze śniegiem, w następnej jednak kolejny promień wydobył z niej czerwony poblask.

Prokurator przez jakiś czas wpatrywał się w nią tępo, nim dotarła do niego straszliwa prawda. Z cichym okrzykiem poderwał się z miejsca i tak jak stał, wybiegł na zewnątrz. Długo stał przed bałwanem, wpatrując się w ubitą bryłę, i dopiero gdy słońce znów zasnuły chmury, a na twarzy poczuł zimną wilgoć, wróciła mu zdolność reakcji. Zawrócił do domu i już sięgał po telefon, gdy bębnienie po dachu uświadomiło mu, że rozmowa będzie musiała poczekać. Najpierw musiał zabezpieczyć bałwana.

– Musicie do mnie przyjechać – oznajmił bez wstępów, gdy wreszcie ujął w dłonie słuchawkę i wykręcił numer. – Znalazłem Teodora.

Wy tłumaczenie komisarzowi Jagielskiemu, że nie jest pijany, nie histeryzuje i nie stroi sobie żartów, zajęło mu dość dużo czasu. Gdy

w końcu się rozłączył, poczuł, że trzęsie się z zimna, i dopiero wtedy odkrył, że stoi w mokrej od deszczu piżamie, podkurczając palce stóp w przemoczonych na wylot papciach. Dotąd nie zauważył nawet, że pobiegł do ogrodu bez wierzchniego okrycia i nie zmieniwszy obuwia.

Dwadzieścia minut później, ogolony i w suchym ubraniu, otworzył drzwi Jagielskiemu, który przybył w towarzystwie policyjnego technika.

Marek Handzlik nie wyglądał na uszczęśliwionego wezwaniem. Prawdopodobnie spodziewał się reprimendy, dlatego Ochabczyk postanowił bezzwłocznie wyjaśnić sprawę. Zazwyczaj nie przejmował się nastrojami policjantów i chętnie wyładowywał na nich frustrację, ale tym razem nie mógł sobie na to pozwolić. Tu nie występował jako prokurator, tylko strona, i byłoby głupotą robić sobie z nich wrogów.

– Wcale się nie dziwię, że nie zauważyliście tego w trakcie oględzin. Ja też niczego podejrzanego nie widziałem. Napadało tyle śniegu, że zakrył wszystkie ślady, a ten pieprzony bałwan wyglądał całkiem zwyczajnie.

Wzrok technika złagodniał.

– W takim razie chodźmy do niego, bo w tym deszczu gotów za chwilę się rozpuścić, a chciałbym zrobić zdjęcia, zanim go rozwalimy.

Tym razem Ochabczyk nie zapomniał o zimowych butach i grubej puchowej kurtce, w której bardzo przypominał obiekt, do którego zmierzali. Jagielskiego owa myśl rozbawiła tak bardzo, że nie zdołał się opanować. Parsknął śmiechem, na co prokurator zareagował poirytowanym sapnięciem.

– Tak panu wesoło? Bo mnie jakoś wcale!

Jerzy gorączkowo szukał wymówki mogącej choć trochę załagodzić sytuację. Przypomniał sobie Ingę i jej zamiłowanie do przeinaczania popularnych powiedzonek i postanowił użyć tego jako wytłumaczenia.

– Przepraszam. To przez przyjaciółkę mojej żony. Kiedy jest taka ulewa, Inga mówi, że leje jak wół do karety.

Ochabczyk parsknął śmiechem i kryzys został zażegnany. Ruszyli w stronę bałwana. Naraz technik przystanął.

– Jurek, nie powinniśmy poczekać na prokuratora?

Komisarz się zatrzymał.

– Dzwoniłem do Woźniaka – odparł z ociąganiem, starannie unikając wzroku Ochabczyka. – Powiedział, że mamy zacząć bez niego, bo nie ma

teraz czasu i przyjedzie, kiedy będziemy mieć coś konkretnego.

Stanęli obok śnieżnego stwora. Handzlik jednym ruchem zerwał zabezpieczającą płachtę i teraz, gdy mogli przyjrzeć się uważnie, od razu zrozumieli, co zaniepokoiło gospodarza. Technik wyjął aparat fotograficzny.

– Ustawisz numerki? – zwrócił się z prośbą do komisarza. – Będzie szybciej. Boję się, że zaraz całkiem się rozpuści.

Istotnie zachodziła taka obawa, bałwan bowiem znacznie zmałał i nie przypominał już wielkością wysokiego mężczyzny, teraz sylwetką kojarzył się bardziej z kobietą. Jagielski wątpił, by pomysł Ochabczyka, że w środku znajduje się jego kochanek, miał rację bytu, mimo to nie zamierzał mu tego mówić. Prokurator był uparty, przekonany o swojej nieomyślności, bywał też mściwy, i policjant nie zamierzał ryzykować.

Jerzy spełnił prośbę kolegi, potem stanął z boku, pozwalając mu pracować w spokoju. Po zakończeniu sesji fotograficznej Marek pobrał jeszcze próbki śniegu i mogli przystąpić do rozwalania bałwana. Wbrew przewidywaniom nie poszło im łatwo. Zlodowaciałe bryły niechętnie poddawały się naporowi łomów, sprawie nie pomagały też histeryczne krzyki prokuratora przy niemal każdym mocniejszym pchnięciu.

– Ostrożnie! Trzeba delikatnie, żeby nie uszkodzić ciała.

– Jakbym sam nie wiedział – warknął poirytowany Handzlik, jednak na wszelki wypadek ściszył głos.

– Jakiego ciała? – zdziwił się szeptem Jagielski. – Ślepy jest czy jak? Nie widzi, że ten bałwan jest za mały?

Marek skinął głową. Mimo to nie przerywali pracy i wkrótce śnieżna głowa odpadła od korpusu. Potoczyła się w stronę płotu, a Ochabczyk ryknął jak ranny łoś. Ruszył w ich stronę, lecz zanim zdążył powstrzymać Jerzego, ten wziął zamach i z całej siły dźgnął łomem miejsce, gdzie przed chwilą tkwiła leżąca na śniegu część bałwana. Bryła rozpadła się na trzy części i mogli teraz zobaczyć to, co stało się jasne w chwili dekapitacji. Ciała w niej nie było, bałwan składał się wyłącznie ze śniegu.

Handzlik bez komentarza zaczął pakować swoje rzeczy. Wziął do ręki pojemnik z pobraną próbką i spojrzał pytająco na komisarza, ten jednak jakby tego nie zauważył, wpatrzony w trzecią śniegową bryłę,

tkwiącą nadal na swoim miejscu. Znów wziął do ręki łom i dźgnął kilka razy w miejscu, gdzie występowało przebarwienie, a gdy nie przyniosło to żadnego rezultatu, tak jak poprzednio uderzył od góry. Po trzecim uderzeniu kula wreszcie pękła, rozpadając się na kilka fragmentów.

– Po co ci to? – spytał technik, nie mogąc opanować ciekawości.

Jerzy oderwał wzrok od częściowo przebarwionych na czerwonobrazowy kolor kawałków i przeniósł go na kolegę.

– Zastanawiam się nad tym samym. Po jaką cholereę ktoś zadał sobie trud ulepienia bałwana w cudzym ogrodzie, w dodatku z zakrwawionego śniegu? Co innego, gdyby w środku rzeczywiście było ciało. Ale tak?

– Nie chciał, żeby ktoś zobaczył krew? – zaryzykował Ochabczyk, lecz Jagielski pokręcił głową.

– W takim razie powinien był ją zmyć z podłogi i obudowy kominka, bo raczej trudno byłoby jej nie zauważyć.

Technik przerwał ich rozważania zniecierpliwionym potrząśnięciem pojemnikiem i nie mogąc się doczekać żadnej reakcji, zapytał:

– Trzymać to czy wywalić?

Komisarz powiódł wzrokiem po ogrodzie, niemal całkiem pobawionym śniegu. Tylko gdzieniegdzie pozostały jeszcze białe miejsca, choć kilka dni temu cała posesja pokryta była grubą warstwą puchu. Coś nie dawało mu spokoju.

– Zaczekaj chwilę. Jak topnieje śnieg?

Marek zrobił gest, jakby miał zamiar popukać się w głowę.

– Chyba nawet dziecko wie, że pod wpływem ciepła – zaczął cierpkim tonem. Jagielski nie pozwolił mu się rozwodzić.

– Miałem na myśli, które warstwy topią się najszybciej.

Handzlik wzruszył ramionami.

– Posypane solą czy innym przyspieszaczem. Deszcz i wiatr też mają wpływ na szybkość topnienia, no i przede wszystkim słońce.

– W takim razie w tym ogrodzie nie powinno już być nawet śladu po śniegu, nie licząc miejsc przed żywopłotem, bo tam pada cień.

Wskazał palcem na wprost, gdzie rzeczywiście wysokie, gęsto posadzone rośliny tworzyły zwartą ścianę, nieprzepuszczającą promieni słonecznych. Wzdłuż nich widniał mniej więcej metrowej szerokości pas

brudnobiałego śniegu. Technik spojrział w tamtą stronę i skinął głową, a wtedy Jerzy zwrócił się w lewo i machnął ręką w kierunku płotu. Tutaj cień się nie tworzył, a jednak na zbrązowiałej trawie widniało kontrastujące z nią pasmo wyglądające jak ścieżka. Zaczynała się przy bałwanie i dochodziła aż do ogrodzenia.

– Na szybkość topnienia mają też wpływ warunki atmosferyczne – oświadczył Handzlik. – Wiatr, deszcz...

– Pierdolenie o Szopenie – przerwał mu poirytowany komisarz. – Jakoś wybiórczo musiałyby ten deszcz padać.

– Nie mam pojęcia, czemu tutaj nie stopniał. Lepiej ci teraz? – rzucił Marek ze złością, po czym dodał już spokojnie: – Zależy jeszcze, jak mocno śnieg jest ubity, ale to dotyczy bardziej chodnika czy trasy narciarskiej. W tym przypadku nie wchodzi w grę, bo nie sądzę, żeby ktoś spacerował od bałwana do płotu i z powrotem.

– A ja myślę, że właśnie tak zrobił.

Nie czekając na odpowiedź, Jerzy ruszył wzdłuż białego szlaku, popatrując bacznie, czy nie zobaczy śladu butów, jednak deszcz rozpuścił wierzchnią warstwę zbyt mocno. Minąwszy głowę bałwana, Jagielski wyprostował się i patrzył teraz przed siebie, usiłując przebić wzrokiem rosnące wzdłuż płotu niskie krzewy. Niczego jednak między nimi nie zobaczył, choć jeszcze przed chwilą był pewien, że spoczywają tam zwłoki zaginionego Teodora Kozińca.

Wrzucenie zwłok w krzaki tłumaczyłoby nie tylko wydeptaną ścieżkę, ale także krew w bałwanie. Wnioskując z jej ilości na podłodze, Koziniec musiał odnieść poważne obrażenia, nic zatem dziwnego, że przy przenoszeniu zwłok śnieg się pobrudził. Chcąc zyskać na czasie, zabójca go zebrał, lecz nie miał co z nim zrobić, ulepił więc bałwana, nie mógł bowiem przewidzieć nadejścia śnieżycy, która zakryła wszystkie ślady.

Wymyślony przez Jerzego przebieg wydarzeń nosił wszelkie cechy prawdopodobieństwa, przeczyło mu tylko jedno. Brak zwłok.

Komisarz doszedł już prawie do końca ogrodu, gdy odkrył biegnący wzdłuż płotu rów. To z niego wyrastały krzewy, posadzone równie gęsto co żywopłot. Po trzech krokach znalazł się tuż przed nimi i stanąwszy na palcach, spojrział poza nie. Nie zobaczył nic prócz zbitej bezlistnej

ziemi i podłużnej jasnej plamy śniegu, prześwitującej pomiędzy gałązkami ligustru. Skręcił w prawo, stanął na ubitym szlaku i popatrzył jeszcze raz. Tu krzaki rosły rzadziej, nie utrudniając tak bardzo widzenia, dzięki czemu mógł się przekonać, że to, co wcześniej wziął za resztkę śniegu, było nagą ludzką łydką.

Rozdział 15

Nigdy tego nie robiłam

27 stycznia 1993, Wisła

Po dość długich dyskusjach zdecydowali się zwieźć Apolonię na naziemnym pershingu natychmiast, bez powiadomienia Ingi i Norberta. Tak było szybciej, podejrzewali też, że nieprzywykli do wędrówek w kopnym śniegu Swiftowie tylko by ich spowalniali.

Wbrew pesymistycznym prognozom Czyża wejście pod górę nie zabrało im zbyt dużo czasu. Okazało się, że sierżant pomylił się w obrachunku o blisko dziesięć metrów i za każdym razem skręcał w las zbyt wcześnie, Ditmar natomiast zaprowadził ich do miejsca, gdzie pod świeżym śniegiem biegła ubita ścieżka.

– Fajne miejsce – ocenił Rajner, gdy znaleźli się tuż pod domem. – Tylko cholernie niedostępne. Mebli tu nie przywieziesz, chyba że będziesz je taszczyć na plecach.

Fajlhauer uśmiechnął się i wskazał prześwit między drzewami.

– Nie jest tak źle. Tam jest droga. Nie żadne cudo, ale uazem albo traktorem spokojnie przejedzie. Teraz nie, bo nieodśnieżona – dorzucił szybko, ujrawszy zdziwienie na twarzy Milewskiego. – Na przełaj przez las jest bliżej, a na razie niczego nie zamierzam przewozić. Zakupy noszę w plecaku.

Weszli do domu. Rajner mocno przytulił cudem odzyskaną Apolonię i przyrzekł sobie w duchu udzielić jej wybawicielowi wszelkiego możliwego wsparcia. Ten chłopak naprawdę na to zasługiwał.

Ditmar zaproponował kawę przed drogą. Popijając aromatyczny, gorący płyn, podkomisarz dyskretnie rozglądał się wkoło. Zauważył, że dom w niczym nie przypomina widywanych często mieszkań samotnych mężczyzn, gdzie na ogół panował nieład, a nierzadko także brud i nieprzyjemny zapach nigdy niewietrzonych pomieszczeń. Tutaj nie widział sterty nieumytych naczyń, zwalonej bezładnie na kupę odzieży, lepiącej się do butów podłogi i okien, przez które mało co można zobaczyć. Było ubogo, lecz schludnie.

– Ładnie tutaj.

Oszczędna pochwała na pierwszy rzut oka nie zrobiła na gospodarzu żadnego wrażenia. Skinął tylko głową i wstał, by podać Łońce zdjęte ze sznurka dzinsy, ale gdy się odwracał, Rajner zobaczył na jego twarzy uśmiech zadowolenia.

– Nie lubię bałaganu – stwierdził krótko.

Wkrótce potem wyruszyli w drogę powrotną. Nie było tak źle, głównie dzięki wynalazkowi sierżanta, który umocował z tyłu toboganu pionowy drąg mający pełnić funkcję hamulca i osobiście obsługiwał urządzenie służące także do popychania. Z przodu szedł Rajner i ciągnąc za sznur, nadawał saniom odpowiedni kierunek, w szpicy zaś maszerował Ditmar. Jako jedyny wiedział dokładnie, którądy biegnie ścieżka, toteż wybór przewodnika był oczywisty.

Po pokonaniu stromego odcinka podróż nabrała tempa. Szli szybko. Na zmianę ciągnęli tobogan, od czasu do czasu wymieniając jakieś uwagi, głównie jednak milczeli. W którymś momencie, gdy znaleźli się blisko siebie, Czyż pochylił się w stronę komendanta.

– Panie komisarzu...

– Znowu zaczynasz? Mówiłem ci, że masz się zwracać do mnie po imieniu. – Wbrew groźnemu tonowi Rajner się uśmiechnął. – Co się stało?

– Zapomniałem – bąknął sierżant. Przystanął i kopnął grudę śniegu. – Nic się nie stało, tak się tylko zastanawiam... Myślałem, że to będzie radosny powrót, a wychodzi na to, że bardziej przypominamy orszak pogrzebowy.

Milewski pociągnął go za rękaw, zmuszając do kontynuowania marszu. Po chwili powiedział cicho, by młodzi ludzie nie usłyszeli:

– Przed wyjściem poinformowałem Fajlhauera o śmierci matki – zaczął, lecz podwładny zaraz mu przerwał:

– Ale... Podobno ten aspirant z Żywca kazał mu nic nie mówić. Tak twierdził Szalbót. Nie pamiętasz?

– Kto by spamiętał to wszystko, o czym Szalbót pierdoli. – Rajner puścił do sierżanta oko. – Poza tym aspirant Piontek może rozkazywać u siebie, nas może co najwyżej poprosić, a ja żadnej prośby nie słyszałem.

Czyż nie skomentował tej wypowiedzi, ale widać było, że w pełni popiera decyzję przełożonego. Przez kilkanaście minut szli w milczeniu, pograżeni w myślach. Zbliżali się już do mostu w Sklypkach, gdy znowu się odezwał:

– Nie wydaje mi się, żeby miał coś wspólnego ze śmiercią matki. Na gwałciciela też mi nie wygląda. Jakies mętne to wszystko.

– Też tak uważam – odpowiedział Milewski, rozszyfrowawszy bez trudu, o kim mowa. – Dlatego mam zamiar najpierw sam go przesłuchać. Jestem mu to winien.

Przy ostatnich słowach zerknął na Apolonię. Sierżant również spojrzał w tamtym kierunku. Dziewczyna siedziała milcząca, zadumana i smutna.

– Ona też nie tryska radością.

Rajner jeszcze raz popatrzył na Lońkę i potrząsnął głową.

– Tego akurat nie rozumiem, ale mam nadzieję, że już niedługo się dowiemy, o co chodzi. Powiedziała, że ma poważny problem i że opowie o nim w domu, bo przede wszystkim rodzice powinni to usłyszeć.

– Może jednak on jej coś zrobił?

Sierżant wskazał ciągnącego tobogan Ditmara, a Milewski przyznał, że w pierwszej chwili także o tym pomyślał.

– Zapytałem Lońkę wprost. Nie tylko zaprzeczyła, ale wręcz mnie wyśmiała i widziałem, że ma ochotę nazwać mnie kretynem.

Parsknął śmiechem i wysforował się naprzód, by zmienić Fajlhauera przy saniach. Resztę drogi przebyli w milczeniu. Owca

27 stycznia 1993, Wisła

Uściskom, pocałunkom i okrzykom radości nie było końca. Zdawać się mogło, że w domu Milewskich już nigdy nie zapanuje spokój; zaprowadził go dopiero Rajner, ryknąwszy w desperacji na całe gardło:

– Cisza, bo was wszystkich powystrzelam!

Wszyscy zamilkli, zamierając w bezruchu, bynajmniej nie ze strachu przed spełnieniem groźby, lecz ze zdziwienia.

– A tobie co? Gorzej? – spytała Inga.

Wypuściła z objęć Ditmara, mocno zażenowanego okazywaną tak spontanicznie wdzięcznością, i popatrzyła z ciekawością na sprawcę unicestwienia rejwachu. Inni także zerkali w jego kierunku, jednak Rajner nie zmieszał się ani trochę pod ostrzałem spojrzeń. Usiadł wygodnie na wersalce i oznajmił:

– Sierżant Czyż, Ditmar i ja musimy pojechać na komisariat. W całkiem innej sprawie – wyjaśnił zaraz, chcąc uspokoić Swiftów. – To nie ma nic wspólnego z Lońką, chodzi o zabójstwo matki Ditmara. Ale Apolonia ma nam wszystkim coś do powiedzenia, nalegała też, żeby jej wybawca także był przy tym obecny, więc musi to zrobić teraz. Cieszyć będziecie się potem.

– Bardzo wątpię – mruknęła Apolonia.

Wsunęła się między niego a Ditmara, jakby chciała szukać w nich obrony. Zaczekała, aż wszyscy usiądą, i dopiero wtedy zaczęła swoją opowieść. Co jakiś czas w pokoju rozlegały się okrzyki zdumienia bądź zgrozy, lecz nie pozwoliła sobie przerwać do chwili, gdy doszła do desperackiego wtargnięcia na cudzą posesję. Zrelacjonowała rozmowę dwóch mężczyzn, wędrówkę przez żywopłot, pogróżki młodszego bandziora i wreszcie ucieczkę przez płot, a wówczas Norbert nie wytrzymał.

– Na litość boską, Lońka! Czemu nic nie powiedziałaś?

Napięte do granic możliwości nerwy nie wytrzymały i Apolonia wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

– Bo się o was bałam! – wyznała przez łzy. – On groził, że was zabije. Tata, tam było pełno krwi... Nie patrz tak na mnie! Nie zmyślam. Oni chyba chcieli ukryć ten zakrwawiony śnieg w bałwanie, bo było widać, że toczyli wielką kulę, a bałwan na dole był cały czerwony. A ten

chłopak pod płótnem na pewno nie żył, bo leżał na śniegu i w ogóle się nie ruszał.

– Jak wyglądał? – spytał szybko Norbert, nie zważając na zgorszone spojrzenia zgromadzonych.

– Nie wiem. Leżał twarzą do ziemi. Widziałam tylko kręcone blond włosy. Chyba miał ranę na głowie, by włosy były pozlepiane krwią. I miał na sobie tylko koszulkę – dorzuciła z wyraźnym zdziwieniem.

To akurat Norberta nie zaskoczyło, już dawno się domyślił, że fatalnym zbiegiem okoliczności Lońka trafiła na posesję prokuratora Ochabczyka. Tym samym martwy chłopak musiał być jego zaginionym kochankiem, a zatem to nic nadzwyczajnego, że nie włożył wierzchniego okrycia. Zapewne wywleczono go z domu.

– Zapamiętałaś może, jakie miał spodnie i buty?

Apolonia kilka razy zamrugnęła, by pozbyć się z rzęs wilgotnych kropel i popatrzyła na przybranego ojca z urazą.

– Przecież powiedziałam przed chwilą, że był ubrany tylko w koszulkę. Wiem, co mówię, widziałam gołe pośladki, nogi i stopy.

– W porządku – mruknął.

Wstał z krzesła i ten ruch wreszcie odblokował Inge. Poderwała się z miejsca i zastąpiła mu drogę, a jej zielone oczy pociemniały z gniewu.

– W porządku?! – wrzasnęła, ujmując się pod boki niczym rozsierdzona przekupka. – Przesłuchujesz własną córkę i to ma być w porządku?! Po co się o to dopytujesz? Przecież nie prowadzisz tej sprawy.

Norbert przez chwilę wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować. Potem wypuścił wolno powietrze z płuc i odpowiedział spokojnie:

– Masz rację, nie powinienem zajmować się tą sprawą. Ze względu na Lońkę muszę się z niej wyłączyć. Idę pogadać z Jurkiem.

Po blisko dziesięciu minutach, gdy Norbert wrócił do pokoju, zastał towarzystwo siedzące na tych samych miejscach i w niemal tych samych pozycjach. Powiódł wzrokiem po obecnych, zauważając przy tym w ich oczach błysk oczekiwania. Skinął lekko głową i usiadł. Miał nadzieję, że to wystarczy, ale Inga zaraz sprowadziła go na ziemię niecierpliwym pytaniem, zapominając, że wcześniej miała pretensje o podjęcie tematu zabójstwa:

– No?! Co Jurek powiedział? Mówże wreszcie!

Uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Już mówię, tylko daj najpierw zrobić łyka, bo mi w gardle zaschło.

Sięgnął po szklankę z herbatą i pił łąpczywie pod ostrzałem sześciu par oczu. Wcześniej miał zamiar przekazać najświeższe wieści tylko Milewskiemu, ewentualnie również Czyżowi, który jako policjant był zobligowany do zachowania milczenia. Teraz jednak, gdy zobaczył pełne determinacji miny córki, żony i przyjaciółki, zrozumiał, że nie uda mu się wykpić. Zasłanianie się tajemnicą służbową nie wyszłoby mu na dobre, przedstawicielki płci pięknej wyglądały na gotowe skoczyć mu do gardła. Jeden Fajlhauer spoglądał obojętnie, pogrążony w myślach, ale wypraszenie tylko jego byłoby bezsensowne, wobec czego Swift odstawił szklankę i przemówił:

– W nocy w Bielsku-Białej była straszna ulewa, przez co prawie cały śnieg zniknął. Stopniała też zewnętrzna warstwa bałwana i odsłoniła krew, więc właściciel posesji zadzwonił do Jurka, który pojechał tam z technikiem. W rowie za ligustrem znaleźli ciało młodego mężczyzny, a Ochabczyk rozpoznał w nim zaginionego kochanka.

Zapadło ponure milczenie. Przerwała je Jolanta, spoglądając przy tym złośliwie w stronę męża.

– Z jednej strony jest zabójstwo matki Ditmara, z drugiej obcy trup w ogrodzie, w którym schroniła się Apolonia. Nadal masz zamiar zaprzeczać istnieniu pecha?

Rajner przezornie udał, że nie słyszy, zwrócił się natomiast do Fajlhauera, przypomniawszy sobie nagle ich pierwsze spotkanie.

– Mówiłeś, że matka ponownie wyszła za męża. On tam wtedy był, kiedy odwiedziłeś matkę? Chodzi mi o to, czy nadal są razem.

– Jasne, że był. Nawet dostał ode mnie wpierd... – Chłopak urwał, zerknął na Lońkę i szybko się poprawił: – Walnąłem go, bo wystartował do mnie z łapami. Wredny facet, typ domowego tyrana.

– Jak ma na nazwisko?

– Nie mam pojęcia, nawet imienia nie słyszałem, bo mama prawie się do niego nie odzywała, odpowiadała tylko na pytania. Syn też był jakiś taki przepłoszony, jedynie córka zachowywała się w miarę normalnie.

– Zapamiętałeś imiona dzieci? – dociekał Rajner.

Norbert popatrzył na niego ze zdziwieniem, nie mogąc pojąć, po co koledze te informacje. Chciał o to zapytać, lecz uprzedził go Ditmar.

– Nie wiem, jak ma na imię ten chłopak. A dziewczyna...? Jakoś dziwnie... Florentyna, Filomena? Nie pamiętam. Za to ich ciotka ma na imię Teresa. Też tam wtedy była i nawet u nich spała. Pewnie jakaś siostra albo kuzynka tego męża.

– Miałeś z nimi później jakiś kontakt?

Rajner popatrzył z nadzieją, lecz Ditmar zaprzeczył.

– To nie była przyjacielska wizyta, bo przyjechałem po pieniądze i po swoje rzeczy. Widziałem, że mama najchętniej kazałaby mi wyjść, zresztą później mi powiedziała, że wcale nie jest moją matką.

Ostatnie słowa wywołały wśród zebranych konsternację. Jola jako pierwsza zdołała wyartykułować pytanie:

– Jak to możliwe? Rozumiem, że ojciec może nie być ojcem, ale matka matką?

Ditmar uśmiechnął się smutno.

– Podobno moja prawdziwa mama zmarła przy porodzie, a ojciec ożenił się ponownie, kiedy miałem dwa lata, i zażyczył sobie, żeby druga żona mnie przysposobiła. W urzędzie zmieniono mi metrykę, dlatego dla mnie ślad po prawdziwej mamie zagał, bo w domu nikt nigdy o niej nie wspomniał. Przez to nie miałem o niczym pojęcia. – Zamyślił się na chwilę. – Teraz rozumiem, czemu zawsze była dla mnie taka oschła.

Po wysłuchaniu tych zwierzeń Rajner się zasępił. Brak więzów krwi stanowił dodatkową okoliczność obciążającą chłopaka. A gdy dodało się do tego kryminalną przeszłość, sytuacja Fajlhauera nie przedstawiała się zbyt różowo. Aspirant Piontek z pewnością będzie chciał wystąpić o odwieszenie wyroku i areszt, i Ditmar wróci do więzienia.

– Chodź ze mną do kuchni, musimy pogadać – zwrócił się do Norberta. Zignorował pytające spojrzenia kobiet i wyszedł pierwszy, a kolega podążył za nim.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, od razu przystąpił do rzeczy. Opowiedział o tym, że dla prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa Marii Sienickiej podejrzanym jest właśnie Fajlhauer. Na koniec streścił także to, co wiedział o Ditmarze.

Swift długo spoglądał na niego nieruchomym wzrokiem.

– Chłopak jest sympatyczny i daje się lubić. To fakt, podobnie jak uratowanie Lońki od zamrożenia. Ale reszta? Na litość boską, on siedział za zgwałcenie!

Bezwiednie podniósł głos, uświadomiwszy sobie, że Apolonia przebywała z kimś takim przez pięć dni i nocy, odcięta od świata, zdana na jego łaskę.

– Wiem o tym – odparł Rajner chłodno. – Wiem też, że to on nas odnalazł w tym pieprzonym lesie i zaprowadził do domu, a w jego stosunku do Lońki nie zauważyłem żadnego seksualnego podtekstu.

– Gębę też ma całą – mruknął Norbert, któremu udzielił się spokój kolegi, a wraz z nim wróciła zdolność logicznego myślenia. – Lońka nie jest delikatnym kwiatuszkiem, umie się bronić przed niechcianymi awansami. Gdyby chciał jej coś zrobić, wydrapałaby mu oczy albo przynajmniej próbowała.

Spojrzał pytająco na kolegę, a Milewski skinął głową, potwierdzając słuszność stwierdzenia, które umocnił koronnym argumentem:

– Rany po paznokciach szybko się nie goją. Musiałby mieć ślady na rękach i policzkach, a niczego takiego nie zauważyłem.

– Poza tym ona go lubi, a na pewno nie jest egzaltowaną idiotką i facet nie robi na niej wrażenia tylko dlatego, że jest przystojny. – Swift zamilkł na moment. – Jak chcesz mu pomóc? Bo chyba po to mnie tu przywlokłeś. A może mam zrobić kawę?

Zniecierpliwione machnięcie ręką powiedziało mu, że kawa nawet nie przeszła Milewskiemu przez myśl. Rajner wyglądał, jakby się wahał, czy powinien podać powód żądania rozmowy sam na sam. To było tak niepodobne do jego zwykłego zachowania, że Norbert nie mógł wprost uwierzyć w to, co widzi.

– Mnie wyszkolono do walki, nie do dochodzeń. – Rajner wreszcie przerwał milczenie. – Dlatego pewnie się mylę, ale muszę o tym powiedzieć, choćbyś miał mnie nazwać idiotą. Bo wiem, że coś tam jest nie tak, i to nie daje mi spokoju.

Wypowiedź wyjaśniła przynajmniej jedną zagadkę, a z tym problemem Norbert mógł się łatwo uporać.

– Idiotą mogę cię nazwać już teraz. Ty się nie znasz na dochodzeniach? Po Jurku Jagielskim jesteś najlepszym dochodzeniowcem, jakiego znam, a służba w Plutonie Specjalnym jeszcze ci w tym pomaga. I nie pierdol mi tu o braku wykształcenia! Ukończyłeś prawo, do cholery! To kto według ciebie ma lepsze kwalifikacje? Plastik? A może geograf albo historyk?

Ostatnimi słowami nawiązał do kierunków studiów ukończonych przez Jagielskiego i dwóch innych kolegów z wydziału dochodzeniowo-sledczego. Nie wspomniał o kilku z korpusu aspirantów, Milewski sam wiedział, że zakończyli edukację na szkole średniej.

Rajner nie zmienił wyrazu twarzy. Pozostała tak samo obojętna, ale zdradziły go oczy, w których rozgorzał blask radości.

– Dzięki – mruknął cicho i to było wszystko.

W odpowiedzi Norbert walnął go w kark, zrobił szybki zwód, by uniknąć rewanzu, i wrócił do poruszonego wcześniej tematu.

– Powiedziałeś, że coś jest tam nie tak. Co i gdzie?

– W tej żywieckiej sprawie. Prowadzi ją niejaki Przemysław Piontek i niezbyt mi się ten gość widzi. Zadzwoił do nas i przekazał, że Fajlhauer ma przyjechać i zidentyfikować zwłoki, bo jest jedynym krewnym denatki. A przecież Ditmar wyraźnie powiedział, że matka wyszła drugi raz za męża. Sam słyszałeś.

– Faktycznie trochę to dziwne – przyznał Swift. – Ściągać do identyfikacji chłopaka, który nie utrzymuje z matką praktycznie żadnego kontaktu, zamiast wezwać mieszkającego tam męża, to naprawdę daje do myślenia.

Rajner i Norbert wrócili do pokoju, gdzie czekały trzy przedstawicielki płci pięknej, mocno poirytowane niemożnością natychmiastowego zaspokojenia ciekawości, jeden równie zaciekawiony, lecz umiejący daleko lepiej panować nad sobą policjant, oraz ostatni z obecnych, będący głównym obiektem ich zainteresowania. Jako jedyny siedział z pochyloną głową, przez co nie mogli zobaczyć, jakie emocje nim miotają.

– Jurek będzie na pewno chciał przesłuchać Lońkę, ale go namówię, żeby zrobił to tutaj. Postaraj się dopilnować, żeby jej za bardzo nie

męczył – poprosił Jolę Norbert po złożeniu mocno okrojonego sprawozdania z kuchennej narady.

– Jagielski? – upewniła się. – Przecież to nasz kolega, a Apolonia nie zrobiła nic złego. Czemu miałby ją męczyć?

– Nie miałem nic złego na myśli – sumitował się, a gdy zauważył, że niewiele to pomogło w zrozumieniu jego wypowiedzi, wytłumaczył jaśniej: – Będzie chciał wydobyć z niej wszystkie szczegóły, a wtedy w kółko pyta o to samo.

– Na przykład o co? – zainteresowała się Apolonia.

– O różne rzeczy. Gdzie byłaś, kiedy rozmawiali, o czym mówili, jak wyglądali... Zwłaszcza to ostatnie jest ważne, dlatego nie wolno ci zmyślać. Lepiej powiedzieć, że nie pamiętasz, niż podać nieprawdziwy rysopis, bo...

– Czemu miałabym kłamać? – przerwała mu ze zdziwieniem. – Pamiętam ich tak, jakby to było dzisiaj. Szkoda, że nie umiem rysować – westchnęła z żalem.

Na wspomnienie mrukowatego mężczyzny o twarzy ponurej niczym płyta nagrobna Norbert westchnął również.

– Niestety nasz rysownik jest do dupy. Co z tego, że ma spore umiejętności, skoro nie umie rozmawiać z ludźmi. Po kilku minutach świadkowie są tak zestresowani, że zapominają nawet, jak wyglądają ich najbliżsi.

Zapadła cisza i tym głośniejszym zabrzmiał niespodziewany okrzyk Ingi:

– Petra!

Zrozumieli od razu.

Po dziewczynkę wysłano Ingę i Rajnera. Tak było najprościej, gdyż Rozalia Nowogrodzka już ich знаła. Przed wyjściem uzgodnili, że jedno z nich zagada kobietę, a w tym czasie drugie spróbuje niepostrzeżenie porozumieć się z jej córką. To właśnie Inga nalegała na całą tę konspirację, pomna danego przyrzeczenia.

Plan okazał się zbędny, gdy bowiem dojeżdżali do domu Nowogrodzkich, zobaczyli drobną figurkę na biegówkach, zmierzającą w stronę mostu niedaleko szkoły. Rajner depnął po hamulcu, a Inga opuściła szybę i zawołała:

– Cześć, Petra! Masz chwilę?

Na widok wychylającej się przez okno kobiety twarz dziewczynki pojaśniała w uśmiechu. Odepchnęła się kijkami i podjechała do samochodu.

– Dzień dobry. Właśnie przyszło mi do głowy, że pani córka mogła pomylić drogę. Było ciemno i jeszcze kurzyło śniegiem...

Urwała, wyraźnie zawstydzona, policzki pokryły się delikatnym rumieńcem.

Inga i Rajner wymienili spojrzenia. To dziecko było niesamowite. Nie tylko zostało obdarzone ogromnym talentem praktycznym, lecz także inteligencją, z której w dodatku umiało korzystać, czego nie można powiedzieć o wielu dorosłych.

– Apolonia już się odnalazła – powiedział Rajner. – Zmyliła w ciemnościach drogę, dokładnie tak, jak pomyślałaś.

– Poszła w przeciwnym kierunku – dorzuciła Inga. – Zawędrowała do miejsca, które się nazywa Brański Most, i tam skrzyła nogę, dlatego nie mogła wrócić.

Nadal przeżywała przygodę przybranej córki. Milewski poznał po jej minie, że ma ochotę opowiedzieć wszystko z najmniejszymi szczegółami, czym prędzej więc zmienił temat. Będzie musiała poczekać na dogodniejszą chwilę.

– Mam do ciebie sprawę – włączył się bezpardonowo do rozmowy. – Czy umiałabyś narysować twarz na podstawie podanego rysopisu?

Dziewczynka zmrużyła oczy okolone długimi czarnymi rzęsami.

– Chodzi o to, że ktoś mi opowie, jak drugi ktoś wygląda, i ja mam tego drugiego ktosia narysować? – upewniła się, a gdy Rajner potwierdził, odpowiedziała niepewnie: – Nie wiem, czy mi się uda, nigdy tego nie robiłam.

– Spróbuj – poprosił. – A nuż się okaże, że umiesz. Najwyżej nic z tego nie wyjdzie, a jak nie spróbujesz, to się nie dowiesz.

Zamiast odpowiedzieć, Petra zrobiła wymach lewą nogą tak, by móc oprzeć nartę na piersi. Jednym ruchem wypięła but z wiązania, po czym wbiła biegówkę w śnieg i powtórzyła to samo z drugą. Złączywszy narty spodami, stuknęła kilka razy jedną o drugą, by zrzucić z nich śnieg, i spięła je wydobytym z kieszeni paskiem. Zrobiła krok w stronę auta, przystanąła i popatrzyła z nietypową dla niej bezradnością.

– Kurde, niepotrzebnie je odpięłam. Chciałam pojechać z wami, ale pewnie się nie zmieszczą do samochodu.

Rajner zmierzył wzrokiem długość biegówek i wysiadł.

– Spokojnie, dzieciaku, wleżą, łaski nie robią. Wskakuj.

Pomógł jej włądować narty do samochodu i po kilku minutach zmierzali już w stronę zapory. Jego obawy, że może mieć z tego tytułu kłopoty, dziewczynka najpierw zbyła machnięciem ręki, później zaś odpowiedziała, że nie ma powodu do niepokoju. Wychodząc z domu, oznajmiła, że idzie do koleżanki się uczyć, więc matka nie będzie niczego podejrzewać, tym bardziej że poczynania córki niewiele ją obchodzą.

Rozdział 16

Oblicza przestępców

27 stycznia 1993, Wisła

Po przyjeździe Petra wraz z Apolonią usiadły w kuchni przy stole, żeby nikt im nie przeszkadzał. Z dziewczętami została tylko Jola pod pretekstem robienia kawy, a głównie po to, że zżerała ją ciekawość, jak takie tworzenie portretu wygląda. Po kilku chwilach zorientowała się, że Petra nie bardzo wie, od czego zacząć, i uprzytomniła sobie, że mają do czynienia z dziesięciolatką. Czym prędzej odstawiła szklankę i poszła do pokoju.

– Moim zdaniem to był błąd, że ją tu przywieźliście – oświadczyła od progu. – Ona się na tym nie zna i nie wie nawet, jak się do tych portretów zabrać. Straciecie tylko czas, a ją narazicie niepotrzebnie na kłopoty.

– Wolałbym nie być przy tym, jak Nowogrodzcy się dowiedzą – poparł ją Czyż. – To są wyjątkowo wredni ludzie. Im się wydaje, że wszystko wiedzą lepiej, a inni powinni ich słuchać. Mogą się poskarżyć.

Norbert wbił w niego spojrzenie najdoskonalszej niewinności.

– Na co?

– Że przesłuchiwalismy córkę bez ich zgody.

– To już dziewczyna nie może porozmawiać z koleżanką? – zdziwił się obłudnie Rajner. – Po co od razu takie wielkie słowa?

Czyż nie ustępował, zbyt przerażony wizją konfrontacji z przekonanym o swojej wyższości lekarzem i jego jeszcze bardziej zarozumiałą żoną, by uświadomić sobie, że może się narazić

komendantowi. Dyskutowali zawzięcie, nie zwracając uwagi na Inge, która postanowiła przekonać się naocznie, czy faktycznie popełniła błąd, licząc na pomoc Petry. Weszła cichutko do kuchni i stanęła przy piecu. Lońka opisywała właśnie jednego z mężczyzn, a Petra notowała jej spostrzeżenia na kartce. Druga, zapisana w dwóch trzecich, leżała obok.

– Na razie wystarczy – oświadczyła nagle.

Odłożyła zapisaną kartkę, sięgnęła po następną i zaczęła szkicować. Ze swego miejsca Inga nie mogła zobaczyć obrazu powstającego na czystym arkuszu, podeszła więc cicho do stołu i usiadła na wprost Apolonii, śledzącej z zainteresowaniem poczynania nowej koleżanki. Petra rysowała lewą ręką. Prawa co jakiś czas bezwiednie wyciągała się w stronę drugiego ołówka i już, już miała go uchwycić, gdy dziewczynka najwyraźniej przypominała sobie, że nie jest w pomieszczeniu sama, ponieważ z jej ust wydobywało się ciche, pełne żalu westchnienie, a ręka bezwładnie opadała na blat stołu.

– Możesz rysować obiema, Lońka nie rozgada.

Mówiąc te słowa, Inga wstała i zamknęła drzwi kuchni. Dyskrecja Apolonii nie podlegała dyskusji, podobnie rzecz się miała z Norbertem, Jolą i Rajnerem, nie miała natomiast pewności co do sierżanta Czyża czy tego młodego chłopaka, który uratował Lońkę. Ich nie знаła. Byli dla niej czystą kartą, dlatego wołała zachować ostrożność.

Po krótkim namyśle Petra ujęła ołówek również w prawą dłoń, lecz wbrew oczekiwaniom Ingi nie zaczęła nowego rysunku, tylko skupiła się na uzupełnianiu detali. Na kartce powstała twarz czterdziestoczteroletniego mężczyzny o wąskich oczach i głębokich bruzdach przy kącikach zaciśniętych warg.

– Zobacz – zwróciła się do Lońki. – Jest podobny?

Apolonia dość długo spoglądała na szkic portretu, wreszcie skrzywiła się lekko. Nie trzeba było wyjaśnień, by wiedzieć, że nie jest zadowolona.

– Niby tak, ale coś mi nie pasuje. Te bruzdy miał dłuższe.

Przytknęła dłoń do twarzy, znacząc palcem pionowe linie. Petra obserwowała ją z uwagą, potem pociągnęła ołówkiem kreskę tak, że bruzda zaczynała się tuż poniżej nosa i kończyła nad brodą. Ujrzawszy

pełne aprobaty skinienie, dziewczynka w ten sam sposób poprawiła zmarszczkę po drugiej stronie ust, po czym znowu zerknęła na Lońkę.

– Co jeszcze jest nie tak?

– Bo ja wiem? Oczy są dobre, brwi też – zastanawiała się głośno starsza z dziewcząt. Przymknęła powieki i trwała tak przez ponad minutę, nim ponownie się odezwała. A raczej wykrzyknęła, nieartykułowany wrzask trudno byłoby bowiem nazwać mową. Inga aż się wzdrygnęła, Petronela natomiast przyjęła go ze zrozumieniem.

– Już wiesz – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Wiem. U dołu miał węższą twarz, a jak był wściekły, to ściągał brwi, a wtedy robiła mu się między nimi taka zmarszczka, że wyglądał, jakby czoło podzieliło się na dwie części. Nie wiem, jak to narysujesz, bo to nie było na stałe.

W głosie Apolonii brzmiało zniechęcenie, nie wyglądało jednak na to, by Petra zbyt się tym przejęła. Ze stoickim spokojem poprawiła kontury twarzy, nadając jej bardziej trójkątny kształt, potem wzięła następną kartkę. Tym razem rysowała szybko, bez zastanowienia, odwzorowując dokładnie poprzedni rysunek. Potem zaznaczyła przecinającą czoło pionową bruzdę i kilkoma maźnięciami bokiem sztyftu wycieniowała w tym miejscu wgłębienie sprawiające, że czoło zaczęło przypominać dwie symetryczne wypukłości.

– Tak jest dobrze, czy powinno być mocniej? – spytała zwięźle.

Na widok portretów Apolonia rozjaśniła się w uśmiechu.

– Idealnie! Dokładnie tak wyglądał. Narysujesz jeszcze tego drugiego?

– Jasne. A potem zrobię ich w kolorze.

Z drugim portretem poszło szybciej. Petra nabrała wprawy w rysowaniu na podstawie opisu, poza tym, jak stwierdziła, ta twarz była łatwiejsza, bo bardziej charakterystyczna. Gdy Inga spojrzała na zimne oczy pod niemal całkiem poziomo zarysowanymi brwiami i na wydatny, znamionujący brutalność kwadratowy podbródek, uznała, że istotnie coś w tym jest. Ale Lońka nie wyglądała na zadowoloną.

– Jezusicku, ale ja głupia jestem. Normalnie kompletna idiotka – jęczała, spoglądając na Petronelę ze skruchą. – Nie powiedziałam ci o najważniejszym.

– To powiedz teraz – odparła trzeźwo Petra. – Przecież to nie jest *Dama z łasiczką*, tylko zwykły szkic ołówkiem. Poprawię albo narysuję nowy.

Nieco uspokojona Apolonia podała najbardziej charakterystyczną cechę wyglądu i już wkrótce Inga spoglądała na potwornie zniekształcony prawy policzek młodszego z mężczyzn. W pierwszej chwili pomyślała o nim ze współczuciem, gdy jednak przypomniała sobie relację córki, jej oczy stały się równie zimne jak jego spojrzenie. Ośmielił się grozić Lońce i za to nie zasługiwał nawet na odrobinę litości.

Petronela odłożyła na bok drugi portret i zabrała się do sporządzania rysunków w kolorze, co pewien czas zadawała przy tym Apolonii pytanie o barwę włosów, oczu lub ubrania. W którymś momencie Lońka pochwaliła się, że ma młodszą siostrę, i dość długo opowiadała o wyczynach Martyny. Petra słuchała z zafascynowaniem, lecz gdy padło pytanie, czy ma rodzeństwo, w jej pięknych oczach zagościł smutek.

– Mam starszego brata.

Powiedziała to zgaszonym głosem, po czym zamilkła, Lońka jednak nie zamierzała dać za wygraną.

– Starszego? Ale superancko!

– Nie bardzo. On jest przeciwieństwem prostej.

Apolonia zrobiła wielkie oczy.

– Jak to? Co to znaczy?

– Prosta to ciągnąca się w nieskończoność linia, prawda?

Lońka nie znosiła matematyki i nie miała na tym polu zbyt wielkich osiągnięć, odpowiedziała więc niezbyt pewnie:

– No... Chyba tak.

– Czyli jest nieograniczona, a mój brat wręcz przeciwnie – oświadczyła Petra. – Zachowuje się, jakby nie miał piętnastu lat, tylko z dziesięć razy więcej. Ciągłe mnie poucza, że dziewczynkom nie wypada czegoś robić, i mówi, że musi się za mnie wstydzić przed kolegami. I jeszcze się na mnie skarży przed rodzicami.

– Faktycznie głupek – zawyrokowała Apolonia z pogardą, potem obrzuciła nowo poznaną koleżankę uważnym spojrzeniem. – Nie

rozumiem, czemu miałby się ciebie wstydzić. Powinien być zadowolony, że ma taką ładną i inteligentną siostrę.

– Bo ci jego kumple to takie same buce jak on. Podobno ciągle go pytają, kiedy w końcu cycki mi urosną.

Petra popatrzyła bezradnie na swoją całkiem płaską klatkę piersiową, westchnęła cicho i sięgnęła po brązową kredkę. Na widok smutku w jej oczach Inga aż pobladła z wściekłości. Już miała się odezwać, gdy wyręczyła ją córka.

– Nienawidzę takich odzywek! – warknęła gniewnie. – Te pijusy, kumple babki od kieliszka, też ciągle pytali, czy już mi cycuszki urosły, a ja chciałam się pod ziemię zapaść. – Nagle poweselała. – Wiesz co, młoda? Na drugi raz powiedz bratu, że twoje koleżanki są ciekawe, czy mu wreszcie zaczął stawać.

Z wrażenia Inga niemal zapomniała oddychać. Słowa Apolonii nie były dla niej szokiem, wiedziała wszak, z czym dziewczyna musiała się borykać u Graczyków, niemniej kierowanie ich do dziesięciolatki wydało jej się grubą przesadą. Okazało się jednak, że nie doceniła Petry, która natychmiast poweselała, a jej komentarze świadczyły o znajomości poruszanego tematu. *Chyba się starzeję. Jeszcze trochę, a zacznę mówić „za moich czasów”* – pomyślała melancholijnie i wstała, by po raz trzeci zagotować wodę na tę samą kawę.

Wieczorem ustalono, że Inga i Norbert wyjadą dopiero nazajutrz. Prognozy meteorologiczne jak zwykle kłamały i gdy po zakończeniu *Wiadomości* zaczęła się *Pogoda*, zebrani przed telewizorem ze zdumieniem usłyszeli o padającym w całym kraju deszczu. Ich oczy bezwiednie skierowały się w stronę okna, za którym kłębiły się niesione wiatrem białe płatki, doskonale widoczne w świetle przydrożnej latarni.

„Ładny mi deszcz” – prychnęła Jolanta, na co Lońka zapytała, na próżno starając się nadać swojej twarzy wyraz powagi: „Może Wisła została zaanektowana przez inne państwo, a my o tym nie wiemy?”. Opad śniegu był dość obfity, dlatego Swiftowie uznali, że nie warto

ryzykować jazdy w ciemnościach, lepiej wstać trochę wcześniej i wyruszyć rano.

Nastała już noc, gdy Apolonia ułożyła się wygodnie do spania w pokoju na piętrze, odnowionym przez Jolę, o czym poinformował ich Rajner, dumny z osiągnięć żony. Przez chwilę wodziła pełnym zachwytem wzrokiem po ukośnym suficie i ścianach wyłożonych deskami zapuszczonymi bejcą i przeciągniętymi bezbarwnym lakierem. Potem sięgnęła do włącznika lampki nocnej, lecz cofnęła rękę, usłyszawszy kroki na schodach. Domyśliła się, że to rodzice chcą się z nią pożegnać przed porannym wyjazdem.

Istotnie po kilkunastu sekundach do pokoju zajrzała Inga. Gdy przekonała się, że przybrana córka jeszcze nie śpi, weszła do środka, a zaraz za nią wsunął się Norbert. Jednak to nie chęć pożegnania dziewczyny była głównym celem ich wizyty.

Inga przysiadła na tapczanie i ujęła rękę Lońki, jakby chciała tym uściskiem dodać jej odwagi, Norbert natomiast przysunął sobie krzesło, usiadł tuż obok i swoim zwyczajem natychmiast przeszedł do rzeczy:

– Oboje z Ingą odnieśliśmy wrażenie, że nie powiedziałaś nam wszystkiego o tym dniu, kiedy znalazłaś się w tamtym ogrodzie. Domyśliliśmy się, że nie chciałaś o tym mówić przy obcych, ale my powinniśmy chyba wiedzieć...

Zawiesił głos w oczekiwaniu na wyznanie, ale Apolonia spojrzała na niego doskonale niewinnym wzrokiem.

– Tam naprawdę nic więcej się nie stało. Nic mi nie zrobili...

– Lońka, nie kombinuj! – Inga zmarszczyła groźnie brwi, psując jednocześnie efekt głośnym po policzku. – Chcemy wiedzieć, co robiłaś w tamtym ogrodzie. A może uważasz, że nie zasługujemy na prawdę?

Smutek w jej głosie i wyraz rozczarowania na twarzy Norberta sprawiły, że Apolonia poczuła dławienie w gardle. Wspomniała słowa Ditmara, że powinna wyznać wszystko rodzicom, bo sama sobie z tym nie poradzi, i wybuchnęła płaczem, a potem głosem drżącym z emocji i gęsto przerywanym łkaniem opowiedziała o groźbach Graczykowej.

– Na litość boską, Lońka! – wykrzyknęła Inga, gdy jako pierwsza zdołała wyrwać się z osłupienia. – Czemu nic nie mówiłaś? Tata od razu

by to załatwił.

Przybrana córka spojrzała na nią z taką rezygnacją, że Inga poczuła nagły chłód. Tak patrzyli ludzie, których los doświadczył tyle razy, że przestali wierzyć w szczęśliwe zakończenia i nie oczekiwali już od życia niczego dobrego.

– Nawet wiem jak – powiedziała Apolonia z rozpaczą. – Na pewno by jej zapłacił, a potem znowu i znowu, i tak w nieskończoność, bo tacy jak ona nigdy nie przestają. A przecież dobrze wiem, że nie macie pieniędzy.

Wcześniej Norberta zbyt dławiała złość, by mógł się odezwać bez obawy, że wybuchnie stekiem przekleństw. Teraz udało mu się wreszcie jako tako opanować wściekłość i zapytać w miarę spokojnie:

– Skąd wzięłaś ten pomysł?

Miał na myśli jej słowa o płaceniu, ale Apolonia zrozumiała go inaczej.

– Przez tę weryfikację. Słyszałam, jak o tym mówiliście! Że cię zwolnili i nie wiadomo, czy uda ci się znaleźć jakąś dobrą pracę, bo nikt nie będzie chciał zatrudnić byłego uboła. Czy ty zabijałeś ludzi? Bo Wojtek Kaleta mówił, że wszyscy macie krew na rękach.

Norbert w pierwszej chwili znowu osłupiał. Dobrze pamiętał rozmowę z Ingą po pamiętnej weryfikacji byłych funkcjonariuszy SB, dotąd jednak nawet przez myśl mu nie przeszło, że dziewczyna ją słyszała, a już tym bardziej że cokolwiek z niej pojęła. Miała wtedy zaledwie jedenaście lat. Nie pomyślał, że nad wiek rozwinięta intelektualnie bratanica z powodu braku stabilizacji, poczucia przynależności i bezpieczeństwa jest bardziej niż rówieśnicy wyczulona na emocje otoczenia, zwłaszcza te negatywne.

Zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz Inga go uprzedziła. Ujęła dziewczynę za rękę i spojrzała jej prosto w oczy.

– Źle się stało, że to przemilczeliśmy, ale zrozumiemy, byliśmy pewni, że jesteś za mała na takie informacje. Przez ponad dwa lata się tym gryzłaś. – Pokręciła głową w zdumieniu. – Czemu wcześniej nie zapytałaś?

– Bałam się – wyznała Apolonia, po czym dorzuciła ledwie słyszalnym głosem: – Nie was, ale tego, co odpowiecie.

– Głuptas z ciebie. – Norbert czułym gestem zmierzwił jej włosy. – A ten cały Wojtek jeszcze większy, bo powtarza brednie. Nikogo nie zabiłem i szczerze mówiąc, nikt nawet ode mnie po mordzie nie dostał, choć byli tacy, którym należało się porządne lanie. Co do weryfikacji, to zaraz ci wytłumaczę, na czym polegała, ale najpierw opowiem o Służbie Bezpieczeństwa, żebyś mogła wyrobić sobie własne zdanie.

Mówił długo, chcąc dokładnie ukazać przybranej córce zawilość tematu, by wzorem innych nie widziała tylko czerni i bieli i przyjęła do wiadomości istnienie także innych kolorów. Lońka słuchała z uwagą.

– Dlaczego w takim razie nie przeszedłeś weryfikacji? – spytała, gdy skończył. – Przecież nie zrobiłeś nic złego.

– Bo w komisji zasiadali ludzie, którzy nie widzieli albo nie chcieli widzieć innych barw – odpowiedział oględnie.

Inga nie zamierzała bawić się w dyplomację.

– Nie wiem, jak to wyglądało w innych miastach, ale u nas to była parodia komisji. – Łypnęła gniewnie na męża. – Czemu jej o tym nie powiesz? Powinna wiedzieć wszystko, jeśli ma zrozumieć. – Zwróciła się do Lońki. – Jest taki facet, który tak wierzył w miniony system, że jeszcze w szkole zapisał się do PZPR-u, a potem piął się po szczeblach partyjnej kariery i został nawet szefem oddziału partii w milicji. Ale po zmianach nagle zmienił mu się światopogląd. Zaczął pilnie uczęszczać na mszę, w Boże Ciało niósł baldachim, a jeszcze opowiadał na prawo i lewo, że wcale nie chciał należeć do partii, ale go zmuszono.

– Fałszywa gnida – oceniła Apolonia z właściwą dla jej wieku bezkompromisowością. – Myślał, że ktoś się na to złapie?

– Najgorsze jest, że wielu ludzi naprawdę mu uwierzyło, do tego stopnia, że został członkiem komisji weryfikacyjnej.

– A ta bez zastanowienia wycięła w pień całą bielską bezpiekę, nie darowali nawet sekretarkom lub maszynistkom – dopowiedział Norbert.

– Do dziś się zastanawiam, czym im te dziewczyny zawiniły. Ale mało tego, negatywa dostał też chłopak, który przesłużył w SB niecałe dwa miesiące, w dodatku w śledczym. Opozycjonisty to on nie miał szans nawet zobaczyć, a komisja zrobiła z niego wroga narodu.

– Podłe skurwy... skurczybyki!

Apolonia w ostatniej chwili zmieniła wulgaryzm na mniej drastyczną formę. Spojrzała z niepokojem na Ingę, od pierwszej chwili tępiącą jej niezbyt parlamentarne, wyniesione z domu Graczyków nawyki językowe. Tym razem jednak przybrana matka ją zaskoczyła, uśmiechnęła się bowiem uspokajająco.

– Powiedzieć o nich „skurczybyki” to tak, jakby nazwać twoją babkę niemłą. Podłe, mściwe skurwysyny, i już.

– Po tej parodii weryfikacji byłem załamany – znów zabrał głos Norbert. – Nie spodziewałem się takiego finału. Nie miałem pomysłu, co dalej robić, bałem się, że nikt nie przyjmie do pracy byłego esbeka, a Inga zarabiała za mało, by mogły się z tego utrzymać cztery osoby.

– Ale Wojtek mówił...

Lońka urwała, uprzytomniwszy sobie, że szkolny kolega już raz istotnie minął się z prawdą, ale Inga chciała wiedzieć więcej.

– Co takiego mówił?

Dopytywała się tak długo, że Apolonia w końcu uległa.

– Że wszyscy esbecy są dobrze ustawieni, bo albo wykorzystali znajomości, albo mieli haki na wysoko postawionych ludzi i zmusili ich do dania im dobrze płatnej pracy. Ale to chyba nieprawda, bo inaczej tata by się nie przejmował.

– Najprawdziwsza nieprawda – zapewniła Inga z powagą. – Kiedy ten cały Wojtek znowu będzie wygłaszał swoje mądrości, zwróć mu uwagę, że *Psy* to jednak nie jest film dokumentalny. A ty na drugi raz nie podsłuchuj, bo znowu coś źle zrozumiesz i będziesz się niepotrzebnie zadręczać. Po prostu zapytaj.

– Albo podsłuchuj do końca – dorzucił nieco złośliwie Norbert. – Gdybyś wtedy to zrobiła, nie musiałabyś się martwić.

– Jak to?

– A tak to, że Inga zwróciła mi uwagę na coś, o czym nie pomyślałem. Że mogę się odwołać od orzeczenia komisji, a ponieważ przy zwolnieniu dostałem odprawę, dotrwamy do ostatecznego rozstrzygnięcia bez konieczności jedzenia korzonków i robaków. – Popatrzył na żonę z czułością. – Miała rację, bo wszystko dobrze się skończyło i w listopadzie zostałem przyjęty do policji. – Zawahał się, na moment oczy rozblęły mu gniewem, lecz zaraz opanował emocje. – Z tym że

komendant bał się narazić solidarnościowcom i żeby esbek nie kalał ich powietrza, dostałem przydział do Szczyrku. Tylko że dla mnie nie była to żadna kara, bo szef okazał się w porządku, koledzy też, a ja dzięki temu mogłem dużo się nauczyć.

Zaschło mu w gardle, bardziej z emocji niż od ilości wypowiedzianych słów, toteż zaproponował, że zejdzie na dół i zrobi herbatę. Zaprotestowały gwałtownie przeciwko samodzielnemu oddalaniu się i poszły wraz z nim, by móc kontynuować rozmowę. Norbert włączył czajnik, Inga przygotowała szklanki, Apolonia zaś siedziała bez ruchu, wpatrzona w ciemność za oknem. Zmrużone ciemnoniebieskie oczy i pionowa zmarszczka między brwiami jeszcze bardziej niż zazwyczaj upodobniały ją do Norberta.

Obserwująca ją ukradkiem Inga po raz kolejny poczuła wdzięczność do losu, że dziewczyna nie ma w sobie nawet krzty podobieństwa do swojego biologicznego ojca. Maciek był blondynem o jasnej cerze i oczach błękitnych jak niebo, a jego twarz miała w sobie jakąś miękkość, obcą obliczom tak Norberta, jak Lońki.

Inga jednak nie rozmyślała o cechach zewnętrznych, choć z pewnością trudniej byłoby jej pokochać Apolonię, gdyby dziewczyna na każdym kroku przypominała swoim wyglądem jej największą pomyłkę w ocenie drugiego człowieka. Nieraz się zastanawiała, jak to możliwe, że niczego nie zauważyła. Czyżby przyjaźń była równie ślepa jak miłość?

– Jednego nie rozumiem – odezwała się naraz Apolonia. – Jeżeli nie mamy problemów z pieniędzmi, to dlaczego nie chciałaś kupić Martynce tej gadającej lalki? Mówiłaś, że jest za droga i nie stać nas na takie zabawki.

Spoglądała oskarżycielsko niczym prokurator na oskarżonego, najwyraźniej przeświadczona, że przyłapała przybraną matkę na kłamstwie. Ta jednak w ogóle się nie zmieszała. Spokojnie dokończyła smarowanie kromki konfiturą z wiśni, potem usiadła przy stole i poparzyła dziewczynie prosto w oczy.

– Wtedy naprawdę nie było nas stać na zabawkę, która z pewnością znudziłaby się Martynie już po kilku dniach. Przecież wiesz, że ona woli samochodziki, a najlepiej się bawi, kiedy dostanie młotek i garść gwoździ. Sama mówiłaś, że pewnie zostanie budowlańcem.

– No tak. Ale...

Inga stłumiła uśmiech. Lońka również pod tym względem wdała się w Norberta i gdy miała do rozwikłania jakiś problem, drażyła dopóty, dopóki nie doszła do prawdy.

– Mój zakład był w upadłości, a syndyk, który miał zadbać o wyjście na prostą, w rzeczywistości dbał jedynie o swoje wynagrodzenie. My natomiast od tak dawna nie mieliśmy podwyżki, że pod koniec zarabiałam niewiele więcej, niż wynosił zasiłek dla bezrobotnych. Dlatego wtedy mówiłam, że nas nie stać. Teraz to co innego. W listopadzie zmieniłam pracę i zostałam główną księgową. Mówiłam o tym, nie pamiętasz?

– Pamiętam. To dobrze?

– I tak, i nie – odpowiedziała Inga szczerze. – Na pewno dobrze ze względu na pieniądze, ale jeśli chodzi o samą pracę, to bywa różnie.

– Ja też teraz więcej zarabiam – dorzucił Norbert. – Przeniosłem się do Bielska i od poniedziałku pracuję razem z wujkiem Jurkiem. Siedzimy nawet w tym samym pokoju. Właśnie w piątek byłem na ostatecznej rozmowie z nowym szefem, dlatego nie mogłem cię odwiedzić. Nie myślałem, że tak się to skończy. Przepraszam, malutka.

28 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Swiftowie właśnie dopijali przedwyjazdową kawę, gdy gospodarz przypomniał sobie, że poprzedniego dnia zapomniał poruszyć bardzo ważną kwestię. Postanowił natychmiast naprawić to niedopatrzenie, nie pamiętając o obecności cywila.

– Jaką kwestię? – zainteresowała się Inga.

Gorączkowo szukał tematu zastępczego i dopiero jej kpiąca mina uświadomiła mu, że niepotrzebnie się wysiła, skoro poznała dotychczasowe ustalenia.

– Mam wrażenie, że aspirant Piontek ma całkiem zgrabny plan wrobienia Ditmara w zabójstwo tej kobiety – oznajmił ponuro.

– Co masz na myśli? – spytała natychmiast.

Rajner opowiedział o rozmowie z Szalbótem i uzyskanych od niego informacjach. Norbert wysłuchał relacji w milczeniu i tylko od czasu do czasu kręcił głową z sobie tylko wiadomych powodów. Później popadł w długie zamyślenie.

– Masz rację – powiedział w końcu. – Ten cały Piontek musi być niezłym kombinatorem. Ale z nami nie wygra, nie wie, że mamy asa w rękawie.

– Jakiego znowu asa?

Norbert udał zdziwienie.

– Naprawdę nie wiesz? Zrobimy tak – zdecydował, ignorując pytające spojrzenie Milewskiego. – Ty jeszcze dzisiaj sprawdź, czy Ditmar ma alibi na czas zgonu Marii Sienickiej, i w ogóle dowiedz się wszystkiego o jego rodzinie.

– A ty?

– Ja z kolei postaram się sprawdzić pana aspiranta. Mam kumpli w Katowicach i Chorzowie, a nuż go znają? Spróbuję też dotrzeć do informacji o Marii Sienickiej i tym jej mężu. Ktoś musi go znać.

– W porządku – zgodził się Rajner. – A co z tym trupem z ogrodu?

Norbert skrzywił się na myśl o rezygnacji ze śledztwa, sam jednak widział, że raczej nie ma innego wyjścia.

– Sprawą Teodora Kozińca pewnie nie będę mógł się zajmować, skoro Lońka jest świadkiem, ale przekażę wszystkie dane Jurkowi. Przede wszystkim portrety pamięciowe narysowane przez Petrę. Ta mała ma naprawdę cholerny talent.

Niepodziewanie do rozmowy włączyła się Inga. Popatrzyła na męża z taką pretensją, jakby wyrządził jej jakąś krzywdę i wytknęła:

– Nie powiedziałaś, jakiego macie asa.

Milewski błyskawicznie sprzymierzył się z nią w obrzucaniu Norberta oskarżycielskimi spojrzeniami i Norbert skapitulował.

– Jak to jakiego? My mamy Fajlhauera. Piontek nie.

Rozdział 17

Walka o życie

28 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Taksówkarz odpowiedział mrukliwie na słowa powitania i nie odzywał się więcej, dzięki czemu Bartłomiej mógł w spokoju przeanalizować wczorajsze wydarzenia. W myślach ponownie znalazł się w kostnicy i spoglądał na potwornie okaleczone ciało, czując dokładnie to samo, co odczuwał wówczas.

Kiedy podszedł do wózka ze zwłokami, bardziej skupił się na szczegółach, nie tak jak przedtem, gdy zauważał tylko te okropne rany. Najpierw odnotował w myślach półcentymetrowy odrost na blond włosach. Dotychczas był pewien, że Anna była naturalną blondynką i doszedł do wniosku, że autor słów „Nie wierz nigdy kobiecie” miał całkowitą rację, skoro nawet tak religijna osoba dopuszczała się oszustwa.

Potem jego uwagę zwróciły paznokcie, długie i wypiełgnowane, pokryte krwistoczerwonym lakierem. Przecież ona nigdy nie malowała paznokci, a już na pewno nie na taki wyzywający kolor! Kompletnie zdezorientowany przeniósł wzrok na smukłą kobiecą szyję i po raz pierwszy poczuł wątpliwości. Coś było zdecydowanie nie tak. Dobrze pamiętał, że któregoś dnia, gdy obserwował Annę krzątającą się po kuchni, pomyślał, że jej szyja jest zbyt krótka i że daleko lepiej wyglądałaby bez skracającej ją optycznie stójki.

Kim w takim razie była leżąca przed nim kobieta i dlaczego zginęła w mieszkaniu jego narzeczonej? Czym prędzej zsunął niżej zasłaniającą

ciało płachtę. Jego oczom ukazało się małe znamię w kształcie trójkąta równobocznego, usytuowane tuż nad lewym obojczykiem, i Bartłomiej westchnął cicho. Już wiedział, kim była denatka.

Przepełniło go uczucie żalu i gniewu, że odebrano mu jedyną kobietę, która coś dla niego znaczyła, zaraz jednak zastąpiła je ulga. Teresa ostatnio stała się stanowczo zbyt pewna siebie; przeświadczona o swoich wpływach i znaczeniu, próbowała stawiać warunki i nawet podejmować decyzje. Przecież i tak zamierzał się jej pozbyć, może nie aż tak drastycznie, ale na to nie mógł już nic poradzić.

Odwrócił się w stronę Piontka, by oznajmić o swoim odkryciu, i w tym momencie przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Gdyby zidentyfikował Teresę jako Annę, mógłby po pewnym czasie, gdy sprawa przycichnie, zgłosić się z testamentem jako spadkobierca i wreszcie zdobyć to mieszkanie. Należało mu się chociażby za zmarnowany czas i konieczność sypiania z tą śniętą rybą. Tylko co będzie, gdy Anna wróci wcześniej?

Nie, nie powinien się tego obawiać, ona na pewno nie wróci. Wszystko wskazywało, że to właśnie ona zatłukła Teresę na śmierć, zatem z pewnością uciekła i teraz się ukrywa. Piontek wspomniał, że nie stwierdzono śladów włamania, dlatego był pewien, że ofiara sama wpuściła swojego zabójcę do domu. Koziniec wiedział, że to niemożliwe, Teresa nigdy by tego nie zrobiła, nie miała przecież w Żywcu żadnych znajomych na tyle bliskich, by mieli ją odwiedzać. Co innego Anna, ona nie musiała czekać, by Teresa jej otworzyła.

A gdyby nawet okazało się, że Anna jest niewinna, to i tak jej ewentualny powrót nie powinien mu zaszkodzić. Doskonale znał tempo działania polskich urzędów, dlatego nie żywił nawet cienia obawy, że jego przedsięwzięcie się nie powiedzie. Domniemywał, iż minie co najmniej kilka miesięcy, nim Anna zdoła doprowadzić do anulowania aktu zgonu. Zmartwychwstanie w obecnych czasach nie jest takie proste, Chrystusowi było jednak dużo łatwiej.

Gonitwę myśli zakończyło znaczące pochrząkiwanie zniecierpliwionego aspiranta. Bartłomiej uniósł głowę i oznajmił cichym, zgnębionym głosem:

– Tak, to moja narzeczona, Anna... – Zająknął się, urwał, po czym podjął głośniejsze: – To jest Maria Sienicka.

Po powrocie do mieszkania Anny Bartłomiej stwierdził, że chwilowo nie ma tutaj czego szukać. Zaczął pakować do torby najcenniejsze przedmioty, nie zapomniał też o gotówce przechowywanej przez Annę w szufladzie z bielizną. Miał zamiar wyjechać zaraz następnego dnia, ale przypomniał sobie w porę, że w czwartek o czternastej ma się zgłosić do aspiranta Piontka na podpisanie protokołu, odwleknął więc wyjazd o jeden dzień.

Nie chciał taszczyć ciężkiej torby do komendy, musiał wrócić po nią do domu, toteż koniec końców zjawił się w Bielsku dopiero późnym popołudniem i złapał taksówkę, która właśnie zajęła na miejsce. Zatrzymała się tuż przed bramą. Zapłacił, złapał torbę i wysiadł, po czym pchnął furtkę i wszedł na teren posesji.

Na jego widok Szpila wyraźnie się ucieszył, nie zadawał jednak żadnych pytań, by nie okazać się ciekawskim. Bartłomiej docenił powściągliwość kolegi i po kolacji, przy lampce koniaku, zrelacjonował mu całą historię. Był dumny z siebie i chciał się pochwalić, nie przewidział jednak reakcji gospodarza.

– Chyba cię całkiem pojebało! – wrzasnął Szpila. Zerwał się na równe nogi i stanął nad Koziniec z twarzą wykrzywioną gniewem. – Kurwa, Doktor, co z tobą jest?! Spaliłeś mi metę, ty głupi kutasie!

Oblicze Bartłomieja stężało. Wstał również.

– Ktoś inny za takie słowa od razu dostałby w mordę. Pomogłeś mi i tylko dlatego jeszcze stoisz o własnych siłach, ale jeszcze raz, a zapomnę o wdzięczności.

Szpila wciągnął głęboko powietrze, potem znowu. Grymas wściekłości z wolna ustępował, aż zniknął zupełnie i tylko w oczach tliły się nadal złe błyski.

– A czego oczekiwałeś? Pochwały? Jak wjadą tu gliny, żeby sprawdzić twoje alibi, każdy, kto ma choć trochę rozumu, uzna, że lokal jest spalony.

– Przesadzasz.

Koziniec chciał zbagatelizować sprawę, lecz jego głosowi zabrakło przekonania. Szpila drgnął gwałtownie.

– Ja przesadzam?! Noż kurwa mać! Teraz są inne czasy, jeden drugiemu patrzy na ręce i kombinuje, jak by tu się pozbyć rywala. – Zamilkł i zmarszczył czoło w głębokim namyśle. – Sorry, Doktor – podjął po chwili – ale rano masz się stąd wynieść.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł do przedpokoju, by zadzwonić. Wykręcił numer, a po usłyszeniu kobiecego głosu spytał zwięźle:

– Jest Pumeks?

Wysłuchał odpowiedzi, po czym wydał polecenie. Jak zwykle nie bawił się w zbędne uprzejmości, wcale też się nie zdziwił, gdy na jego „daj mi go”, doszedł go okrzyk: „Rafał, chodź szybko. Twój szef dzwoni”. Nie minęło więcej niż pół minuty, a Pumeks już przejął słuchawkę.

– Jestem. Co mam zrobić?

– Przyjedź do mnie za dwie godziny. Jest robota, ale to nie na telefon. O wszystkim dowiesz się na miejscu.

Szpila się rozłączył i wrócił do pokoju, gdzie zastał Kozińca z lampką koniaku w dłoni, rozwalonego w fotelu. Na ten widok poczuł, że znowu ogarnia go wściekłość. Podeszedł do gościa i wyjął mu z ręki do połowy opróżnione szkło.

– Na twoim miejscu poszedłbym się pakować.

Bartłomiej zmienił pozycję na wygodniejszą i wyciągnął przed siebie nogi.

– Po co? Nigdzie się nie wybieram. Posłuchaj, bracie – rzekł pojednawczo. – Już niedługo wystąpię o spadek po Annie, a to nie jest tylko mieszkanie. Znalazłem wyciąg bankowy. Ta krowa ma na koncie kupę szmalu.

– Chuj mnie obchodzi jej szmal – warknął gospodarz. – Nie mam zamiaru iść do pierdła, a prędzej czy później sprawa się wyda. Jeżeli myślisz, że jej dzieciak odpuści, to musiałeś się z głupim na rozumy pomieniać!

Jego słowa nie wywarły na Kozińcu większego wrażenia. Sięgnął po lampkę, jednym haustem dopił koniak i wziął do ręki butelkę, by nalać ponownie.

– Dzieciak gównu mi robi. Będzie siedzieć za zabójstwo matki i nikt nie będzie dochodzić, co stało się z majątkiem.

– Oprócz Anny – zauważył Szpila. – To już nie te czasy, kiedy obywatel musiał siedzieć na dupie i pokornie czekać na zmiłowanie urzędników. Wystarczy, że pójdzie z tym do „Kroniki Beskidzkiej”, a inne gazety od razu podchwycają temat. Telewizja też się pewnie zainteresuje, bo nie co dzień żywy człowiek zostaje uznany za zmarłego.

– Wiem o tym – odparł ze spokojem Bartłomiej. – Niech się nawet sądzi z urzędami albo z państwem, co mi do tego.

– Doktor, może już nie pij więcej, bo ci całkiem mózg się zlasował! Co ci do tego? Ano to, że to ty zidentyfikowałeś zwłoki. Jak zacznie się zadyma, to jak myślisz, kogo o wszystko obwinia? Przecież nie siebie!

– Mogłem się pomylić. Ona nie miała twarzy...

– Mogłeś – przyznał Szpila. – Ale w takim układzie jako porządny obywatel powinienes oddać przejęty wskutek tej pomyłki majątek.

W odpowiedzi Koziniec zrobił obraźliwy gest.

– A takiego wała! Będę miał lewe papiery i chuja mi zrobią.

Wychylił lampkę do dna, a zauważywszy, że gospodarz napęlnia swoją, szybko podstawił mu opróżnione szkło.

Szpila udał, że nie zauważył manewru. Odstawił butelkę i popatrzył na gościa z pobłażliwym uśmiechem.

– Skąd weźmiesz te papiery? Takie coś sporo kosztuje, a z tego, co wiem, jeszcze nic nie odziedzyczyłeś.

– Ty je załatwisz – odpowiedział bez zastanowienia Koziniec. – Jesteś mi to winien. Gdyby nie ja, też byś siedział pod celą.

Ręka trzymająca lampkę drgnęła, bursztynowy płyn zafalował, obmywając ścianki naczynia. Szpila odstawił je na stole i popatrzył zimno na rozmówcę.

– Nic ci nie jestem winien – rzucił twardym, nieprzyjemnym głosem. – Utrzymywałem twoją rodzinę, kiedy garowałeś, teraz też ci pomogłem, chociaż nie musiałem. Już dawno jesteśmy skwitowani. Mieszkasz w moim domu, żresz mój chleb i pijesz moją gorzałę, i jeszcze śmiesz stawiać żądania?!

– To mi się należało – upierał się Bartłomiej. – Mogłem się rozpruć na glinowie, a wtedy miałbyś gównno, a nie swój dom. Nie jesteśmy kwita i jeszcze długo nie będziemy. Nie myśl, że dam się wyrolować.

Spoglądał tak wyzywająco, że cierpliwość gospodarza wreszcie się skończyła, ustępując miejsca furii.

– Kto posprzątał ten cały syf w domu prokuratora, bo jebany świętoszek się załamał po tym, jak zabił własnego syna? – Nie usłyszał odpowiedzi, zresztą niczego takiego nie oczekiwał. – Co ty sobie wyobrażasz, gnoju jebany? Że jesteś mądrzejszy, bo masz ksywę Doktor? Nie strasz mnie policją, bo jak ja pogadam z psami, to się z rozumem nie pozbierasz. Co się tak gapisz? Prosiłeś, żebym posprzątał dowody, ale nie kazałeś ich wyrzucić.

Zarechotał na widok zszokowanej miny Bartłomieja, który zastygł z butelką w jednej ręce i lampką w drugiej. Nagle się ocknął. Z hukiem odstawił trzymane przedmioty, poderwał się z fotela i podbiegł do Szpili. Ten zdążył już wstać i oto szcepili się niczym zapaśnicy na macie, sapiąc i warcząc jak gryzące się psy.

28 stycznia 1993, Żywiec

Bartłomiej nie bardzo umiał sobie przypomnieć, jak to się stało, że znalazł się w pociągu relacji Katowice–Zwardoń. Opamiętał się, gdy ruszali ze stacji Łodygowice Górne, a na mijanym zegarze zobaczył, że właśnie minęła dwudziesta pierwsza. Co robił przez blisko godzinę? Nie miał pojęcia, w jaki sposób dostał się na dworzec ani czy kupował bilet, a jednak ten, ważny na trasie Bielsko-Biała Główna–Żywiec, spoczywał w jego kieszeni, stanowiąc ewidentny dowód logicznego działania.

– Wcale nie zwariowałem, to tylko zwyczajny szok – mruzczał Koziniec, gdy wreszcie zasiadł w ulubionym fotelu z drinkiem w ręce. – Teraz trzeba zachować spokój i nigdzie nie wychodzić, a nikt się nie kapnie.

Szpila mieszkał sam, teoretycznie więc może minąć kilka tygodni, a nawet miesięcy, nim ktoś się zainteresuje jego zniknięciem. Tylko że teoria lubi się mijać z praktyką, co gorsza, robi to zawsze w najmniej spodziewanych momentach. Wystarczy, że pojawi się ten przygłup z pokancerowaną mordą i zacznie walić do drzwi, czym wzbudzi zaniepokojenie sąsiadów. Od tego do wezwania policji droga niedługa, a Koziniec wiedział, że w domu jest aż gęsto od odcisków jego linii

papilarnych. Był zbyt przerażony tym, co zrobił, by je usunąć i w ten sposób zadbać o własne bezpieczeństwo.

Mieszkanie Anny wydało mu się bezpiecznym miejscem, azylem, w którym będzie mógł przeczekać najgorszy okres, dlatego ponownie się w nim znalazł. Na szczęście sąsiedzi chodzili spać z kurami, mógł więc przemknąć niezauważenie przez korytarz. Jeśli będzie zachowywać się cicho, Pruchnolowie się nie zorientują, że ktoś tu mieszka.

Plan posypał się już w piątek. Bartłomiej usłyszał na korytarzu obce głosy, przytknął więc oko do wizjera i z przerażeniem zobaczył policyjne mundury. Nim funkcjonariusze, z których żaden nie był aspirantem Pionkiem, w towarzystwie sąsiada minęli jego drzwi, zdążył spocić się ze strachu. Wtedy pojął, że sprawą zabójstwa Anny zajął się ktoś inny i ta myśl była dla niego niczym uderzenie w splot słoneczny. Z trudem łapał oddech, więznący w gardle za każdym razem, gdy zaczynał się zastanawiać, ile dni może minąć, nim prowadzący śledztwo postanowi ponownie przeszukać mieszkanie.

28 stycznia 1993, Bielsko-Biała

– Tu masz podobizny prawdopodobnych sprawców. Może ty ich rozpoznasz? Bo mnie te gęby nic nie mówią.

Norbert położył przed Jagielskim rysunki sporządzone przez Petrę i dopiero wtedy odwiesił kurkę na wieszak. Zerkał przy tym na kolegę ze źle skrywaną niecierpliwością, Jerzy bowiem najpierw upił solidny łyk porannej kawy, a dopiero potem sięgnął po pierwszą kartkę. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania Swifta.

– O kurwa, przecież to Szpila!

Na twarzy Jagielskiego odmalowały się niedowierzanie i szok. Kręcąc co jakiś czas głową, gorączkowo przerzucał pozostałe rysunki przedstawiające ponad czterdziestoletniego mężczyznę o szczupłej twarzy i z głębokimi bruzdami wokół ust.

Norberta, zaintrygowanego niecodziennym zachowaniem kolegi, wkrótce znudziło bierne oczekiwanie na rozwinięcie wypowiedzi.

– Jaki Szpila? To nazwisko czy ksywa?

Jerzy zignorował jednak oba pytania i zamiast odpowiedzieć, mrucał pod nosem, najwyraźniej wyłącznie do siebie:

– Nie wierzę... To niemożliwe, on przecież...

– Jurek! Odjechało ci, że gadasz do siebie?

Swift w końcu stracił cierpliwość. Przerwawszy mamrotanie Jagielskiego, wydarł mu z ręki plik rysunków przedstawiających starszego z podejrzanych i dopiero to wyrwało Jerzego z transu. Spojrzał z wyrzutem, lecz nie próbował odebrać kartek.

– Szpila to ksywa, facet nazywa się Janusz Kamieński. – Popatrzył spod oka na kolegę. – Skąd to masz? Bo od naszego rysownika na pewno nie.

Norberta zirytowało czepianie się nieistotnych detali przy jednoczesnym pomijaniu zasadniczych kwestii.

– Chyba nie jest ważne, kto rysował. Ważniejsze, że świadek go widział i podał rysopis na tyle dokładny, że na jego podstawie powstało to.

Machnął rysunkami przed twarzą Jagielskiego, ale ten nie zwracał na niego uwagi, pogrążony w myślach.

– Szpila jest złodziejem – oświadczył nagle. – A raczej był, bo od wielu lat zdrowie mu nie pozwala na pracę w zawodzie.

Z jego dalszych słów wynikało, że Janusz Kamieński zawdzięczał swoje przezwisko umiejętności przedostawania się do zamkniętych pomieszczeń przez uchylone lufciki, piwniczne okienka czy nawet drzwiczki dla domowego zwierzaka. Mówiono o nim, że ma ciało tak giętkie, jakby było całkowicie pozbawione kości, i dlatego wejdzie nawet tam, gdzie szpilka się nie zmieści. Tak było do czasu, gdy nagle zaczął niedomagać.

Uskarżał się na tak dotkliwy ból pleców, że coraz częściej musiał rezygnować z zaplanowanej akcji. Lekarze zgodnie diagnozowali wielopoziomową dyskopatię i doradzali operację, na to jednak Szpila nie chciał przystać, ryzyko spędzenia reszty życia na wózku inwalidzkim było zbyt duże. Zgadzał się jedynie na blokady, te niestety wywoływały pewną sztywność, niezauważalną dla patrzących z boku i nieprzeszkadzającą w codziennej egzystencji, ale uniemożliwiającą dalszą złodziejską karierę.

– Biedny facet. Aż się wzruszyłem – rzucił kpiąco Norbert. – Ale skoro musiał zrezygnować z pracy z uwagi na stan zdrowia, powinien był wystąpić o rentę. Poza tym pierwsze słyszę, żeby dyskopia wykluczała przyłożenie komuś pogrzebaczem w łeb. Co innego, gdyby walnął czymś ciężkim, wtedy mogłoby go dopaść lumbago...

– Nie dałeś mi dokończyć – wytknął Jerzy. – Wcale nie powiedziałem, że całkiem zrezygnował z pracy.

– Tylko co? Przebranzowił się czy jak?

– Tak jakby. Wszedł w spółkę z pewnym włamywaczem... Chyba, bo niczego nie mogliśmy mu udowodnić. Ale swoje za uszami musiał mieć, bo niespecjalnie protestował, kiedy zaproponowałem mu układ.

Popijający akurat kawę Norbert się zachłysnął i dość długo trwało, nim pozbył się płynu z tchawicy.

– Jaki układ? – wydyszał.

Jagielski wzruszył ramionami.

– Przecież nie pokarmowy! Szpila od kilku lat jest moim informatorem. Ponoć nie może się pogodzić z brutalnością, jaka zapanowała w strukturach przestępczych. Nie wnिकam, czy to prawda, ważne, że dzięki niemu udało mi się dopaść wielu naprawdę niebezpiecznych bandziorów. Dlatego nie wierzę, że jest zabójcą.

Norbert nie zamierzał się z nim kłócić, sam przecież pewności nie miał. Założył co prawda, że osobnicy usiłujący ukryć w bałwanie zakrwawiony śnieg byli odpowiedzialni za śmierć Teodora Kozińca, ale nie dysponował żadnym dowodem na poparcie tej tezy. Sceny mordu Apolonia wszakże nie widziała.

– A ten drugi?

Wskazał resztę kartek. Jerzy wziął do ręki pierwszą z góry, lecz nie spojrzał na rysunek, lecz na kolegę, a lekko znudzona mina świadczyła, że nie oczekuje żadnych rewelacji. Potwierdziły to jego słowa:

– Jeżeli to portret kolejnego uchola, to zacznę żałować, że wymusiłem na naczelniku twoje przejście do wydziału – burknął z udawaną złością. Przeniósł wzrok na szkic i oczy rozgorzały mu ekscytacją. – To Pumeks! Ale jaja! Może nareszcie wsadzimy tego psychola do lochu! Kurwa, jeżeli się uda, to chyba cię ozłocę.

– Nie mnie, tylko Łońkę.

Norbert opowiedział Jagielskiemu o zdarzeniu, które można było śmiało nazwać żywą ilustracją powiedzenia „wpaść z deszczu pod rynnę”. W miarę jak mówił, twarz kolegi pochmurniała, pojawił się na niej wyraz zaciętości.

– Jedziemy do Szpili – skomenderował Jerzy po wysłuchaniu relacji. – Nawet jeżeli nie maczał palców w zabójstwie, to brał udział w zacieraniu śladów, no i na pewno wie, gdzie się ten pojebaniec zadekował.

Uwagę Swifta o konieczności wyłączenia się ze sprawy kompletnie zlekceważył. Nie skomentował jej w żaden sposób, tylko nakazał pośpiech, dlatego Norbert, niepewny, czy został należycie zrozumiany, powrócił do tej kwestii. Tym razem Jagielski nie tylko nie uchylił się od odpowiedzi, ale nawet ją zwerbalizował.

– Naczelnik od rana jest na odprawie w wojewódzkiej, z kolei prokurator Woźniak ma dzisiaj tyle zajęć, że kiedy zaraz po ósmej do niego zadzwoniłem, powiedział, że mam mu dzisiaj nie zawracać dupy, nawet gdyby zaciukano wojewodę. A ja jestem prosty glina. Gdzie mnie wiedzieć i decydować o takich sprawach? Najwyżej nas opierdolą. Nie pierwszy i nie ostatni raz, jakoś to przeżyjemy, a wolę, żebyś to ty gadał ze Szpilą.

Swift nie protestował dłużej. Ze słów Jerzego o złodzieju wywnioskował, że stojący po dwóch stronach barykady panowie darzą się wzajem czymś na kształt ostrożnej sympatii i szacunku, co mogło doprowadzić do niezręcznej sytuacji.

Wstał zza biurka, lecz ku jego zaskoczeniu Jagielski nawet nie poszedł jego ślady, tylko znów wziął do ręki rysunki Petry.

– Co jest? Zmieniłeś zdanie?

Jerzy podniósł oczy znad portretów i popatrzył z niespotykaną powagą. Tak samo poważnie zabrzmiał jego głos.

– Nie zmieniłem zdania, tylko priorytety. Szpila nam nie ucieknie, najpierw trzeba załatwić sprawę z Graczykową. Robota jest ważna, ale rodzina ważniejsza, bo przede wszystkim jesteśmy ludźmi, dopiero potem policjantami.

Norbert się nie odezwał, a jedynie podziękował wzrokiem. Wiedział, że nie musi używać słów, żeby kolega zrozumiał.

Emilia Graczyk nadal mieszkała pod tym samym adresem co wówczas, gdy Inga i Norbert wystąpili o opiekę nad Apolonią. Stary budynek, już wtedy wymagający kapitalnego remontu, teraz wyglądał, jakby tylko sile woli zawdzięczał, że jeszcze się nie zawalił, a podparta drągami boczna ściana, a także dziurawy dach z położonymi gdzieś i obciążonymi kamieniami kawałkami dykty bądź papy wyraźnie potwierdzały to przypuszczenie.

Dzwonka nie było, pozostał po nim tylko jaśniejszy kwadrat tynku i dziura w miejscu, gdzie kiedyś biegł przewód doprowadzający prąd. Na pukanie nikt nie odpowiedział, toteż Norbert, przemagając wstręt, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Znalazł się w ciemnej, tak potwornie wychłodzonej sieni, że z czystym sumieniem zostawił szeroko otwarte drzwi, stwierdziwszy, że zimniej już być nie może. Tak przynajmniej nie zachodziła obawa, że rozbije sobie nos, wpadając w ciemnościach na ścianę.

Zastanawiał się właśnie, do którego pomieszczenia powinien najpierw zajrzeć, gdy w podjęciu decyzji pomogło mu donośne chrapnięcie. Dochodziło zza drzwi na wprost wejścia, podszedł więc i pchnął je bez pukania. Niewątpliwie znalazł się w kuchni, lecz gdyby nie piec kuchenny i zawalony brudnymi naczyniami zlewozmywak, miałby poważny problem z określeniem przeznaczenia owego lokalu.

Stołu tutaj nie było, za to na dość dużej powierzchni ustawiono dwa wąskie tapczany i stare małżeńskie łóżce, kiedyś zapewne stanowiące dumę i radość właścicieli. Dziś o jego dawnej świetności świadczyło tylko powyginane frymuśnie oparcie, lecz i ono ginęło pod warstwą nigdy chyba nieścieranego kurzu.

Spod zszarzałej, pokrytej plamami pościeli wystawała czyjaś głowa, a z boku łóżca zwieszała się bezwładnie sina ręka. Norbert kucnął i chwycił ją za nadgarstek, by zmierzyć puls, choć owa czynność wydawała mu się całkiem zbędna – barwa skóry świadczyła o początkach rozkładu. Przeżył prawdziwy szok, gdy wyczuł równomierne tętno. Ponownie przyjrzał się ręce i wtedy odkrył, że wcale nie jest sina, tylko zwyczajnie brudna.

Tłumiąc odrazę, odgarnął kołdrę i spojrzał w twarz śpiącej Emilii Graczyk. Wyglądała strasznie. Pozlepiane i skołtunione siwe włosy okalały pooraną zmarszczkami twarz, na której nawet we śnie widniał złośliwy grymas.

Norbert dość długo nie mógł się zorientować, dlaczego to potworne oblicze przypomina mu maskę, i dopiero po pewnym czasie odkrył przyczynę. Otóż Graczykowa umyła sobie twarz, widać jednak troska o higienę dalej nie sięgała, stad wyraźnie zauważalna granica pomiędzy ciałem umyтым a tym nieznanym wody od wielu dni czy nawet tygodni.

– Pobudka! – wrzasnął jej nad uchem i niezbyt delikatnie szarpnął za ramię. Nawet nie drgnęła. – Wstawaj, pobudka! – wydarł się jeszcze głośniej.

Uchyliła lekko powieki, przymknęła na powrót, po czym znów je podniosła, tym razem wyżej. Przez chwilę błędziła wzrokiem w poszukiwaniu źródła dźwięku, nim natrafił na Swifta. Zaskoczona, zakłęta głośno i usiadła na łóżku, nie przejmując się rozchełstaną bluzką odsłaniającą obwisłe piersi.

– Czego tu, kurwa, szukasz?

– Niczego. To ty chciałaś się ze mną koniecznie spotkać, więc jestem.

Widać było wyraźnie, że nie spodziewała się jego wizyty, i teraz gorączkowo szukała słów, które zapewne wcześniej sobie ułożyła. Postanowił jej dopomóc. Wcale nie z dobroci serca, ta kobieta nie zasługiwała nawet na okrucuch współczucia, lecz najzwyczajniej z braku czasu, a także z chęci jak najszybszego opuszczenia tego miejsca.

– Radzę ci dobrze zapamiętać, bo powiem to tylko raz i więcej nie powtórzę: nie przychodź do mnie po pieniądze, bo nie dostaniesz ani złotówki.

Graczykowa odzyskała już rezon.

– Zobaczymy, jaki będziesz mądry, kiedy całe miasto się dowie, że twój braciszek gwałcił trzynastolatkę! – Zaśmiała się na widok jego miny. – Wielki pan policjant, jebana twoja mać! Zapłaciłeś wtedy, zapłacisz i teraz.

– Wtedy zapłaciłem, żeby przyspieszyć sprawę. I tak odebrano by ci Apolonię, ale gdybyś nie zrzekła się dobrowolnie opieki, wszystko by się

przedłużyło. Teraz nie mam już żadnego powodu, żeby dawać ci pieniądze.

– Jak to?! – Nie umiała tego pojąć. – Wolisz wstyd na całe miasto?

Norbert wzruszył ramionami.

– Mnie tam wszystko jedno, facetowi takie gadanie nie zaszkodzi. – Naraz głos mu stwardniał, stał się zimny, nieprzyjemny. – Ale Apolonii i Indze byłoby przykro, a do tego za nic w świecie nie mogę dopuścić.

– A widzisz! – zawołała z triumfem, a w jej oczach rozgorzała niepohamowana chciwość. – No, dawaj, na początek wystar...

– Na początek poczytaj sobie Kodeks Karny, tam jest paragraf dotyczący znęcania się nad małoletnimi – przerwał jej, mając serdecznie dość tego miejsca. – A potem pomyśl o dokumentacji, którą zgromadziłem. Zdjęcia, wyniki obdukcji, opinie psychologów... Jeśli piśniesz gdzieś choćby słowo, pójdziesz siedzieć, bo to się jeszcze nie przedawniło. To samo będzie, jeżeli zbliżysz się do Apolonii. Zrozumiałaś czy mam powtórzyć?

Chyba zrozumiała, gdyż nigdy więcej nie próbowała ich niepokoić. A kiedy dwa lata później dowiedzieli się, że zmarła, zapiwszy się na śmierć, żadne z nich nie poświęciło jej nawet chwili zadumy. Nie była tego warta.

Rozdział 18

Niedobry syn

28 stycznia 1993, Bielsko-Biała

W radiowozie panowała cisza. Skupiony na prowadzeniu Jagielski miał zaszępioną minę, lecz milczał uparcie i Norbert mógł się tylko domyślać powodów. Prawdopodobnie Jurek nie umiał się pogodzić z faktem, że jego informator okazał się zabójcą.

– A ten cały Pumeks to kto? – spytał po chwili.

Zamiast odpowiedzieć, Jerzy zapalił papierosa i uchylił okno, lecz padało tak intensywnie, że zaraz je zamknął i po dwóch pociągnięciach zgasił niedopałek. Dopiero wtedy zaspokoił ciekawość kolegi.

– Wyjątkowo wredny typ, przy tym cholernie cwany. Typowy psychopata. Już jako dzieciak sprawiał kłopoty, ale podobno w porę się opamiętał. – Uśmiechnął się krzywo, dając do zrozumienia, że nie wierzy w owo opamiętanie. – W każdym razie ponoć nagle przycichnął, a potem był ten wypadek...

– Jaki? Czy to ma związek z jego twarzą?

– Miał siedemnaście lat, kiedy to się stało. Już wtedy był najwyższy w okolicy, krzepy też mu Bozia nie poskąpiła, dlatego nikt nie odważył mu się sprzeciwić, kiedy oznajmił, że ma zamiar się karnać nowym motocyklem kolegi starszego o dwa lata. Po prostu zabrał mu kluczyki i odjechał. Wcześniej robił tak z rowerami, więc nikogo to nie zdziwiło.

– Nie zgłaszali kradzieży? – zdziwił się Norbert.

Jagielski wyjaśnił, że owszem, znalazł się kiedyś jeden odważny. Poszedł na milicję ze skargą, ale zanim funkcjonariusze zdążyli podjąć

jakieś czynności, wrócił i wycofał zgłoszenie, tłumacząc, że nie usłyszał wołania kolegi, że na chwilę pożyczy sobie rower. Milicjantom wydało się co prawda podejrzanym, że po zaledwie półgodzinie poszkodowany wygląda, jakby brał udział w działaniach wojennych, ponieważ jednak chłopak się upierał, że spadł z odzyskanego roweru, stąd krwawiąca warga, limo pod okiem i rozbity łuk brwiowy, musieli odpuścić.

– Podejrzewam, że oprócz tego musiał im czymś grozić, bo po tym incydencie za bardzo się go bali, żeby się skarżyć. Dlatego nie pisnęli słowem, kiedy zabrał motocykl – opowiadał Jerzy. – Rafał Magiera, bo tak się ten miły młodzian nazywa, miał zwyczaj szpanować przed kolegami i wtedy też tak zrobił. Wracając z przejażdżki, wjechał całym pędem prosto na nich, by jak zwykle skręcić w ostatniej chwili, ale tym razem plan poszedł się paść, bo gdy tylko wyszedł z zakrętu i przyspieszył, pojazd nagle stanął dęba, a chłopaka wyrzuciło w powietrze. Upadł na drogę i niesiony impetem, szorował po żwirze dobre kilka metrów.

– Pięknie go załatwili. – Norbert aż się wzdrygnął. – Co to było? Sznurek?

W odpowiedzi Jagielski rozłożył tylko bezradnie ręce i dopiero ponaglące syknięcie zmusiło go do jej zwerbalizowania.

– Nie wiadomo. – Zauważył powątpiewanie kolegi i wyjaśnił: – Podejrzewaliśmy to samo co ty, ale kiedy patrol dojechał na miejsce, po żadnej sztucznej przeszkodzie nie było już śladu, a czterech nastolatków zgodnie twierdziło, że kolega jechał zbyt szybko i prawdopodobnie najechał na kamień. Nic więcej nie wiedzieli i nie dało się udowodnić, że mieli z tym coś wspólnego. Rafał przeleżał w szpitalu ponad miesiąc. Poskładali go, w miarę posklejali mu twarz, ale od tego czasu wygląda tak, jak wygląda.

– I co, zostawił to tak? Z tego, co mówiłeś, nie był zbyt prawomyślnym chłopakiem. Nie chce mi się wierzyć, że nie pomyślał o zemście.

– Oficjalnie nic nie zrobił, ale dziwnym trafem cała czwórka później uległa zastanawiającym wypadkom. Najgorzej dostało się właścicielowi motocykla, bo chłopak z nieznanых przyczyn wylądował wraz z pojazdem w Jeziorze Międzybrodzkim.

– Przeżył? – spytał krótko Swift.

– Przeżył, ale może byłoby lepiej, gdyby zginął na miejscu. Odniósł tak poważne obrażenia, że bardziej przypomina roślinę niż człowieka. Sprawcy nie znaleziono. – Głos Jagielskiego stwardniał. – Oczywiście pozostali trzej zgodnie twierdzili, że za przydarzającymi im się wypadkami stoi Magiera, ale nie sposób było to udowodnić, tym bardziej że chłopak na każde ze zdarzeń miał doskonałe alibi. Rodzinka i znajomi je potwierdzili, choć moim zdaniem byli zbyt zastraszeni, by stanąć przeciwko niemu.

– Pięknie – skomentował Norbert. – Teraz rozumiem, czemu nigdy nie udało się go wsadzić do pierdła.

– No właśnie. Kilka razy był przesłuchiwany w różnych sprawach, ale za każdym razem rodzina i sąsiedzi dawali mu alibi – wyjaśnił Jerzy z wyraźną złością. Po chwili dodał, na wypadek gdyby kolega nie pojawił, w czym rzecz: – Ci sami sąsiedzi, którzy twierdzili, że w chwili, gdy tamtym chłopakom coś się przydarzało, Magiera siedział w domu.

Odległość dzieląca budynek komendy od posesji Szpili nie była zbyt duża, toteż wkrótce dotarli na miejsce. Jagielski dość długo dzwonił, a gdy nikt nie otworzył, postanowił zajrzeć przez okno. Przed domem stał samochód Kamieńskiego, niestety przez szczelnie zasłonięte story nie byli w stanie niczego dojrzeć.

– Wracamy? Trzeba będzie przyjechać później.

Propozycja Swifta była całkiem rozsądna, a jednak kolega zareagował na nią gniewnym grymasem i ostrymi słowami:

– Nie ma mowy! – Zaraz się zreflektował i wyjaśnił powód: – Szpila nie lubi poruszać się na piechotę. Nawet do kiosku jeździ autem.

Wskazał charakterystyczną budkę, odległą od posesji o niespełna sto metrów, po czym podszedł do następnego okna. Tu również zasłony odgradzały wewnątrz od ciekawskich spojrzeń. Obeszli cały dom i stwierdziwszy, że na północnej ścianie znajdują się tylko trzy wąskie okienka, w dodatku zbyt wysoko nad ziemią, by można było zerknąć przez nie do środka, chcąc nie chcąc zdecydowali się na odwrót. Już mieli odejść, gdy Norbert zobaczył ukryte w niezauważonej wcześniej wnęce wąskie drzwi, idealnie wręcz zlewające się kolorem z szarością tynku. Podszedł do nich i z ciekawością złapał za klamkę.

– Hej, Jurek! – zawołał do znikającego za rogiem kolegi, gdy pod naporem dłoni drzwi ustąpiły. – Chodź tutaj szybko.

Jagielski natychmiast znalazł się koło niego.

– Co jest?

– Otwarte – stwierdził Swift lakonicznie. – Co teraz? Wchodzimy? Przydałby się nakaz... – wyraził niepewnym głosem swoje wątpliwości.

W odpowiedzi usłyszał pełne politowania prychnięcie, a zaraz potem słowa tłumaczące zachowanie Jerzego:

– Szpila jest bardzo ostrożny. Zawsze zamyka drzwi, w dodatku jakiś czas temu kazał zamontować alarm. Niby nic takiego, ale gdybyś wszedł bez wyłączenia, wycie byłoby słychać na całej ulicy. Poza tym to dalej jest przestępca, więc nie pierdol mi, z łaski swojej, o nakazie! Jasne, że wchodzimy, papier załatwi się później.

Norbert pomyślał przy tym, że kolega ma rację. Nakaz wcale nie był niezbędny, tymczasem on wykazał się nadmierną ostrożnością. Wszystko z powodu kilku uwag o rozbestwieniu funkcjonariuszy wcześniej służących w SB, bo choć dobrze wiedział, że nigdy nie przekroczył granic wyznaczonych przez prawo, jak ostatni kretyn przejął się głupią gadaniną. Skinął więc głową i nie protestując dłużej, ponownie sięgnął do klamki.

– Czekaj! – Jerzy przytrzymał go za ramię. – Ja pójdę pierwszy. Szpila mnie zna, nie zrobi nic głupiego na mój widok.

Na wszelki wypadek Jagielski dobył jednak broni. Pchnął uchylone skrzydło i cicho wsunął się do środka, a za nim podążył Swift, również dzierżący w dłoni pistolet. Cicho przemknęli wąskim korytarzem i znaleźli się w przedpokoju, ze względu na gabaryty i umeblowanie kojarzącym się im z poczekalnią. Norbert ogarnął zdziwionym wzrokiem dwa fotele po obu stronach wąskiego stolika, stojące na blacie butelkę wody mineralnej i dwie szklanki, później przeniósł go na aparat telefoniczny, umocowany na ścianie nad stolikiem. Miał zamiar skomentować ten wystrój, ale Jerzy dał mu znak, by go ubezpieczał, po czym ruszył pierwszy w stronę szeroko otwartych drzwi. Norbert podążył za nim.

Pokój był duży. Urządzony bogato, lecz z gustem, wyglądał jak tysiące innych w tych kraju i jedynym nietypowym elementem było ciało

mężczyzny leżące w kałuży krwi tuż obok ciężkiej komody.

Jagielski tylko rzucił okiem na leżącego.

– O kurwa! To Szpila!

Norbert już klęczał przy rannym mężczyźnie i wsunąwszy palce za kołnierzyk, sprawdzał puls.

– Jest tętno! Przynies apteczkę i dzwoń po pogotowie.

Stojący nad nimi Jerzy bez słowa zerwał się do biegu. W radiowozie złapał torbę ze znakiem czerwonego krzyża i wróciwszy do domu, rzucił ją Swiftowi, potem dopadł telefonu, wykręcił numer pogotowia i powiadomił o zdarzeniu. Po zakończeniu rozmowy już spokojnym krokiem poszedł do radiowozu, by wezwać ekipę techniczną, i wrócił do pokoju, gdzie kolega bezskutecznie usiłował przywrócić rannego do przytomności.

– Nic z tego nie będzie. – Ze zniechęceniem podniósł się z klęczek. – Nie sądzę, żeby dało się go uratować.

Odrzucił się, chcąc odejść, i wtedy od strony rannego doszedł go jakiś odgłos. Czym prędzej znów przy nim kucnął, z drugiej zaś strony do leżącego przypadł Jagielski i ujął w dłonie wiotką, bezwładną rękę.

– Trzymaj się, Janusz. Mów do mnie, nie zasypiaj – powtarzał w kółko, nie chcąc pozwolić, by ranny znów odpłynął w niebyt.

Szpila usiłował odpowiedzieć, lecz wargi poruszyły się ledwo zauważalnie i całkowicie bezdźwięcznie, a policjanci wymienili zrezygnowane spojrzenia. Szanse rannego spadały z każdą sekundą oczekiwania.

Na widok przymykających się powiek Norbert zdecydowanie kazał Jerzemu się odsunąć i sam zawisnął nad leżącym.

– Nie śpij! Słyszysz, Szpila? Nie wolno ci zasnąć, inaczej zdechniesz na tej podłodze. Kurwa, popatrz na mnie!

Powieki Janusza Kamińskiego drgnęły i lekko się uniosły, drgnęła też prawa ręka, podkurczając palce tak, że tylko środkowy pozostał wyprostowany. Na ten widok Norbert nie wytrzymał i parsknął urywanym śmiechem.

– Popatrz, Jurek, jaka uparta bestyja, ledwo toto dycha, ale tylko patrzy, żeby wetknąć szpilę. Takiego nawet siekierą nie zarąbiesz.

Kamieński ponowił próbę wypowiedzenia jakichś słów, lecz i tym razem bezowocną, w dodatku związany z tym wysiłek sprawił, że znowu stracił przytomność, a prowizoryczny opatrunek na piersi całkiem przesiąknął jasnoczerwoną krwią.

– Znajdź mi jakiś czysty ręcznik albo prześcieradło... cokolwiek! – polecił koledze Norbert. – Pospiesz się!

W akcie desperacji złapał jednorazową rękawiczkę i przyłożył do rany, po czym przycisnął mocno złożoną w kostkę, porządnie wykrochmaloną ścierką do naczyń. Przytrzymał ją do przyjazdu pogotowia i odsunął rękę dopiero na polecenie lekarza, który uniósł brwi na widok nietypowego opatrunku.

– Chyba ma przebite płuco – wyjaśnił komisarz.

Lekarz tylko skinął głową i całą uwagę poświęcił rannemu, co jakiś czas wydając sanitariuszowi jakieś polecenie. Do policjantów zwrócił się dopiero wtedy, gdy Szpilę transportowano do ambulansu, i zrobił to z zaskakującą wrogością. Niby nie mówił nic obraźliwego, ale ton głosu i ciskane spojrzenia nie pozostawiały żadnych złudzeń.

– Zabieramy go, ale na waszym miejscu nie robiłbym sobie większych nadziei. Ma pękniętą czaszkę, no i jeszcze ten wpływ krwi... Pomyśl z rękawiczką był całkiem niezły. – Popatrzył na Norberta nieco przychylniej, lecz zaraz wróciła poprzednia wrogość. – Wyrzuty sumienia, tak? Trzeba było o tym pomyśleć, zanim się strzeliło do bezbronного człowieka. Zomowskie metody, żeby was chuj...

Odwrócił się i ruszył do karetki, a policjanci podążyli za nim. Zaaplikowany rannemu zastrzyk musiał podziałać, bo w chwili, gdy miano wsunąć nosze do ambulansu, Kamieński nagle otworzył oczy i powiódł całkiem przytomnym wzrokiem po obecnych. Na widok Jagielskiego na jego twarzy odmalowała się ulga. Otworzył usta, spróbował coś powiedzieć...

Wysoki, napakowany sanitariusz na próżno starał się odgrodzić go ciałem od policjanta. Norbert bez wahania napał na niego, zmuszając do odstąpienia, a Jerzy błyskawicznie wykorzystał tę lukę i pochylił się nad noszami. Szpila znowu otworzył usta.

– Znajdź doktora – wychrypiał, po czym odpłynął na dobre.

Rozwścieczony lekarz kazał policjantom natychmiast się odsunąć i tym razem usłuchali bez sprzeciwów. Po uzyskaniu informacji, do którego szpitala Kamieński zostanie przewieziony, pożegnali załogę karetki i wrócili do radiowozu, by pogonić ekipę techniczną oraz załatwić dla Szpili ochronę policyjną.

Mężczyzna mieszkał co prawda w niezbyt gęsto zabudowanej części miasta, ale jak to zwykle bywa, wystarczył widok ambulansu, by przy bramie zebrała się całkiem spora grupa gapiów. Jeśli ten, kto zaatakował Janusza Kamieńskiego, był wśród nich, z pewnością już wiedział, że Szpila przeżył, a jeśli nawet odszedł, dowie się tego od pierwszego lepszego obserwatora. A wtedy może zechcieć dokończyć dzieła.

28 stycznia 1993, Wisła

Rajner ani myślał wysłać Fajlhauera aspirantowi Piontkowi na pożarcie bez wcześniejszej rozmowy. Przeczuwał, że chłopak nie ma nic wspólnego z zabójstwem kobiety, którą zwykł nazywać matką, musiał jednak znaleźć jakieś argumenty, nim otwarcie wystąpi przeciw koledze po fachu. W przeciwnym razie nie tylko nie pomoże Ditmarowi, ale także zaszkodzi sobie.

Początkowo chłopak nie był zbyt skory do ujawniania faktów ze swojej przeszłości, pomogło dopiero, gdy Milewski uświadomił mu istniejące zagrożenie. Dzięki temu Rajner wkrótce wiedział już, że stosunki między Marią a pasierbem układały się poprawnie, lecz chłodno i Ditmar nieraz cierpiał z tego powodu. Zauważył to już jako dziecko i nie rozumiał, czemu matka go nigdy nie przytula, odpycha, gdy przychodził do niej, łaknąc bodaj odrobiny czułości, i zamiast pocieszenia słyszy od niej jedynie połajanki.

Kilka razy pytał nawet ojca, czemu matka nie jest taka jak mamy kolegów, ale ten zawsze go zbywał komunałami, że chłopcy powinni być wychowywani twardo, by wyrosli na silnych mężczyzn, i nakazywał przestać się mazgaić. Rudolf Fajlhauer był typowym aż do bólu przedstawicielem swojego środowiska. W jego świecie wszelkie decyzje

podejmował zawsze mężczyzna, bo to on zapewniał byt rodzinie, do żony zaś należało wychowywanie dzieci, dbanie o dom i pilnowanie, by mężowi po przyjściu z pracy nic nie zakłóciło należnego mu wypoczynku. Do wychowania syna się nie wtrącał.

Nic więc dziwnego, że po kilku nieudanych próbach zwrócenia jego uwagi na zachowanie matki chłopiec odpuścił, pojawszy ich bezskuteczność, choć w głębi duszy czuł, że nie tak powinna wyglądać prawdziwa rodzina. Co z tego, że ojciec zarabiał lepiej niż dobrze i że nigdy, nawet w czasach kartek na żywność, niczego im nie brakowało? Wolałby nie mieć dzinsów z Peweksu i jeść paprykarz szczeciński zamiast bezkartkowej szynki, a mieć kochającą matkę i ojca dostrzegającego jego istnienie.

Po nagłej śmierci Rudolfa stosunki między Marią a Ditmarem gwałtownie się pogorszyły. Ona zaczęła go traktować z jawną niechęcią, a on najpierw kładł to na karb rozpaczony po śmierci męża, a gdy pojął, że wcale nie o to chodzi i kobieta jedynie objawiła wreszcie swoje prawdziwe oblicze, nie zawahał się odpłacać jej tym samym. Nowe przestronne mieszkanie, zakupione przez Rudolfa na krótko przed śmiercią, zamieniło się w pole bitwy na złośliwości i słowa raniące bardziej niż sztylety.

Dlatego Ditmar wcale nie był zdziwiony, gdy w trakcie rozprawy matka świadczyła przeciwko niemu, podając wyimaginowane przykłady niemoralnych zachowań syna. Twierdziła, że ją podglądał i że dochodziły ją słuchy, jakoby nagabywał koleżanki, namawiając je do seksu. Ocierając łzy, wyznała, że czuje się winna, bo nigdzie tego nie zgłosiła, ale to przecież jej syn. Nie mogła tego zrobić! Nie sądziła też, że chłopak posunie się aż tak daleko, gdy jednak usłyszała o zgwałceniu, nie mogła dłużej milczeć i poszła na milicję, bo na punkcie tej właśnie dziewczyny chłopak miał największą obsesję.

– Wszyscy jej uwierzyli – mówił Ditmar z goryczą. – Najpierw milicja i prokurator, potem sąd. W ich oczach byłem winny, a ja nie mogłem udowodnić, że ona kłamie. Zresztą byłem zbyt ogłupiały, nie mogłem pojąć, dlaczego to robi.

Chłopak zamilkł, chwycił stojącą przed nim szklanke i pił długo, łapczywie. Milewski obserwował go spod oka. Widział, ile kosztowały go

te zwierzenia, ale nie mógł teraz przestać, musiał wiedzieć więcej. Pochylił się w stronę Fajlhauera, popatrzył uważnie w jego twarz, by nie uронić najmniejszej zmiany jej wyrazu, i zapytał:

– Zgwałciłeś tę dziewczynę?

W oczach Ditmara rozgorzała wściekłość i zaraz zgasła, zastąpiona rezygnacją.

– Nie zgwałciłem.

Nie dodał nic więcej, lecz jego mina i ton głosu powiedziały podkomisarzowi więcej niż słowa. Najwyraźniej chłopak był zdania, iż wszelkie zapewnienia będą jedynie stratą czasu, bo i tak nikt mu nie uwierzy. Cóż, będzie musiał zweryfikować tę opinię.

– Co wtedy robiłeś? W czasie, gdy miało miejsce to zgwałcenie. Postaraj się sobie przypomnieć tamten dzień.

Ditmar wzruszył ramionami; widać było, że nie zamierza się nawet zastanowić, a co dopiero odpowiedzieć.

– Po co to panu?

Zacisnął wargi w wąską kreskę, na twarzy odmalował się wyraz uporu. Milewski miał ochotę nim potrząsnąć, mimo to zdobył się na spokój i nawet na lekki uśmiech.

– Nigdy nie słyszałeś, że policjanci pytają w kółko o to samo, bo nie są w stanie zapamiętać naraz tyłu słów? – Naraz uśmiech zniknął, a głos podkomisarza stwardniał: – Skoro pytam, to znaczy, że mam powód, jasne?

– Sprawa jest zamknięta – bronił się Ditmar. – Nie ma powodu do niej wracać. Odsiedziałem ponad trzy lata...

Urwał, gdy Milewski błyskawicznym ruchem znalazł się tuż obok i pochylając się groźnie, oznajmił lodowatym tonem:

– Nie ty będziesz oceniać, czy jest zamknięta. Gadaj albo zaraz napiszę ci taką opinię, że się rozpłaczesz.

Najwyraźniej groźba poskutkowała, gdyż Fajlhauer naraz zaprzestał oporu. Rzuciwszy policjantowi nienawistne spojrzenie, powiedział cicho:

– Byłem wtedy w domu, bo malowałem pokój. Nie wyszedłem nawet na chwilę i ona dobrze o tym wiedziała.

– Opowiedz dokładnie. Czyj to był pokój, jak długo go malowałeś i czy robiłeś jakieś przerwy? – uściślił pytanie Rajner.

– Malowałem duży pokój, który ona nazywała salonem. – Dało się zauważyć, że słowo „matka” nie chce Fajlhauerowi przejść przez gardło. – To była sobota, więc nie musiałem iść do pracy i dlatego zaraz po śniadaniu zabrałem się do malowania. Zacząłem przed ósmą, nawet kawę piłem przy robocie, bo tak mnie poganiała. Dłuższą przerwę miałem tylko na obiad, a skończyłem o siedemnastej pięćdziesiąt sześć.

Halina Kupczak została napadnięta po osiemnastej, dlatego Milewskiemu wcale nie wydało się podejrzane, że prowadzący śledztwo nie uznali alibi chłopaka za wiarygodne. Dziesięć godzin na pomalowanie jednego pokoju? Nawet po odliczeniu dłuższej przerwy na obiad i paru kilkunutowych na wizyty w toalecie czy na papierosa czas poświęcony na pracę wydał się podkomisarzowi stanowczo zbyt długi.

I to dokładne co do minuty określenie pory zakończenia robót, jakby od razu chciał podkreślić, że nie miał szans dotrzeć w poblizę dyskoteki, gdzie w okolicznych krzakach doszło do zgwałcenia. Żeby znaleźć się tam o odpowiedniej porze, musiałby zrezygnować z mycia i przebrania się i biec całą drogę, a i tak było wątpliwe, żeby zdążył. Co innego, gdyby zgodnie z tym, co zeznała Maria Sienicka, Ditmar zakończył malowanie dwie godziny wcześniej. Wtedy miałby dość czasu tak na kąpiel, jak na spokojne dojście do strażnicy, gdzie odbywała się dyskoteka. Tylko że tu także nie wszystko mu pasowało.

– Cholernie długo malowałeś ten pokój – odezwał się, gdy milczenie zaczęło już zbyt długo przeciągać.

Naraz przyszło mu do głowy coś, na co prowadzący śledztwo porucznik Tyczkowski chyba nie wpadł, gdyż w zdobytych przez Rajnera podręcznych aktach nie było śladu takiego pytania:

– Ile warstw położyłeś?

– Tylko jedną – odparł Ditmar, rozwalając tym samym najnowszą hipotezę podkomisarza. – Malowałem długo, bo robiłem to pierwszy raz w życiu, poza tym najpierw musiałem poodsuwać i pozakrywać meble, pozdejmować ze ścian milion obrazków i zasłonić podłogę. Ona miała mi pomóc, ale naraz zrobiło jej się słabo i musiała natychmiast się położyć. Aż się zdziwiłem, że miała dość siły, żeby zjeść obiad i resztę chleba na kolację.

Nuta ironii w głosie świadczyła, że chłopak nie uwierzył w złe samopoczucie matki, a Milewski pomyślał, że właściwie mu się nie dziwi. Winny czy niewinny, to głównie za jej sprawą Fajlhauer spędził ponad trzy lata w więzieniu. Dawało mu to również świetny motyw zabójstwa Marii Sienickiej, ale tę sprawę Rajner zostawił na później. Najpierw chciał wyjaśnić wątpliwości związane z pierwszą.

Ponownie zerknął do przesłanych mu telefaksem akt, przebiegł wzrokiem zeznanie Ditmara, zatrzymał go na zdaniu: „Poszedłem tylko na chwilę do sąsiada” i znów zastanowił go brak czynności sprawdzających odnośnie do tych słów. Przeczytał je głośno i odnotował błysk wściekłości w oczach chłopaka.

– O której tam poszedłeś i po co?

– W domu nie było chleba, a ja byłem wściekle głodny. Kiedy skończyłem malowanie, popatrzyłem na zegar, żeby sprawdzić, która godzina, bo sklep był czynny do osiemnastej. Stąd wiem, że było za cztery. Wkurzyło mnie, że się zagapiłem i przez to nie miałem szans zdążyć. Najpierw miałem zamiar iść na kolację do knajpy, bo aż mnie mdliło z głodu, ale nie bardzo miałem za co, na szczęście w porę sobie przypomniałem o nowym sąsiedzie.

– Czemu akurat nowym? – nie zrozumiał Rajner. – Nie prościej było pójść do kogoś znajomego?

Do tej pory był przeświadczony, iż Fajlhauerowie mieszkali w typowym spółdzielczym bloku, tymczasem z wyjaśnień Ditmara wynikało, że na krótko przed śmiercią ojciec kupił mieszkanie własnościowe w nowo powstałym budynku niemającym nic wspólnego z żadną spółdzielnią. Właścicielem była firma polonijna, która w przewidywaniu boomu mieszkaniowego postawiła na budownictwo i sprzedaż lokali. Te jednakże ze względu na duży metraż i wysoki standard kosztowały bardzo dużo, dlatego mimo sporego zainteresowania nie znajdowały nabywców.

– My wprowadziliśmy się jako pierwsi – opowiadał Ditmar. – To było tuż przed śmiercią taty, długo się tym mieszkaniem nie nacieszył. Zresztą ona ciągle miała do niego pretensje, że kupił je bez uzgodnienia, że jest za duże i w dodatku na czwartym piętrze, i nie pomogły tłumaczenia, że te na czwartym były najtańsze. – Zamilkł na

jakiś czas i spoglądał niewidzącym wzrokiem na pokrytą śniegiem ulicę widoczną z okien komisariatu. – Kiedy malowałem ten pokój, w całym budynku zasiedlone były tylko cztery mieszkania – podjął ze znużeniem. – Dwa na pierwszym piętrze wykupiono jakieś trzy miesiące wcześniej i ja tych ludzi w ogóle nie znałem. A sąsiad wprowadził się na dwa tygodnie przedtem. Pomagałem mu wnosić meble. Wydał mi się sympatyczny, dlatego do niego poszedłem.

– Długo tam byłeś?

– Kilka minut, tyle że zdążył mi odkroić ćwiartkę chleba. Zapraszał na kawę, ale byłem głodny, zmęczony i w roboczym ubraniu, więc powiedziałem, że wpadnę innym razem. Ale innego razu już nie było.

– Rozumiem. Jak ten sąsiad się nazywa?

– Pruchnol.

– Pruchnol – powtórzył Milewski i zapisał nazwisko. – Jak mu na imię? Trudno, to będzie musiało wystarczyć – mruknął na widok gestu przeczenia. – W takim razie powiedz mi coś o swojej nowej rodzinie.

– To nie jest moja rodzina – zaproponował natychmiast Ditmar.

W jego dwubarwnych oczach znowu błysnął gniew, widać było wyraźnie, że nie obdarzył sympatią ani ojczyzna, ani przybranego rodzeństwa. Rajner postanowił to wykorzystać; ludzie często mówią w złości rzeczy, których normalnie nigdy by nie powiedzieli. Szybko zadał następne pytanie:

– Kiedy matka wzięła ślub z tym facetem?

– Nie mam pojęcia. W sierpniu przyszła na widzenie. To było dziwne, bo wcześniej ani razu mnie nie odwiedziła. Kiedy ją zobaczyłem... – Ditmar urwał, potem machnął ręką i kontynuował z wysiłkiem. – Nieważne... Przyszła po to, żeby mi powiedzieć, że ponownie wyszła za mąż i że mam się więcej w domu nie pokazywać. Że ma teraz nową rodzinę, porządną i bogobojną, i że moja obecność przyniosłaby jej tylko wstyd. Zaraz potem odeszła i później już ani razu się nie pojawiła, więc wszystko było jasne.

– Ale ty jej nie usłuchałeś i po wyjściu z więzienia poszedłeś do domu – stwierdził policjant, obserwując go uważnie.

Chłopak w ogóle się nie zmieszał. Potwierdził krótkim skinieniem, po czym wyjaśnił obszerniej:

– Miałem tam swoje rzeczy, no i to było też moje mieszkanie. Powiedziałem to temu jej mężusiowi, kiedy usiłował mnie stamtąd wywalić. Że mam prawo do jednej czwartej majątku ojca i ona musi dać mi te pieniądze, chyba że przedstawi testament, w którym tata wszystko jej zapisał. Ale wtedy należy mi się zachówek, chyba że mnie wydziedziczył, ale do tego nie miał żadnych podstaw.

Ditmar uśmiechnął się na widok zdumienia Milewskiego, lecz nie był to uśmiech triumfu, przypominał raczej żaloszny grymas.

– Skąd o tym wiedziałeś?

– Taka przynajmniej była korzyść z więzienia, że w trakcie odsiadki trochę się w tej materii wyedukowałem.

– No tak – mruknął policjant. – Jak zareagowali?

– Oboje byli wściekli. Najpierw wrzeszczeli, że nie dostanę nic, ale potem zmienili zdanie, wystarczyło ich trochę postraszyć. Powiedziałem, że zgłoszę kradzież, bo z pokoju zniknęły wszystkie moje rzeczy – wyjaśnił chłopak, ujrawszy uniesioną brew Rajnera. – Zresztą pokój też już nie był mój, teraz mieszkał w nim ten jej nowy syn.

– Jaki on był? – spytał szybko Rajner.

Wiedział już, skąd Fajlhauer miał pieniądze na remont starego domu odziedziczonego po krewnej, wiedział także, że młody człowiek dysponuje na czas śmierci matki niezbitym alibi. Od świtu do zmroku pracował przy wyrębie, co potwierdzili cała ekipa oraz właściciel przedsiębiorstwa, a Rajner nie miał powodu, by im nie wierzyć.

Zwłaszcza temu ostatniemu, którego podkomisarz zdążył poznać dość dokładnie, stąd wiedział, że ogromny, groźnie wyglądający mężczyzna jest w gruncie rzeczy łagodny, a przy tym naiwny jak dziecko. Tadeusz Gruca nie umiał kłamać, a jeśli usiłował to robić, już po chwili zapominał o tym, co powiedział, wobec czego zaprzeczał swoim wcześniejszym słowom. Tym razem jednak trwał uparcie przy pierwszej i jedynej wersji zeznań – musiała być prawdziwa.

Rozdział 19

Prawdziwy potwór

28 stycznia 1993, Bielsko-Biała

Poszukiwania Pumeksa nie przyniosły żadnego efektu. Sąsiedzi niechętnie wpuszczali funkcjonariuszy do mieszkań, a gdy już nie mieli innego wyjścia, nabierali wody w usta. Widać było wyraźnie, że są zastraszeni tak bardzo, iż żadna siła nie zmusi ich do bodaj przyznania, że znają Rafała Magierę lepiej niż tylko z widzenia. O tym, żeby zdradzili jego miejsce pobytu, w ogóle nie mogło być mowy.

Rodzice twierdzili z uporem, że nie widzieli go od wielu dni i nie mają pojęcia, gdzie mógłby przebywać. Zbigniew Magiera, początkowo przyjazny i jowialny, po usłyszeniu imienia syna zmienił się diametralnie i teraz sprawiał wrażenie kogoś, kto tylko siłą woli powstrzymuje się od wyrzucenia nieproszonych gości za próg.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – mówił, łypiąc przy tym gniewnie na żonę, jakby chciał wzrokiem zmusić ją do milczenia. – Nie mogę wam pomóc. Wyprowadził się z miesiąc temu i nie podał nowego adresu.

– Dziwne, że panu nie powiedział.

Jagielski popatrzył sceptycznie, co w żaden sposób nie wpłynęło na zmianę nastawienia rozmówcy, zwiększyło natomiast jego niechęć do udzielania informacji. Naciskany przez komisarza, w końcu się zdenerwował.

– Dajcie mi święty spokój! Rafał jest dorosły, nie musi mi się spowiadać, a ja nie odpowiadam za to, co zrobił. Jeżeli coś do mnie macie, to mnie zamknijcie, a jak nie, to koniec rozmowy. To już nie te

czasy, że milicja mogła się we wszystko wpierdalać i bezkarnie gnębić obywateli. Teraz mamy wolność.

Odwrócił się do nich tyłem, dając tym samym znak, że rozmowa rzeczywiście jest skończona. Stali jeszcze chwilę, gdy jednak pojęli, że nie zmieni zdania, pożegnali się i wyszli. Jerzy skręcił w stronę sąsiednich drzwi, do których wcześniej nie dzwonili, Norbert ruszył natomiast w stronę schodów, a na pytające spojrzenie kolegi odpowiedział krótko, nie wdając się w szczegóły:

– Idź sam. Chcę jeszcze coś sprawdzić.

Przeczuwał, że wypytywanie kolejnych sąsiadów będzie tylko stratą czasu. Z tego, co dowiedział się o Magierze, wszyscy byli za bardzo zastraszeni, by zdradzić, gdzie przebywa lub cokolwiek innego na jego temat.

Zbiegł po schodach w stronę drzwi prowadzących na podwórze. Było małe i ponure i oprócz kubłów na śmieci oraz walających się starych zdezelowanych mebli, wiader i pustych kartonów nie zobaczył tam nic ciekawego. Pomyślał, że nie przyszedł tu dla podziwiania widoków, toteż ze spokojem przysiadł na stojącym przy murze rozchwianym taborecie i zapalił papierosa. Jeżeli nie pomylił się w rachubie, będzie musiał trochę poczekać.

Pojawiła się szybciej, niż się spodziewał. Właśnie zadeptywał niedopałek, gdy z kamienicy wyszła Magierowa z wypełnionym śmieciami wiaderkiem. Przystanęła i rozejrzała się czujnie. Najwyraźniej uspokojona, skinęła nieznacznie na komisarza i ruszyła wzdłuż ściany budynku ku niezbyt głębokiej wnęcie w murze, wyglądającej jak pozostałość po zamurowanych kiedyś drzwiach.

– Wolę, żeby nikt nas nie widział – wytłumaczyła, gdy znalazł się obok niej. – Nie chcę mieć kłopotów.

Poczuł się głupio, że tak sobie siedzi, podczas gdy kobieta mogąca być od biedy jego matką musi stać niczym uczennica wezwana do odpowiedzi. Czym prędzej ustąpił jej miejsca, a gdy zawahała się, podszedł do sterty starych mebli i wyciągnął krzesło z rozchwianym oparciem i wyliniałą, niegdyś pluszową tapicerką.

Przeniósł je pod mur, ustawił obok taboretu i właśnie się zastanawiał, czy siadając, nie przyklei się trwale do brudnego siedziska, kiedy

Magierowa wyjęła z wiaderka zwiniętą w rulon gazetę. Norbert podziękował jej wzrokiem i zasłonił papierem wyświechtany plusz. Usiadł i podsunął paczkę americanów.

– Czemu się go pani boi? – spytał, gdy już oboje delektowali się aromatycznym dymem. – Czy syn panią bije?

Spodziewał się potwierdzenia, lecz kobieta go zaskoczyła.

– Syn? – zdumiała się szczerze. – Skądże, Rafał nigdy by mi nic nie zrobił. On nie jest zły, to tamtego się boję.

Skierowany ku górze palec nie pozostawiał wielkiego pola dla wyobraźni.

– Maltretuje panią – bardziej stwierdził, niż zapytał Norbert. – Chce pani to zgłosić? Mogę załatwić pomoc, miejsce w ośrodku...

– Nie, no co pan!

Wydawała się wręcz zgorszona sugestią, na co Norbert cicho westchnął. Kiedyż wreszcie kobiety zmieniają swoją mentalność, rozumieją, że wbrew naukom od lat wpajanym im przez rodziców i księży nie muszą być podnóżkiem, workiem treningowym i służącą w jednym? Miał ochotę zdrowo potrząsnąć Magierową albo przynajmniej głośno wrzasnąć, ale zdołał zapanować nad emocjami i wrócił do meritum:

– Pani wie, dokąd Rafał się przeprowadził – oświadczył z pewnością siebie, której wcale nie czuł.

– Naprawdę nie wiem, gdzie teraz mieszka. Wyprowadził się krótko przed świętami, nawet nie mogłam się z nim opłatkami przełamać.

Oczy kobiety wypełniły się łzami, pociągnęła nosem. Sięgnęła po chusteczkę i mruknąwszy niewyraźnie, że to z powodu kataru, ukryła w niej twarz.

Niechęć do okazania słabości przekonała komisarza, że kobieta mówi prawdę, mógłby zatem zakończyć rozmowę, a mimo to pozostał na miejscu. Okazja, by dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym Pumeksie, była zbyt dobra, żeby z niej rezygnować.

– Czemu syn się wyprowadził?

– Pokłócili się i mój mąż go wyrzucił. – Magierowa zauważyła minę policjanta i sarknęła gniewnie. – Niech pan tak nie patrzy, wiem, co mówię. Rafał przyprowadził wtedy do domu dziewczynę. Miła,

sympatyczna, nawet ładna. Ucieszyłam się, bo od wypadku, wie pan, od kiedy ma taką twarz, z żadną się nie spotykał. Wszystko było dobrze, dopóki nie powiedział, że Tyna zostanie u nas na noc. Wtedy mój stary wpadł w furję.

– Czemu? – dociekał Norbert.

– Bo mu odwaliło na punkcie religii. Zgłupiał na starość, wydaje mu się, że przez latanie po trzy razy dziennie do kościoła i pouczanie innych dostanie się do nieba. Stary dureń – podsumowała pogardliwie.

– A w tamten wieczór się wściekł na Rafała, że psuje mu opinię, sprowadzając do domu jakąś wywłokę. Ona zaczęła płakać, chciała wyjść i wtedy syn mu się postawił, powiedział, że ma się zamknąć, bo jak nie, to wepchnie mu te słowa do gardła razem z tym parszywym jęzorem. Stary zgłupiał, bo to było pierwszy raz.

Coś w słowach kobiety uderzyło Norberta, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zwłaszcza że było to tylko ulotne wrażenie, które zaraz się rozwiało. Doszedł do wniosku, że będzie musiał później dokładnie przemyśleć tę sprawę, na razie jednak musiał wysłuchać opowiadania Magierowej.

– Co mąż wtedy zrobił?

– To, co zawsze. – Wzruszyła ramionami. – Wrzeszczał, że nie pozwoli na żadne bezeceństwa pod jego dachem i że gdyby nie była wywłoką, to nie chciałyby spać z chłopakiem bez ślubu. Powiedział, że tylko kurwy idą z chłopem do łóżka bez sakramentów, i nie uwierzył, kiedy go zapewniała, że ona i Rafał wcale ze sobą nie śpią w tym sensie, o jakim on myśli. Powiedział, że jest nie tylko kurwą, ale i kłamczuchą.

– Jak syn na to zareagował?

– Nazwał go hipokrytą, który wytyka innym grzechy, chociaż sam je popełnia, a potem kazał mu przeprosić Tynę. Wtedy mąż go uderzył.

Norbert domyślał się finału zajścia, nie przypuszczał bowiem, żeby tak mściwy człowiek jak młody Magiera przeszedł do porządku dziennego nad podobną zniewagą. Zapewne rzucił się na ojca, doprowadzając do bójki.

– Rafał mu oddał? – zapytał, chcąc to usłyszeć z jej ust.

Kobieta wyglądała na zbulwersowaną takim posądzeniem.

– Oszalał pan?! On nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Chwycił tylko ojca za rękę i powiedział, że więcej nie pozwoli się bić i następnym razem mu odda. Mąż kazał mu się wynosić i wtedy widziałam syna ostatni raz.

– Tak po prostu wyszedł? – nie dowierzał komisarz.

– Co pan by zrobił na jego miejscu? – spytała z gniewem. – Gdyby panu słyszał takie słowa jak Rafał?

– Jakie słowa? – dociekał Norbert.

– „Zabieraj ze sobą tę swoją kurwę i wypierdalaj. Nie chcę cię tu więcej widzieć, ty potworze, bestio z piekła rodem”. – Kobieta powtórzyła słowa męża, po czym dodała: – Na koniec jeszcze powiedział, że Tyna też niedługo będzie miała dosyć patrzenia na jego ohydną gębę i znajdzie sobie innego frajera.

Swifta ogarnęło współczucie dla młodego mężczyzny, który co prawda nie był wzorowym obywatelem, ale pewnością nie zasługiwał na takie słowa. Nikt nie zasługiwał, a już na pewno nie od człowieka, od którego miał prawo oczekiwać wsparcia i zrozumienia.

– Miała pani rację – powiedział cicho. – Też bym odszedł i nigdy już nie wrócił. Nie po takich słowach.

– On jeszcze o tym nie wie, ale odchodzę od niego. W poniedziałek przyjedzie brat, żeby zabrać moje rzeczy. Wolę mieszkać u kogoś niż na swoim, ale z nim.

Zaskoczyła komisarza do tego stopnia, że zagapił się na nią bezmyślnie, nie wiedząc, jak zareagować. Kobieta jednak nie oczekiwała odpowiedzi. Uśmiechnęła się smutno i mówiła dalej, cicho, jakby do siebie:

– Mój syn popełnił wiele błędów. Z głupoty, z chęci zaimponowania kolegom... Ale już za to zapłacił, w dodatku bardzo wysoką cenę. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu go szukacie, ale wiem, że na pewno nie zrobił nic złego. Czemu nie pozwolicie mu żyć w spokoju? Mąż nie ma racji, Rafał nie jest żadnym potworem.

– Z tym się zgodzę – odpowiedział równie cicho Norbert. – W waszym domu mieszka tylko jeden potwór.

29 stycznia 1993, Żywiec

Rozmowa z Przemysławem Piontkiem wniosła do sprawy niewiele, pomogła za to Jagielskiemu utwierdzić się w przekonaniu, że Milewski miał rację. Aspirant naprawdę był kretynem. Co gorsza, kretynem z ogromnymi ambicjami i jeszcze większym ego, a to na ogół nie kończyło się zbyt szczęśliwie.

– W sprawie rodziny Ditmara Fajlhauera? – powtórzył Piontek z tak niebotycznym zdumieniem, że w pierwszej chwili odjęło im mowę. Wykorzystał to i mówił dalej, wyraźnie napawając się dźwiękiem swojego głosu. – Nic mi o niej nie wiadomo. I bardzo dobrze. Prowadzę sprawę o zabójstwo – wyjaśnił z tak dumną miną, jakby ten fakt stanowił w ich pracy coś niespotykanego, a śledztwo było wielkim wyróżnieniem. – Właśnie dopinam sprawę na ostatni guzik i nie mam teraz czasu na głupoty. Musicie przyjechać innym razem.

Jerzy wymienił z Rajnerem porozumiewawcze spojrzenie, na co zadufany w sobie aspirant nie zwrócił uwagi, zajęty demonstracyjnym przerzucaniem kart wpiętych w kartonową teczkę. Wyjątkowo cienką jak na akta śledztwa w sprawie zabójstwa, co od razu zwróciło ich uwagę. Jagielski nie byłby sobą, gdyby nie spróbował zachwiać bodaj trochę pewnością siebie Piontka. Nie znosił takich ludzi.

– Masz na myśli zabójstwo Marii Sienickiej?

W aspiranta jakby piorun strzelił. Najpierw pobladł, gwałtownie podrywając się z krzesła, po czym opadł na nie na powrót, a jego policzki zabarwiły się ciemną czerwienią. *Jeszcze moment, a go tu szlag trafi* – pomyślał Jerzy bez cienia współczucia.

Piontek, od dłuższej chwili usiłujący coś powiedzieć, wreszcie zdołał zwerbalizować kłębiące się w nim uczucia:

– Skąd o tym wiecie?! Kto wam, kurwa, doniósł? Pewnie ten chuj Rohatyński, kutas tylko patrzy, żeby mi nogę podstawić. Ale ja tego tak nie zostawię, jeszcze się zdziwi, jak go naczelnik wezwie na dywanik.

– Skończyłeś? – spytał zimno Jerzy, gdy aspirant przerwał wyrzekania, bo zabrakło mu tchu. – To teraz posłuchaj, bo my też nie mamy czasu. Nie znam żadnego Rohatyńskiego i nie interesuje mnie, co o nim myślisz. Za to interesuje mnie nowa rodzina Fajlhauera.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Jagielski z pewnością leżałby już u stóp urażonego w swej dumie rozmówcy. Skoro jednak pełne wrogości spojrzenie nie wyrządziło mu żadnej krzywdy, Piontek wyraził swoje uczucia poprzez ich zwerbalizowanie, przy czym mniej ważny był tutaj sens słów. Bardziej liczył się ton wypowiedzi, jęczący i pełen pretensji.

– Mówiłem już, że nie wiem o żadnej rodzinie. Przeszkadzacie mi, a mam bardzo dużo pracy. I jeszcze muszę pojechać do Wisły.

– Po co do Wisły? – spytał Rajner z zaciekawieniem, z trudem hamując śmiech na widok jego zbolalej miny.

– Bo tamtejsi policjanci to jakieś lebiegi. Zamiast zatrzymać podejrzanego, tłumaczą się złą pogodą, jakby Wisła leżała gdzieś na Antarktydzie. Wczoraj wysłałem do komendanta telex z ponagleniem i ostrzegłem, że jeżeli dzisiaj do dziesiątej nie dostarczą mi Fajlhauera w kajdankach, to się zażalę – skarżył się, nie zważając przy tym, że zdradza informacje, które przedtem chciał zachować w tajemnicy.

Jagielski miał już serdecznie dość słuchania jęcząco-napastliwego głosu. Porozumiawszy się wzrokiem z kolegą, postanowił zmierzać do sedna, jakkolwiek to wcale nie oznaczało, że nie miałby wcześniej trochę się z Piontkiem podroczyć.

– I co, dostarczyli?

– No właśnie nie! – wrzasnął rozeźlony aspirant. – Ten podkomisarz Milewski to taki sam tłuk jak jego podwładni. Ktoś taki w życiu nie pojmie powagi sytuacji, dlatego muszę się pofatygować i pojechać tam osobiście.

– Aż tak? – zdziwił się Jerzy. – A gdzie *pluralis maiestaticus*?

Zdezorientowany Piontek popatrzył na niego bez zrozumienia.

– Prula co?

– *Pluralis maiestaticus* – powtórzył uprzejmie komisarz i objaśnił: – Oznacza to liczbę mnogą używaną przez monarchę dla podkreślenia swojej ważności.

– Jaja sobie robisz?! – wrzasnął Piontek, lecz Rajner zaraz mu przerwał, tłumacząc tak samo uprzejmie, jak przed chwilą Jerzy:

– O tym, że musisz osobiście pojechać do Wisły, powiedziałaś z takim namaszczeniem, że też mi to zgrzytnęło. Lepiej by zabrzmiało, gdybyś powiedziała: „My, aspirant Piontek, musimy się tam udać własną osobą”.

Miał zamiar powiedzieć to ze stosowną powagą i patosem, niestety jeden nieopatrzny rzut oka na duszącego się ze śmiechu kolegę wystarczył, by plan spalił na panewce, bo końcówka wypowiedzi uwięzła w niekontrolowanym wybuchu wesołości. Niemniej sens musiał dotrzeć do adresata, aspirant poczerwieniał bowiem jeszcze bardziej i nadał się tak, iż groziło to pęknięciem. Przezornie wycofali się na korytarz.

– Co teraz? – spytał Jerzy.

Rajner obserwował bez większego zainteresowania wysokiego sierżanta z prewencji, zmagającego się z dziewczyną wyglądającą jak panienka ze szlacheckiego dworku. Momentami musiał ją nieść, gdyż nie przejawiała ochoty do współpracy. Otworzył jakieś drzwi i pociągnął ją do środka, a wtedy obrzuciła go takimi wyzwiskami, że chyba nawet fornał z owego dworku zawahałby się przed ich wymówieniem.

– To był twój pomysł, żeby pogadać z Piontkiem – wytknął koledze. – Ten debil chyba naprawdę nic nie wie o nowej rodzinie Sienickiej.

– Za to wie, że podkomisarz Milewski jest tłukiem, a to już coś – odgryzł się Jagielski. – Nie jest z nim aż tak źle.

Oderwał się od ściany i ruszył w stronę schodów, ale Rajner nie tylko za nim nie podążył, lecz chwycił go za rękaw kurtki, nie pozwalając odejść.

– Czekaj, musimy się zastanowić. Na własną rękę długo nie podziałamy, na pewno od razu znajdzie się jakaś gnida i doniesie. Trzeba to załatwić oficjalnie, tylko nie bardzo wiem, z kim gadać. Znasz tu kogoś?

W tejże chwili zobaczył, że na korytarz wyszedł obserwowany poprzednio sierżant, tylko że teraz bez balastu w postaci opierającej się dziewczyny. Za sierżantem wyszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu.

– Ej, Rohatyński, nie chciałbyś przejść do nas?

Zagadnięty na moment przystanął, lecz zaraz ruszył przed siebie, zmierzając w ich stronę, przez co wyraz niesmaku na jego twarzy był doskonale widoczny. Dochodząc do Rajnera, odezwał się półgłosem, jakby do siebie:

– Wolałbym opróżniać zbiorniki z gównem. Jebane hieny!

Spojrzał wstecz przez ramię i omal nie wpadł na podkomisarza, który niespodziewanie zastawił mu drogę.

Sierżant okazał się prawdziwą skarbnicą wiedzy o prowadzonej przez Przemysława Piontka sprawie. Z pewnością wiedział więcej od aspiranta, który, tak jak podejrzewali, uczeplił się jednego podejrzanego i prowadził śledztwo wyraźnie przeciwko niemu, lekceważąc inne tropy.

Najpierw postawił na Pruchnola, bo ten nie dość, że miał pecha znaleźć zwłoki Marii Sienickiej, to jeszcze Piontek dokopał się do jego kartoteki. Niezbyt co prawda bogatej i dość nieaktualnej, bo od blisko dziesięciu lat Pruchnol ani razu w niczym nie podpadł stróżom prawa, ale wystarczył sam fakt jej istnienia. Na tej podstawie Piontek zarzucał nieszczęsnemu znalazcy zwłok sąsiadki, że zabił ją, gdy przyłapała go na plądrowaniu mieszkania. Żadna siła nie mogła przekonać aspiranta, że popełnia błąd, i pomogła dopiero interwencja Rohatyńskiego u prokuratora.

– Gdyby nie prokurator Biskup, ten debil pewnie doprowadziłby do postawienia Pruchnolowi zarzutów, bo nawet brak dowodów traktował jako okoliczność obciążającą.

– Nie wiedziałem, że Achimek nadzoruje z ramienia prokuratury to śledztwo – przyjemnie zdziwił się Rajner. – Zamiast tracić czas na rozmowę z tym przygłupem, mogliśmy od razu pogadać z Biskupem. Byliśmy razem w bidulu. To on mi przesłał tamte dane – odpowiedział dość oględnie na niezadane pytanie Jerzego.

Nie znał Rohatyńskiego i choć sierżant wydawał się porządnym człowiekiem, Milewski nie ufał mu na tyle, by przyznawać się przed nim do nieregulaminowych działań, w dodatku takich, w które był zamieszany przedstawiciel prokuratury. Przyrzekł Achimkowi dyskrecję i zamierzał słowa dotrzymać.

Jagielski wykazał się dużo mniejszym entuzjazmem i nie omieszkał przedstawić koledze swoich argumentów.

– No nie wiem, czy współpraca z prokuraturą to taki dobry pomysł – mruknął z wyraźnie słyszana niechęcią. – Jeszcze nie słyszałem, żeby

jakiś gliniarz wyszedł dobrze na przyjaźni z prokuratorem. I jeszcze ten Biskup...

– Wiesz coś o nim?

Ton Milewskiego nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że pod słowem „coś” podkomisarz rozumie jakieś niezbyt ładne postępowanie. Czuł się zaskoczony i rozczarowany, dotąd bowiem uważał kolegę z dzieciństwa za „jedyne go sprawiedliwego”. Ku jego uldze i niekłamanemu zadowoleniu Jerzy pokręcił głową, zaraz jednak podał powód swoich wątpliwości:

– Przekazał ci tamte dane i ani pisał, że nadzoruje sprawę zabójstwa Sienickiej, a przecież w obu śledztwach powtarza się to samo nazwisko. Nie wierzę, że go nie skojarzył, bo ilu może być w Żywcu Fajlhauerów?

O tym Rajner w ogóle wcześniej nie pomyślał i teraz zrobił niezbyt mądrą minę. Zanim jednak zdążył się odnieść do słów kolegi, wyręczył go w tym Rohatyński.

– To akurat w ogóle mnie nie dziwi, bo jak znam życie, Piontek nic o nim Biskupowi nie powiedział. On koniecznie chce się wybić, żeby ludzie zapomnieli o przeszłości, a że jest przy tym idiotą, to takie potem są efekty.

W kilku słowach naświetlił skomplikowaną sytuację, nie omieszkał też wspomnieć o w dalszym ciągu dość niepewnej pozycji Piontka w wydziale.

– Uważasz, że celowo zataił przed prokuratorem wyniki śledztwa, żeby Biskup, broń Boże, nie odebrał mu sławy?

Pełne niedowierzania pytanie Jagielskiego nie wywarło na sierżancie większego wrażenia. Przytaknął, po czym wyjaśnił:

– Piontek był wściekły, że wspomniałem Achimkowi o jego podejrzeniach względem Pruchnola. Powiedział wtedy, że ani myśli dzielić się sukcesem z jakimś bubkiem z prokuratury. Że Biskup dowie się o wszystkim, kiedy śledztwo zostanie dopięte na ostatni guzik, a podejrzany wyląduje w izbie zatrzymań.

Wyraźnie uspokojony Jerzy przeniósł wzrok na Rajnera.

– Proponuję się rozdzielić. Ja muszę wracać, bo jestem umówiony z kapitanem Zemankiem, ale ty mógłbyś zostać i odwiedzić tego Pruchnola. Jak skończysz, to zadzwoń, podeślę po ciebie jakieś auto.

– Nie trzeba – włączył się Rohatyński. – Pojadę z nim do Pruchnola, a potem odwiozę. Mieszkam w Łodygowicach, daleko do Bielska nie mam.

Rozdział 20

Kim jest Doktor?

29 stycznia 1993, Bielsko-Biała

W radiowozie panował przeraźliwy chłód, gdyż ani na moment nie włączyli ogrzewania, by nie zwiększać zużycia paliwa. Przysługujący na styczeń limit wyczerpał się już dawno i funkcjonariusze albo musieli tankować za swoje pieniądze, albo jechać do obsługi zdarzenia autobusem. Na uwagi podwładnych przełożeni tylko bezradnie rozkładali ręce i na gwałt szukali sponsorów pośród biznesmenów, którzy w nowej rzeczywistości wyrastali niczym grzyby po deszczu. Niestety często żywot ich przedsiębiorstw był równie krótki, jak żywot grzybów, a wówczas niejednokrotnie zamiast obiecanych pieniędzy policjanci zyskiwali tylko kłopoty.

– Kurwa mać, zimno tu jak w zamrażarce – narzekał Jagielski. – Chodźmy lepiej do domu. I tak są tam nasze ślady.

Wysiadł. Norbert zrobił to samo, lecz przystanął obok radiowozu i wyjął z kieszeni kurtki paczkę klubowych.

– Mam nadzieję, że Szpila przeżyje – mruknął, zaciągając się papierosem. – Myślałem, że jednak coś nam powie. Szkoda...

– Przecież powiedział – sprzeciwił się Jerzy.

– No, faktycznie powiedział. – Oczy Swifta błysnęły ironią. – Kazał ci znaleźć lekarza, jasny chuj by go strzelił! Tak liczyłem na jego zeznanie, byłem pewien, że wsadzę sprawcę, a ten baran nawet nie skumał, kto udziela mu pomocy.

Wiedział, że to, co powiedział, było bezduszne, i gdyby słyszał go tamten litujący się nad przestępcami doktorek, zyskałby kolejny dowód bezwzględności policjantów. Ale było mu już wszystko jedno, zawód okazał się zbyt wielki.

– Zwariowałeś? Nie mów tak! Przecież...

– Wiesz co, Jurek? – bezpardonowo przerwał koledze. – Mam w dupie, co o mnie myślisz. Katon się, kurwa, znalazł! Ale ciekaw jestem, czy też byłbyś taki mądry, gdyby na miejscu Apolonii była twoja córka! Postaw Alicję na miejscu Lońki, a dopiero potem mnie pouczaj, co powinienem mówić, a czego nie.

Cofnął się o krok, odrzucił niedopałek i łypiąc wściekle na Jagielskiego, oczekiwał fizycznego ataku. Tymczasem nie nastąpił nawet słowny, Jerzy bowiem, gdy już się otrząsnął z chwilowego osłupienia, wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Idiota – wydusił z siebie po dość długim czasie. – Wcale cię nie pouczałem, nie o to mi chodziło! Żle mnie zrozumiałeś, i Szpilę też. On mi nie kazał szukać lekarza, tylko Doktora. To taka ksywa, kapujesz?

Do Norberta wreszcie dotarło, jak bardzo się wygłupił. Zmieszany, wybąkał nieskładne słowa przeprosin, na szczęście Jerzy nie zwykł pielęgnować urazy. Walnął go po przyjacielsku w plecy i pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym ruszył w stronę domu. Zaledwie kilka kroków dzieliło ich od wejścia, gdy rozległo się wycie policyjnej syreny, a szarość deszczowego dnia rozjaśniły niebieskie błyski.

– „W rynku syren jęk, na jezdni żółty kurz, niebieska szklanka miga, blacharnia Ziutka zwija już”^[2] – zanucił Norbert ku uciechu kolegi. Obaj uwielbiali piosenki śpiewane przez Jacka Kaczmarskiego.

Wraz z technikiem przyjechał prokurator, co oszczędziło im czekania, mogli od razu zreferować sprawę i poznać oczekiwania nadzorującego śledztwo. Los im sprzyjał – do zdarzenia został przydzielony ten sam prokurator, który miał nadzór nad śledztwem w sprawie zabójstwa Teodora Kozińca. Był rozsądny, nie czepiał się nieistotnych szczegółów i co najważniejsze, pozwalał policjantom na daleko idącą samodzielność. Niemniej w pierwszej chwili na jego widok nie poczuli zadowolenia, lecz konsternację.

– Co tak na mnie patrzycie, jakby mi fiut na gębie urósł? – spytał po przywitaniu.

– Bo mówił pan, że mam dzisiaj nie przyjeżdżać, bo nie ma pan czasu – wytknął Jagielski ze źle skrywaną pretensją.

– Reklamacje proszę składać do tego barana od alarmu bombowego – odparował Woźniak. – Nic nie wiecie? Jakiś kretyn zadzwonił na dziewięć-dziewięć-siedem i poinformował uprzejmie, że w sądzie została podłożona bomba. Pewnie jak zwykle pic na wodę, ale sprawdzić trzeba, dlatego odwołano wszystkie rozprawy.

Policjanci wymienili spojrzenia. Jak pech, to pech, teraz trzeba będzie jakoś z tego wybrnąć. Mocą milczącego porozumienia ciężar wyjaśnień wziął na siebie Swift, a prokurator niechętny mu to ułatwił, pytając o sprawę ataku na Kamińskiego.

Norbert zwięźle przedstawił relację Apolonii o zdarzeniach w ogrodzie Ochabczyka, prześlizgnął się gładko przez sporządzanie portretów pamięciowych i szybko przeszedł do identyfikacji osobników uwiecznionych przez Petrę. Miał zamiar zrobić wszystko, by dotrzymać danego dziewczynce słowa. Jak na razie zamiar się powiódł, ponieważ Woźniaka dużo bardziej zainteresował fakt, że jednym z mężczyzn opisanych przez Apolonię był Pumeks, tak długo wymykający się organom ścigania.

– Samo zeznanie trzynastolatki nie wystarczy – rozmyślał głośno. – Przydałby się jakiś twardy dowód. U Ochabczyka znaleźliśmy ślady paluchów i spermę. Można coś z tego dopasować do Pumeksa?

– Nasienie prawdopodobnie należało do ofiary – włączył się Jagielski. – Grupa krwi się zgadza, a jak pan pewnie pamięta, denat miał na sobie tylko koszulkę. Spodnie i majtki leżały na podłodze obok fotela, więc wygląda na to, że Koziniec tuż przed śmiercią trzepał kapucyna. Co do paluchów, to jeszcze nie sprawdziliśmy, bo...

Ale prokurator nie był ciekaw powodów. Machnął ręką i przerwał komisarzowi pytaniem o Kamińskiego.

– Czy ten Szpila z tego wyjdzie? Jakie są rokowania?

– Niezbyt pomyślne. Lekarz nie dawał zbyt wielkiej nadziei, ale może chciał nas tylko postraszyć i wywołać wyrzuty sumienia.

Ubawiony Norbert opowiedział o rzuconym niemal wprost oskarżeniu, ale Woźniakowi wcale nie było do śmiechu.

– Już ja sobie z nim pogadam! Mało nam mafii i innych bandziorów? Korupcja kwitnie, wszędzie jakieś przekręty, a robić nie ma kim, bo połowa młodziaków nie umie się zdecydować, po której stronie prawa stanąć, to jeszcze taki debil nam dokłada i gnoi uczciwych policjantów. To się, kurwa, zdziwi!

Nie mieli pewności, czy lekarz rzeczywiście się zdziwi, natomiast sami byli zaskoczeni, nigdy dotąd się bowiem nie zdarzyło, by prokurator wziął w obronę policjanta. Przeciwnie, w przypadku spornych kwestii niemal zawsze stawali po stronie przeciwnika, przez co funkcjonariusze nieraz się zastanawiali nad sensem swojej pracy.

– Mam nadzieję, że Kamieński przeżyje. – Jagielski przerwał zapadłą nagle ciszę. – Nie wierzę, że brał udział w zabójstwie. To taki przestępca dżentelmen, jako jeden z ostatnich trzyma się sztywno zasad, o których mało kto dzisiaj pamięta.

– Chyba jednak się nie trzyma – zaoponował Woźniak. – Donoszenie na kumpli raczej się nie mieści w kanonie dozwolonych działań.

– Na kumpli nie – zgodził się komisarz. – Ale Szpila na kumpli nie donosił, podawał tylko takich, którzy jego zdaniem nie zasługiwali na lojalność.

Nieco już poirytowany niewnoszącą nic do sprawy dyskusją Norbert postanowił przyspieszyć troszkę bieg wydarzeń.

– Co z tym Doktorem, o którym wspomniał Szpila? Wiesz coś na jego temat? – zwrócił się do Jagielskiego.

– Niewiele – odparł Jerzy z dość niewyraźną miną. – Doktor to właśnie ten włamywacz, z którym Szpila współpracował przez krótki czas. Potem Doktor wpadł, ale nie podał współników, więc nie wiadomo, czy Szpila również brał udział w tamtym włamaniu. To wszystko, co wiem, bo sprawę prowadził kapitan Zemanek.

Norbert skrzywił się lekko. Użycie starej nazwy stopnia sugerowało, że ów Zemanek odszedł z formacji już dawno, jeszcze wtedy, gdy nosiła ona nazwę milicji. Mógł nie pamiętać szczegółów albo nie chciał wracać do wspomnień.

– W którym roku to było? – zaciekawiał się prokurator, lecz zamiast odpowiedzieć, Jagielski tylko wzruszył ramionami.

– Trzy lata temu? A może cztery lub pięć?

Nie pamiętał. Zajmował się własnymi śledztwami i niespecjalnie interesowały go sprawy prowadzone przez niezbyt lubianego kolegę.

Woźniak nie naciskał dłużej, przeszkodził mu w tym Handzlik, z dumą prezentujący dużą kwadratową popielniczkę z ciężkiego, rżniętego szkła imitującego kryształ. Jeden z jej rogów pokrywała zaschnięta skorupa jakiejś substancji, barwą przypominającej krew, a gdy pochyłili się nad znaleziskiem, zauważyli zatopione w brązowej czerwieni dwa krótkie, szpakowate włosy. Mieli zatem pierwszy ślad.

Drugi został ujawniony niemal natychmiast. Na górnym brzegu popielniczki widniał odcisk palca, na denku natomiast pozostałe cztery.

– Wkurzył się, złapał ten aszynbecher i pierdolnął Kamieńskiego w głowę – mruknął Jerzy, lecz technik zaraz go przystopował:

– Najpierw chyba się trochę poszarpali. – Wskazał przewrócone krzesło i skorupy stłuczonego wazonu. – Chyba że to wasza robota.

Obaj komisarze zdecydowanie odżegnali się od związku z bałaganem na podłodze oraz ze stojącymi na stoliku dwoma koniakówkami i butelką ballantine'sa. Ciekawiło ich, czy odciski linii papilarnych na którymś z naczyń będą tożsame z zabezpieczonymi na popielniczce, Handzlik jednak pozostał głuchy na ich prośby.

– Co ja mam, mikroskop w oczach czy jak? Specjaliści się, kurwa, znaleźli! Dajcie w spokoju popracować – dokończył już spokojnie.

Usłuchali. Nie mieli innego wyjścia, choć na myśl o godzinach oczekiwania na wyniki badań wszystko się w nich burzyło. Pozazdrościli prokuratorowi, który wręczył im podpisane in blanco protokoły i wyszedł, wymawiając się innymi obowiązkami. Też by tak chcieli, niestety w ich przypadku nie było to możliwe, musieli zostać tutaj do końca oględzin, a te z pewnością potrwają bardzo długo, należało przecież sprawdzić cały dom.

Postanowili zacząć od piętra, gdy jednak otworzyli drzwi prowadzące do klatki schodowej, przekonali się, że przynajmniej raz los stanął po ich stronie. Zalegająca na stopniach gruba warstwa kurzu świadczyła

o tym, że od dawna nikt tędy nie chodził, więc sprawdzanie tej kondygnacji mogli sobie darować.

Sprawdzili kuchnię i łazienkę, a gdy nie znaleźli tam niczego odbiegającego od normy, zajrzeli do następnych pomieszczeń. W pierwszym musiała się mieścić sypialnia gospodarza, co wywnioskowali ze znajdujących się tam osobistych drobiazgów i szafy wypełnionej ubraniami należącymi do szczupłego, niewysokiego mężczyzny. Drugie natomiast z pewnością było pokojem gościnnym. Tu szafa była pusta, na stoliku leżała tylko serwetka, i jedynie rozgrzebana pościel wskazywała, że ktoś tutaj spał.

– Ciekawe, kim był ten gość – zastanawiał się Jerzy. – Coś mi mówi, że to właśnie on tak urządził Szpilę.

Norbert zmierzał już do drzwi, lecz na dźwięk słów kolegi przystanął i wolno obrócił się w jego kierunku.

– Całkiem możliwe, ale mnie zastanawia co innego. Jak to powiedziałeś? Że sprawca złapał aszynbecher i pierdolnął Szpilę w głowę? Rąbnął go z taką siłą, że Kamińskiemu pękła czaszka. Po czymś takim Szpila na pewno padł nieprzytomny, a nawet gdyby nie, to napastnik mógł przecież poprawić. Po kiego chuja było strzelać?

29 stycznia 1993, Żywiec

Początkowo cokolwiek zdziwiony niespodziewaną wizytą mężczyzna szybko odzyskał rezon. Zaprowadził gości do pokoju, sam zaś poszedł zakrzętnąć się koło jakiejś kawy. Wrócił po chwili i dopiero wówczas się okazało, że owo zakrzętnięcie się w jego wykonaniu oznaczało wydanie dyspozycji żonie.

Istotnie już wkrótce w pokoju pojawiła się kobieta o miłej powierzchowności, schludna i zadbana, czego nie dało się powiedzieć o mężu, mogącym śmiało być brany za osobę z marginesu społecznego. Niemniej był trzeźwy, a to było bardzo ważne.

– Nie myślcie sobie, że was tu nie chcę – zagaił gospodarz – ale ja już wszystko powiedziałem temu aspirantowi.

Jego żona zabrała pustą tacę i zamierzała ich opuścić, gdy Rajnerowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Poprosił, by została, i udając, że nie zauważa ich zaskoczenia, bez zbędnej zwłoki przeszedł do sedna.

– Mam pytanie o pewien dzień. Konkretnie o popołudnie pierwszego września osiemdziesiątego dziewiątego roku.

– Panie, coś pan – zdenerwował się Pruchnol. – Ja nie pamiętam, co się działo tydzień temu, a to było ponad trzy...

Przerwał mu stłumiony okrzyk. Kobieta przycisnęła dłoń do ust, lecz zaraz ją odjęła i spojrzała na Milewskiego.

– Czy przyszedł pan w sprawie Ditmara? – Potwierdził ruchem głowy, a wtedy powiedziała z wyraźnie słyszaną ulgą: – Nareszcie. Bo już myślałam, że nigdy o niego nie zapytacie – dorzuciła, a na jej twarzy pojawił się grymas gniewu.

W przeciwieństwie do Rajnera Rohatyński nie wydawał się zdziwiony jej słowami. Pokiwał nawet głową ze zrozumieniem, co Milewski uznał za sporą przesadę i poczuł złość tak na kobietę, jak na sierżanta. Chętnie powiedziałby im kilka słów do słuchu, ale w przypadku Pruchnolowej z pewnością straciłby wtedy szanse pozyskania informacji. Opanował emocje i spokojnym głosem zadał pierwsze pytanie.

Nie tylko ona potwierdziła zeznanie Fajlhauera. Zrobił to także jej mąż, okazało się bowiem, że zasłaniał się niepamięcią na wypadek pytania o inne sprawy. Rajner wolał w to nie wnikać, a po jego oświadczeniu, iż interesuje go wyłącznie wizyta Ditmara, mężczyzna przytaknął słowom żony, po czym, wyraźnie unikając jej wzroku, przyznał, że wyszedł z chłopakiem na korytarz, gdzie zabawili kilka minut.

– Miałem tam schowaną napoczętą połówkę i pomyślałem, że co się ma marnować. Wypiliśmy po dwa szybkie, pogadaliśmy przez chwilę, potem chciałem znowu mu p olać, ale już nie chciałem. Że niby na głodnego mu szkodzi.

Mina Pruchnola świadczyła o całkowitym braku zrozumienia. Najwyraźniej był zdania, że alkohol nigdy nie szkodzi.

– Ty ochlaptusie! Gdzie ten schowek? Gadaj! – wrzasnęła Pruchnolowa. Zmarszczyła brwi w namyśle, lecz prawie natychmiast się

rozpogodziła. – W kwiatku? Na pewno tam, bo to jedyne miejsce, gdzie można schować flaszkę. I co, pewnie sam ją dopiłeś? Jak zwyczajny menel! Co za wstyd!

Zrobiła ruch, jakby chciała złapać się za głowę, lecz mąż jej przeszkodził.

– Pewnie, że dopiłem. Z oszczędności – odezwał się z godnością. – Miałem pozwolić, żeby przeszła ziemią z tego kwiatka? I jaki wstyd, kobieto, co ty bredzisz? Przecież byliśmy tam tylko we dwóch, nikt inny mnie nie widział.

Mina Pruchnowej nie wróżyła nic dobrego, toteż policjanci porozumieli się wzrokiem i wstali. Nie zamierzali być świadkami słownego pogromu przedstawiciela swojej płci. Było nie było, Pruchnol nadal pozostawał mężczyzną.

W radiowozie Rajner przypomniał sobie o powodach swojej irytacji na początku wizyty i zerknął z ukosa na sierżanta.

– Czemu oni nie przyszli z tą informacją na komendę, tylko czekali jak na wniebowzięcie? O co w tym chodzi?

– O to, że Pruchnol to nie tylko drobny pijaczek, któremu od czasu do czasu coś tam się przykleja do rąk. To opozycjonista. W stanie wojennym był internowany, później też zatrzymywano go przy byle okazji i próbowano złamać. Dlatego nienawidzi munduru.

Tłumaczenie było logiczne, a jednak Milewskiemu nadal coś nie pasowało. Przymknął powieki, by zidentyfikować owo „coś”.

– Ale to właśnie on nas powiadomił o śmierci Sienickiej – wytknął Rohatyńskiemu oczywistą sprzeczność.

– To co innego. – Sierżant się uśmiechnął. – Nie musiał wejść do fortecy wroga, no i była to wyższa konieczność, a w przypadku Fajlhauera nie mógł mieć pewności, czy w ogóle ktoś mu uwierzy. I pewnie by nie uwierzył.

– No a żona? Też nie mogła przyjść? – Rajner nie dawał za wygraną.

Ku jego zaskoczeniu Rohatyński pokręcił głową.

– Za kradzież Pruchnol siedział tylko raz. Znalazł na ulicy portfel i poszedł na milicję go oddać. Wierzę, że tak było, bo głupi nie jest, ale taki piontkopodobny idiota stwierdził, że Pruchnol ukradł, a potem

ruszyło go sumienie. Po tej odsiadce Pruchnolowie przysięgli, że już nigdy dobrowolnie nie wejdą do budynku policji.

– Wcale im się nie dziwię, po czymś takim też bym nie wszedł – stwierdził Rajner z głębokim przekonaniem, a sierżant przytaknął krótkim skinieniem.

1 lutego 1993, Żywiec

Domyślał się, że przydomek „Tyczka” wywodzi się od nazwiska, nie zaś od wyglądu, mimo to na widok pękatej sylwetki porucznika z trudem udało mu się powstrzymać śmiech. Marian Tyczkowski patrzył na niego wystarczająco nieufnie, Norbert nie zamierzał dokładać do tego jawnej niechęci, a ta pojawiłaby się z pewnością, gdyby zareagował rozbawieniem. Przywołał więc na twarz wyraz stosownej powagi.

– Dzień dobry. Porucznik Tyczkowski, prawda?

Niski mężczyzna z wystającym, okrągłym niczym piłka plażowa brzuchem zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

– Zależy, kto pyta.

– Komisarz Norbert Swift

Wyjął z kieszeni legitymację. Tyczkowski spoglądał na nią tak długo, jakby uczył się na pamięć zawartych tam danych.

– Czego pan sobie życzy?

Ton nie był wprawdzie wrogi, ale nie brzmiał też zachęcająco. Norbert popatrzył znacząco w stronę trzech kobiet, które wcześniej siedziały na ławce, później zaś wstały, lecz zamiast się rozejść, zatrzymały się opodal i wyraźnie nadstawiały ucha.

– Będziemy rozmawiać tutaj? – zdziwił się ostentacyjnie. – Jak pan woli, mnie tam wszystko jedno.

Tyczkowski popatrzył na kobiety ze złością i niechętnie odsunął się od drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Przeszli zagraconym korytarzem do pomieszczenia, które prawdopodobnie miało być pokojem reprezentacyjnym, zaprzeczał temu jednak panujący tam nieład. Na środku królował wielki stół zaścielony

kiedyś zapewne białym, a teraz pokrytym nieokreślonego pochodzenia plamami obrusem, widocznym pomiędzy licznymi butelkami, potwornie brudnymi szklankami i talerzami z zaschniętymi resztkami jedzenia.

Stojący przy jednej ze ścian segment pokrywała gruba warstwa kurzu ze smugami w miejscach, gdzie starły ją czyjeś palce. Pod drugą zaś ustawiono trzy krzesła ze stołowego kompletu i przywalono stertami ubrań. Pozostałe pięć, również niemal całkiem zakrytych zwieszającą się z oparców odzież, otaczało półkolem stół, przywodząc na myśl obstawę ochraniającą własnym ciałem ważną osobistość.

Gospodarz przestawił jedno z nich, a przy tym ruchu ubrania opadły na podłogę. Nawet nie spojrzął w dół, tylko na ślepo je kopnął, po czym przesunął kilka naczyń, by zrobić na stole odrobinę miejsca. Na tym zakończył prace porządkowe, uznawszy najwyraźniej, że dla komfortu gościa tyle wystarczy.

Norbertowi udało się zachować kamienną twarz, choć wszystko w nim protestowało przeciwko zasiadaniu w takim miejscu. Zastanawiał się właśnie, czy położyć notatnik na wygospodarowanym specjalnie dla niego kawałku potwornie brudnego stołu, zachodziła bowiem obawa, że nie zdoła go później odkleić, gdy Tyczkowski rozwiał jego wątpliwości. Nie żeby zmienił obrus czy wykonał jakieś prace porządkowe, tak daleko jego gościnność nie sięgała. Z wielkiej sterty gazet z rogu pod oknem wziął egzemplarz *Dziennika Zachodniego* i rozłożył na blacie przed Swiftem z taką miną, jakby to była co najmniej koniakowska serweta.

– Panie poruczniku – zagaił Norbert. – Mam do pana prośbę. Wiem, że jakiś czas temu odszedł pan na emeryturę, ale może pamięta pan pewną sprawę?

– Sklerozy jeszcze nie mam – burknął gospodarz. – Pamiętam wszystkie moje sprawy. Co pan chce wiedzieć?

– Halina Kupczak, lat siedemnaście, uczennica liceum – rzucił Norbert szybko. – Została zgwałcona pierwszego września osiemdziesiątego dziewiątego w pobliżu strażnicy. Ustalił pan, że sprawcą był niejaki Ditmar Fajlhauer, lat dwadzieścia, technik mechanik samochodowy, zatrudniony w pobliskim warsztacie.

– Co w związku z tym? Nie ma o czym gadać. Sprawa dawno zamknięta, bo już na drugi dzień miałem go na dołku.

– Wyjątkowo szybkie wykrycie. Gratuluje.

Porucznik musiał wyczuć nutę nieszczerości w głosie Swifta, bo drgnął i wyprostował się na krześle. Nalana twarz nagle jakby się wyostrzyła, podobnie jak spojrzenie małych oczu, niemal ginących w fałdach tłuszczu.

– Coś ci się, synku, nie podoba? To wypierdalaj!

Popatrzył groźnie, lecz Norbert ani myślał usłuchać. Spokojnie coś zanotował, potem zadał pytanie, a czekając na odpowiedź, nawet na moment nie spuścił wzroku z twarzy emerytowanego milicjanta.

– Nie miał pan żadnych wątpliwości co do winy Fajlhauera?

Tyczkowski wyglądał na autentycznie zdumionego.

– Czemu miałbym mieć? Zaraz następnego dnia przyszła do nas jego matka i zeznała, że podejrzewa własnego syna. To była kulturalna, elegancka kobieta, nie żaden margines, dlaczego mielibyśmy jej nie wierzyć?

– No właśnie: dlaczego? – zastanawiał się głośno Swift. – Może dlatego, że matki zazwyczaj chronią swoje dzieci? Że takie zachowanie nie jest typowe? Że mogła mieć jakiś interes w tym, żeby poszedł do więzienia?

– Patrzcie go, jaki mądry! – zawołał porucznik, jakby oprócz nich w pomieszczeniu znajdowali się także inni ludzie. – Myślisz, że tego nie sprawdziliśmy? Chcesz mnie roboty uczyć, smarku? Chłopak z operacyjnego dokładnie sprawdził tę kobietę, bo mnie też się wydało podejrzane, że matka donosi na syna.

Norbert postanowił ułagodzić trochę przewrażliwionego na punkcie własnej fachowości grubasa i odezwał się pojednawczo:

– Nie chciałem pana urazić. Przepraszam. Wcale nie twierdzi...

– W dupę se wsadź te przeprosiny! – warknął Tyczkowski, przerywając mu w pół słowa. – Nie potrzebuję, obejdzie się, i tak wiem, co myślisz. Że stary pijus mieszka w syfie jak ostatni menel, więc wtedy też na pewno pił i przez to zjechał sprawę. Coś ci powiem, żeby było jasne: mam w rzyki twoją opinię o mnie jako o człowieku, ale nie pozwolę, żebyś szargał moje nazwisko jako gliniarza. Nie będzie znowu jakiś młody,

niedouczony gnojek robić mi koło pióra i gnoić mnie dla awansu!
Kurwa, dość tego!

Uderzył pięścią w stół z taką siłą, że szklanki podskoczyły z brzękiem, a puste butelki zachybotwały. Część z nich spadła i się rozbiła, lecz na podłodze oprócz szkła nie pojawiła się nawet kropla płynu. Dopiero wtedy Norbert zrozumiał, co przez cały czas nie dawało mu spokoju. Otóż gospodarz był trzeźwy.

– Po co to panu? Ten cały kamuflaż. – Zatoczył ręką, obejmując tym gestem nie tylko stół, ale i resztę pomieszczenia. – Przecież widzę, że to pic na wodę, fotomontaż. Butelki stoją tu od tak dawna, że wszystko z nich wyparowało, szklanki zdążyły porosnąć kurzem jak drzewa mchem od północnej strony, a pan jest całkiem trzeźwy, i to nie od wczoraj. Tak sobie myślę, że z pana taki sam pijak jak ze mnie.

Już w połowie tej przemowy twarz gospodarza złagodniała, w miejsce gniewu pojawiło się zaciekawienie, teraz zaś, gdy Norbert umilkł, zaciekawienie zmieniło się w uznanie. Niespodziewanie Tyczkowski zachichotał:

– Niezły jesteś. Tylu różnych tu przychodzi, a żaden na to nie wpadł. Dopiero ty. Co mnie zdradziło? Te butelki?

– To też, ale już wcześniej nie pasował mi pana wygląd. – Komisarz odpowiedział uśmiechem, po raz pierwszy całkiem szczerym. – Strój wybrał pan bezbłędnie, ale za ładnie pan pachnie jak na menela. Poza tym te czyste ręce i paznokcie bez żałoby... Żaden szanujący się lump nie dbałby o czystość. W dodatku, gdyby codziennie walił pan w kocioł, te ręce nie byłyby takie spokojne, tylko drżałyby jak operatorowi młota pneumatycznego, a oczy byłyby mętne i przekrwione. – Swift znowu się uśmiechnął, tym razem złośliwie. – Jednym słowem: pomysł dobry, ale wykonanie do dupy.

Emerytowany milicjant przyglądał mu się w milczeniu, ważąc coś w myślach. Wreszcie wstał i ruszył ku drzwiom, a gdy zauważył, że Norbert pozostał na swoim miejscu, gestem nakazał mu podążyć za sobą. Komisarz podniósł się z uczuciem zawodu. Przegrał tę rozgrywkę i nie widział szansy na zmianę wyniku.

[2] *Celina*, sł. Stanisław Staszewski.

Rozdział 21

Stare i nowe sprawy

1 lutego 1993, Żywiec

Norbert pomyślał później, że musiał mieć wyjątkowo głupią minę, gdy gospodarz, zamiast do drzwi wejściowych, poprowadził go do zupełnie innych. Otworzył je i kompletnie zaskoczonym oczom Swifta ukazał się widok tak różny od oglądanego przed chwilą, jakby należał do całkiem odmiennego świata.

W pokoju panował idealny porządek. Parkiet aż błyszczał, podobnie jak meble i okna, przez które, w przeciwieństwie do tamtych z sąsiedniego pomieszczenia, można było zobaczyć góry oświetlone nieśmiałymi promieniami słońca. Ów kontrast tak zaskoczył Norberta, że ten nie zdołał powstrzymać okrzyku zdumienia, co wyraźnie ucieszyło porucznika.

– Całkiem ładnie, prawda? – spytał z nieskrywaną dumą.

Choćby bardzo chciał, Swift nie mógłby nie przyznać mu racji, to jednak nie wyjaśniało powodów istnienia tamtego bałaganu.

– Po co ten kamuflaż? – powtórzył pytanie.

Ciekawość za bardzo go zżerała, by miał zważać na dobre wychowanie.

Tyczkowski nie odpowiedział, wskazał mu natomiast fotel.

– Niech pan siada. Zaraz do pana dołączę, tylko najpierw zrobię kawę. A może wypijemy po kieliszku?

Wybuchnął śmiechem na widok zmieszania gościa i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Wrócił po pewnym czasie z tacą, na której

stały szklanki wypełnione aromatycznym ciemnym płynem, cukiernica i talerz z apetycznie wyglądającym sernikiem. Postawił ją na stoliku, przyniósł jeszcze popielniczkę i dopiero wtedy zajął drugi fotel, rzuciwszy wcześniej pełne żalu spojrzenie na trzeci, stojący bliżej ściany.

– To było ulubione miejsce mojej żony. Zmarła na początku dziewięćdziesiątego. Właściwie dobrze się stało – oznajmił, kompletnie zaskakując Norberta. – Chorowała na raka wątroby. Nie miała żadnych szans, a jeżeli już musiała umrzeć, to lepiej, że nie doczekała mojej hańby.

Komisarz znowu się zdumiał. Nie bardzo wiedział, o czym porucznik mówi, bo nikt wcześniej nie wspominał, by miał jakieś kłopoty w pracy lub poza nią.

– Jakiej hańby?

Emerytowany milicjant sięgnął po paczkę sportów, wysupłał papierosa. Dopiero później poczęstował Norberta, ten jednak odmówił i wyjął z kieszeni klubowe. Przez jakiś czas palili w milczeniu.

Pierwszy przerwał je gospodarz, odpowiadając na pytanie, o którym Swift zdążył już zapomnieć.

– Długo by mówić, a nie przyszedłeś tutaj, żeby wysłuchiwać moich żalów. Powiedz, ale tak szczerze, po której jesteś stronie? Masz zamiar mnie namawiać czy zniechęcać?

Norbert potrząsnął głową, by odzyskać jasność myśli. Nie mógł pojąć, o co Tyczkowskiemu chodzi, ponieważ nie przyniosło to jednak żadnego efektu, wzruszył ramionami i odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Nie jestem po żadnej ze stron i nie wiem nawet, co to oznacza. Tak samo nic nie wiem o namawianiu czy jego odwrotności. Przyjechałem do pana, żeby się dowiedzieć...

– Z jakiego jesteś wydziału? – przerwał mu Tyczkowski. – Bo nie wydaje mi się, żebym cię kiedykolwiek widział.

– Z dochodzeniowo-śledczego. Ale nie z Żywca, tylko z Bielska-Białej.

Pojął wreszcie, że dziwaczne zachowanie gospodarza wynika z nieporozumienia, dlatego położył nacisk na ostatnie słowa. Jak się okazało, całkiem słusznie, gdyż porucznik od razu spojrzał na niego inaczej. Przychylniej, w dodatku z zaciekawieniem.

– Naprawdę przyjechałeś tu w sprawie Fajlhauera? – Zastanawiał się przez kilka sekund. – On chyba jeszcze siedzi, więc nie mógł...

Teraz Norbert mu przerwał, zniecierpliwiony nieustannym krążeniem wokół interesującej go kwestii.

– Wszedł w grudniu na warunek, ale nie o to chodzi. Jest pan na sto procent pewny, że to właśnie on był sprawcą?

Spojrzał prosto w oczy Tyczkowskiego. Emerytowany milicjant nie odwrócił wzroku, ale chyba w ogóle nie widział komisarza, spoglądał bowiem jakoś tak przez niego, jakby Swift był przezroczyście.

– Prawdą jest, że przy interesującej cię w sprawie mój udział był tylko symboliczny – wyznał nagle, a jego spojrzenie znów nabrało ostrości. – Przez większą część czasu przebywałem na urlopie lub na opiece nad żoną, która właśnie wtedy zaczęła chorować. Albo zwyczajnie kombinowałem, żeby się urwać z roboty i pojechać do domu. Niemal wszystkie czynności wykonywał młody, a ja tylko sygnowałem dokumenty swoim podpisem. Ufałem mu, bo choć służył u nas od niedawna, to nie był szczawikiem. Przeniósł się do Żywca w stopniu młodszego chorążego, co oznaczało, że miał za sobą jakiś staż i zasługi.

– Mam rozumieć, że pan nigdy nie rozmawiał z Fajlhauerem? – wykrzyknął zbulwersowany Norbert.

Wyznanie emerytowanego milicjanta zaskoczyło go do tego stopnia, że nie zapanował nad emocjami, ale rozmówca nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Mówił dalej, jakby pytanie w ogóle nie padło.

– Przez to wszystko nie wiedziałem, że Przemek jest do nas tylko oddelegowany, bo nie było wolnego etatu. Ale miał jakiegoś krewnego w wierchuszce, więc naczelnik nie mógł odmówić, musiał wziąć gnoja do wydziału. A ten skurwysyn notował skrupulatnie wszystkie moje nielegalne nieobecności i pod koniec roku poszedł z tym do szefa.

– Chyba naczelnik mu nie uwierzył?! – wykrzyknął Norbert.

Już w następnej chwili dotarła do niego cała naiwność własnej reakcji. Gdyby tak było, Tyczkowski nie mówiłby z takim gniewem.

– Ja byłem z tych niepokornych, a Przemek z włazidupów. Przedstawił mnie jako lesera i nieudacznika jadącego na dobrej opinii z przeszłości, udowadniał też, że od chwili, gdy znalazł się pod moją pieczęcią, to właśnie on prowadził moje sprawy, bo ja nawet nie kiwnąłem palcem.

To jak myślisz, komu naczelnik dał wiarę? W efekcie kazano mi napisać raport o przejściu na emeryturę, a jebany Piontek wskoczył na mój etat.

Porucznik sięgnął po nowego papierosa i otoczył się chmurą gryzącego dymu, odcinając się w ten sposób od otoczenia. Tym razem zwłoka nie zirytowała Swifta, przeciwnie, był z niej nawet zadowolony, gdyż dawała mu czas na zastanowienie, a on nie bardzo wiedział, jak w tej sytuacji powinien postąpić.

Żałował teraz, że wymógł na kolegach odłożenie tej rozmowy do poniedziałku. Uważał, że nie ma sensu przyjeżdżać w weekend, gdy wszyscy na ogół mają zaplanowane zajęcia, a gdy Jurek i Rajner stwierdzili, że w poniedziałek nie zdołają się wyrwać, zgłosił się na ochotnika. I nawet nie pomyślał, że będzie musiał stanąć przed takim dylematem. *Jebany Piontek!* – podświadomie posłużył się słowami Tyczkowskiego. *Że też akurat on musiał być zamieszany w tę sprawę. Po prostu pech, choć Rajner twierdził uparcie, że coś takiego jak pech nie istnieje. Ciekawe, czy na moim miejscu też byłby taki mądry!*

Gospodarz zgasił papierosa i sięgnął po szklanę z kawą. Chyba ugasił także szalejące w nim emocje, bo spojrzał przytomniej i wreszcie zainteresował się powodami wizyty przedstawiciela bielskiej policji.

– O co chodzi z tym Fajlhauerem?

Wściekły na siebie i jeszcze bardziej na zły los Norbert nie silił się już na dyplomację. Spojrzał ostro i wypalił:

– O to, że zjebaliście sprawę!

– W jakim sensie? – spytał spokojnie Tyczkowski.

– Posadziliście nie tego, co trzeba, bo Fajlhauer ma alibi. W czasie zdarzenia był u sąsiada, a nie podejrzewam, żeby umiał się rozdwoić.

Komisarz wyjął z kieszeni odbite na faksie oświadczenia Heleny i Józefa Pruchnoli i położył obok talerza z nietkniętym ciastem. Emerytowany milicjant wziął je do ręki i zaczął czytać, a początkowe dość umiarkowane zaciekawienie powoli zmieniało się w pełen wściekłości grymas. Wreszcie skończył i rzucił kartki na stół.

– Kurwa – powiedział cicho. – Mogę zrozumieć to, co mi zrobił. Z trudem, ale mogę, bo nie on pierwszy i nie ostatni podłożył koledze świnię, żeby ugrać coś dla siebie. Ale to? Zniszczyć komuś życie z powodu ambicji?

– Teraz znowu chce to zrobić. – Norbert opowiedział o działaniach Piontka zmierzających do ponownego oskarżenia Ditmara o czyn, którego chłopak nie popełnił. – Najpierw wytypował sobie Pruchnola, tylko dlatego, że facet miał nieszczęście znaleźć zwłoki. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie to, że Fajlhauer jest synem denatki. Piontek musiał się dowiedzieć, że chłopak wyszedł na warunek, i zmienił podejrzanego.

– To akurat mnie nie dziwi – zauważył Tyczkowski. – Kryminalista na warunku spasował mu idealnie, bo pomyśl. Matka świadczyła przeciwko synowi, więc postanowił się zemścić. A jebany Piontek mógł w ten sposób pozbyć się zagrożenia, że Fajlhauer zacznie kłapać dziobem, iż wtedy został wrobiony.

– Byliśmy pewni, że chłopak ma po prostu pecha. Nie sądziliśmy, że tamtą odsiadkę zawdzięcza Piontkowi.

Porucznik nie skomentował słów Swifta. Siedział milczący, w zamyśleniu obracając w dłoni szklankę po kawie. Monotonny ruch musiał mieć właściwości przyciągające uwagę, gdyż Norbert bezwiednie także zaczął śledzić wzrokiem fusy osadzające się coraz wyżej na ściankach naczynia. Gdy niemal dosięgły brzegu, Tyczkowski z głośnym stuknięciem odstawił szklankę i popatrzył na rozmówcę.

– Powinieneś iść do niego, najlepiej nie sam, i skonfrontować go z tymi oświadczeniami. Chciałbym zobaczyć, jak się będzie wił.

Miał tak rozmarzoną minę, że Norbert parsknął śmiechem, zaraz jednak spochmurniał i z ponurą miną pokręcił głową.

– Tego nie mogę zrobić. Po pierwsze, Rajner i Jurek są tam spaleni, bo rozmawiali z tym kutasem i on nie będzie chciał z nimi gadać. Powie, że się mszczą, bo nazwał Rajnera tłukiem, a Jurkowi odmówił podania informacji. A po drugie, ja tu jestem nielegalnie, bo ze względu na powiązania ze świadkiem zostałem odsunięty od śledztwa.

Tyczkowski znów się zamyślił. Zapalił, po czym śledził wędrówkę dymu w stronę wyraźnie nieszczelnego okna.

– Po pierwsze – odezwał się po dość długim milczeniu – on nie wie, że zostałeś odsunięty, a po drugie... – Zamilkł, zmarszczył brwi, lecz zaraz się rozpogodził. – Przecież sprawa zgwałcenia nie ma nic wspólnego ze

sprawą zabójstwa tamtego chłopaka! A Fajlhauera poznałeś, bo uratował twoją córkę. Dlatego postanowiłeś mu pomóc.

Tak, to mogło się udać, ale był jeszcze jeden problem, o którym porucznik nie pomyślał, a który mógł mieć dla niego nieprzyjemne skutki.

– Ja mam jeszcze po trzecie – powiedział ze smutkiem. – I to jest chyba najważniejsze. Powiedziałaś przedtem, że sygnowałaś wszystkie kwity. Faktycznie tak było?

– Oczywiście, że tak – oburzył się Tyczkowski. – Po co miałbym kłamać?

– Szkoda. Bo jak myślisz, co powie Piontek, kiedy oskarżę go o chachmęcenie w dowodach i zeznaniach?

– Masz rację, o tym nie pomyślałem – zmartwił się Tyczkowski. – Jak by go tu udupić? Musi być jakiś sposób. To nie do pomyślenia, żeby taki gnój chodził bezkarny i śmiał się ludziom w gębę.

Przez kilka minut intensywnie rozważali różne warianty, po to tylko, by po chwili je odrzucić jako niewykonalne. Nagle Norbert rozjaśnił się w uśmiechu i wykrzyknął radośnie:

– Mam!

1 lutego 1993, Bielsko-Biała

Kapitan Zemanek, obecnie emerytowany major, przywitał Jagielskiego uprzejmie i mimo sprzeciwów zaprosił na kawę i ciasto. Nie przyjmował odmowy do wiadomości, uwagę o braku czasu zbył lekceważącym prychnięciem, a ponieważ Jerzy nie chciał już na początku wizyty zrażać go do siebie, nie widział innego wyjścia, jak się dostosować.

Usiadł więc w niezbyt wygodnym fotelu i rozejrzał się po dość dużym pokoju, będącym jednocześnie sypialnią i salonem. Mieszkanie znajdujące się w jednym z trzech dziesięciopiętrowców przy ulicy Michałowicza miało identyczny rozkład pomieszczeń jak tamto, w którym spędził cztery pierwsze lata po ślubie z Lucyną. Jakiś czas temu przeprowadzili się do dużo większego i nowocześniejszego, ale nieraz wspominali z sentymentem tamtą kawalerkę.

Gospodarz, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, położył na stole miskę wypełnioną markizami i delicjami i zawrócił do kuchni, by przynieść filiżanki z kawą. Jagielski bardziej spodziewał się szklanek w nieśmiertelnych koszyczkach, które oboje z Lucyną znienawidzili już w czasach, gdy stanowiły obowiązkowe wyposażenie niemal każdej kuchni w Polsce, a i jeszcze teraz królowały w większości domów, zwłaszcza tam, gdzie mieszkali ludzie starsi, skostniaли w swoich przyzwyczajeniach i podchodzący nieufnie do wszelkich zmian.

Zemanek musiał zauważyć jego zaskoczenie, gdyż spojrzał na filiżanki ze smutnym uśmiechem.

– Moja żona nie znosiła kawy podawanej w szklankach, twierdziła, że to odbiera jej wszelki smak. Marzyła o filiżankach z prawdziwej porcelany, nie żadnych tam podróbach z fajansu czy kamionki.

– To całkiem tak jak moja. – Jagielski się uśmiechnął.

– Dostała je ode mnie na urodziny. – Zemanek jakby nie usłyszał jego uwagi. – Ale chyba nie były dla niej takie ważne, bo kiedy odeszła, nie zabrała ich ze sobą.

Zapadła cisza. Jerzy nie skomentował wypowiedzi majora. Nie zamierzał wygłaszać słów pocieszenia, nie znając dokładnie sytuacji, a wypytywać nie chciał. Wszak prawie się nie znali i Zemanek uznałby to z pewnością za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Mógł natomiast dać mu czas na uporanie się ze wspomnieniami.

Podniósł filiżankę do ust, wypił kilka łyków naprawdę wyśmienitej kawy, zjadł markizę i dopiero wtedy zagaił:

– Pamięta pan może taką jedną sprawę? Z osiemdziesiątego siódmego.

Zemanek właśnie wziął do ust spory haust. Po słowach Jagielskiego usiłował przełknąć płyn przy jednoczesnym parsknięciu śmiechem, co nie mogło skończyć się dobrze. Prychnął kawą, obryzgując stolik, ciastka i własne kolana. Następne kilka minut musiał poświęcić na zlikwidowanie skutków niefortunnego zdarzenia i dopiero później wyjaśnił:

– Równie dobrze mogłaby być z czterdziestego siódmego. Odszedłem z firmy w dziewięćdziesiątym. Masz pojęcie, ile włamań przez te trzy lata robiłem? Nas z kryminalnego życie nigdy nie rozpieszczało...

Wszystko wskazywało na to, że już za moment Norbert usłyszy wywód ukazujący wyższość wydziału kryminalnego nad dochodzeniowo-sledczym. Koniecznie musiał temu zapobiec, jeśli nie chciał spędzić tu całego popołudnia.

– To musiała być dość głośna sprawa, dlatego pomyślałem, że może pan ją pamięta – wtrącił szybko.

Na szczęście Zemanek dał się wziąć na ten lep i porzuciwszy poprzedni temat, zainteresował się następnym.

– Głośna sprawa? – powtórzył wolno, z namysłem. – Nie przypominam sobie żadnej... Chyba że chodzi o ten włam do doktora Miłorzędzkiego... – zastanawiał się głośno. – Jedynie to przychodzi mi do głowy.

– Jak się to skończyło? – spytał podekscytowany Jagielski. Zauważył minę majora i czym prędzej sprecyzował: – Interesuje mnie, czy zwinęliście sprawcę.

– A jakże! W dodatku na gorącym, z fantami w kieszeniach. – Major powiedział to z dumą, ta jednak zaraz zniknęła, zastąpiona złością. – Tylko że według zeznań Miłorzędzkiego, który rozpoznał w nich biżuterię żony, skradziono im dużo więcej.

– Może ściemniał? – zaryzykował Jerzy.

Milicyjny emeryt popatrzył na niego jak na kogoś niespełna rozumu.

– Ty, komisarz, zastanów się, co mówisz. Po co miałby ściemniać? Precjoza nie były ubezpieczone, pieniądze tym bardziej, a właśnie szmalu przy sprawcy nie znaleziono. Skurczysyn musiał mieć współnika, ale szedł w zaparte i nigdy go nie wydał, przez co nam wszystkim sprawa dwóch doktorów odbiła się czkawką.

Jagielski przypomniał sobie krążące po komendzie pogłoski, że któryś z funkcjonariuszy jest umoczony w zniknięcie ogromnej sumy. Nie miał wtedy pojęcia, o kogo i o co chodzi, i niespecjalnie go to interesowało. Teraz zrozumiał. Zrozumiał też co innego, ale w tej drugiej kwestii musiał mieć pewność.

– Czemu sprawa dwóch doktorów?

– Bo sprawca nosił ksywę Doktor. Nie pytaj dlaczego, bo nie wiem i nie chcę wiedzieć, dość, że przez tego gnoja nikt mnie po zmianach nie chciał. Dali awans, podnieśli grupę, ale pozostawałem w dyspozycji...

Jerzy przestał słuchać. Układał sobie w myślach następne pytania.

– Pamięta pan może, jak ten Doktor miał na nazwisko? – spytał, gdy Zemanek skończył litanie wyrzekań.

– Do końca życia nie zapomnę – warknął major. – Nazywał się Koziniec.

1 lutego 1993, Żywiec

Emerytowany milicjant na próżno dopytywał Norberta o owo „mam”, wykrzyczane w przystępie euforii. Swift oświadczył tylko, że zanadto się pospieszył, ponieważ najpierw powinien ustalić kilka faktów.

– Pan na pewno się orientuje, kto teraz jest naczelnikiem dochodzeniówki. Ten sam facet co poprzednio?

– Zgłupiałeś? – oburzył się Tyczkowski. – Gość nienawidził mnie jak zarazy i nigdy by mnie nie namawiał...

Urwał, po czym usiłować zatrzeć wypowiedziane słowa innymi, wychwalając nowego naczelnika. Niemniej tamtych słów nie dało się już cofnąć, a Norbert może i nie zwróciłby na nie uwagi, gdyby nie determinacja porucznika, by go zagadać.

– Namawia pana do powrotu – stwierdził oczywistość. – Dlaczego pan odmawia? Przecież widzę, że nadal pan tym żyje.

– Bo jestem już za stary. Wiek mnie nie puszcza, no i ten bebecch...

Tyczkowski obrzucił nienawistnym spojrzeniem swój brzuch, a potem takie samo posłał stukającemu się w głowę komisarzowi.

– Przepraszam. – Wbrew deklarowanej skruszce w głosie Norberta brzmiały nuty rozbawienia. – Ale dla mnie to żadne argumenty. Wcześniej służyłem z facetem starszym od pana i tylko trochę chudszy. Nie przeszedł weryfikacji i go zwolniono, a on się odwołał i tym razem zweryfikowano go pozytywnie. Jest świetnym fachowcem, więc bez problemów przyjęto go do PG i zapewniam pana, że nikt się nie czepiał ani jego wieku, ani tuszy.

– No nie wiem...

– Sam pan powiedział, że pana powrót to inicjatywa komendanta, a on na pewno wie, co robi – uciał Swift. – Czy bajzel w tamtym pokoju miał za zadanie go odstraszyć? – spytał z nieskrywaną ciekawością.

Tyczkowski zdawał się ubawiony przypuszczeniem. I jednocześnie zdziwiony niewiedzą komisarza.

– Nie domyślił się pan? Byłem pewien, że to oczywiste. Ma odstraszać mnie.

Dopiero teraz Norbert zrozumiał.

– Jak długo? Bo w służbie to raczej nie, wtedy by pan nie pamiętał tak dobrze różnych szczegółów...

– Zacząłem pić po śmierci żony – przerwał mu Tyczkowski. – Najpierw tylko trochę, niestety od kiedy odszedłem z milicji, trochę zmieniło się w sporo. Ale jeszcze jakoś się trzymałem i ciągle mi się wydawało, że mam picie pod kontrolą. Tylko że było coraz gorzej i w końcu natrafiłem stopami na dno.

– W jaki sposób się pan odbił? Kto panu pomógł?

Na twarzy emerytowanego milicjanta niespodziewanie pojawił się błogi uśmiech.

– To było piętnastego września. Zapamiętałem tę datę, bo wtedy po raz pierwszy odwiedził mnie Chydzikowski. Popatrzył na ten burdel, później na mnie i nawet się nie skrzywił, choć ja wyglądałem dużo gorzej od pokoju. I powiedział coś takiego: „Chcę, żebyś wrócił do wydziału, ale będziesz musiał się ogarnąć i skończyć z chlaniem”. Potem wyszedł, a ja z żalości, że to były tylko haluny po gorzale, nawaliłem się jeszcze bardziej.

Znowu wziął do ręki paczkę sportów i po chwili otoczył się chmurą śmierdzącego dymu. Norbert czekał spokojnie na dalszy ciąg, myśląc przy tym, że chyba jeszcze nigdy nie podziwiał nikogo tak bardzo jak tego grubasa. Bo choć Tyczkowski mówił o przeszłości pozornie lekko, z autoironią, z wyrazu oczu można było odczytać, ile kosztuje go ta spowiedź. A jednak się nie poddawał, zdecydowany dobrnąć do końca.

Dym zaczął się rozwiewać i wkrótce chmura zniknęła, a Norbert znowu mógł zobaczyć gospodarza. Ten odwzajemnił spojrzenie i podjął opowiadanie.

– Obudziłem się nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, ale już zaczynało się szarzyć. A może tylko mi się zdawało i to nadal był sen? Nieważne, w każdym razie ją zobaczyłem. Stała smutna i patrzyła na mnie, a potem powiedziała, że ją zawiodłem, bo uważała mnie za

mądrygo i silnego, a okazałem się tchórzem, który woli zapić się na śmierć, bo boi się życia. Kiedy rozplynęła się w powietrzu, uświadomiłem sobie, że wszystko, co mówiła, jest prawdą. Wtedy postanowiłem skończyć z chlaniem.

Komisarz miał mieszane uczucia. Niejednokrotnie spotykał ludzi, którzy uciekali w religijność, by zwalczyć pociąg do alkoholu, niestety prawie zawsze wpadali przy tym ze skrajności w skrajność. Tutaj jednak nie dostrzegał nawet śladu nie tylko dewocji, ale nawet całkiem zwyczajnych oznak nawrócenia. Nad drzwiami nie wisiał krzyż, a na ścianach nie było ani jednego świętego obrazu.

– Od tamtego czasu w ogóle nie pijesz – bardziej stwierdził, niż zapytał. – W takim razie Matka Boska musi być zadowolona.

– Jaka Matka Boska? Zwariowałeś? – Tyczkowski popatrzył z niebotycznym zdumieniem, potem zrozumiał i nagle wybuchnął śmiechem. – Myślałeś, że Matka Boska mi się objawiła? Aż tak źle nie było, mówiłem o mojej żonie.

Norbert otworzył usta i zamknął je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w porucznika i także się roześmiał.

– No dobrze – rzekł po chwili. – Zrobiłem z siebie idiotę, ale trudno, nie pierwszy i nie ostatni raz. Wracajmy do sprawy. Mówiłeś, że nowy naczelnik jest w porządku i chcę cię z powrotem w wydziale. W takim razie jest szansa, że przystanie na mój plan. Posłuchaj...

2 lutego 1993, Bielsko-Biała

Bartłomiej pozostał w mieszkaniu Anny do końca weekendu. W poniedziałek rano odczuwał już taki niepokój, że nie mógł usiedzieć na miejscu i po dziesiątej podjął decyzję o ostatecznym wyjeździe z Żywca. Nic go tutaj już nie trzymało. Syn nie żył, córka pewnie już nie wróci, Anna tym bardziej. Nie po tym, jak zamordowała Teresę. Jego Teresę.

Zabrał nadal spakowaną torbę i przemykając chyłkiem, opuścił mieszkanie. Nie oznaczało to bynajmniej rezygnacji z tak długo realizowanego planu, toteż najpierw pojechał do kancelarii notarialnej,

której adres odnalazł w dokumentach Anny. Niepokoiło go trochę, że na testamencie nie widniała żadna pieczęć, a jedynie nazwiska i podpisy świadków. Nie był pewien, czy taki dokument jest ważny, i wolał się upewnić.

Rozmowa z notariuszem nie trwała długo. Bartłomiej wypadł stamtąd niemal oszalały z gniewu i tylko świadomość, że może zwrócić na siebie uwagę, sprawiła, iż w drodze do domu powstrzymał się od przekleństw. Dopiero tam dał upust długo tłumionej wściekłości.

– Ty kłamliwa kurwo! Ty pierdolona oszustko!

Wrzeszczał i kłął na zmianę, nie mogąc pogodzić się z faktem, że został wystrychnięty na dudka, zapomniał przy tym całkiem, że on postąpił z Anną dokładnie tak samo. Gdy wreszcie się uspokoił na tyle, by móc myśleć logicznie, przypomniał sobie o matce, którą swego czasu skutecznie wyrzucił z pamięci. Na myśl o powrocie do tamtej rozpadającej się rudery wszystko w nim zaprotestowało, jednak czuł, że nie ma innego wyjścia. To było jedyne miejsce, gdzie mógł przeczekać zły czas, poza tym pobyt w nim nie będzie generować żadnych kosztów. Miał prawo tam przebywać, a matka nie da mu umrzeć z głodu.

W dworcowej kasie kupił bilet do Bielska-Białej, a gdy dotarł na miejsce, zdecydowany pójść na autobus i pojechać do Świętoszówki, w oknie mijanego kiosku „Ruchu” zobaczył tytuł na pierwszej stronie „Kroniki Beskidzkiej” z ubiegłego tygodnia. „Bielski gangster nie żyje. Szpila ofiarą porachunków czy przypadku?”. *Już go znaleźli* – myślał w panice. Szybko wysupłał z kieszeni pieniądze, kupił gazetę i przycupnąwszy na ławce, zaczął czytać.

Bartłomiej ciągle wracał pamięcią do tamtego zdarzenia i nadal nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. *Źle się stało* – powtarzał sobie właściwie bez przerwy od tamtego momentu, gdy po opuszczeniu domu Szpili owionęło go chłodne powietrze, przywracając jasność myśli. Gniew minął, pozostał natomiast żal do samego siebie, że nie zapanował nad emocjami i do tego stopnia dał się ponieść złości.

Teraz za to płacę – rozmyślał, zmierzając w stronę postojów taksówek. Musiał znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby przycząć się przez jakiś przynajmniej czas, zastanowić się, co dalej. Może da się to jakoś odkręcić?

Nie wierzył, by to było możliwe, nie po tym, co zrobił. Wszystko przez tę przeklętą gorzałę. *Niepotrzebnie tyle piłem* – wyrzucał sobie, jakby mogło to cokolwiek zmienić. Przed oczami ciągle przesuwwały się zniechęcone obrazy, a gdy chciał je odpędzić, złośliwa pamięć podsuwała inne, nie mniej straszne i również świadczące o tym, że słynący kiedyś z rozsądku Doktor pogubił się w nowej rzeczywistości. Potrząsnął głową, by ich także się pozbyć, ale na próżno.

W połowie artykułu przyszło olśnienie: policja w domu Szpili już była. Pewnie znaleźli to, co mieli znaleźć, i nie zamierzali tam wracać, do głowy im nie przyjdzie szukać zabójcy w domu ofiary. Tam będzie bezpieczny.

I oto tkwił tam od dwóch dni niczym więzień w celi z zaostrzonym rygorem, bojąc się nawet rozpalić w piecu czy włączyć światło, przerażony i straszliwie samotny. Wola walki umarła, a w jej miejsce zrodziła się apatia i Doktor przestał być Doktorem.

Rozdział 22

Identyfikacja

2 lutego 1993, Bielsko-Biała

Bartłomiej Koziniec. Jerzy nie wierzył w zbiegi okoliczności, a już na pewno nie w takie. Zostaje zamordowany młody chłopak, a po niespełna dwóch tygodniach ofiara pobicia, a być może nawet zabójstwa prosi policjanta, by ten odnalazł kogoś noszącego takie samo nazwisko co ów młodzian. I to miałyby być przypadek?

Jagielski zarządził, by dostarczono mu akta sprawy włamania sprzed sześciu lat, potem wczytał się w te bieżące i już po chwili wiedział, że pamięć nie płatała mu figla. W dowodzie osobistym Teodora Kozińca jako imię ojca figurował „Bartłomiej”. Przynajmniej to jedno stało się jasne w tej zagmatwanej sprawie, gdzie jedna zagadka goniła drugą i niczego nie dało się ustalić. Na przykład tego, gdzie właściwie chłopak mieszkał.

Z dowodu osobistego wynikało, że w Suchej Beskidzkiej, okazało się jednak, że pod tym adresem znajduje się zamknięty na głucho budynek jednorodzinny, a z zeznań sąsiadów wynikało, iż zamieszkuje tam kilkoro młodych ludzi, z których żaden w najmniejszym nawet stopniu nie jest podobny do Teodora.

Wszyscy oni zgodnie twierdzili, że w sierpniu ubiegłego roku wynajęli ten dom od starszego mężczyzny wyjeżdżającego właśnie za granicę. Jerzy może by i uwierzył w istnienie dobroczyńcy, żądającego w zamian jedynie opieki nad budynkiem, gdyby nie fakt, że prawowici właściciele

rzeczywiście przebywali za granicą, ale już od dwóch lat i żadnym sposobem nie mogli być w Polsce w sierpniu.

Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że właściciele scedowali opiekę nad domem na kuzyna, który nie zwykł zawracać sobie głowy zbędnymi formalnościami, takimi na przykład jak spisywanie umowy najmu. Gdy w kwietniu znalazł się chętny na wynajem całego domu, ucieszony, że odpadnie mu kłopot pilnowania stojącej odłogiem nieruchomości, nie zastanawiał się długo i bez sprawdzania czegokolwiek zdecydował się wynająć budynek.

Pobrał z góry od rodziny Kozińców roczną opłatę, zameldował ich na rok i o nic więcej nie pytał, nie sprawdzał również, czy czegoś nie potrzebują i czy nie narobili jakichś szkód. Dlatego o tym, że Koziniec podnajął dom młodym ludziom, dowiedział się dopiero od policji. Oni zaś w końcu przyznali, że owym starszym mężczyzną był właśnie Bartłomiej Koziniec. Zawarł on z nimi ustną umowę, w myśl której mogli mieszkać w budynku całkiem za darmo w zamian za dostarczanie korespondencji do jego zakładu pracy.

Co ciekawe, zakład ten mieścił się w Żywcu. Policjanci natychmiast się tam udali, niestety nikt nie umiał im nic konkretnego o Kozińcu powiedzieć. Zgodnie z informacją z kadr przebywał aktualnie na urlopie wypoczynkowym, lecz nie podał miejsca pobytu.

Pod suskim adresem zameldowane były również Faustyna Koziniec oraz Teresa Jaroszyńska. Po obu paniach także zaginął ślad, tym samym rodzina Teodora nadal nie została powiadomiona o jego śmierci.

Jagielski westchnął ciężko i postanowił odwiedzić Marka Handzlika. Może czekają tam dobre wiadomości? Odciski linii papilarnych Bartłomieja Kozińca na pewno zostały wysłane do bazy, istniała więc szansa, że odpowiedź wywoła przełom w śledztwie.

– Masz już identyfikację tych paluchów zebranych w domu Ochabczyka? – spytał zaraz po przywitaniu.

Handzlik zrobił minę, jakby zamierzał postukać się palcem w głowę.

– W jakim świecie ty żyjesz? Chcesz wyniki po dziesięciu dniach?

Jeśli oczekiwał jakiejś spektakularnej reakcji, musiał się zawieść, gdyż Jagielski tylko się uśmiechnął.

– Dają tu jakąś herbatę? Zimno dzisiaj jak fiks.

Marek włączył czajnik i zerknął z ukosa na komisarza.

– Co ty dzisiaj taki wesolutki? – skrzywił się lekko. – Nie ufam ludziom, którzy od rana szczerzą zęby w uśmiechu. To nienormalne.

– Dobra, dobra! Nie marudź, tylko rób tę herbatę – ponaglił go Jagielski. – Bez niej nic nie powiem.

Gdy tylko Handzlik przeniósł szklanki z gorącym napojem na biurko, usiadł i wbił oczy w komisarza.

– No? – spytał krótko.

– Okej, już mówię, bo za chwilę wylejesz mi tę herbatę na głowę – roześmiał się Jerzy. – Odszukaj kartotekę niejakiego Bartłomieja Koziańca. Sprawa włamania do doktora Miłorzędzkiego w osiemdziesiątym czwartym.

Oczy technika rozbłyły ekscytacją.

– To jakaś rodzina tego gościa z ogrodu Ochabczyka?

– Ojciec, dlatego to takie pilne.

Marek podniósł się z krzesła jak ukłuty szpilką. Potem rzucił okiem na gościa i opadł z powrotem na siedzisko.

– Zaraz się do tego wezmę. Dopij szybko tę herbatę, bo mnie ciekawość skreści. No już, dwa hausty i cię nie ma.

Jagielski bezwiednie usłuchał i pociągnął długi łyk, parząc sobie język. Zaklął i już miał bluznąć na technika, gdy naraz uświadomił sobie, że mało brakowało, a zapomniałby o nie mniej ważnej kwestii.

– Porównaj je przy okazji z tymi zebranymi u Kamińskiego. On mówił o Doktorze, więc musieli się znać. Może to właśnie Koziniec go zabił?

– A, właśnie, mam wstępne badania balistyczne tego pocisku wyjętego z ciała Szpili. Jak on się czuje? Wyjdzie z tego?

– Na razie nie wiadomo, nadal jest nieprzytomny.

– Szkoda – zmartwił się technik. – On musi wiedzieć, kto go tak urządził. No nic, pogadaliśmy, a teraz spadaj.

Komisarz nie nadużywał dłużej jego cierpliwości. Odstawił szklankę, zabrał kopertę z wynikami badań balistycznych i wyszedł, wiedząc dobrze, że Marek nie odpuści, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. Na to był zbyt obowiązkowy i zbyt dociekliwy.

Jego samego zresztą także zżerała ciekawość, jakąż to bronią zraniono Kamińskiego. Pocisk został w ciele, co świadczyłoby o słabej

sile rażenia. Jagielski kompletnie się na tym nie znał, toteż niecierpliwie rozprostował kartkę. Potem westchnął. Informacja, że nabój kalibru 6,35 milimetrów wystrzelono z pistoletu oznaczonego jako FN Browning 1906 niewiele mu powiedziała, a badania pod kątem, czy był już kiedyś użyty, ciągle trwały.

Miał nadzieję, że Norbertowi powiedzie się lepiej.

2 lutego 1993, Żywiec

Zaskoczony aspirant spoglądał to na nadkomisarza Chydzikowskiego, to na nieznanego mężczyznę siedzącego w rogu pokoju. Nie miał pojęcia, dlaczego został wezwany, ale gdy tylko opanował początkowe zdumienie, wróciła mu zwykła pewność siebie.

Dlaczego miałby się niepokoić? Co prawda nowy szef niezbyt go lubił, ale z nie takimi Piontek sobie radził. Kilka słów rzuconych tu i ówdzie, kilka domysłów i wątpliwości, a ludzie zaczną się zastanawiać, czy Chydzikowski naprawdę jest takim fachowcem, za jakiego pragnął uchodzić. Wtedy wymyśli się coś, co na zawsze wyłączy go z gry. A kto najlepiej nadawałby się na nowego szefa wydziału jak nie aspirant Piontek?

Chydzikowski bezzwłocznie przeszedł do meritum.

– Aspirancie Piontek, to jest komisarz Norbert Swift – przedstawił nieznanego, który z bliższa nie wydawał się tak całkiem obcy, podobnie jak jego nietypowe nazwisko. Musieli już kiedyś się spotkać, niestety mimo wyęźniania pamięci Piontek nie umiał sobie przypomnieć ani czasu, ani miejsca.

Zwrócił za to uwagę, że naczelnik nie powiedział, z jakiego Swift jest wydziału, i Piontek poczuł lekki niepokój. Czyżby ktoś z komendy wojewódzkiej? Szybko pokrył go nieobowiązującym uśmiechem i zapytał na pozór swobodnie:

– Ma pan do mnie jakąś sprawę?

Obcy komisarz zwrócił na niego przenikliwe spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

– Aspirancie Piontek, doszły nas słuchy, że nie gra pan całkiem uczciwie. Mamy powody przypuszczać, że pana sukcesy nie są tak oczywiste, jak do tej pory sądzono. Podobno lubi pan przywłaszczać sobie cudze zasługi.

Piątek poczerwieniał. *Więc jednak kontrola* – pomyślał ze złością. *Co za gnój na mnie doniósł? Ale nic z tego nie będzie, bo nie ma żadnych dowodów* – uspokajał sam siebie, uświadomiwszy sobie, że jest wręcz przeciwnie. Dowody zaświadczały, że właśnie Piontek włożył w owe sukcesy najwięcej wysiłku.

Przybrał oburzoną minę.

– To kłamstwo!

– Chyba jednak nie.

Na widok pobłażliwego uśmiešku komisarza jego opanowanie prysnęło. Poderwał się z krzesła, zaciskając dłonie w pięści.

– To są bezczelne pomówienia. Nie pozwolę się oczerniać. Ja pana...!

– Co pan mi zrobi? – przerwał Swift z jeszcze szerszym uśmiechem. – Proszę powiedzieć. To bardzo interesujące.

Aspirant dopiero teraz rozpoznał go naprawdę, pomógł mu w tym ten zwodniczo spokojny ton. Kiedy publicznie zmieszał młodszego chorążego Piontkę z błotem, zarzucając mu niekompetencję, też go użył. Na szczęście nic nie wskazywało, by rozpoznanie było obopólne.

– Nie powiedziałem, że coś panu zrobię. – Piontek gładko wymknął się z zastawionej pułapki. – Proszę o informacje, co to były za sprawy.

Swift sięgnął po jakieś akta.

– Proszę bardzo. Sprawa braci Pawlusów z października osiemdziesiąt dziewięć. Następna z listopada tego samego roku i kolejna z grudnia. We wszystkich przypadkach chodziło o kradzieże mienia państwowego. Przypomina pan sobie te śledztwa?

Aspirant rzucił okiem na tytuły teczek i miał ochotę podskoczyć z radości. Tu akurat miał pewność, dopilnował, by wszystko było jak trzeba.

– Oczywiście, że je pamiętam. Miał je prowadzić porucznik Tyczkowski, ale nigdy go nie było na terenie komendy, chociaż był umówiony ze świadkami. Nie mogłem pozwolić, żeby czekali na próżno,

dlatego zebrałem od nich zeznania. Na pewno są na nich moje podpisy, więc nie bardzo rozumiem...

– Ja też nie rozumiem, bo wielu z tych ludzi twierdzi, że wcale nie rozmawiali z panem, tylko z porucznikiem Tyczkowskim. W moim wydziale byłoby nie do przyjęcia prowadzić dochodzenie takimi metodami.

Rzucone jakby w zdziwieniu słowa sprawiły, że Piontkowi znowu krew uderzyła do głowy. Ostatkiem sił zapanował nad sobą.

– Pewnie pomylili nazwiska – rzucił obojętnie. – To się zdarza, gdy ktoś jest zdenerwowany. Myślałem, że pan przedstawi jakieś dowody moich rzekomych przewin, a jak na razie są to tylko puste słowa.

– Sam pan powiedział, że jak na razie – odparował Swift. – Musi pan uzbroić się w cierpliwość, bo badania grafologiczne jednak trochę trwają.

Piontek natychmiast odzyskał rezon. Wiedział, że komisarz blefuje. Ściboląca każdy grosz policja miałaby opłacić wynagrodzenie dwóch biegłych po to, żeby udupić jednego funkcjonariusza? Niemożliwe!

– W takim razie porozmawiamy, kiedy otrzyma pan opinie ekspertów – rzucił lekko i ruszył ku wyjściu.

– Jeszcze chwila, jeśli łaska – powstrzymał go Chydzikowski, spoglądając znacząco na Swifta. – Panie komisarzu, ta sprawa zgwałcenia siedemnastolatki, o której wcześniej wspominałem, obiecał pan...

– Racja. Całkiem zapomniałem, przepraszam – sumitował się Swift. – Już to będzie, momencik, tylko znajdę...

Z okrzykiem triumfu wydobył z kieszeni jakieś potwornie pogniecione papiery i bezskutecznie usiłował je rozprostować. Widząc to, Piontek omal się nie roześmiał. Przy takim dbaniu o porządek w dokumentach mógł spać spokojnie – zanim komisarz je znajdzie i ułoży jak trzeba, wszystko zdąży się przedawnić.

Swift musiał chyba pojąć, że czynność jest niemożliwa do wykonania, gdyż wzruszył ramionami i ponownie zwrócił się do Piontka:

– Pierwszego września obok strażnicy, gdzie odbywała się dyskoteka, pobito i zgwałcono siedemnastoletnią Halinę Kupczak. Śledztwo w tej sprawie prowadził porucznik Tyczkowski, a pan, wtedy w randze

młodszeo chorążego, miał pod jego nadzorem wdrażać się w nowe obowiązki. Czy to się zgadza?

Już wcześniej Piontek zwrócił uwagę na fakt, że we wszystkich wspomnianych przez Swifta sprawach prowadzącym był Tyczkowski, jednak dopiero teraz zrozumiał, skąd to nagłe zainteresowanie. Ten pijaczyna pewnie się dowiedział o animozjach pomiędzy aspirantem i naczelnikiem i postanowił coś na tym ugrać. *A niedoczekanie!* – warknął w myślach. *Nie pozwolę się pogrążyć z powodu mrzonek alkoholika.*

– Teoretycznie się zgadza, ale w praktyce...

Celowo zawiesił głos, a komisarz zgodnie z jego przewidywaniami natychmiast się tym zainteresował.

– Co ma pan na myśli?

– To, że porucznik Tyczkowski całe śledztwo scedował na mnie. Chyba już wtedy popijał, bo ciągle urywał się z pracy, a ja wykonywałem czynności. Poprzedni naczelnik to docenił i kiedy okres oddelegowania się skończył, przyjął mnie na etat.

– Wszystko jasne. – Swift skinął głową, a Piontek odetchnął z ulgą.

Najgorsze za mną – zdążył pomyśleć, gdy komisarz znowu się odezwał:

– Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego w takim razie na niemal wszystkich kwitach widnieje podpis Tyczkowskiego?

O ty, kurwa, gnoju! – miał ochotę wykrzyknąć Piontek, tak wielką poczuł nienawiść, gdy zrozumiał, że rozlazłość i roztargnienie komisarza są tylko pozorne. Z trudem zdobył się na spokojny, prawie beztroski ton.

– Tak zarządził Tyczkowski, a ja nie wnikałem dlaczego. Może się łudził, że dzięki temu uda mu się ukryć swoje niedociągnięcia?

– Hmm... Zatem potwierdza pan, że porucznik Tyczkowski scedował na pana wykonanie wszelkich czynności i wyłącznie dzięki pana działaniom ten, jak mu tam... Ditmar Fajlhauer został tak szybko ujęty?

– Potwierdzam – odpowiedział bez zastanowienia, choć całkiem się pogubił w domysłach, do czego Swift zmierza.

– To świetnie – ucieszył się komisarz. – Aspirancie, czy napisze pan stosowne oświadczenie? To zakończyłoby definitywnie ten żenujący

spektakl.

Spojrzał na naczelnika, a ten nieznacznie skinął głową i wtedy Piontek pojął, że żadnemu z nich nie zależało na rozpętaniu afery. Wbrew temu, co przez cały czas podejrzewał, nie byli wrogami. Robili to, co musieli, lecz bez przekonania.

– Napiszę. Mogę to zrobić od razu.

4 lutego 1993, Żywiec

– Chcę ją zobaczyć – upierał się Ditmar.

Rajner uniósł głowę znad akt i popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem. Słyszał to już co najmniej trzeci raz i miał dosyć, a jednak próbował negocjować.

– Po co ci to? Ona już niczego ci nie wyjaśni, a tylko się niepotrzebnie zdołujesz. To nie będzie piękny widok.

– Nie wiem po co, ale czuję, że muszę. Że tak trzeba.

Podkomisarz przyglądał mu się jeszcze jakiś czas, wreszcie zdecydowanym ruchem odsunął teczkę.

– Niech ci będzie. Chodźmy, nie ma sensu tego odwlekać – skapitulował. – Ale żebyś potem nie żałował.

Ditmar zbył ostrzeżenie wzruszeniem ramion. Wiedział, że policjant ma rację, a jednak coś mu mówiło, że powinien po raz ostatni spojrzeć w twarz kobiety, która z nieznanых przyczyn zamieniła jego życie w piekło.

Tylko że ona nie miała twarzy.

Spoglądał na potwornie poranione oblicze i nie czuł ani gniewu, ani nienawiści, ani nawet żalu. Nie czuł kompletnie nic. Stał nad ciałem kobiety, którą przez tyle lat uważał za matkę, i zastanawiał się, czy to z nim jest coś nie tak. Jak inaczej miał wytłumaczyć jej postępowanie? Przecież musiała mieć jakiś powód, dla którego chciała się go pozbyć. Nie wrabia się kogoś w przestępstwo, nie skazuje na długie lata odosobnienia ot tak, dla kaprysu. Musiał zasłużyć na to, co go spotkało. Tylko czym? Tego nie dowie się już nigdy.

Poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Odwrócił się i podniósł na Rajnera bezgranicznie smutne oczy.

– Miał pan rację, to był głupi pomysł. Chodźmy stąd.

Po raz ostatni spojrzął na zmarłą, tym razem ogarniając wzrokiem nie tylko twarz, lecz całą sylwetkę. Przykryta prześcieradłem wydawała mu się niższa i drobniejsza niż za życia, a jej blond włosy okazały się jaśniejsze, niż się spodziewał. Dojrzał wśród nich ciemny odrost świadczący o tym, że tak naprawdę wcale blondynką nie była, lecz w pierwszej chwili nie zareagował, po prostu przyjął ten fakt do wiadomości. A jednak nie mógł oderwać oczu od tych złocistych włosów, tak jak nie mógł się zmusić do opuszczenia sali prosektorium.

Milewski coś mówił. Ditmar słyszał głos policjanta przebijający się przez dudnienie krwi pulsującej w skroniach i dochodzący jakby zza grubej, tłumiącej go zasłony. Nie rozróżniał słów, na co wcale nie zwrócił uwagi, zbyt pochłonięty własnymi myślami, by zwracać uwagę na czyjąś wypowiedź. Te włosy! Nie dawały mu spokoju, wciąż od nowa przyciągały wzrok, jakby chciały mu coś powiedzieć...

– Co robisz? Zwariowałeś? – krzyknął Rajner, ujrawszy, że chłopak sięga w stronę płachty zakrywającej zwłoki.

Chciał go powstrzymać, lecz nie zdążył. Ręka zacisnęła się na brzegu tkaniny i szarpnęła, odsłaniając nagie ciało naznaczone cięciami patologa. Ale biodra denatki pozostały gładkie, nietknięte skalpelem, za to tuż poniżej, na zewnętrznej stronie prawego uda, widniała długa, dawno temu zagojona blizna. Ditmar głośno wciągnął powietrze i starannie nakrył zwłoki prześcieradłem. Potem odwrócił się w stronę policjanta i Rajner zauważył, że jest bardzo blady, lecz z jego oczu zniknął wreszcie tamten wyraz zaszczutego zwierzęcia.

– To nie jest moja matka – powiedział cicho, po czym powtórzył głośniej i dobitniej: – To nie jest Maria Sienicka.

4 lutego 1993, Bielsko-Biała

Siedzieli przy stole konferencyjnym wypożyczonym z gabinetu naczelnika. A raczej wybląganym, początkowo bowiem podinspektor

Kastelik nie mógł zrozumieć, dlaczego nie mogą siedzieć przy biurkach jak normalni ludzie i właściwie po co, do jasnej cholery, potrzebny im oddzielny pokój. Zgodził się dopiero po długich wyjaśnieniach Jagielskiego, że wszystkie trzy zabójstwa się zazębiają, dlatego ważne jest, by prowadzący śledztwa w każdej chwili mogli się wzajemnie ze sobą konsultować.

Wbrew ich obawom nie wniósł zastrzeżeń do udziału Rajnera w śledztwie, zaniepokoiła go natomiast obecność cywila. W dodatku tego konkretnego cywila.

– Nie podoba mi się ten pomysł. Skąd masz pewność, że nie zgwałcił tej dziewczyny? Dasz za niego głowę?

– Głowy to ja nie dam nawet za siebie – odpowiedział Jerzy ze śmiechem. – Ale co do Fajlhauera, to oczywiste: nie mógł jej zgwałcić. Sąsiedzi potwierdzili, że w tym czasie siedział w ich mieszkaniu, bo przyszedł pożyczyć chleba, a później wypił z sąsiadem na korytarzu dwa szybkie. Aspirant Piątek zamieścił w aktach notatkę, że państwo Pruchnolowie to ludzie z marginesu, zbyt przesiąknięci alkoholem, by zrozumieć sens zadawanych pytań. Tymczasem prawda wygląda tak, że Pruchnol owszem, czasami popija, ale nie nałogowo, jego żona natomiast w ogóle nie bierze alkoholu do ust. Piątek wcale z nim nie rozmawiał, uznał to za niepotrzebne, bo miał już podejrzanego i nie zamierzał się wysilać. Zignorował też podany przez pokrzywdzoną opis napastnika.

Podinspektor uniósł brwi, potem sięgnął po otrzymane z archiwum akta i głośno przeczytał stosowny fragment: „Zapamiętałam jego oczy, bo były straszne, tak czarne, że w ogóle nie było widać źrenic. Miał bardzo jasną cerę i te oczy tym bardziej się odznaczały”.

– Chodzi ci o ten fragment? Bo dalej nie ma nic konkretnego, same ogólniki.

Jagielski nie odpowiedział na pytanie, zadał za to swoje własne:

– Widział go pan kiedyś? Nie? To niech pan go sobie obejrzy, siedzi na korytarzu przed drzwiami.

Zaintrygowany naczelnik wyszedł. Wrócił dosłownie po chwili, a na jego twarzy widniał wyraz zdumienia.

– Nie rozumiem – wyznał z zakłopotaniem. – Przecież on wygląda zupełnie inaczej. Nie ma bladej cery i czarnych oczu, tylko... – zawahał się, nie wiedząc, jakimi słowami powinien określić ich kolor.

Z kłopotu wybawił go podwładny, z uśmiechem triumfu mówiąc:

– Jedno jest zielone, a drugie niebieskie. Tego nie da się nie zauważyć, prawda?

– Dalej nie rozumiem. Ten gliniarz wrobił chłopaka, bo chciał się wykazać, ale że adwokat pominął takie nieścisłości? A prokurator i sędzia?

Jagielski pomyślał, że Kastelik, chociaż świetny jako szef, potrafi czasem się zachowywać jak odklejony od rzeczywistości.

– Adwokat był z urzędu i miał to w dupie, bo swój szmal już zainkasował. Prokurator wie to, co przekaże mu policjant, z kolei sędzia pewnie wcześniej był z nim na wódce albo dopiero się na tę wódkę wybierał i żał mu było czasu na wnikanie w szczegóły.

– A dziewczyna? Musiała go przecież widzieć na sali sądowej. Nie skapowała się, że to inny facet?

– Piontek wcześniej jej wmawiał, że się pomyliła, bo sprawcą jest Fajlhauer. Mógł jej nawet pokazać zdjęcie Ditmara i powiedzieć, że to jest facet, który ją zgwałcił. Teraz się tego wypiera, ale to krętacz i nie wierzę nawet w pół jego słowa. Zresztą ze względu na traumę w ogóle mogło jej nie być w sądzie i tylko odczytano jej zeznania.

Naczelnik zamknął temat nieartykułowanym mruknięciem i wyraził zgodę na zajęcie pustego pokoju i wstawienie tam stołu konferencyjnego. Rozsiedli się teraz przy nim we czterech, by podzielić się swoimi ustaleniami. Zaczął Rajner, dysponujący najświeższymi informacjami. Popatrzył po obecnych i wypalił:

– To wcale nie jest matka Ditmara.

Zrobił to bez wcześniejszego wprowadzenia, nic więc dziwnego, że koledzy popatrzyli na niego z lekkim niesmakiem.

– Też mi rewelacja – prychnął Norbert. – Sklerozy jeszcze nie mamy. Przecież już o tym mówiliśmy.

– Pan komisarz miał na myśli tę zabitą kobietę – uściślił Ditmar, widząc, że Milewski szykuje się do riposty.

To z pewnością wywołałoby falę żartów i dogadywań, musiał więc temu szybko zapobiec. Lubił co prawda im się przysłuchiwać, ale nie dzisiaj. Czuł się przygnębiony wizytą w prosektorium, a przede wszystkim przytłoczony liczbą obcych osób, z którymi przyszło mu dzisiaj rozmawiać, i ogłuszony wszechobecnym gwarem. Czas spędzony w leśnej głuszy sprawił, że odwykł od ludzi, rozmowy o niczym nużyły, a hałas męczył. Marzył o powrocie do swojej chatki i postanowił zrobić wszystko, by jak najszybciej się w niej znaleźć.

– Chcesz powiedzieć, że to nie jest Maria Sienicka? – doszedł go zdumiony głos Swifta, wyznaczonego przez przełożonego do prowadzenia śledztwa, które przejęli od żywieckiej komendy po wykazaniu ewidentnych błędów popełnionych przez aspiranta Piontka.
– Kto w takim razie leży w kostnicy i skąd ta pomyłka?

Milewski i Fajlhauer jednocześnie otworzyli usta, by odpowiedzieć, a zauważywszy to, równie jednocześnie je zamknęli.

– Ty pierwszy – zdecydował Rajner.

Ditmar lekko skłonił głowę i odpowiedział na pytanie o tożsamość denatki.

– Nie wiem, jak ta kobieta się nazywała, znam tylko jej imię. Mówili na nią Teresa, ale nie mam pojęcia, czy naprawdę tak miała na imię. Na przykład matka całe życie była Marysią, a na życzenie tego faceta stała się Anną.

– Jakiego faceta i skąd to wiesz? – spytał Norbert.

– Przedstawiła mi go jako swojego męża. Ta Teresa była jego przyrodnią siostrą, tak mówili idealni. Jego dzieci – wyjaśnił Ditmar, zauważywszy, że nie zrozumieli. – Mieszkali tam wszyscy i dla mnie zabrakło już miejsca. Nie żebym żałował – zakończył z uśmiechem, który mimo wysiłku wypadł blado i sztucznie.

Swift otworzył teczkę z aktami, wyszukał zdjęcie denatki i skrzywił się na widok spustoszeń, jakich dokonała dłoń zabójcy.

– Nie rozumiem, jakim cudem można ją było rozpoznać – mruknął do siebie. Fajlhauer jednak usłyszał.

– Nie po twarzy – odpowiedział ze smutkiem, który jego samego zadziwił. – Zobaczyłem odrost na włosach, a ona... matka była naturalną blondynką. Poza tym wydawała mi się za niska i za szczupłą,

dlatego zerwałem z ciała tę szmatę, którą przykrywają zwłoki. – Zerknął z ukosa na Rajnera. – Pan komisarz Milewski uznał mnie za zboczeńca, ale nie miałem innego wyjścia, koniecznie musiałem coś sprawdzić.

– Dałbyś już spokój z tym komisarzem – burknął policjant. – Pana też sobie daruj. Mam na imię Rajner.

Fajlhauer najeżył się, podejrzewając żart, lecz wyciągnięta dłoń Milewskiego nie pozostawiała wątpliwości co do jego intencji. Uścisnął ją z radosnym zdumieniem, a potem zdumiał się ponownie, gdy Swift i Jagielski również zażyczyli sobie, by mówił do nich po imieniu. Dopiero wtedy uwierzył w to, co przedtem wydawało mu się zwyczajnym mydleniem oczu, i dlatego puścił mimo uszu zapewnienie prokuratora Biskupa, że ten zajmie się osobiście ponownym zbadaniem sprawy i doprowadzi do uznania go za niewinnego.

Norbert pierwszy przerwał nabrzmiałą emocjami ciszę.

– Co takiego sprawdziłeś?

– Matka miała na lewym biodrze bliznę po operacji. Na ciele tamtej kobiety jej nie było, za to była inna, na prawym udzie. – Ditmar wskazał ręką właściwe miejsce. – Taką bliznę miała właśnie ta Teresa, widziałem ją, kiedy wyszła z łazienki. Miała na sobie piżamę, koszulkę i takie króciutkie szorty, i ta blizna była doskonale widoczna.

– Trzeba będzie odszukać tego męża i zapytać go o dane przyrodniej siostry – stwierdził Swift. – Jak on się nazywa? Zajrzyj do akt. Piontek jest idiotą, ale nawet on musiał zebrać podstawowe informacje o denatce.

Tym razem Rajnera zawiodła umiejętność nieokazywania emocji i na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech.

– Na temat hipotetycznego męża nie ma tam ani słowa, są natomiast dane narzeczonego, który od czerwca mieszkał z Marią Sienicką, ale nie poznał jej na tyle, by się zorientować, że to nie jej ciało kazano mu zidentyfikować. Wiecie, kim jest ten kochający narzeczonego? Nazywa się Bartłomiej Koziniec.

Jego słowa wywołały spodziewany efekt. Przez kilka minut w pokoju rozbrzmiewały okrzyki zdumienia zmieszane z przekleństwami. Pierwszy opanował się Norbert i zdołał nawet wyartykułować dość oczywiste stwierdzenie:

– Ten sam, który jest ojcem zabitego Kozińca i który był powiązany ze Szpilą. Przyznacie chyba, że to daje do myślenia.

– Faktycznie daje – zgodził się Jerzy. – Zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę jego przeszłość. Taki facet powinien być bardziej wyedukowany, zdawać sobie sprawę, że znajdzie się na celowniku. Ale co ja tam wiem.

Koledzy przez kilka sekund patrzyli na niego ze zdziwieniem, lecz zaraz na ich twarzach pojawił się wyraz zrozumienia.

– Tego nie wziąłem pod uwagę – zaczął Rajner.

Równocześnie z nim odezwał się Norbert, zdziwiony własną niedomyślnością.

– A on polazł jak gdyby nigdy nic na komendę, choć bez tego moglibyśmy go nigdy nie połączyć z Sienicką.

– W dodatku jako alibi podał, że spędził ten czas w domu Kamińskiego, dając nam tym samym dowód na to, że znał się ze Szpilą – znów odezwał się Rajner. – Facet idiotą nie jest, a z tego jeden wniosek.

– Że nie zabił Sienickiej ani nie próbował zabić Kamińskiego – dopowiedział Jagielski z satysfakcją. – O to mi właśnie chodziło. Moim zdaniem jest ważnym świadkiem, ale nie podejrzewam, żeby był zabójcą. Ale co najdziwniejsze, to jego odciski palców znajdowały się na słuchawce telefonu Ochabczyka, a z rejestru rozmów wynika, że dzwonił pod numer należący do Szpili.

Ostatni fragment wypowiedzi wywołał zrozumiałe zainteresowanie obecnych. Przez kilka minut mówili jeden przez drugiego, nim głos Rajnera wybił się nad inne:

– Szybko dostarczono ten rejestr. Niezli są w tej telekomunikacji – pochwalił oszczędnie. – Listę rozmów Kamińskiego też?

– I co jeszcze? Gwiazdkę z nieba? – burknął Jagielski. – Obiecali mi, że jak zdążą, to będzie na poniedziałek. Znowu trzeba czekać, a tam na pewno jest numer do Pumeksa. Kurwa mać, jak to jest możliwe, że nie możemy odszukać dwumetrowego faceta wyglądającego jak Freddy Krueger?

Na to pytanie nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Rozdział 23

Pijana Temida

4 lutego 1993, Żywiec

Rajner zatrzymał się przed drzwiami pokoju zajmowanego przez aspiranta Piontka i zerknął na Ditmara. Chłopak nie sprawiał wrażenia podenerwowanego, ale Milewski poznał go już na tyle, by widzieć, że ukrywanie prawdziwych uczuć nie sprawia mu najmniejszych trudności. Niemniej postanowił się upewnić.

– Jak tam? Gotowy na wejście do jaskini lwa?

– Dam radę. Muszę.

W głosie Ditmara zabrzmiała determinacja. Rajner nie odpowiedział, skinął tylko głową i nacisnął klamkę. Na dźwięk otwieranych drzwi Piontek uniósł głowę znad dokumentów i rozpoznawszy wchodzącego, wykrzywił wargi w nieprzyjemnym grymasie.

– To znowu pan – westchnął demonstracyjnie. – Przecież wyraźnie powiedziałem, że nie mam czasu.

– Owszem – zgodził się Rajner. – Ale ja tym razem nie w tej sprawie. Przywiozłem panu Ditmara Fajlhauera.

W jednej chwili aspirant utracił tę swoją powagę, już z daleka uderzającą sztucznością. Poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że je przewrócił, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, poświęcając ją w całości komisarzowi.

– Co?! Gdzie on jest?!

– Czeka na korytarzu.

W przeciwieństwie do wrzeszczącego Piontka Milewski zachował całkowity spokój. Z lekkim rozbawieniem patrzył, jak aspirant szarpie za klamkę, z rozmachem otwiera drzwi i za nimi znika. Za moment ukazał się znowu – z zaczerwienioną z gniewu twarzą ciągnął za ramię Ditmara, który zgodnie z zaleceniami podkomisarza nie próbował stawiać oporu. Piątek pchnął chłopaka na krzesło i zwrócił się do Milewskiego. Jego głos wirował furją.

– Co to, kurwa, ma być? Jaja sobie robisz czy jak? Czemu on nie jest w kajdankach? I czemu, do chuja, zostawiłeś go samego na korytarzu?

– Sam się zastanawiam, co to ma być. – Głos Rajnera stał się lodowaty. – Jakies dziwne zwyczaje tu u was panują. Najpierw aspirant nazywa komendanta komisariatu tłukiem, a kiedy tenże komendant robi mu przysługę i przywozi świadka, aspirant żywi jakies nieuzasadnione pretensje, w dodatku zwraca się do niego bez zachowania określonych przepisami form.

Z całej przemowy do Piontka dotarło najwyraźniej tylko jedno słowo, gdyż właśnie do niego się odniósł z pominięciem pozostałych stwierdzeń.

– To nie jest, kurwa, żaden świadek, tylko podejrzany! Wyraźnie powiedziałem temu baranowi...

– Jakiemu baranowi? Ma pan na myśli aspiranta Szalbóta? Szkoda, że zapomniał pan o czymś takim jak droga służbowa.

Spokój podkomisarza zdawał się jeszcze bardziej podsycać wściekłość rozmówcy. Nie mogąc inaczej jej rozładować, aspirant doskoczył do Fajlhauera, obserwującego z nieskrywanym rozbawieniem ten słowny pojedynek.

– Ożeż ty, kurwa, gnoju! Zaraz odechce ci się podśmiechujek, jak wylądujesz na dołku. Ale najpierw obrączki.

Już sięgał po leżące na biurku kajdanki, gdy powstrzymało go krótkie „zapomnij”. Ze zdumieniem patrzył, jak chłopak podrywa się z krzesła i w kilku susach dopada drzwi. Jeszcze większe zdziwienie poczuł, gdy się przekonał, że Fajlhauer wcale nie zamierza uciec, a jedynie schronić się za plecami podkomisarza.

– Teraz wszystko jasne – powiedział urągliwie. – Gliniarz sprzymierzony z przestępcą. Za ile cię kupił?

Rajner wreszcie stracił cierpliwość. Ten mężczyzna był zbyt zadufany w sobie i jednocześnie zbyt tępy, by cokolwiek zdołało do niego dotrzeć.

– Pana chyba nikt nie kupił, i to jest jeszcze gorsze, bo nawet chciwość nie usprawiedliwia tych wszystkich błędów, które pan popełnił. Ditmar Fajlhauer nie zabił Marii Sienickiej. Wiedziałyby pan o tym, gdyby zadał sobie trud sprawdzenia jego alibi. Haliny Kupczak też nie zgwałcił, ale o tym pan dobrze wie, bo celowo go pan zrobił.

– Zamknij się! – ryknął aspirant. – Zamknij ten parszywy ryj i wypierdalaj stąd w podskokach, bo inaczej...!

Spojrzał na jak wykutą z kamienia twarz podkomisarza i reszta słów uwięzła mu w gardle. Rajner dał mu czas na uspokojenie, potem zapytał:

– Jak to właściwie było, aspirancie? Czemu nie sprawdził pan jego alibi? Wrobił go pan dla wyniku czy może Maria Sienicka panu zapłaciła?

W oczach Piontka zamigotał chytry błysk. Na twarzy pojawiła się charakterystyczna dla niego butna mina, a jednak wypowiedź Milewskiego musiała nim wstrząsnąć, porzucił bowiem używaną uprzednio poufałą formę, a głos nabrał grzeczności.

– Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Ktoś musiał wprowadzić pana w błąd, bo ja nie prowadziłem tamtego śledztwa, tylko porucznik Tyczkowski.

– Jak to? – zdziwił się Rajner. – Byłem pewien, że to pan. Jest pan pewien?

– Absolutnie! – oświadczył Piontek z mocą. – Może pan sprawdzić, że na wszystkich kwitach jest podpis porucznika, ja nie miałem z tą sprawą nic wspólnego.

Rajner długo mierzył go wzrokiem. Milczał i to milczenie coraz bardziej ciążyło aspirantowi, niczym gładz zalegający na piersiach i uniemożliwiający zaczerpnięcie powietrza. Zamierzał je przerwać, lecz podkomisarz go uprzedził, odzywając się znienacka:

– Stwierdził pan, że nie miał nic wspólnego ze wspomnianym śledztwem. Jak w takim razie ma się do tego ten dokument? – Wyjął z kieszeni złożoną na cztery kartkę i głośno odczytał: – „Oświadczam, że osobiście prowadziłem w śledztwie w sprawie zgwałcenia i pobicia

Haliny Kupczak wszelkie czynności, a w szczególności odebrałem zeznania od poszkodowanej Haliny Kupczak, podejrzanego Ditmara Fajlhauera oraz jego matki Marii Sienickiej, co pozwoliło prokuraturze postawić podejrzanego Fajlhauera w stan oskarżenia. Jednocześnie oświadczam, że porucznik Marian Tyczkowski w ogóle nie brał udziału w śledztwie i jego rola ograniczyła się wyłącznie do parafowania sporządzanych przeze mnie dokumentów”.

W miarę jak czytał, twarz Piontka na przemian to czerwieniała, to znów bladła do tego stopnia, jakby odpływała z niej cała krew. Jakiś czas trwało, nim aspirant otrząsnął się z zaskoczenia na tyle, by móc zareagować. Doskoczył do biurka, szarpnął szufladę tak mocno, że z łomotem upadła na podłogę. Schylił się szybko, a gdy się wyprostował, w jego prawej dłoni spoczywał wymierzony w Milewskiego pistolet.

Na widok broni w ręce zdesperowanego aspiranta Rajner sięgnął do tyłu i popchnął lekko Ditmara w lewo, gdzie stało puste biurko. Sam też przesunął się powoli w tamtym kierunku, osłaniając chłopaka własnym ciałem. W tym czasie Piontek na przemian to kłął, to wrzeszczał, siejąc wkoło kropelkami śliny.

– Ty chuju, oddaj mi to! Skurwysyny jebane, oszukaliście mnie! Oddaj mi to oświadczenie albo cię tu, kurwa, zastrzelę!

Podkomisarz najpierw się upewnił, że Ditmar jest bezpieczny, i dopiero wtedy spróbował pertraktować.

– Nie wygłupiaj się, Piontek. Służyłem w Plutonie Specjalnym, nie masz ze mną żadnych szans. Odłóż broń.

Mówiąc te słowa, krok po kroku zbliżał się do desperata, który mimo rzucanych cały czas gróźb nie zdobył się na oddanie strzału.

– Cienias – rzucił Rajner z pogardą i odebrał mu pistolet.

4 lutego 1993, Bielsko-Biała

Janusz Kamiński odzyskał wreszcie przytomność i czuł się na tyle dobrze, że lekarz zezwolił na krótką rozmowę. Jagielski stanął w progu separatki i przez jakiś czas spoglądał na wymizerowaną twarz chorego,

nim wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na krześle i nachylił się nad leżącym.

– Cześć, Szpila.

Powieki Kamieńskiego zadrgały, uniosły się w górę i opadły na powrót, lecz po rytmie oddechu policjant poznał, że mężczyzna nie śpi, a jedynie zbiera siły. Istotnie – nie minęła nawet minuta, a Szpila ponownie otworzył oczy. Tym razem spojrzał przytomnie i na widok Jerzego na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Cześć, komisarzu.

Mówił tak cicho, że Jagielski musiał się pochylić nad nim, by usłyszeć, ale fakt, iż ranny go rozpoznał, dawał nadzieję, że mężczyzna nie dostał amnezji ani też nie cierpi na jakieś inne uszkodzenie mózgu, czego lekarze nie wykluczali. Był jednak bardzo słaby, toteż na wszelki wypadek policjant od razu przeszedł do rzeczy:

– Kto cię tak urządził?

– Nie wiem.

Udzielona niemal natychmiast odpowiedź wzbudziła podejrzenia Jerzego, kazała przypuszczać, że Szpila próbuje osłonić swojego niedoszłego zabójcę.

– Gdyby nie ja i mój kumpel, rodzina musiałaby ci wyprawić mniej lub bardziej gustowny pogrzeb, a ty sobie ze mną w ciula lecisz? – spytał z wyrzutem.

– Wcale nie, no co pan? Naprawdę nie wiem, kto to był.

– To dziwne. Rozumiem lojalność, w końcu kiedyś Doktor poszedł siedzieć i cię nie wsypał, ale co innego wdzięczność, a co innego...

Kamieński przerwał policjantowi niecierpliwym syknięciem. Próbował coś powiedzieć, ale był już za bardzo zmęczony, by zmusić się do podniesienia głosu, i z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały szept. Jagielski pochylił się nad łóżkiem jeszcze niżej. Wiedział, że musi to rozegrać inaczej.

– Czy to Doktor uderzył cię w głowę?

Kamieński potwierdził nieznacznym skinieniem, co wywołało w oczach komisarza triumfalny błysk. Jerzy wyprostował się i zamierzał wstać, gdy poczuł na dłoni słaby uścisk. To Szpila wyciągnął rękę

i chwycił go, chcąc powstrzymać. Jego wargi znowu się poruszyły, lecz tym razem ku radości policjanta wypowiedź była całkiem zrozumiała.

– Pokłóciłem się z Doktorem. Skoczył do mnie i zaczęliśmy się szarpać. On mnie pchnął tak mocno, że przywaliłem głową o róg komody i...

– To wiem – przerwał mu Jagielski. – Lepiej powiedz, kto do ciebie strzelił. Chyba nie zamierzasz go kryć?!

Nie chciał, by ranny tracił siły na mówienie o sprawach mniej istotnych, jego przede wszystkim interesowała tożsamość zabójcy.

– Nie wiem – wyszeptał Szpila. – Naprawdę. Kiedy się ocknąłem, Doktora już nie było, jego torba też zniknęła z przedpokoju. Pewnie myślał, że niechcący mnie zabił, i się przestraszył, że stało się tak jak Teodo...

Urwał, ale słowa już padły i nie mógł ich cofnąć.

– Doktor zabił własnego syna? – upewniał się Jerzy, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Szpila nie odpowiedział. Nie mógłby, nawet gdyby chciał, gdyż do separatki wpadła rozeźlona pielęgniarka.

– Proszę natychmiast stąd wyjść! Chory musi teraz odpocząć. Miała być tylko chwila – wyrzekała, więc komisarz czym prędzej wyszedł.

Wolał się nie narażać. To nie była ostatnia wizyta, wkrótce będzie musiał tu wrócić, niewykluczone, że jeszcze dzisiaj. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba będzie ponownie porozmawiać z rannym i przede wszystkim znaleźć Kozinca. Ciekawe, o co się pokłócili. Niedokończone rozliczenia z przeszłości czy sprawy bieżące?

W drodze do komendy Jagielski podsumował w myślach rozmowę ze Szpilą i doszedł do wniosku, że wcale nie jest tak źle. Co prawda nie dowiedział się zbyt wiele, ale wystarczająco, by zintensyfikować poszukiwania. Teraz Doktor był nie tylko narzeczonym Marii Sienickiej, lecz także zabójcą swojego syna i sprawcą pobicia Kamińskiego. Kto wie zresztą, czy nie on do niego strzelał? Równie dobrze mógł się wrócić z zamiarem dobicia nieprzytomnego Szpili, który wiedział stanowczo zbyt wiele. Potem Koziniec zapewne gdzieś się zadekował. Tylko gdzie?

Na wszelki wypadek zaraz po powrocie do komendy komisarz zlecił obserwację mieszkania Sienickiej, a po namyśle także domu

Kamińskiego.

4 lutego 1993, Żywiec

Piontek nie był już ani butny, ani nawet pewny siebie, pobyt w izbie zatrzymań skutecznie go odmienił, sprawił, że aspirant spokorniał. Drżącym ze strachu głosem wyznał, jak naprawdę było ze sprawą zgwałcenia Haliny Kupczak.

– Sienicka przyszła do porucznika i opowiedziała o podejrzaniach wobec syna, a on kazał mi to sprawdzić. Widziałem, że niezbyt jej wierzy, ale mnie wydawała się szczerą, dlatego pojechałem do niej do domu, żeby z nim pogadać.

Urwał i zamilkł na dłuższy czas, i w końcu Norbert go ponaglił:

– Co było dalej? Nie mam dla ciebie całego dnia.

– Chłopak wprawdzie nie pasował do opisu podanego przez Kupczak, ale uznałem, że dziewczyna była w stresie i mogła nie zapamiętać wyglądu. Poza tym wszystko pasowało, więc zwinąłem go na dołek do wyjaśnienia.

Piontek znów zamilkł i zaczął gwałtownie wciągać powietrze jak ktoś mający kłopoty z oddychaniem. Swift bynajmniej nie dał się nabrać na tę demonstrację.

– Umierać będziesz potem, teraz mów.

Wobec tak bezdusznej postawy aspirant musiał się ugiąć. Posłał komisarzowi spojrzenie zranionej łani i podjął wyjaśnienia:

– Potem żonie Tyczkowskiego się pogorszyło i całe śledztwo spadło na mnie. Pomyślałem, że mogę się na tym ładnie przejechać, a już miałem wystarczające tyły w robocie. Przecież sam pan wie, jak nas traktowano po upadku komuny – zwrócił się do Swifta z porozumiewawczym uśmiechem.

Norbert go nie odwzajemnił. Spojrzał na aspiranta zimno, bez cienia sympatii.

– Wtedy wymyśliłeś, że zrobisz z Fajlhauera sprawcę i w ten sposób podniesiesz swoje notowania. Sprytnie. Dlatego nie przesłuchałeś

sąsiadów. Nie bałeś się, że sami przyjdą na komendę, żeby dać chłopakowi alibi?

Na twarz Piontka powrócił wyraz wyższości.

– Głupi nie jestem – stwierdził, a Norbert pomyślał, że z tym akurat by polemizował. – Najpierw sprawdziłem Pruchnoli u dzielnicowego i dowiedziałem się, że żona to taka szara myszka niemająca nic do powiedzenia. Co innego mąż. Nienawidził policji, miał za sobą internowanie i kilka krótkich odsiadek jako działacz „Solidarności”. Pomyślałem, że dla niego pójdzie dobrowolnie na komendę oznaczaloby hańbę, prędzej by dał sobie rękę uciąć.

– I tak właśnie było – oświadczył komisarz sucho, na co Piontek odpowiedział z nieskrywaną dumą:

– Widzi pan? Znam się na ludziach.

Mina mu zrzędała, gdy Norbert zignorował jego uwagę i zadał następne pytanie:

– Byli jacyś inni podejrzeni? Sprawdziłeś to?

– A po co? – szczerze zdziwił się aspirant. – To na pewno był Fajlhauer! Co z tego, że brakowało dowodów? Matka by nie kłamała!

– Zapłaciła ci.

Rzucone obojętnym tonem stwierdzenie musiało zboleć, gdyż na twarzy Piontka pojawił się grymas autentycznej urazy.

– To nieprawda! – wrzasnął doprowadzony do furii aspirant. – W ogóle nie było mowy o pieniądzach!

– Nie? – zdziwił się nieszczerze Swift. Poznał po jego reakcji, że przynajmniej pod tym względem Piontek był czysty. – A o czym była mowa?

– Powiedziała, że zna komendanta wojewódzkiego i że może mi się to opłacić, bo on też wie, że Fajlhauer jest winny.

Odpowiedź tak ubawiła Norberta, że nie zdołał się opanować i parsknął głośnym śmiechem. Wargi ciągle jeszcze mu drżały, gdy rzucił z gryzącą ironią:

– Faktycznie ci się opłaciło. Dołek zamiast awansu to zaiste czysty zysk. – Poklepał aspiranta po ramieniu w parodii gestu uznania, po czym niespodziewanie zapytał: – Dlaczego nie sprawdziłeś Kozińca?

Zaskoczony nagłą zmianą tematu Piontek nie od razu zrozumiał sens pytania i pojął go dopiero po kilkudziesięciu sekundach.

– Nie wydawało mi się to konieczne.

Oględna, niewyjaśniająca właściwie nic odpowiedź wydała mu się w miarę bezpieczna, niestety nie zadowoliła Swifta.

– Nie pierdol mi tu farmazonów, bo pogadam z tobą inaczej! – Pochylił się groźnie nad siedzącym. – Ty wiesz jak.

To wystarczyło, by aspirant do reszty stracił ducha. Za czasów swojej służby w Służbie Bezpieczeństwa nie wahał się siłą wydobywać zeznań z przesłuchiwanym, dlatego nawet do głowy mu nie przyszło, że ktoś mógłby robić inaczej. Prześlizgnął się przez gęste sito weryfikacji wyłącznie z powodu bliskiego pokrewieństwa z jedną z solidarnościowych osobistości, nigdy natomiast się nie zastanowił, jak to możliwe, że tysiące innych zostało zweryfikowanych pozytywnie bez takich znajomości. Wszyscy przecież ich mieć nie mogli. W swym ograniczonym umyśle aspirant nie brał pod uwagę opcji, że byli niewinni, zasada „nie sądz innych po sobie” była mu z gruntu obca. Skoro bił Piontek, to inni też bili.

– Nie miałem pojęcia, że Fajlhauera wypuszczą na warunek, i przeżyłem szok, kiedy przeszedł się zameldować. On chyba mnie nie poznał, ale i tak się wystraszyłem. Panie komisarzu, ja mam małe dziecko...! – Urwał, w oczach błysnęły łzy.

– Serdecznie współczuję – mruknął pod nosem Norbert.

Piontek jednak usłyszał i z jego twarzy na moment zniknął wyraz ściganej przez myśliwych zwierzyny.

– Dziękuję. Wiedziałem, że pan zrozumie.

Spojrzał z wdzięcznością, ale po ironicznym grymasie Swifta poznał od razu, że zanadto się z nią pośpieszył.

– Za to ty mnie nie zrozumiałeś. Z całego serca współczuję twojemu dziecku, że ma taką gnidę za ojca. No, śpiewaj, bo za chwilę się wkurwię.

Przerażony aspirant drżącym głosem opowiedział o pełnych strachu godzinach i o uldze, jaką poczuł na wieść, że Fajlhauer przemeldował się do Wisły. Ta zresztą nie trwała długo, bo już wkrótce pojawiła się

obawa, iż chłopak może zechcieć ruszyć zamkniętą sprawę, żeby dowieść swojej niewinności.

– A on był winny. Na pewno był – upierał się Piontek.

Zamilkł, przełknął gwałtownie ślinę i rozejrzał się w poszukiwaniu wody. Zamiast butelki zobaczył wpatrzony w siebie zimne oczy Swifta, a to wystarczyło, by przeszła mu ochota na zwilżenie wyschniętego gardła. Bez dalszej zwłoki podjął opowieść.

Wizytę Bartłomieja Kozińca na komendzie przedstawił jako wzorową obywatelską postawę, podkreślił też kilkakrotnie, że nie miał podstaw nie ufać mężczyźnie, który rozplakał się na wieść o śmierci narzeczonej. Na pytanie Swifta, dlaczego nie porozmawiał z pozostałymi domownikami, zrobił wielkie oczy. Nie miał pojęcia, że oprócz Kozińca w lokalu należącym do Sienickiej mieszkała także jego rodzina.

Dlaczego nie sprawdził alibi narzeczonego? Tu nagle zaczął kręcić i Norbert znowu musiał go postraszyć, by wreszcie wyznał prawdę. Gdy aspirant usłyszał o wizycie Fajlhauera w rodzinnym domu, a co najważniejsze, o jego kłótni i groźbach pod adresem matki, zrozumiał, że chłopak postanowił się zemścić.

– Na co miałem czekać? Że dopadnie mnie w ciemnej uliczce i zaciuka jak matkę? Musiałem jak najszybciej go zamknąć...

Mówił jeszcze długo, po kilka razy przytaczając te same argumenty, i nie wiadomo było, kogo właściwie chce przekonać: komisarza czy może siebie. Norbert słuchał go z nieprzeniknioną miną, wreszcie po kolejnym powtórzeniu wyszedł z pokoju, pozostawiając aspiranta pod nadzorem sierżanta Rohatyńskiego. Wiedział, że jemu może zaufać.

Wrócił po godzinie z protokołem do podpisu, a później obserwował spod oka Piontka, wczytującego się z uwagą w treść dokumentu. Wyglądał na zrelaksowanego, wręcz znudzonego, i nikt by się nie domyślił, że tak naprawdę komisarz z niepokojem czeka, czy aspirant podpisze protokół. Bez tego Fajlhauer również miał spore szanse na uniewinnienie, ale tak było prościej, pewniej i bez wątplenia szybciej.

Piontek dobrnął do końca, złożył zamaszty podpis i wstał.

– A ty dokąd? – Rohatyński wreszcie doczekał okazji, by wziąć odwet za liczne upokorzenia. – Siadaj na dupie i grzecznie czekaj.

– Na co mam czekać? Powiedziałem wszystko, co pan chciał wiedzieć. Nie będziecie chyba trzymać mnie na dołku jak jakiegoś bandytę?

Uwadze komisarza nie umknęło, że aspirant zwrócił się do niego, celowo ignorując niższego stopniem funkcjonariusza. Widocznie lekcja pokory nie była wystarczająca.

– Nie ja będę decydować, czy wrócisz do domu. Teraz zostaniesz tutaj pod opieką sierżanta Rohatyńskiego i grzecznie poczekaasz na przyjazd policjantów z Inspektoratu Komendy Wojewódzkiej. Chyba że wolisz spędzić ten czas na dołku...

Gwałtownym kręceniem głową aspirant dał znak, że przedstawiona przez Swifta alternatywa nie przypadła mu do gustu. Potem poruszył kwestię nurtującą go od początku.

– Byłem pewien, że to pan jest z inspektoratu – wytknął z pretensją. – To nieuczciwe, wprowadzać ludzi w błąd.

– Sam się wprowadziłeś, a to już nie moja wina – odparował komisarz. – Stan Tymiński też był pewien, że wygra wybory.

Od strony Rohatyńskiego dobiegł chichot, który Piontek, nie pojawiający sensu ostatniej uwagi Swifta, wziął za obrazę.

– Nie pozwolę...! – wrzasnął i urwał, uświadomił sobie bowiem, że jego pozycja nie jest obecnie najmocniejsza. Na wszelki wypadek zmienił temat. – Panie komisarzu, nie powiedział pan, w jakim wydziale pan służy.

Norbert doszedł do wniosku, że potrójny „pan” w jednym zdaniu to jednak lekka przesada, ale wolał powstrzymać się od komentarza. Przeczynał, że aspirant nie zrozumie. Zamiast tego wrócił pamięcią do rozmów z Piontkiem.

– Może nie powiedziałem tego wprost, ale inteligentny człowiek mógł bez problemu się domyślić.

– Widocznie nie zwróciłem uwagi. Mógłby pan powtórzyć?

– Nie mógłbym. Trzeba było uważać. – Norbert miał zamiar uciąć rozmowę, nie zdołał jednak się powstrzymać, by nie dorzucić: – Wiesz, Piontek, kiedy tak na ciebie patrzę, to dochodzę do wniosku, że Temida musiała być najebana jak meserszmit, kiedy wybierała na obrońcę prawa takiego przygłupa jak ty.

5 lutego 1993, Bielsko-Biała

Niespodziewanie Jerzy został wezwany do naczelnika, skąd wrócił po półgodzinie zły niczym szerszeń. Trzasnął drzwiami tak, że aż znad nich posypał się tynk, złapał papierosa i zapalił, mamrocząc coś pod nosem.

– Co się stało? – spytał Norbert.

Zaciekawiło go nietypowe zachowanie kolegi, bo Jagielski co prawda nie udoskonalił tak samokontroli jak Rajner, ale na ogół umiał nad sobą panować dużo lepiej. Puszczona w ramach odpowiedzi wyjątkowo barwna wiązanka potwierdziła przypuszczenie, że coś musiało być grubo nie w porządku.

– Nic się nie stało – burknął Jerzy. – Oprócz tego, że dalej nie mamy zabójców młodego Kozinca, tej jakiejś tam Teresy i Szpili.

– O kurwa! – wyrwało się Norbertowi, który po usłyszeniu tego właśnie słowa z ust młodszej córki starał się nie używać wulgaryzmów.

– Kamieński umarł?

– Żyje, ale nadal z nim źle i lekarz nie zgadza się na przesłuchanie. Usiłowałem wytłumaczyć to staremu, ale jak jest taki wkurwiony, to nic do niego nie dociera. Wyszło na to, że powinienem był przewidzieć, że ktoś zaatakuje Szpilę.

Norbert popatrzył z niedowierzaniem i ryknął śmiechem, na co kolega najpierw zareagował kolejnym bluzgiem, a potem mu zawtórował.

– Pięknie – wykrztusił Swift, gdy już się trochę uspokoił. – On tak na serio?

– Bardzo na serio. Poza tym to moja wina, że Pumeks zadekował się gdzieś z dziewczyną, a stary Koziniec i Sienicka zniknęli, podobnie jak Faustyna Koziniec, której od grudnia nikt nie widział. Podobno jestem za mało operatywny i nie umiem zarządzać zasobami ludzkimi.

Pod koniec wypowiedzi zadrżały mu wargi, a kąciki ust wyraźnie powędrowały w górę, co ucieszyło Swifta, świadczyło bowiem, że słowa naczelnika wprawdzie zirytowały kolegę, ale raczej nie spędzą mu snu z powiek.

– Jakimi znowu zasobami?

– Jak to jakimi? To chyba oczywiste, że tobą i Rajnerem – roześmiał się Jerzy.

– To ty wielka szycha teraz jesteś.

Norbert skłonił głowę jak przy składaniu hołdu, lecz Jagielski tylko się skrzywił.

– W sumie nawet mi go żal. Dostał zębę jak stąd do Ameryki, bo ten krewny Piontka się komuś poskarżył, a ten ktoś dotarł do komendanta i zrobiła się zadyma.

– Dużo tych komusiów, dobrze, że ci stary jeszcze obalenia komuny nie zarzucił. – Naraz Norberta tknęła niezbyt przyjemna myśl. – Tylko nie mów, że ten jebany Piontek wyjdzie ze sprawy obronną ręką!

– Aż tak to chyba nie, z policji pewnie wyleci, ale zarzutów raczej nie dostanie. Chociaż kto wie? Wszystko się może zdarzyć.

– Jasne – mruknął Swift. – Nawet to, że któregoś dnia to on będzie nam wszystkim wydawać rozkazy.

– Jeżeli tak się stanie, będzie to ostatni dzień mojej służby – rzucił Jagielski twardo. – Mogę znosić wybuchy Kastelika, bo jest przy tym fachowcem, zna się na naszej robocie. Ale żaden głupi kutas mi rozkazywać nie będzie.

Przerwało im wejście Rajnera, który od drzwi zażądał kawy.

– Należy mi się jak psu buda – stwierdził, gdy zaprotestowali przeciwko traktowaniu ich jako siły roboczej. – Chyba że nie chcecie wiedzieć, jak miała na nazwisko ta wasza Teresa.

Milewski, podobnie jak oni, dał wiarę zeznaniu Kozińca, który, zapytany przez Piontka o imiona rodziców, najpierw je podał, a później niepytany dorzucił, że oboje już nie żyją. Rodzeństwa nie miał, policjanci uznali więc, że szukanie go w rodzinnej miejscowości będzie tylko stratą czasu.

Dopiero dzisiaj Rajner uświadomił sobie, że Świątoszówka to nie blokowisko, gdzie każdy pilnuje swojego nosa. Mieszkańcy takich małych miejscowości wiedzą o swoich sąsiadach niemal wszystko, a każde odstępstwo od ustalonych przez społeczność zasad jest pamiętane przez długie lata. Podkomisarz nie był pewien, czy koledzy go nie wykpią, pojechał więc sam, żeby sprawdzić swoją teorię. Okazało się to strzałem w dziesiątkę.

– Matka Kozińca żyje i miewa się całkiem dobrze jak na kogoś pijącego od lat – oświadczył teraz ku ich zdumieniu. – Opowiedziała mi wiele ciekawych rzeczy o syneczku, ale najważniejsze jest to, że знаła też Teresę Jaroszyńską, która zresztą wcale nie była siostrą przyrodnią, tylko córką sąsiadów. Teresa zaczęła z nim sypiać, kiedy po wyjściu z więzienia pojawił się u matki. Jadwiga Koziniec ich przyłapała, zrobiła awanturę i kazała obojgu się wynosić, bo wydało jej się podłe, że Bartłomiej już znalazł sobie zastępstwo, choć jego żona jeszcze wtedy żyła. Wyjechali razem, a wraz z nimi zniknęły całe jej oszczędności.

– Potem już jej nie odwiedził? – spytał Norbert.

– Nie, to był ostatni raz, kiedy go widziała. Za to ostatnio pojawiła się jego narzeczona. Zgadnijcie po co.

Rajner roześmiał się na wspomnienie historii opowiedzianej mu przez Jadwigę Koziniec.

Rozdział 24

Niespodziewany prezent

5 lutego 1993, Bielsko-Biała

Koziniec spędził kolejny dzień to na uzalaniu się nad sobą, to znów na rozmyślaniu nad innym wyjściem niż tkwienie w nieskończoność w wychłodzonym domu. Niestety w skołatanej głowie nie pojawił się żaden plan dający gwarancję powodzenia.

Jeszcze nigdy Bartłomiej nie czuł się tak bezradny i opuszczony. Gdzie ci wszyscy znajomi nieszczędzący mu kiedyś słów podziwu? Gdzie koledzy, na których mógłby liczyć? Został sam, bez domu i pieniędzy. Bez przyszłości.

Przebywanie w zamknięciu dało mu się we znaki do tego stopnia, że wczoraj wieczorem postanowił pomimo nowego opadu śniegu wyjść na krótki spacer. Już w kurtce i butach wyrzwał dyskretnie zza firanki, chcąc się upewnić, że nie napatoczy się na jakiegoś przypadkowego przechodnia, i przeżył szok, gdy zobaczył czerwony ognek papierosowego żaru przemierzający się po terenie posesji. Po chwili dołączył do niego drugi. Na moment uwięzły w świetle reflektorów przejeżdżającego samochodu, dzięki czemu Koziniec zobaczył trzymających je mężczyzn i z przerażeniem stwierdził, że mieli na sobie policyjne mundury.

W panice ściągnął z łóżka materac wraz z pościelą i zawlókł do małego pomieszczenia bez okien, a jedynie z wywietrznikiem w rogu sufitu. Przyniósł tu także farelkę, której wcześniej nie odważył się włączyć w obawie, że ktoś może zobaczyć rozgrzaną do czerwoności

spirale. Natychmiast zrobiło się cieplej i Bartłomiej pożałował, że od razu nie wpadł na pomysł zamieszkania w tym składziku. Przespał noc bez przebudzenia, przez co jaśniej spoglądał na świat i wczorajsze strachy wydały mu się głupie i dziecinne. Policjanci spacerujący po ogrodzie? Brednie, musiało mu się przywidzieć.

Przemknął do kuchni, włączył gaz pod czajnikiem bez gwizdka i zajrzał do lodówki. Jej zawartość drastycznie się zmniejszyła, zwłaszcza gdy wyrzucił do kubła zzieleniałą wędlinę. Na szczęście Szpila miał spory zapas konserw, na kilka dni wystarczy. Wciągając w nozdrza aromat gulaszu angielskiego, Bartłomiej pomyślał tęsknie o pieczywie, niestety w tym przypadku musiał obejść się smakiem.

Zabrał z kuchni wyłożoną na talerzyk konserwę i szklanę z herbatą. Postawił naczynia na stoliku, po czym podszedł do okna, chcąc się upewnić, że na śniegu nie ma żadnych śladów.

Były tam, odznaczały się wyraźnie, a jakby tego było mało, zobaczył zaparkowany opodal bramy radiowóz. Na ten widok wpadł w taki popłoch, że jak szalony pognął do składzika, zamknął za sobą drzwi i zagrzebał się w pościeli. O śniadaniu całkiem zapomniał, widok radiowozu skutecznie odebrał mu apetyt.

Do opuszczenia azyłu zmusiła go konieczność odwiedzenia toalety. Odczuwał też dojmujący głód i pragnienie, toteż w drodze z pokoju do kuchni wypił duszkiem wystygłą herbatę. Włączył gaz pod czajnikiem i w oczekiwaniu na wrzątek na stojąco pożarł w kilku kęsach konserwę, popijając ją wodą z kranu. *Jak zwierzę* – pomyślał później, gdy ponownie zamknął się w składziku, zdjęty lękiem. Gdy bowiem przechodził obok okna, jeden rzut oka zza firanki wystarczył, by Bartłomiej się przekonał, że radiowóz nie zniknął.

Po południu stał tam nadal i na myśl o nim Koziniec poczuł wściekłość. Podniósł wzrok na sufit, podniszczony i pożółkły od papierosowego dymu, i w myślach przeklinał tego, któremu dał się omamić. *Co mi przyszło z wiary w ciebie, z przestrzegania twoich zasad? Gdyby nie ty, dalej byłbym kimś, kto się liczy, kimś, kto ma posłuch i poważanie. Miałbym pieniądze i ludzi gotowych skoczyć za mną w ogień, nadal byłbym Doktorem. To przez ciebie nic mi nie zostało. W dupie mam takiego Boga!*

Wybuch sprawił, że Bartłomiej przekroczył granicę, poza którą nie było już strachu. Zdecydowanym krokiem przeszedł do przedpokoju, odszukał w notatniku Szpili właściwy numer telefonu i bez wahania zbliżył palec do tarczy aparatu.

5 lutego 1993, Żywiec

Maria zaparkowała na miejscu przynależnym do jej mieszkania. Zawsze tak o nim mówiła, chociaż jak się okazało, nie miała do niego żadnych praw. Na samą myśl o tym trzęsła nią złość. Jak on mógł? Czyż nie była dobrą żoną przez tyle lat i czy nie dbała o jego bachora? A on tak się jej odwdzieczył!

Znienawidziła tego dzieciaka od pierwszej chwili, bo nie tak miało to wszystko wyglądać. Nie to Rudi jej obiecywał. Najpierw w ogóle ukrył przed nią to, że ma dziecko, a później, kiedy już nie dało się dłużej trzymać tego w tajemnicy, obiecywał, że gdy tylko chłopak będzie starszy, odda go do szkoły z internatem. Nigdy nic z tego nie wyszło, na domiar złego Rudolf na każdym kroku dawał jej do zrozumienia, że syn jest dla niego najważniejszy. Ciągle tylko Ditmar i Ditmar. Wszystko dla niego, dla niej nic.

Kiedy Rudi umarł i została sama z tym gnojkiem, jak mogła, zatruwała mu życie, licząc na to, że wreszcie to pojmie i się wyprowadzi. Imiała się wszelkich sposobów, lecz wszystko na próżno, chłopak nie chciał lub nie umiał dostrzec, że jest w tym domu *persona non grata*. Dlatego nie zawahała się ani przez sekundę, gdy usłyszała, że w pobliżu miejsca, do którego czasami chodził, pobito i zgwałcono młodą dziewczynę.

Maria po prostu musiała na niego donieść. To była jej szansa i nie zamierzała jej zmarnować. Niestety sprawy znowu nie potoczyły się zgodnie z jej planem, ponieważ chłopak dostał tylko marne pięć lat.

– Cholerne sądy! – warknęła, zmierzając do wejścia na klatkę schodową.

Po raz kolejny poczuła rozczarowanie wyrokiem. Czemuż ten cholerny gwałciciel nie zabił swojej ofiary albo przynajmniej porządnie jej nie

pobił? Wówczas na pewno wyrok nie byłby taki łagodny i Ditmar nadal pozostawałby w więzieniu, o ile nie zabiłby go któryś ze współwięźniów, na co w skrytości ducha liczyła. Tyle się mówiło w mediach o brutalnych pobiciach w zakładach karnych, o zabójstwach dokonywanych niemalże w majestacie prawa... Ale nie, jemu oczywiście nie stała się żadna krzywda, a jakby tego było mało, po trzech latach dostał warunkowe zwolnienie.

Maria przeżyła prawdziwy szok, gdy zobaczyła go na progu swojego mieszkania. Wyglądał dokładnie tak samo jak trzy lata temu, dlatego przez moment łudziła się, że zdoła go zmanipulować, tak jak to robiła wcześniej. Jednakże to już nie był ten sam chłopak, zrobił się twardy i nieufny, groźny i nieustępliwy, i to ona po raz pierwszy musiała się ugiąć. Na szczęście Ditmar nadal nie miał pojęcia, jaki naprawdę jest status mieszkania, wołała więc dać mu to, czego zażądał, żeby tylko zniknął.

Szkoda, że nie będzie mogła go ubrać w zabójstwo Teresy. A może mimo wszystko się uda? Będzie to wymagało wspięcia się na wyżyny sztuki aktorskiej, ale w jej przypadku nie powinno to sprawić większego kłopotu. Zawsze umiała dobrze grać. Idąc po schodach, układała w myślach nowy plan.

Zadzwoi na policję i powie, że w mieszkaniu leżą zwłoki, później rozpozna Teresę i będzie płakać nad losem szwagierki, a na koniec zacznie się zastanawiać, dlaczego Ditmar ją odwiedził w czasie, gdy była na wczasach. Jak to dobrze, że zachowała szklanekę, z której pił podczas ostatniej bytności. Coś ją wtedy tknęło, kazało dobrze schować naczynie, bo może okazać się przydatne. I choć później kilka razy miała zamiar je wymyć i odstawić na półkę, owo coś ostrzegało, że nie powinna tego robić. I miało rację.

Wydobyła z torebki klucze i chusteczkę, po czym otworzyła drzwi, zasłaniając nos. Weszła do mieszkania z przymkniętymi powiekami, dając sobie czas na przygotowanie się na obrzydliwy widok. Zdziwiła się, że nie wyczuwa smrodu rozkładającego się ciała, otworzyła więc oczy i aż krzyknęła ze zdumienia. Zwłoki zniknęły.

Zanim zdążyła się zastanowić nad przyczyną zaskakującej dematerializacji, ktoś chwycił ją za ręce i już po chwili poczuła na nich

chłód metalu. Szarpnęła się i popatrzyła z wściekłością na policjantów, którzy pojawili się tak samo tajemniczo, jak zniknęło ciało Teresy.

– Co to ma znaczyć?! Natychmiast mnie uwolnijcie! – wrzeszczała jak opętana. – Nie macie prawa! Ja was...

– Jest pani zatrzymana pod zarzutem zabójstwa Teresy Jaroszyńskiej – przerwał jej jeden z funkcjonariuszy, przez co nigdy się nie dowiedzieli, co ona ich. Nie wyglądało jednak na to, by byli tego ciekawi.

6 lutego 1993, Bielsko-Biała

Stary zegar z kukułką zamilkł i chociaż ptak zdążył już się schronić do budki, po niemal pustym pomieszczeniu nadal niosło się echo podwójnego kukania. Pora się zbierać.

Mężczyzna dokończył wiązanie sznurówki, wstał i kilka razy przytupnął, potem kiwnął z zadowoleniem głową. Buty były dobre, warte swojej ceny. Włożył kurtkę, zasunął wysoko zamek błyskawiczny i naciągnął czapkę na uszy. Gotowy do wyjścia.

Doszedł już do drzwi, lecz zawrócił do pokoju i stanąwszy nad łóżkiem, długo spoglądał z czułością na śpiącą dziewczynę. Ciągle nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę tu jest, że nie uległa się jego wyglądowi i nie opuściła go przy pierwszej sposobności. Czy to możliwe, by pokochała go choć trochę?

– Moja Tynka – szepnął, przepełniony nieznanym mu tak długo uczuciem.

Pochylił się i delikatnie pocałował lekko rozchylone usta. Westchnęła cichutko i rozchyliła je mocniej, jakby w zaproszeniu. Nie zdołał się oprzeć i pocałował ją ponownie, mocniej i namiętniej, lecz to mu nie wystarczyło, zapragnął więcej. Nie odrywając się od tych cudownych, nabrzmiałych warg, zdarł z głowy czapkę, potem niecierpliwie rozpiął zamek kurtki, by móc wsunąć sobie pod sweter smukłą dziewczęcą dłoń. Przytrzymał ją jedną ręką, druga wślizgnęła się pod kołdrę, pomiędzy nagie uda Tyny.

– Znowu? – spytała całkiem przytomnie, lecz w jej głosie nie usłyszał niechęci, tylko nieklamany zachwyt.

Dłoń dziewczyny wypełzła spod swetra i powędrowała niżej, gdzie materiał bojówek napinał się pod naporem wzwiedzonego członka. To wystarczyło, by w oczach mężczyzny rozgorzała żądza niedająca się ugasić byle dotykiem. Gorączkowymi ruchami rozpiął spodnie, lecz nie zamierzał tracić czasu na rozbieranie. Zsunął je wraz z majtkami na tyle tylko, by oswobodzony penis wyprężył się dumnie, sygnalizując pełną gotowość.

– Rafał, zaczekaj – pisnęła, gdy w jednej chwili kołdra wylądowała na podłodze, a pomiędzy szeroko rozwartymi udami znalazł się oszalały z pożądania mężczyzna. – Zapomniałeś o prezerwatywie. Nie możemy bezabez...

Resztę wypowiedzi pochłonęły jego usta, a w następnej chwili Tyna całkiem o wszystkim zapomniała, bo właśnie wtedy Rafał uniósł lekko jej biodra i wbił się w nią tak mocno, że aż jęknęła. Jeszcze nigdy nie brał jej tak gwałtownie. Łóżko protestowało głośnym trzeszczeniem, rama waliła w ścianę w takim samym nieprawdopodobnym tempie, z jakim poruszały się biodra mężczyzny. Dziewczyna doszła z głośnym krzykiem, lecz on jeszcze nie skończył. Obrócił ją na brzuch i wziął od tyłu, dbając już wyłącznie o swoje zadowolenie, a rama łóżka jeszcze mocniej i szybciej uderzała w ścianę. Wreszcie eksplodował z głośnym jękiem i opadł na bok.

Pociągnął dziewczynę na siebie i odgarnął jej z twarzy splątane włosy. Pogładziła jego zniekształcony policzek, a on się odsunął, dobrze wiedząc, do czego taki gest może doprowadzić. Przez tyle lat był emocjonalnym wrakiem, samotnym i opuszczonym, skazanym wyłącznie na swoją rękę, że nawet odrobina czułości ze strony Tyny wywoływała niepohamowaną żądzę.

– Muszę iść, robota czeka.

Wstał niechętnie, podciągnął majtki i spodnie, potem poprawił przepocony sweter i zapiął kurtkę. Schylał się właśnie po czapkę, gdy usłyszał szept.

– Szkoda.

– Wrócę szybko – obiecał, choć nie miał pojęcia, jak prędko uda mu się wykonać to ostatnie zadanie. – Nawet się nie obejrzysz, a znowu będę w tobie. Zabrałbym cię ze sobą, ale może być tak jak ostatnio –

ostrzegł na widok jej podekscytowanej miny i pokiwał głową, gdy wstrząsnął nią dreszcz.

– Idź już – ponagliła go, wiedząc, że gdy coś obiecał, nawet ona nie jest w stanie zmusić go do zmiany zdania. – Ale pamiętaj, że dałeś mi słowo, nie zabijaj już więcej.

– Nie będę, przysięgam – ponowił przyrzeczenie. – Wrócę najdalej za trzy godziny. Ale gdyby... – Zawahał się, niepewny, czy nie robi z siebie durnia, przejmując się przeczuciami. Jednakże bezpieczeństwo Tyny było ważniejsze. – Gdybym nie wrócił do szóstej, zabierz wszystko z kasetki i zniknij. Czekaj na mnie w tym miejscu, o którym opowiadałaś. Nie bój się, na pewno je znajdę.

– O czym ty mówisz? Rafał, zaczekaj!

Nie zważając na gorączkowe pytania dziewczyny, naciągnął czapkę na uszy i wyszedł z domu. Wybierał nieoświetlone uliczki, pozwalając pochłaniać się ciemności, która tak długo była jego jedyną przyjaciółką. Nie bał się jej, tak jak się nie bał napotykanym co jakiś czas ludzi z tak zwanego marginesu, bardziej obawiał się światła, bo ono mogło ujawnić światu wszystkie jego słabości, nie tylko te fizyczne.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na miejscu. Idąc za radą Doktora, przelaźł przez dziurę w płocie i schylony, by nie dojrzeli go siedzący w radiowozie policjanci, przebiegł przez ogród do bocznych drzwi. Zgodnie z umową były otwarte.

Poruszał się w ciemnościach zwinnie i bezszelestnie niczym nocny drapieźnik, i to on pierwszy spostrzegł ludzką sylwetkę rysującą się cieniem na tle czerwonej poświaty. Z satysfakcją odnotował, że Doktor zobaczył go dopiero wtedy, gdy podszedł całkiem blisko. Rafał włożył ręce do kieszeni i oparł się o framugę w nonszalanckiej pozie.

– Co mam zrobić? – spytał zwięźle.

Doktor nie odpowiedział od razu. Pociągnął go w głąb pomieszczenia w stronę farelki będącej źródłem czerwieni rozświetlającej nocny mrok. Powoli, z wyczuciem zamknął drzwi i dopiero wtedy się odezwał.

– Co się stało? – spytał z wyraźnie słyszalnym strachem.

– Nic. O co ci chodzi?

– Ty, Pumeks, lepiej ze mną nie pogrywaj! Miałeś być godzinę temu.

– Miałem, ale rady nie dałem.

Na wspomnienie powodów spóźnienia nowo przybyły uśmiechnął się połową twarzy, co w połączeniu z nonszalancką odpowiedzią doprowadziło Kozińca do furii.

– Czego się szczerzysz, durniu?! Idiota! Nie rozumiem, czemu Szpila nie poszukał sobie kogoś innego do mokrej roboty.

Magiera zwrócił do niego tę stronę twarzy, gdzie jedynym nieuszkodzonym elementem było okolone ciemnymi rzęsami oko.

– Jeszcze dwa tygodnie temu zeżarłbyś te słowa razem ze swoimi jajami. Masz szczęście, że ją spotkałem – dodał cicho i dziwnie łagodnie. Naraz głos mu stwardniał: – Nie mam czasu na pogaduchy. Mów, jaki masz do mnie interes, albo *auf Wiedersehen*.

– Na początek znajdziesz mi bezpieczną metę, a potem kupisz mi dobre papiery – oznajmił Doktor głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Pumeks zastanawiał się przez chwilę.

– Sprawa jest do zrobienia, ale to nie będzie ani łatwe, ani tanie. Ile na to przeznaczasz?

Starszy z mężczyzn uśmiechnął się dość paskudnie.

– Ani grosza. Sam zapłacisz, jesteś mi to winien. Co się tak gapisz, tępaku? Zabiłeś mi syna! Myślałeś, że się nie dowiem?

Wreszcie udało mu się zachwiać spokojem tego nieudacznika z twarzą jak z najgorszego koszmaru i z zadowoleniem słuchał jego wyrzekań.

– A to skurwysyn! Co za podły, podstępny gnój! A ja go kryłem przed glinami, załatwiałem za niego interesy, żeby miał czyste konto! Ufałem mu, a on mnie chce ubrać w swoje buty, zrobić w morderstwo...

Ostatnie słowa sprawiły, że Koziniec wreszcie zrozumiał. Doskoczył do Pumkesa i chwycił za gardło, przerywając wypowiedź.

– Gadaj, jak to było z Teodorem, bo cię tu, kurwa, zatłukę! Kto zabił mojego syna?

– Jak to kto? – Magiera bez wysiłku odgiął zaciśnięte na gardle palce i odepchnął Doktora. – Ty go zabiłeś i dobrze o tym wiesz. Od chwili, gdy go pchnąłeś na ten kominek, był praktycznie bez szans. Może gdybyś wezwał pogotowie...? Ale kochający tatuś był tak wydygany, że spierdolił zamiast pomóc chłopakowi. Tak samo jak Szpili. Myślałeś, że się nie dowiem, kto go załatwił? Zostawiłeś swojego kumpla, żeby tu zdychał jak pies.

Koziniec pozbierał się już z podłogi i stanął nad Pumeksem, jakby ta pozycja mogła mu przywrócić utraconą godność.

– To nieprawda! W gazecie pisali, że ktoś go zastrzelił!

Niespodziewanie młodszy z mężczyzn schylił głowę, nie dość szybko jednak, by starszy nie dojrzał w jego oczach łez.

– Przyszliśmy... przyszedłem tam zaraz po tym, jak ty uciekłeś. Leżał w kałuży krwi. Byłem pewien, że nie żyje, i na wszelki wypadek wyjąłem pistolet... On kazał mi go zwinąć staremu i przynieść – dodał, jakby to było w tej chwili najważniejsze. – Kucnąłem przy nim, bo chciałem sprawdzić puls, a on nagle chwycił mnie za rękę i zaczął wrzeszczeć, że jeszcze nie wygrałeś, i że cię zajebie. Wziął mnie za ciebie, kumasz?

Bartłomiej wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałaś, że jeszcze żył. Mówił do ciebie, czyli nie było z nim tak źle. To ty go zastrzeliłaś, nie ja!

– To nie tak – tłumaczył się Magiera. – On zaczął mnie szarpać, chwycił za rękę z pistoletem i to kurewstwo samo wypaliło. Ja nigdy bym...

Urwał na widok triumfującej, pełnej zadowolenia miny Kozinca, który naraz odzyskał pewność siebie.

– Tłumaczyć się będziesz w sądzie. A teraz skończ z tymi głupotami i ruszaj załatwiać te papiery, bo jak nie, to dam cynk na gliny. Zabiłeś mojego kumpla i mojego syna, ty morderco! Szpila mówił, że kiedy tam weszliście, Teodor jeszcze żył. I że ty...

Napawając się swoimi słowami, nie zauważył, że w Magierze także zaszła zmiana. Już nie wyglądał na załamane. Dłonie zwinięte w pięści i niebezpieczne błyski w ciemnych oczach świadczyły, że wola walki powróciła.

– Chyba faktycznie żył – przyznał dość obojętnie Pumeks. – Inaczej Szpila nie miałby powodu rąbnąć go pogrzebaczem. A taką scenę zobaczyłem, kiedy tam wszedłem. Bo nie wiem, czy pamiętasz, ale ja przyjechałem tam później. – Spojrzał bez cienia współczucia na Kozinca i oznajmił: – Nie chcę mieć nic wspólnego z takim gnojem, który zabił własnego syna, a córkę traktował tak, że uciekła z domu. Z kim innym będziesz robić interesy, Doktor.

Wstał, otworzył drzwi i wyszedł ze składzika. Włożył prawą rękę do kieszeni, ale zaraz ponownie ją wyjął. Bezszelestnie przemierzył korytarz, potem przebiegł przez ogród w stronę dziury w ogrodzeniu, lecz gdy znalazł się na ulicy, ruszył wzdłuż płotu w stronę radiowozu. Ostatnie metry przebył schylony, by go nie dostrzegli siedzący w samochodzie funkcjonariusze. Tuż przy aucie wyprostował się, wydobył coś z kieszeni i położył na dachu, po czym ruszył w drogę powrotną. Zdażył się już znacznie oddalić, gdy tknęła go jakaś myśl. Zawrócił kilka metrów, podniósł nieduży kamyczek i rzucił nim w stronę radiowozu. Cichutki stukot poinformował o bezbłędnym trafieniu i Rafał, nie kryjąc się już wcale, odszedł, zlewając się z ciemnością.

Podobnie jak Ditmar, Milewski miał już dosyć pobytu w mieście, choć w jego przypadku wyglądało to trochę inaczej. Bardziej od gwaru nękała go tęsknota. Pragnął już znaleźć się w domu, wtulić się w miękkie ciało Joli i zasnąć, wiedząc, że rano ona dalej tam będzie. Czekał na nią tyle czasu, że wątpił już, czy ona zechce kiedykolwiek z nim być. A potem stał się cud i wróciła. Bał się zostawić ją samą nawet na moment, a gdy musiał to zrobić, wyobrażał sobie, że ona zniknie. Wtedy byłoby tak, jakby on także zniknął.

Pocieszał się myślą, że już niedługo. Nikt nie jest w stanie ukrywać się w nieskończoność i Koziniec i Magiera w końcu wpadną w ręce policji.

Po decyzji Jagielskiego o obstawieniu newralgicznych punktów, jak dom Szpili, mieszkanie w Żywcu czy kamienica, gdzie nadal był zameldowany Pumeks, postanowili pełnić nocne dyżury, by w razie czego móc błyskawicznie zareagować. Tej nocy dyżur przypadł właśnie Rajnerowi i podkomisarz nudził się niemiłosiernie. Uporządkował akta, uzupełnił braki w dokumentach, po czym zaparzył kawę, by odpędzić senność. Kawa jako taka co prawda w ogóle w tym nie pomagała, ale sama czynność już tak, bo zawsze było to jakieś zajęcie.

Ciszę rozdarł sygnał telefonu. Milewski wypuścił z ręki kopiastą łyżeczkę czarnego proszku i podbiegł do aparatu, czując podskok

adrenaliny. Była czwarta rano, o tej porze nikt nie miał powodu dzwonić, wobec czego mogło to oznaczać tylko jedno – pojawił się któryś z podejrzanych.

Wysłuchał słów dyżurnego oficera, po czym złapał kurtkę i wybiegł z budynku, a po chwili pędził już w kierunku domu Szpili.

– Co jest? – zapytał, gdy po zaparkowaniu samochodu za rogiem posesji Kamińskiego i przemknięciu niezauważalnie do radiowozu wsunął się na tylne siedzenie. – Któryś się pojawił? Magiera czy Koziniec?

– Tego nie wiemy – odpowiedział sierżant dowodzący patrolem. – Właściwie to ja nikogo nie widziałem, on też mówił – wskazał na młodszego wiekiem i stopniem kolegę – że żadnego z podejrzanych chyba nie zauważył.

Wyjaśnienie było dość mętne, co zaskoczyło Milewskiego, gdyż poznał już trochę sierżanta i wiedział, że ten nie ma zwyczaju wyrażać się nieprecyzyjnie.

– W takim razie po co ten alarm?

Zadał pytanie spokojnie, bez podnoszenia głosu, i to ośmieliło młodszego funkcjonariusza, który dotąd nie wypowiedział ani słowa, wykazywał natomiast nieuzasadnioną nerwowość.

– Mieliśmy meldować o wszelkich nietypowych wydarzeniach, dlatego zadzwoniłem, ale nie mówiłem, że kogoś widziałem i że ma pan przyjechać.

– W porządku – uspokoił go Rajner. – Nic się nie stało, przynajmniej mam jakieś zajęcie. Co to za anomalia, która was zaniepokoiła?

– Coś walnęło w dach samochodu, tak jakby ktoś rzucił kamieniem albo żołędź spadł na dach. Wysiadłem, żeby sprawdzić, i zobaczyłem cień podobny do ludzkiej sylwetki. Kazałem mu się zatrzymać, ale on zniknął.

– Tak było – potwierdził sierżant. – Ja też go widziałem, był wysoki, mniej więcej pana wzrostu, może nawet wyższy i bardziej przypakowany. Ale widziałem go tylko przez moment i nie mogę przysiąc, że to na pewno był człowiek.

Rajner pokręcił głową z powątpiewaniem. Było ciemno, ale nie aż tak, by człowiek, w dodatku wysoki, mógł tak po prostu zniknąć.

– W umiejętność dematerializacji to ja raczej nie wierzę – burknął. – Pewnie skręcił za róg, dlatego zniknął wam z oczu.

– Skrzyżowanie jest dużo dalej. – Starszy posterunkowy upierał się przy swoim. – Ale ważniejsze jest, że gdy wracałem do radiowozu, zauważyłem coś na dachu...

Nie dokończył, bo sierżant przerwał mu gniewnie:

– To był taki mały kasetowy dyktafon, a ten idiota go wziął w łapy!

– Nie pomyślałem – tłumaczył się młody funkcjonariusz, lecz sierżant jeszcze z nim nie skończył.

– Ci, co zginęli od bomb, też nie pomyśleli, że w takim małym gównie może być umieszczony zapalnik. Wpiszę ci to...

Rajner przerwał sierżantowi niecierpliwym pytaniem:

– Gdzie jest ten dyktafon? Sprawdziliście nagranie?

– Tylko początek, potem uznałem, że lepiej będzie, jak wy to odsłuchacie, bo jednym z nagranych facetów jest Pumeks.

Podkomisarz naraz utracił całe opanowanie. Niemal wyrwał urządzenie z rąk sierżanta i włączył, a wtedy wszyscy trzej usłyszeli to, czego jeden z nagranych mężczyzn z pewnością nie chciał ujawnić światu.

– Mógł ich nagrać ktoś trzeci – przytomnie zauważył młodszy z policjantów.

Po namyśle Milewski odrzucił tę wersję jako nieprawdopodobną przede wszystkim z powodu opisu tajemniczego cienia, podanego przez obu funkcjonariuszy.

– To musiał być Pumeks, bo Doktor nie pasuje, jest za niski. Ruszcie się, pora wsadzić pana Kozińca do saka.

Wysiadł jako pierwszy, ale i tak usłyszał nieprzeznaczone dla jego uszu pytanie:

– Skąd on wie, że Doktor jest w domu? Przecież obstawiamy tę chatę.

– Albo był tu już wcześniej, albo się prześlizgnął. A to, że jest w środku, wynika z nagrania. – Rajner ze spokojem wysłuchał słów niedowierzania i zapewnień, że niczego takiego nie słyszeli, i zakończył dyskusję swoją ulubioną odzywką: – Trzeba było uważać.

Rozdział 25

Zamknięte sprawy

6 lutego 1993, Bielsko-Biała

Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, lecz Rajner niczego innego się nie spodziewał. W ostatniej chwili powstrzymał młodego funkcjonariusza sięgającego już do dzwonka i wyjął z kieszeni pęk wytrychów. Dopasował i po krótkim manipulowaniu dom Janusza Kamińskiego stanął przed nimi otworem.

– Włamał się pan. Nie wiedziałem, że tak można – odezwał się starszy posterunkowy zgorszonym szeptem.

– Oj, młody, musisz się jeszcze dużo nauczyć. – Tutaj mamy prawo wejść. Właściciel leży w szpitalu, a my mamy uzasadnione podejrzenie, że pod jego nieobecność do domu zakradł się ktoś obcy. Szkoda czasu na dyskusje o moralności – uciął Milewski. – Wchodzimy.

Wolno przechadzali się po domu, lustrując wzrokiem poszczególne pomieszczenia. Dom był tak wyziębiony, że właściwie nie dało się wyczuć różnicy pomiędzy przebywaniem na zewnątrz a w środku. Panowała w nim niczym niezmacona cisza, spotęgowana jeszcze kompletną ciemnością. Rajner przesłonił ręką światło latarki i omiół nim wnętrze, by skonfrontować widziane obrazy ze zdjęciami zrobionymi przez technika. Od razu zobaczył różnice. Wszystkie okna zostały zasłonięte, chociaż na zdjęciach widać było wyraźnie błyszczące szyby. Zniknęła też krwawa plama z podłogi w gabinecie, a przecież trudno było podejrzewać, by nieprzytomny Szpila uciekł ze szpitala po to, by ją zmyć.

Podkomisarz dał znak kolegom, a gdy podeszli, powiedział cicho:

– Ktoś tu na pewno był. Nie wiem, czy jest jeszcze w domu, ale bądźcie ostrożni. Może być niebezpieczny, on wie, że nie ma już nic do stracenia.

Poruszając się bezszelestnie, w świetle latarek sukcesywnie penetrowali pokój za pokojem. Przechodząc obok kuchni, Rajner zauważył sierżanta spoglądającego na kuchenkę zamyślonym wzrokiem. Podeszedł bliżej.

– Coś nie tak? – spytał półgłosem.

– Czajnik jest jeszcze letni, a w kubie leżą świeże puszki po konserwach. Miał pan rację, ktoś tu sobie pomieszkuje.

Milewski skinął głową i nakazał zwiększyć czujność, potem ruszył na dalsze penetrowanie domu. W korytarzu zauważył nadchodzącego z przeciwnej strony starszego posterunkowego, który pokazał gestem, że wszystko jest w porządku. Na oczach Rajnera nacisnął klamkę jakichś drzwi i nagle w wąskie przejście wlało się czerwone światło, a młody policjant nie zdołał powstrzymać okrzyku zaskoczenia. Zaraz jednak odgłos został stłumiony dłonią zasłaniającą usta, a sekundy później funkcjonariusz usłyszał ciche słowa:

– Nie drzyj się, to może przeżyjesz.

Ukrywający się człowiek usiłował go wciągnąć do pomieszczenia i zapewne tam się z nim zamknąć. Rajner nie zamierzał do tego dopuścić.

– Cześć, Doktor – odezwał się, wychodząc z cienia. – Jak ci się tu mieszka? Trochę za zimno, prawda?

W pierwszej chwili mężczyzna wydał z siebie stłumiony okrzyk. Zaraz jednak sięgnął za plecy, złapał nóż i przytknął ostrze do gardła starszego posterunkowego.

– Nie podchodź! – wrzasnął w panice. – Nie próbuj się zbliżyć, bo go zabiję!

– Nie tym razem.

Zanim Koziniec zdążył się zastanowić nad sensem wypowiedzianych lodowatym tonem słów, z mroku wyłoniła się dłoń z pistoletem.

– Nie możesz...

Więcej powiedzieć nie zdołał. Rozległ się głośny huk, ręka trzymająca nóż rozluźniła się i opadła, a ostrze z brzękiem upadło na podłogę.

Rajner przez chwilę spoglądał zimno na jęczącego z bólu Bartłomieja i na krew skapującą wolno spod rękawa swetra. Uniósł broń, chuchnął w lufę niczym rewolwerowiec na westernach i powiedział z uśmiechem:

– Chyba jednak mogę.

Drewniany ptak ochryłym głosem zakukał po raz szósty i zamilkł. Faustyna wpatrywała się bezmyślnie w drzwiczki budki stanowiącej jego schronienie i pomyślała z zazdrością, że nawet ta głupia sztuczna kukułka ma swój dom. A ona?

Gdy ojciec wyszedł z więzienia, był całkiem inny, ale nic jeszcze nie wskazywało, że zamieni im życie w piekło. To nastąpiło dopiero po śmierci mamy, zresztą następowało powoli i dziewczyna dopiero po długim czasie zorientowała się w sytuacji. Oboje z bratem stali się jego niewolnikami, służącymi mu do wykonywania rozkazów i wyładowywania złości. Mianował się władcą absolutnym, nieznoszącym najmniejszego nawet sprzeciwu i wymagającym natychmiastowego wypełniania poleceń.

Za brak posłuchu nakładał na nich dotkliwe kary, a wszystko to robił rzekomo dla ich dobra i zgodnie z nakazami religii. Jego jednak te nakazy najwyraźniej nie dotyczyły, skoro mógł sypiać z Teresą bez ślubu. Naprawdę myślał, że Faustyna nabierze się na tę idiotyczną historyjkę o przypadkowo odnalezionej przyrodniej siostrze? Musiałaby nie widzieć, jak na siebie patrzą, jak niby przypadkiem ocierają się o siebie, a potem znikają w pokoju pod pozorem przeprowadzenia poważnej rozmowy.

Nie miała nic przeciwko temu, by na nowo ułożył sobie życie. Nie był przecież stary, gdy mama umarła, miał dopiero czterdzieści dwa lata. Ale czy, na miłość boską, musiał sprowadzać do domu kochankę, nim jeszcze żona ostygła w grobie? I dlaczego musiała to być akurat Teresa, tak złośliwa i podstępna, że mimo starań nie zdołali jej polubić?

Jeździła z nimi wszędzie, najpierw do Wrocławia, potem do Suchej Beskidzkiej, a gdy wrócili do Żywca i zamieszkali w jednopokojowym mieszkaniu, Teresa także się tam wprowadziła, choć nawet w trójkę było im za ciasno. Potem nastąpiła epoka Anny i oboje z Teodorem mieli nadzieję, że nowa narzeczona ojca zrobi porządek z tym wstrętnym babskiem, ale łudzili się na próżno. Anna okazała się nie lepsza od Teresy i choć widać było, że nie cierpią się wzajemnie, sprzymierzyły się ochoczo w gnębieniu młodych.

Faustyna nie podejrzewała, że tak się to skończy, gdy po niespodziewanym pojawieniu się młodego krewniaka Anny postanowiła zagrać na nosie zniechęconej „ciotce”. Wiedząc, że Teresa wstaje w nocy do łazienki, poszła do pokoju chłopaka i namówiła go na udział w psikusie. Jakiś czas rozmawiali, a gdy w przedpokoju rozbłysło światło, zaczęli wydawać odgłosy jak podczas uprawiania seksu.

Nie bardzo wiedziała, co chce przez to uzyskać, nie spodziewała się jednak aż takich reperkusji, choć początkowo nic nie wskazywało, że w ogóle jakieś będą. W piątkowy poranek Teresa nie wspomniała ani słowem o charakterystycznych dźwiękach i Faustyna doszła do wniosku, że niepotrzebnie się wysilała, zamiast porządnie się wyspać.

Do najgorszego doszło dopiero po południu, gdy krewniak Anny najpierw walnął ojca, a potem po prostu wyszedł, za nic mając jego groźby. Wtedy podjudzony przez Teresę ojciec zawlókł Faustynę do pokoju i okrutnie pobił, po czym zabronił opuszczać pokój bez zezwolenia. Kiedy w sobotę nad ranem obudziło ją parcie na pęcherz, była pewna, że nie dowiezie się do łazienki, tak bardzo wszystko ją bolało po tym, jak ojciec ją skatował. Zobaczyła w lustrze posiniaczoną twarz, poznaczoną smugami zaschniętej krwi, i nagle coś w niej pękło.

Nie wróciła już do swojego kącika, skierowała się natomiast do przedpokoju, gdzie od razu zauważyła, że na wieszaku nie ma jej kurtki. Buty także nie stały na słomiance, gdzie je wczoraj zostawiła, co oznaczało, że ojciec nie blefował i faktycznie postanowił ją uwięzić. Za to spod futrzanej czapki wystawał pasek torebki, która musiała umknąć uwadze domowego oprawcy. Faustyna chwyciła ją i szybko sprawdziła zawartość. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, łącznie z kluczami, których nie zamierzała zabierać. Położyła je na

półce i wybiegła z mieszkania, nie myśląc o tym, że ma na sobie tylko domowe ubranie i papcie.

– Teraz też muszę wybiec – powiedziała do siebie, otrząsając się ze wspomnień.

Chwila słabości minęła. Faustyna metodycznie opróżniała komodę, wrzucając do torby najpotrzebniejsze rzeczy. Na koniec otworzyła kasetkę i wyjęła z niej gruby plik banknotów oraz dwa komplety dokumentów. Przejrzała je pobieżnie.

– A więc tak się będę od dzisiaj nazywać – skonstatowała na widok własnej podobizny w dowodzie osobistym.

Uśmiechnęła się smutno na widok drugiego dowodu. Już miała odłożyć go na bok, gdy zmieniła zdanie. Nie powinna zostawiać żadnych śladów, poza tym to jest jedyna pamiątka po mężczyźnie, który dał jej nowe życie, pomógł odzyskać godność i poczucie własnej wartości, który pokochał ją bezwarunkowo i nigdy o nic nie zapytał, zadowolając się tym, co mu powiedziała. Niestety nie zdążyła powiedzieć mu najważniejszego. Tego, że ona też go kocha.

Zwiesiła ramiona na widok wskazówek oznajmiających, że minęło już wpół do siódmej. On już nie wróci, pora iść.

Faustyna ubrała się szybko, złapała ciężką torbę i wyszła z pokoju. Na ulicy owionęło ją mroźne powietrze. Rozejrzała się w poszukiwaniu taksówki, gdy do krawężnika podjechał samochód, a męski głos zawołał z za opuszczonej szyby:

– Może panią podwieźć?

6 lutego 1993, Żywiec

Długo spoglądał w milczeniu na siedzącą naprzeciwko kobietę i zastanawiał się, co sprawiło, że zamieniła się w potwora. Wyglądała zupełnie zwyczajnie, jak tysiące innych, a jednak coś z nią musiało być nie tak. Norbert mógł zrozumieć, że nie obdarzyła przybranego syna miłością. Nie wszyscy są zdolni pokochać obce dziecko, wielu nie umie tego nawet w przypadku własnych, ale co innego nie kochać, a co innego nienawidzić do tego stopnia, jak Maria Sienicka nienawidziła

Ditmara. Bo jej nienawiść musiała być ogromna, skoro nie zawahała się przed oskarżeniem go o zgwałcenie dziewczyny, której nawet nie znał.

Komisarz postanowił wysłuchać jej wersji wydarzeń. Miał czas, a ciekawiło go życie w domu Fajlhauerów widziane jej oczami. Chciał wyrobić sobie sprawiedliwy osąd, a taki jest możliwy jedynie wówczas, gdy pozna się opinie obu stron konfliktu.

– Jaki był Ditmar w dzieciństwie?

Sienicka wpatrzyła się w niego ze zdumieniem, widać nie spodziewała się takiego pytania. Zaciśnęła wargi, po twarzy przemknął grymas niechęci. Jednak chęć wyrzucenia z siebie zadawnionych uraz okazała się zbyt wielka i to ona zwyciężyła.

– Był wstrętnym, nieusłuchanym dzieciakiem i taki sam pozostał, kiedy dorósł – wysyczała, wykrzywiając się gniewnie.

– Nie lubiła go pani.

– A czemu miałabym go lubić? Za co? Za to, że mąż mnie oszukał? Do tego, że ma dwuletniego bachora, przyznał się dopiero po ślubie i jeszcze miał pretensje, że się nie ucieszyłam. Idiota! – prychnęła pogardliwie. – Gdybym chciała mieć dziecko, urodziłabym własne zamiast niańczyć cudzego gówniarza.

– Wrobiła go pani w gwałt. – Popatrzył na nią uważnie. – Tylko z niechęci czy był jeszcze jakiś inny powód?

– Nieprawda! W nic go nie wrabiałam...

Norbert uciął te zaprzeczenia przedstawieniem dowodów, co zamknęło Sinickiej usta. A gdy oznajmił, że odpowie za składanie fałszywych zeznań, tama zadawnionych uraz wreszcie pękła, wylewając pełne jadu słowa. Tak jak przypuszczali, głównym powodem było mieszkanie, które Rudolf Fajlhauer kupił za odziedziczone po rodzicach pieniądze, a ponieważ przed ślubem podpisali porozumienie o rozdzielności majątkowej, Sienicka nie miała do niego żadnych praw, podobnie jak do środków zgromadzonych w banku.

O tym wszystkim dowiedzieli się od notariusza, tak samo jak o wizycie Kozińca i jego wściekłości na wieść, że został oszukany, jednakże Swift chciał to usłyszeć z ust Sienickiej. Dzięki temu ujrzał jasno powód ataku na Ditmara, przedtem bowiem nie mógł pojąć, dlaczego tak postąpiła, skoro nic na tym nie mogła zyskać.

– Cały czas mnie oszukiwał, zwodził, że zapisał mi wszystko w testamencie, więc gdyby umarł, będę zabezpieczona. Nie po to wycierałam dupę temu gnojnikowi, chodziłam na wywiady, znosiłam jego wyskoki i nawet gówniarza czasem przytulałam. Pan nie wie, jak to jest, kiedy człowiek się stara, żyły sobie wypruwa, a i tak najważniejszy jest zawsze ten wstrętny bachor! Nienawidzę tego gnoja!

– Czy dobrze zrozumiałem, że Ditmar właściwie nic złego pani nie zrobił?

– Nie musiał nic zrobić, wystarczyło, że był!

Norbert pojął, że do tej zapatrzonej w siebie, chorej z zazdrości kobiety nie dotrą żadne argumenty, przeszedł więc do zasadniczej kwestii:

– Dlaczego zabiła pani Teresę Jaroszyńską?

– Nie zabiłam... – zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

– Na uchwycie rondla, którym zmasakrowała jej pani twarz, jest pełno odcisków palców, a tutaj mam wynik porównania tamtych śladów z odciskami pani linii papilarnych. Zgodność jest stuprocentowa, więc mam gdzieś przyznanie się do winy. Tak sobie tylko myślę, że musiała panią cholernie wkurzyć.

– Ona pierwsza zaczęła! – wrzasnęła Sienicka, a komisarz omal się nie roześmiał na tę dziecinną wymówkę. – Walnęła mnie tym garnkiem tak, że aż mnie zamroczyło. Wypadł jej z ręki, a ja go chwyciłam i jej oddałam.

– Tak tylko z dwadzieścia razy – wtrącił ironicznie Swift.

Nie wychwyciła ironii.

– Nie wiem, ile razy. Nie pamiętam. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że tłukłam ją i tłukłam, aż rondel wypadł mi z ręki. Wtedy się opamiętałam. Zobaczyłam jej twarz i uciekłam.

Sienicka zbladła i gwałtownie przełknęła ślinę, i to był pierwszy ludzki odruch, jaki Norbert u niej zauważył.

– Rozumiem. A co z nożem?

– Wyleciał mi z ręki, kiedy mnie uderzyła. Gdyby nie to, pewnie bym ją pochlastała. Ale to nie robi żadnej różnicy, prawda? Bo i tak ją zabiłam.

15 lutego 1993, Bielsko-Biała

– Podsumujmy, panowie – powiedział podinspektor Kastelik po pobieżnym przeczytaniu ustaleń podwładnych. – Bo muszę się przyznać, że trochę się pogubiłem. Trzy trupy i pięcioro sprawców? Nie za dużo tego dobrego?

– Pomylił się pan – wytknął mu Jagielski. – Trupy są tylko dwa, bo Kamiński przeżył, a jego zeznanie potwierdziło to, czego dowiedzieliśmy się z nagrania.

– Wiadomo już, kto nam sprezentował ten dyktafon?

Tym razem naczelnikowi odpowiedział Rajner.

– Nie wiadomo, ale jestem zdania, że zrobił to Rafał Magiera. Tylko on mógł nagrać swoją rozmowę z Doktorem, no i tylko on odpowiada opisowi przedstawionemu przez chłopaków pilnujących domu. Niestety nie mamy pojęcia, gdzie mógł się zadekować.

Kastelik przez jakiś czas w milczeniu rozważał jego słowa. Sięgnął znów po akta i odszukał potrzebny mu fragment.

– Z zeznań Szpili wynika, że gdy przyjechał do domu Ochabczyka, młody Koziniec nie dawał oznak życia, ale kiedy Kamiński go dotknął, chłopak niespodziewanie złapał go za rękę. Szpila spanikował, chwycił pogrzbacz i rąbnął go w głowę. Potem pojawił się Pumeks i wyniósł Teodora z domu, wrzucił ciało do rowu i miał zamiar przysypać je śniegiem, tylko że przeszkodziła mu twoja córka.

Spojrzał na Norberta, który skinął głową, i dorzucił szybko, nie chcąc, by naczelnik zaczął wnikać w powody obecności Apolonii na terenie cudzej posesji:

– Według opinii patologa młody Koziniec nie miał prawa przeżyć po tym, jak rąbnął głową w kominek. Nie dało się ustalić, które z obrażeń spowodowało zgon, dlatego uważam, że zabójców było dwóch.

– Podobnie było z Kamińskim – włączył się Rajner. – Koziniec posłał go na komodę, Szpila przywalił głową w róg i upadł, a Doktor przywalił mu popielniczką. Wtedy Kamiński stracił przytomność, Doktor zaś swoim zwyczajem dał nogę zamiast ratować kumpla. A potem przyszedł Pumeks.

– Tylko że w przeciwieństwie do tamtych on wezwał pogotowie – uzupełnił Jerzy. – Wiem to od Szpili, który potwierdził przebieg wydarzeń wynikający z nagrania. Twierdzi, że nie miał siły nawet otworzyć oczu, by dać znać Magierze, że żyje, ale na tyle kumał, by słyszeć, jak Pumeks dzwoni. To by się zgadzało...

– I się zgadza – przerwał mu Norbert. – Dziwiło mnie, że pogotowie tak szybko przyjechało, więc to sprawdziłem. Były dwa zgłoszenia. Pierwsze na dziesięć minut przed naszym, a wzywający nie podał swojego nazwiska.

– Czyli znowu dwóch sprawców jednego zdarzenia – westchnął Kastelik. – Co za czasy! Kiedyś to przynajmniej umieli samodzielnie zabijać.

Rozśmieszył ich tym stwierdzeniem, w którym wbrew pozorom było sporo racji. Jak nie zamach bombowy, to zmasakrowanie przeciwnika przy pomocy kija bejsbolowego czy innego niebezpiecznego przedmiotu, a jak już trafiło się zabójstwo, które nie zostało dokonane tymi środkami, to śledztwo wykazywało udział kilku osób.

– Niby racja – odezwał się Jagielski. – Tylko że Szpila się upiera, że to on miał pistolet i pociągnął niechcący za spust.

Podinspektor długo rozważał w myślach jego słowa, potem przywołał w myślach zeznanie Urszuli Magier. Po ucieczce od męża zdecydowała się oczyścić imię syna i powiedzieć prawdę o Zbigniewie, który z jednej strony nie mógł znieść widoku okaleczonej twarzy Rafała, a z drugiej w myśl zasady „oko za oko” mścił się na sprawcach jego wypadku. Sąsiedzi dawali Pumeksowi alibi wcale nie ze strachu, ale dlatego, że chłopak rzeczywiście był w domu. Policjanci pytali o nie tego Magierę.

Schorowany, wysłużony złodziej, niby taki bogobojny, tylko pozornie wiódł spokojne życie rencisty, tymczasem od dawna parał się paserką. Zaowocowało to kontaktami w świecie przestępczym. Znał doskonale Kamińskiego i gdy Rafał po szkole nie mógł znaleźć pracy, zaprotegował go właśnie Szpili, który jako jeden z nielicznych umiał docenić chłopaka postrzeganego przez innych jako bezmózgi automat do wykonywania rozkazów.

Pumeks zawsze mówił wolno, gdyż wskutek wypadku doznał uszkodzenia nerwów twarzy i przy próbach szybszego wysławiania się

lub w chwilach zdenerwowania jego mowa zamieniała się w niewyraźny bełkot. Wstydział się tego, toteż najchętniej milczał. Nikt jednak nie pomyślał nad powodami; ludzie woleli przyjąć, że ktoś z takim wyglądem na pewno musi być także upośledzony umysłowo, i nie przyszło im do głowy nawet przez moment się zastanowić, jak w takim razie mógł ukończyć technikum i zdać maturę.

Kastelik odłożył akta i nie patrząc na podwładnych, powiedział:

– Decyzja należy oczywiście do prokuratora Woźniaka, ale proponowałbym nie uwypuklać roli Pumeksa. Jeśli nawet to on nacisnął spust, na pewno nie zrobił tego celowo, tylko przypadkiem, w trakcie szarpaniny. Narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu było w tym przypadku nieumyślne, co oznacza znacznie łagodniejszą karę, no i ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego. Niemniej Magiera był świadkiem innego zabójstwa, o czym nas nie poinformował, a później brał udział w ukrywaniu śladów. Należy wyłączyć to z tamtego śledztwa i otworzyć nowe.

Szybko przeszli do omówienia ostatniej sprawy – zabójstwa Teresy Jaroszyńskiej. Podinspektor tym razem nawet nie zerknął do akt, tylko oświadczył z zadowoleniem:

– Przynajmniej jedna sprawa, gdzie zabójca jest oczywisty i na pewno tylko jeden.

W milczeniu wbili oczy w stół, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Naraz Norbert wyprostował się na krześle i spojrzał Kastelikowi prosto w oczy.

– No właśnie – oświadczył głośno i wyraźnie. – Mamy pełne przyznanie się do winy wraz z wyjaśnieniami podejrzanej co do okoliczności i motywów zabójstwa. Prokurator ma wszystkie dane do aktu oskarżenia.

Naczelnik nie zwrócił uwagi na chwilę konsternacji. Kiwnął z zadowoleniem głową i podziękował za wieści.

Wracali do pokoju w milczeniu, a każdy z nich myślał o tym samym. O liście, który w poniedziałek został przysłany na adres żywieckiej komendy. Zatytułowany był: *Do prowadzącego sprawę zabójstwa w bloku przy ulicy Nowej*, i zawierał zdania świadczące, że nadawca nie stroi sobie żartów z policji:

To ja zabiłam Teresę Jaroszyńską. 21 stycznia wróciłam do domu po moje rzeczy, które zostawiłam, uciekając z domu przed okrucieństwem ojca. Otworzyła mi Anna Sienicka, narzeczona ojca. Powiedziałam, że przyszedłam po książki, bo mam zamiar wrócić na studia, ale ona tylko coś mruknęła o głupich kurwach i nawet na mnie nie spojrzała.

Zdenerwowałam się, więc żeby o tym nie myśleć, włączyłam głośno radio i zaczęłam pakować ubrania i książki. Trwało to dość długo, bo było ich dużo, a nie mogłam zabrać wszystkich, nie mieściły się do torby. Kiedy wyszłam do przedpokoju, Anny nigdzie nie było, ale zobaczyłam mieszkającą z nami przyrodną siostrę ojca, Teresę Jaroszyńską, klęczącą na środku kuchni. W ręce miała nóż, a twarz tak poranioną, że rozpoznałam ją tylko po głosie. Prosiła o pomoc, więc podeszłam i kucnęłam obok niej.

Nagle przypomniałam sobie, że to przez nią ojciec mnie skatował tak, że wolałam uciec tak, jak stałam, niż pozostać w tym domu. Zapytałam, czemu nie poprosi o pomoc swojego boga, który jest ponoć taki wszechmocny. Wtedy zamierzyła się na mnie tym nożem. Uchyliłam się i chciałam wstać, ale poślizgnęłam się na krwi i upadłam. Zaczęłam przesuwając się do tyłu, a Teresa na czworakach szła za mną.

Nie wiem, czemu naraz upadła. Może zasłabła albo też się poślizgnęła? Leżała bez ruchu, więc po pewnym czasie jej dotknęłam. Nie zareagowała, dlatego zaryzykowałam i obróciłam ją na plecy. Miała szeroko otwarte oczy i nóż wbity w gardło. Nie żyła. To moja wina, bo gdybym jej pomogła, zamiast prowokować, nic takiego by się nie stało. Nie chcę, żeby ktoś odpowiadał za to, co zrobiłam, dlatego napisałam ten list. Przepraszam za zamieszanie.

Faustyna Koziniec

Długo się zastanawiali, co powinni zrobić. Ze słów Marii Sienickiej i uwag Kozińca wywnioskowali, że Bartłomiej faktycznie maltretował fizycznie i psychicznie swoje dzieci, potwierdziło się też, że po wizycie Ditmara dotkliwie pobił córkę, a ona uciekła z domu. Co więcej, Maria przyznała, iż tego dnia Faustyna wróciła po swoje rzeczy. Czy była

obecna, gdy doszło do bójki? Tego Sienicka nie wiedziała, szok okazał się zbyt wielki.

List zawierał zbyt wiele szczegółów, by nie dać wiary przedstawionym wydarzeniom, z drugiej jednak strony dziewczyna mogła zmyślić fragment o wypadku, podczas gdy naprawdę sama wbiła nóż w gardło Teresy. Z kolei za wersją Faustyny przemawiał fakt, że na narzędziu ujawniono tylko dwa rodzaje linii papilarnych, z których większość należała do denatki, a kilka do Marii Sienickiej.

– Jakim cudem masz pełne przyznanie się? – spytał nagle Jagielski.

Siedział za biurkiem rozparty niczym basza i czekał na kawę. Dzisiaj dyżur kuchenny przypadł Swiftowi, który odwrócił się od czajnika z dziwną miną.

– Sienicka naprawdę jest zdrowo pojebana – oświadczył z przekonaniem i zajął się nalewaniem wrzątku.

– A ty zaraz będziesz jebnięty w głowę – ostrzegł Jerzy, a Rajner go poparł.

– Okej, już mówię, tylko podam jaśnie panom kawusię – roześmiał się Norbert.

Wkrótce przed każdym z trzech komisarzy stała pełna szklanka, a Swift opowiadał o kuriozalnym zachowaniu podejrzaney.

Sienicka tak bardzo chciała być zawsze w centrum uwagi, że usłyszawszy, iż w więzieniu największe poważanie mają zabójcy, nie zamierzała pozwolić, by ktoś odebrał jej ten tytuł, i nagle zmieniła zeznanie. Twierdziła teraz, że to ona dźgnęła Teresę, i trwała przy swoim wbrew zdrowemu rozsądkowi i protestom adwokata.

– Niepotrzebnie się wysilała, bo z opinii patologa wynika, że gdy Jaroszyńska upadła na nóż, była już martwa, zatem tak czy siak tytuł zabójcy ma niewyjęty – oświadczył na koniec. – Dzwoniłem do prokuratora, a on kazał zaprzestać poszukiwań dziewczyny, powiedział, że mam zrobić wyłączkę i następnie umorzyć.

– Ona dość się już wycierpiała. Gdy mam do czynienia z takimi rodzinami jak jej czy Ditmara, cieszę się, że wychowywałem się w bidulu – powiedział cicho Rajner. – Mam nadzieję, że tam, gdzie jest teraz, będzie jej lepiej.

Później, gdzieś w Polsce

– Byłam pewna, że już cię nie zobaczę. Bałam się, że było tak jak wtedy u Kamińskiego i że już nie wrócisz. Że zginąłeś albo że policja cię złapała.

Faustyna nie umiała wyrzucić z pamięci tamtej przerażającej sceny. Pojechała wtedy z Rafałem, który chciał ją wreszcie przedstawić swojemu pracodawcy, lecz zamiast wspomnień miłej rozmowy zabrała stamtąd obraz człowieka leżącego w kałuży krwi, który nagle się ocknął i tak długo szarpał rękę Rafała, że pistolet przyniesiony na życzenie Szpili w końcu wypalił. Chciała od razu uciekać, tak jak uciekła z mieszkania Anny, gdy zobaczyła nóż w gardle Teresy, ale mężczyzna ją powstrzymał i zanim wyszli, zadzwonił na pogotowie.

Rafał zauważył, że zadrżała, i przytulił ją mocniej.

– Jeszcze dwa miesiące temu zostałbym w Bielsku, bo nie miałbym już nic do stracenia, teraz jednak cena wydała mi się za wysoka. Zrezygnować z życia na wolności? Z ciebie? Na to pierwsze mógłbym się jeszcze zgodzić, ale na drugie nigdy. Nic mi nie groziło, głuptasie, po prostu musiałem przed wyjazdem coś załatwić.

– Co takiego? Minęła szósta, a ciebie nie było...

– Spóźniłem się, bo chciałem pożegnać się z mamą, a ten... mój ojciec zaczął swoją śpiewkę. Truł i truł, i w końcu musiałem go uciszyć. Tynka, no co ty?! – zawołał na widok jej strachu. – Tylko go postraszyłem, zresztą twojego ojca też nie tknąłem nawet palcem. Przecież obiecałem, że kończę z przemocą. Dlatego nawet słowem nie wspominałem, że wiem, kim jest, bo gdyby powiedział o tobie chociaż jedno złe słowo, musiałbym złamać przyrzeczenie i wetknąć mu je z powrotem w gardło.

– Razem z językiem czy z jajami? – zażartowała, chcąc, by się trochę rozluźnił, zauważyła bowiem, że jego słowa brzmią coraz bardziej niewyraźnie.

Nie odpowiedział od razu. Nie chciał, by wiedziała, jaką walkę musiał ze sobą stoczyć, by Doktor mógł zachować życie.

Na wspomnienie posiniaczonej twarzy, poznaczonej smugami zakrzepłej krwi, jak zawsze ogarnęła go taka sama furia jak wtedy, gdy Faustyna niemal wpadła mu pod koła. W jednej chwili pojawiła się tuż przed maską, w następnej leżała na śniegu. Wysiadł czym prędzej, pewny, że jednak ją potrącił, ale nim do niej podszedł, dziewczyna zdążyła już wstać. Podniosła na niego wzrok, a on w tych szarych, nieskończenie smutnych oczach dojrzał błaganie o pomoc.

Nie zobaczył natomiast obrzydzenia i to sprawiło, że zaproponował jej podwózkę. Wsiadła bez wahania, a gdy zapytał, dokąd ma ją odwieźć, odpowiedziała, że w miejsce, gdzie nikt nie będzie jej bić i wyzywać. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zabrał ją do domu, choć mógł przewidzieć reakcję ojca, sam przecież tyle razy stawał się ofiarą wątpliwych moralnie zasad tego bigota. Miał ochotę zmusić go do odszczekania obelżywych słów, bo chociaż oprócz imienia nic o dziewczynie nie wiedział, przeczuwał, że opinia ojca ma się nijak do rzeczywistości.

Zamieszkali w kawalerce należącej do Janusza Kamieńskiego, który bez zbędnych słów dał im klucze. Było tam tylko jedno łóżko, co początkowo wydawało się Rafałowi żadną komplikacją, w przeciwieństwie do Faustyny był wszak człowiekiem nocy. Ale Szpila nie zawsze miał dla niego zadania wymagające działań pod osłoną ciemności. Coraz częściej przenosił je na dzień, przez co utrudniał podopiecznemu życie, bo jak tu spać, kiedy tuż obok leży ktoś tak cholernie pociągający?

Ich myśli musiały biec zbieżnym torem, nagle bowiem Tyna zmieniła pozycję, przytuliła się do niego i wyszeptała:

– Pamiętasz tamten dzień?

Jak mógłby zapomnieć? Pojechali do Kamieńskiego razem, bo tego dnia Tyna miała zajęcia na uczelni i jak zawsze odebrał ją z dworca. Weszła z nim do domu, trzymała się jednak nieco z tyłu, żeby nie przeszkadzać w rozmowie czy raczej wysłuchaniu poleceń, gdyż Rafał prawie się nie odzywał. Oprócz Szpili w domu był także Doktor, a jego obecność zawsze działała na Pumeksa deprymująco. Młody mężczyzna wyczuwał na odległość jego niechęć, pogardę i obrzydzenie i dlatego wolał milczeć.

W pewnym momencie Doktor wstał, by nalać sobie drinka, i wtedy Rafał poczuł, że Faustyna poruszyła się za nim i gwałtownie wciągnęła powietrze. Potem lekki, ledwie słyszalny szmer oznajmił mu, że wyszła. Nie miał pojęcia, co ją do tego sprowokowało, ale jak najszybciej zakończył wizytę i zaniepokojony poszedł do samochodu. Już tam była, blada i przerażona, i dopiero po wielu pytaniach wyznała, że Doktor jest jej ojcem.

Ujrzawszy strach Tyny, mocno ją przytulił i zaczął zapewniać, że przy nim jest bezpieczna, bo on nigdy nie pozwoli, by ktoś ją skrzywdził. Tulił ją, szeptał do ucha zapewnienia o swoim oddaniu i gdzieś po drodze wymknęło mu się, że ją kocha. Zesztywniała w jego ramionach i już był pewien, że zaraz usłyszy okrutne słowa wyśmiewające jego uczucie, gdy znów się przytuliła, a jej dłoń powędrowała w górę i delikatnie pogładziła jego okaleczony policzek. Wstrzymał oddech, nie mogąc w to uwierzyć. Nikt jeszcze nie dotknął dobrowolnie tej ohydnej, pobrużdżonej bliznami skóry. Przymknął powieki, by zwiększyć moc doznania. Wtedy ona znowu się poruszyła i nagle poczuł na ustach dotyk jej warg.

– Nie wiem, jakim cudem dojechaliśmy do domu bez wypadku – wspomniała tamtą szaloną jazdę, gdy wreszcie się od siebie oderwali.

– Też nie wiem. Nie myślałem wtedy o bezpieczeństwie, miałem w głowie tylko jedno. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w tobie i miałem gdzieś śnieg, gołoledź i wszystkie patrole świata.

Spojrzała prowokacyjnie spod rzęs.

– A teraz?

Nie odpowiedział, udowodnił za to, że nic się nie zmieniło.

Dużo później odgarnął z twarzy dziewczyny splecione włosy i pocałował zaczerwieniony od jego zarostu policzek.

– Jak tam, Justyno Mazurek? Zadowolona czy muszę bardziej się postarać?

– W porządku, Rafale Mazurku. Na razie wystarczy.

Uśmiechnął się, ale widać było, że coś go gnębi, i postanowiła dociec przyczyn. Tak długo dopytywała, że w końcu się poddał.

– Nie mogę przestać myśleć o dziewczynie z ogrodu, wiesz którego – wyznał przygnębiony.

Na wspomnienie losu brata Tyna także posmutniała. Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem spytała, ciekawa, czy jej domysł się potwierdzi:

– Chodzi ci o to, że ona o niczym nie wie i dalej się boi?

Potwierdził skinieniem.

– Mam plan, jak to naprawić. Posłuchaj...

23 lutego 1993, Bielsko-Biała

W pobliżu szkoły przyspieszyła kroku i rozejrzała się czujnie. Po lekcjach wychodziła razem z koleżankami, rano jednak było to niemożliwe, dlatego zachowywała daleko posuniętą ostrożność. Ojciec co prawda twierdził, że zagrożenie minęło, bo starszy z mężczyzn siedzi w areszcie, a młodszy na pewno wyjechał gdzieś daleko, bo zniknął bez śladu, ale Apolonia ani myślała bagatelizować przeczucia. A to mówiło, że on czai się gdzieś w pobliżu.

– Cześć. Masz chwilę? Chciałabym pogadać o pewnej sprawie.

Na dźwięk nieznanego kobiecego głosu Lońka się obejrzała, choć właściwie była pewna, że słowa nie zostały skierowane do niej. A jednak się omyliła. Nieznajoma dziewczyna w wieku dwudziestu kilku lat, o kręconych blond włosach i szarych oczach, oderwała się od pnia drzewa i ruszyła w jej kierunku. Wyglądała na miłą i miała piękny uśmiech. Wzbudzała zaufanie i Apolonia nie wyczuła niebezpieczeństwa.

– Ale naprawdę tylko chwilę, bo o ósmej mam fizę. Co to za sprawa?

– Mamy wspólnego znajomego i on chce ci coś przekazać.

– O kim pani mówi? Czy to Ditmar?

Nieznajoma zignorowała pytania.

– Myślałam, że jesteś starsza – powiedziała, wyraźnie zdziwiona. – Ile masz lat?

– Czternaście.

– Pamiętasz dwóch facetów, których widziałas tu niedaleko, w pewnym ogrodzie?

Apolonia miała wrażenie, że zaraz zemdleje, tak wielkie ogarnęło ją przerażenie. Na przemian czuła to zimno, to gorąco, a nogi zrobiły się dziwnie miękkie. Gardło miała jak zasznurowane; nie umiała wydobyć żadnego dźwięku i tylko skinęła głową.

Na widok jej reakcji blondynka westchnęła cicho.

– Nie musisz już się bać. Ten starszy facet jest w więzieniu, a młodszy mieszka teraz daleko stąd i nie ma zamiaru wracać. Przyjechałam po to, żeby ci to powiedzieć... żebyś mogła chodzić bez strachu.

Uspokajająco pogłaskała Lońkę po ręce, potem odwróciła się i odeszła.

Apolonia przez chwilę spoglądała za nią, nim zrozumiała, co to oznacza. Wykrzyknąwszy za nieznajomą krótkie, lecz aż kipiące od emocji „dziękuję”, w podskokach pobiegła do szkoły. Czuła się lekka jak nigdy dotąd.

KONIEC

Podziękowania

Oddaję w Wasze ręce moją dwudziestą książkę. Z tej okazji pragnę serdecznie podziękować mojemu mężowi Ryszardowi za merytoryczne wsparcie, dzięki któremu wielokrotnie uniknęłam zrobienia z siebie idiotki mylącej policyjną terminologię i procedury.

Dziękuję całemu zespołowi Czwartej Strony Kryminału za idealną wręcz współpracę, w szczególności zaś mojej ukochanej redaktorce Karolinie Borowiec-Pieniak za wytrwałe śledzenie rymów i powtórzeń i za rozwalające system komentarze, wywołujące dzikie wybuchy śmiechu.

Dziękuję także Agacie Legun i Gosi Wypych oraz innym członkom grupy „Kryminalny kącik Hanny Greń” za duchowe wsparcie i nieustającą wiarę w moje możliwości.

Przede wszystkim jednak z całego serca dziękuję Wam, drodzy czytelnicy, bo bez Waszego zainteresowania moja praca nie miałaby żadnego sensu. Dziękuję, że jesteście.

Spis treści

- Rozdział 1. Przybysz na warunku
- Rozdział 2. Kochający krewni
- Rozdział 3. Spotkanie po latach
- Rozdział 4. Odnaleziona zguba
- Rozdział 5. Zabójczy film
- Rozdział 6. Skumulowany pech
- Rozdział 7. Pierwsza samodzielna wyprawa
- Rozdział 8. Zagubieni
- Rozdział 9. Delikatna sprawa
- Rozdział 10. Jestem Petra
- Rozdział 11. Jedyne świadek
- Rozdział 12. Rysunki Petry
- Rozdział 13. Oszukana oszustka
- Rozdział 14. Tajemniczy bałwan
- Rozdział 15. Nigdy tego nie robiłam
- Rozdział 16. Oblicza przestępców
- Rozdział 17. Walka o życie
- Rozdział 18. Niedobry syn
- Rozdział 19. Prawdziwy potwór
- Rozdział 20. Kim jest Doktor?
- Rozdział 21. Stare i nowe sprawy

Rozdział 22. Identyfikacja

Rozdział 23. Pijana Temida

Rozdział 24. Niespodziewany prezent

Rozdział 25. Zamknięte sprawy

Podziękowania